

ZESZYT STO CZTERDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2004

ZESZYT STO CZTERDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2004

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 527

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0195-9

Editeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA
91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Imprimé en France.

Krzysztof TARKA

Z DZIEJÓW POLONII BRYTYJSKIEJ: LICZBA I ROZMIESZCZENIE POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII 1918-1939

Pod względem liczby i znaczenia wychodźstwo polskie w Wielkiej Brytanii w XIX wieku oraz w pierwszych dziesięcioleciach następnego stulecia stanowiło margines licznej w tym czasie emigracji z ziem polskich. Wyjątkiem może być okres Wielkiej Emigracji, kiedy Londyn – obok Paryża – stał się ośrodkiem działalności polskich uchodźców politycznych. Również emigracja zarobkowa z przełomu wieków kierowała się przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych, Francji czy Niemiec, a w minimalnym zaledwie stopniu do Anglii. Aż do 1940 roku Wielka Brytania nie stanowiła ważnego kierunku emigracji polskiej. Znaczenie tego regionu pod tym względem niepomiernie wzrosło w okresie drugiej wojny światowej oraz po jej zakończeniu¹.

Za początek polskiej emigracji do Wielkiej Brytanii uznaje się lata trzydzieste XIX wieku. Po klęsce powstania listopadowego na Wyspach Brytyjskich osiedliło się około 600-700 uchodźców z ziem polskich. Kolejni emigranci polityczni szukali schronienia na obcej ziemi po Wiośnie Ludów, wojnie krymskiej i powstaniu styczniowym. Znaczna część z nich traktowała pobyt w Wielkiej Brytanii jako przejściowy, podlegając wtórnym migracjom².

1. T. Radzik, „Polonia w Wielkiej Brytanii”, [w:] „Polonia jako zjawisko społeczno-polityczne”, cz. II, Lublin 1986, s. 111; S. Szumski, „Liczba i rozmieszczenie polskiej grupy etnicznej w Wielkiej Brytanii,” [w:] „Liczba i rozmieszczenie Polaków w świecie”, pod red. W. Wrzesińskiego, cz. I, Wrocław 1981, s. 392, 394.

2. J. Kozłowski, „Emigracja okresu schyłkowego Rzeczypospolitej szla-

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku wychodźstwo z ziem polskich zmieniło charakter z politycznego na zarobkowe. Do Wielkiej Brytanii przybyli wówczas pierwsi emigranci w poszukiwaniu lepszych materialnych warunków bytu. Dla wielu z nich Anglia stała się punktem etapowym w drodze do Ameryki. Część nigdy nie dotarła jednak za ocean na stałe pozostając na Wyspach Brytyjskich. Około 1890 r. w Anglii mieszkało od 3 do 3,5 tys. Polaków. W większości byli to niewykwalifikowani robotnicy (dokerzy, górnicy) oraz rzemieślnicy (stolarze, krawcy, szewcy, szwaczki, praczki)³.

Ksiądz Jan Badeni, charakteryzując pod koniec XIX wieku polskie wychodźstwo na Wyspach Brytyjskich, pisał:

Dziś żyje ledwie paru nad grobem stojących przedstawicieli pierwszej emigracji; niewielu można się doliczyć uczestników węgierskiej i krymskiej kampanii, tak, że jądro polskiego wychodźstwa w Anglii stanowią niemieccy banicy, nieopatrzni amerykańscy emigranci, którym w podróży do Ameryki lub w powrocie do ojczyzny zabrakło pieniędzy na dalszą drogę, i w równej mierze nieopatrzni robotnicy i rzemieślnicy przeważnie z Galicji, którzy wybrali się do Anglii dla zarobku, dla polepszenia złej doli. Nad tymi nieszczęśliwymi, a często wprost nędzarniami, góruje kilku Polaków zamożniejszych i wykształconych, którzy starają się wedle sił podać swym rodakom rękę pomocną; w około kręci się paru szalbierzy i awanturników, paru przybyłych z Francji i Szwajcarii z nazwiskami polskimi socjalistów, usiłujących wyzyskać nędzę polską dla swych planów; pewna wreszcie, choć drobna garstka, z dała od wszelkich politycznych i socjalnych teorii się trzymając, pracuje rozumnie i energicznie na kawałek chleba, przychodzi do majątku, ale nieraz, niestety!, w drugim, a bywa, że i w pierwszym pokoleniu, zapomina ojczyściej mowy, dobrze jeszcze, jeżeli nie wyrzeka się katolickiej wiary⁴.

W 1911 roku w Anglii mieszkało około 3,5 tysiąca Pola-

checkiej i porozbiorowa (do 1864 r.)”, [w:] „Emigracja z ziem polskich w czasach nowożytnych i najnowszych (XVIII-XX w.)”, pod red. A. Pilcha, Warszawa 1984, s. 72-82; T. Radzik, „Działalność oświatowa emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii w latach 1852-1939”, *Przegląd Historyczno-Oświatowy* 1984, nr 2, s. 163-164; S. Szumski, *op.cit.*, s. 394-395.

3. J. Badeni, „Polacy w Anglii”, *Przegląd Powszechny* 1890, s. 3; T. Radzik, „Działalność oświatowa emigracji...”, s. 173; J. Zubrzycki, „Polish immigrants in Britain. A study of adjustment”, The Hague 1956, s. 47.

4. J. Badeni, *op.cit.*, s. 1-2.

ków⁵. Ich liczba znacznie zwiększyła się w czasie pierwszej wojny światowej. Brak danych statystycznych nie pozwala jednak na dokonanie precyzyjnych wyliczeń. W początkowym okresie wojny do Anglii przybyło kilka tysięcy „cudzoziemców z krajów nieprzyjacielskich usposobionych przyjaźnie do Wielkiej Brytanii”. W ten sposób władze brytyjskie klasyfikowały Polaków z zaboru austriackiego i pruskiego. Tylko w latach 1914-1915 wydano około 3 tys. zaświadczeń tego typu⁶.

Kilka tysięcy żołnierzy polskiej narodowości znalazło się wśród jeńców z armii pruskiej. Specjalne biuro przy Komitecie Narodowym Polskim zajmowało się wyselekcjonowaniem ze spisu jeńców niemieckich osób o polskim brzmieniu nazwisk. Następnie przenoszono ich do odrębnych obozów. Pracownicy Komitetu pomagali polskim jeńcom w znalezieniu pracy, a po zakończeniu wojny w powrocie do kraju. Do czerwca 1919 roku w obozach internowania w podlondyńskim Feltham oraz w Alexandra Palace, Clay Hill, Potters Bar i na wyspie Man przebywało kilka tysięcy Polaków⁷. Większość z nich niebawem wyjechała do kraju⁸.

5. J. Zubrzycki, *op.cit.*, s. 47.

6. N. Davies, „The Poles in Great Britain 1914-1919”, *The Slavonic and East European Review* 1972, vol. 118, s. 66-67. Podczas pierwszej wojny światowej w Londynie istniało około 20 polskich organizacji politycznych, społecznych czy charytatywnych. Ukazywały się 4 czasopisma polsko- lub angielskojęzyczne. Okres ten zaznaczył się również ożywieniem polskiej działalności polityczno-propagandowej nad Tamizą, zob. A. Cienciąła, „Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski, 1914-1918”, *Zeszyty Historyczne* 1969, z. 16, s. 67-94; N. Davies, *op.cit.*, 63-89; M. Danilewiczowa, „Polacy w Anglii w czasie I-szej wojny”, *Kultura* 1972, nr 6, s. 104-108; J. Pajewski, „Wokół sprawy polskiej. Paryż-Lozanna-Londyn 1914-1918”, Poznań 1970, s. 167-219; T. Piszczkowski, „Anglia a Polska 1914-1939 w świetle dokumentów brytyjskich”, Londyn 1975, s. 1-48; J. Sibora, „Narodziny polskiej dyplomacji u progu niepodległości”, Warszawa 1998, s. 113-118, 217-219, 224-225; P. Wandycz, „Z Piłsudskim i Sikorskim. August Zaleski minister spraw zagranicznych w latach 1926-1932 i 1939-1941”, Warszawa 1999, s. 12-20.

7. Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN] Ambasada RP w Londynie, 915, k. 13-15, Sprawozdanie ks. rektora J. Symiora z pracy duszpasterskiej wśród jeńców Polaków od 15 IV 1916 do 20 VI 1919 r.; „Polska Misja Katolicka w Londynie 1894-1944”, Londyn [brw], s. 50-51; Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego [dalej: IPiMS], Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/297, Sprawozdanie z działalności misji Komitetu Narodowego Polskiego w Londynie za listopad 1918 r.

8. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/332, List K. Komierowskiego do A. Foltina z 25 VII 1919 r.

Po zakończeniu wojny i odzyskaniu przez Polskę niepodległości kolonia polska w Wielkiej Brytanii znacznie się zmniejszyła i zubożała. Wielu zamożniejszych kupców, studentów czy działaczy politycznych powróciło do wolnej ojczyzny. Niektórzy emigrowali do państw trzecich, przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych oraz do Francji i Belgii⁹.

Na podstawie wyników spisu powszechnego ludności z 1921 roku Konsulat Generalny RP w Londynie szacował, iż na terenie Wielkiej Brytanii mieszkało około 45 tys. osób pochodzących z ziem polskich. Zdecydowaną większość z nich (około 90 proc.) stanowili Żydzi. Liczbę Polaków konsulat szacował na około 5 tys. W sprawozdaniu dla ministerstwa spraw zagranicznych podkreślono jednak, iż urząd nie posiadał ścisłych danych statystycznych, dotyczących liczby osób narodowości polskiej zamieszkałych w Wielkiej Brytanii¹⁰. Podobnie sytuacja wyglądała kilkanaście lat później. W czerwcu 1938 roku departament konsularny MSZ nakazał urzędnikom Konsulatu Generalnego RP w Londynie zebranie danych dotyczących liczby i rozmieszczenia Polaków w Wielkiej Brytanii (obywateli polskich i angielskich, z rozbiciem na płeć, wiek, wyznanie, zawód, przynależność do organizacji polonijnych)¹¹. Polska placówka nad Tamizą nie dysponowała tak szczegółową wiedzą. Jeśli posiadano jeszcze wrywkowe, ogólne informacje o Polakach w Londynie, to dane dotyczące pozostałych skupisk ludności polskiej obarczone były już poważnymi błędami¹².

Najczęściej przyjmuje się, iż w latach trzydziestych XX wieku na terenie Wielkiej Brytanii przebywało na stałe około

9. AAN, Ministerstwo Spraw Zagranicznych [dalej: MSZ], 10564, k. 13-14, Raport kulturalny Konsulatu Generalnego RP w Londynie dla MSZ z 26 I 1933 r.; „Polacy w Wielkiej Brytanii”, *Wychodźca* 1924, nr 49, s. 7; „Zarys historyczny ruchu organizacyjnego wśród Polonii wielkobyrytyjskiej”, *Polacy Zagranicą* 1935, nr 7, s. 23.

10. AAN, MSZ, 5173, k. 20, Sprawozdanie statystyczne z działalności i gospodarki Konsulatu Generalnego RP w Londynie za rok budżetowy 1930/1931. Zob. też AAN, Ambasada RP w Londynie, 896, k. 13, Wykaz Polaków zamieszkałych poza granicami RP na początku 1927 r.

11. AAN, MSZ, 10566, k. 25, Departament konsularny MSZ do Konsulatu Generalnego RP w Londynie z 4 VI 1938 r.

12. Tamże, k. 29-30, List K. Poznańskiego do MSZ z 26 VIII 1938 r. (zob. też IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/13).

5 tys. Polaków¹³. Największa grupa mieszkała w stolicy Wielkiej Brytanii. Rektor Polskiej Misji Katolickiej szacował, iż w połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku w Londynie w rozproszeniu żyło około 2 tys. Polaków. Przy kościele polskim skupiało się 250 rodzin. Brakowało jednak dokładnych danych statystycznych. W liście do prymasa Augusta Hlonda ksiądz Teodor Cichos zaznaczył:

Pewnych danych statystycznych niestety podać nie mogę, bo nawet w konsulacie nie wiadomo ilu Polaków faktycznie mieszka w Londynie¹⁴.

W końcu lat trzydziestych urzędnicy Konsulatu General-

13. A. Zarychta, „Emigracja Polska 1918-1931 i jej znaczenie dla państwa”, Warszawa 1939, s. 95 opierając się na danych Urzędu Emigracyjnego szacował, iż w końcu lat 20. w Wielkiej Brytanii mieszkało 5 tys. Polaków. Według tego samego autora w końcu następnej dekady liczba Polaków na Wyspach Brytyjskich wzrosła do 5,3 tys., zob. AAN, MSZ, 9886, k. 59, A. Zarychta, „Dwudziestolecie emigracji z Polski 1918-1939”, mps. Z wyliczeniami Zarychty zgadza się M. Nowak-Kiełbikowa, „Z dziejów Polonii angielskiej w dwudziestoleciu międzywojennym (1919-1939)”, *Kwartalnik Historyczny* 1976, nr 1, s. 43. S. Szumski, *op.cit.*, s. 397 podaje liczbę „w granicach 4,5 tys. nawet do 5 tys.” Polaków. J. Zubrzycki, *op.cit.*, s. 47 wyliczył, iż w Anglii w 1921 r. mieszkało około 3,8 tys., a w 1931 r. – 4,5 tys. Polaków. Według B. Jeżewskiego (*Rocznik Polonii 1958-1959*, pod red. B. Jeżewskiego, t. VII, Londyn 1958, s. 156) w 1921 r. w Anglii mieszkało 3 tys. Polaków, a dziesięć lat później 4,5 tys. Znacznie niższe szacunki podaje B. Wierzbiański, „Polacy na całym świecie”, [w:] „Kalendarz Światowego Związku Polaków z Zagranicy na rok 1938”, pod red. W. Zembrzuskiego, Warszawa 1937, s. 415 oraz w opracowaniu „Polacy w świecie”, Londyn 1946, s. 90. Według niego w 1939 r. na Wyspach Brytyjskich mieszkało jedynie 3 tys. Polaków. Podobnie zob. W. Kietlicz-Wojnacki, „Polacy poza granicami Rzeczypospolitej”, [w:] „Kalendarz Światowego Związku Polaków z Zagranicy na rok 1939”, pod red. W. Zembrzuskiego, Warszawa 1938, s. 67; „Polonia zagraniczna 1929-1954. Księga pamiątkowa w 25-lecie istnienia Światowego Związku Polaków z Zagranicy”, Londyn 1955, s. 105; B. Czaykowski, B. Sulik, „Polacy w W. Brytanii”, Paryż 1961, s. 375. Liczba 3 tys. Polaków zamieszkałych w Wielkiej Brytanii wydaje się jednak zbyt niska. W okolicznościowym wydawnictwie „Wystawa Polska i Polacy w świecie. Przewodnik i pamiętnik”, Warszawa 1934, s. 62 liczbę Polaków w Wielkiej Brytanii określono zaledwie „w przybliżeniu na 2500 osób”!

14. Archiwum Archidiecezjalne w Gnieźnie [dalej: AAG], Akta prymasa Polski Augusta Hlonda [dalej: Akta A. Hlonda], 37 b, List T. Cichosa do A. Hlonda z 30 IV 1927 r.

nego RP oceniali, iż w Londynie mieszkało około 250 polskich rodzin. Większość z nich przybyła do Wielkiej Brytanii między 1890 a 1910 rokiem, przeważnie z zaboru rosyjskiego. Kolonia polska w zdecydowanej większości składała się z rzemieślników (krawców, fryzjerów, szewców, stolarzy) oraz drobnych sklepikarzy i kupców. Do inteligencji zaliczało się zaledwie kilkanaście osób, w tej liczbie znajdowali się również mieszkający na stałe w Londynie korespondenci polskiej prasy¹⁵.

Warunki pracy polskich pracowników nie odbiegały od ogólnie przyjętych w Wielkiej Brytanii. Ich poziom życia był przeciętnie wyższy niż w kraju. Polskich krawców zatrudniały najszynniejsze londyńskie firmy krawieckie („Bond Street”, „Saville Row”). Na początku lat dwudziestych za uszycie ubrania otrzymywali oni 2 funty. Fryzjerzy zarabiali od 5 do 10 funtów tygodniowo. Wobec zastoju w handlu meblami pogorszyła się natomiast sytuacja materialna stolarzy. Ich zarobki spadły o połowę do 3-4 funtów tygodniowo¹⁶. Wielu Polaków utrzymywało się z zasiłku dla bezrobotnych¹⁷.

Na terenie Anglii, poza Londynem, większa grupa Polaków mieszkała w Manchesterze oraz w Liverpoolu i Leeds. W Manchesterze kolonia polska składała się z około 200 osób. Według danych kościelnych mieszkało tam 27 polskich rodzin, łącznie 168 osób¹⁸. Na podstawie danych, uzyskanych w urzędzie meldunkowym w Manchesterze, liczbę Polaków w połowie lat trzydziestych obliczano na 221 osób. Podobnie jak w Londynie, niemal wyłącznie byli to drobni rzemieśl-

15. AAN, MSZ, 10566, k. 29, List K. Poznańskiego do MSZ z 26 VIII 1938 r.; tamże, k. 31, S. Nahlik, Polacy w Anglii z 3 VI 1938 r.; AAN, MSZ, 11764, k. 18, Raport administracyjny K. Komierowskiego dla MSZ z 28 I 1929 r.

16. AAN, Konsulat Generalny RP w Londynie, 59, k. 63-64, Raport emigracyjny K. Komierowskiego dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej z 28 VII 1922 r.; „Polacy w Anglii”, *Wychodźca* 1922, nr 27, s. 11-12.

17. „Kolonia polska w Londynie”, *Polacy Zagranicą* 1930, nr 4, s. 113.

18. AAN, Ambasada RP w Londynie, 917, k. 91, Kościół polski w Manchester; AAN, MSZ, 10564, k. 51, Raport kulturalny Konsulatu Generalnego RP w Londynie dla MSZ z 26 I 1933 r.; AAN, Konsulat Generalny RP w Londynie, 59, k. 62, Raport emigracyjny K. Komierowskiego dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej z 28 VII 1922 r.; „Polacy w Anglii”, *Wychodźca, op.cit.*, s. 11.

nicy, przede wszystkim krawcy i stolarze. Do Manchesteru przybyli oni w większości na przełomie XIX i XX wieku, przeważnie z zaboru austriackiego¹⁹.

Począwszy od przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku polscy emigranci osiedlali się również w zagłębiu węglowym w Szkocji. Dane dotyczące liczby Polaków na tym terenie są jednak bardzo rozbieżne. Podczas spisu powszechnego w 1921 roku na terenie Szkocji 855 osób podało się za Polaków²⁰. Dziesięć lat później miało ich być już 2296. Trudno wytłumaczyć tak znaczny wzrost liczby Polaków w Szkocji, tym bardziej że między 1921 a 1931 rokiem nie odnotowano większego dopływu nowych emigrantów. Najwięcej Polaków osiedliło się w Lanarkshire (1386 osób) oraz w Glasgow (483). Pozostali mieszkali w Notherwell (189 osób), Hamilton (166), Coatbridge (69) i Rutherglen (3). Według konsula Witolda Hulanickiego:

Wielka ilość Polaków przy spisie [z 1931 roku] odnotowaną została jako Litwini, gdyż emigracja litewska w Szkocji jest liczniejszą i element polski do pewnego stopnia zasymilował się z Litwinami. [...] Wszyscy mówią po polsku, nawet nie wyłączając Litwinów. Władze tamtejsze nie zdają sobie sprawy z różnicy pomiędzy Polakiem a Litwinem²¹.

Labilna identyfikacja narodowa emigrantów bodaj w największym stopniu wpływała na dane statystyczne.

Placówka konsularna nad Tamizą posiadała niewiele informacji na temat kolonii polskiej w Szkocji. Na początku października 1931 roku spostrzeżenia w tej sprawie, „zebrane zupełnie przypadkowo”, przekazał biznesmen z Polski, zaproszony przez szkockich przemysłowców do poznania warunków, w jakich pracował przemysł węglowy w ich kraju.

19. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/127, Polacy w Manchesterze z 25 I 1935 r. W 1938 r. Konsulat Generalny RP w Londynie błędnie informował MSZ, iż kolonia polska w Manchesterze „liczy ok. 250-300 rodzin”, zob. AAN, MSZ 10566, k. 30, List K. Poznańskiego do MSZ z 26 VIII 1938 r.

20. „Polacy w Wielkiej Brytanii”, *Wychodźca* 1924, nr 49, s. 7.

21. AAN, Ambasada RP w Londynie, 894, k. 74, List W. Hulanickiego do MSZ z 10 X 1933 r. (zob. też IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/342).

Na miejscu przypadkowo spotkał wielu polskich górników (nie próbował jednak oszacować ich liczby). Większość z nich pochodziła z Suwalszczyzny. Do Szkocji przyjechali na przełomie XIX i XX stulecia. Sami siebie określali Litwinami, ale języka litewskiego nie znali, posługując się w mowie polską gwara i marną angielszczyzną. Polacy pracowali i żyli we własnej grupie. Małżeństwa zawierali przeważnie między sobą, nie mieszając się z miejscową ludnością²².

Według szacunków kościelnych pod koniec lat dwudziestych w Glasgow mieszkało zaledwie 20 polskich rodzin²³. Przypomnijmy, iż według spisu z 1931 roku miało ich być znacznie więcej, bo aż 483 osoby. O niedokładności wszelkich danych statystycznych świadczy informacja z raportu Konsulatu Generalnego z końca sierpnia 1938 roku. Podano w nim, iż poza Londynem i Manchesterem tylko „nieliczne grupy Polaków, nie przekraczające paru osób, znajdują się w Anglii i Szkocji”²⁴. Tak znaczne rozbieżności między danymi statystycznymi odnośnie liczby Polaków w Szkocji pokazują skalę problemów przy próbie ustalenia wielkości kolonii polskiej na Wyspach Brytyjskich. Świadczą też o niewielkiej wiedzy urzędników Konsulatu Generalnego na temat szkockiej Polonii. Nawet jeśli trudno precyzyjnie określić jej wielkość, to w Szkocji z pewnością osiedliło się znacznie więcej niż tylko paru Polaków.

Ruch migracyjny między Polską i Wielką Brytanią w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku w niewielkim stopniu wpływał na wielkość Polonii brytyjskiej. W latach 1918-1938 tylko 1057 osób, które opuściły Polskę, zamieszkało w Wielkiej Brytanii (0,1 proc. ogółu migracji kontynentalnych). Nie dysponujemy jednak danymi o ich narodowości, choć zapewne większość z nich stanowili Żydzi. W tym samym czasie w krajach europejskich (przede wszyst-

22. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/13, Sprawozdanie A. Neumana dla W. Hulanickiego z 5 X 1931 r. O Polakach w Szkocji zob. też AAN, MSZ, 10564, k. 60-63, Raport kulturalny Konsulatu Generalnego RP w Londynie dla MSZ z 26 I 1933 r.

23. AAG, Akta A. Hlonda, 37 b, List Chocieszyńskiego do A. Hlonda z 9 X 1929 r.

24. AAN, MSZ, 10566, k. 30, List K. Poznańskiego do MSZ z 26 VIII 1938 r.

kim we Francji i Niemczech) osiedliło się ogółem 1 252 672 emigrantów z Polski²⁵.

Jeszcze mniejsza była liczba reemigrantów. W latach 1918-1938 z Wielkiej Brytanii do Polski powrócili jedynie 82 osoby (0,1 proc. ogółu reemigrantów z krajów europejskich). Do połowy lat dwudziestych powróciła zaledwie 1 (jedna!) osoba²⁶. Dane te trudno uznać jednak za w pełni wiarygodne. Z innych źródeł wiadomo, że w 1922 roku, z powodu trudnej sytuacji materialnej, Konsulat Generalny RP w Londynie repatriował do kraju ogółem 26 osób (rok wcześniej – 10 osób)²⁷. Jak już wspomniano, po pierwszej wojnie światowej do Polski powrócili również jeńcy wojenni, działacze polityczni oraz wielu zamożniejszych kupców.

Z powodu nielegalnego przekroczenia granicy bądź kradzieży każdego roku z Wielkiej Brytanii do Polski deportowano kilkunastu emigrantów, przede wszystkim polskich Żydów. W 1932 roku wydalono 14 osób. Podobna była skala i przyczyny deportacji w pozostałych latach²⁸.

W okresie międzywojennym Wielka Brytania była krajem całkowicie zamkniętym dla emigracji zarobkowej z Polski. Wynikało to z chronicznego bezrobocia, charakterystycznego w tym czasie dla gospodarki brytyjskiej. Wyjazdom nie sprzyjało również oddalenie geograficzne Wielkiej Brytanii w porównaniu z innymi krajami europejskimi oraz brak

25. AAN, MSZ, 9886, k. 135-136, A. Zarychta, „Dwudziestolecie emigracji z Polski...”; A. Zarychta, „Emigracja Polska 1918-1931...”, tabela III.

26. AAN, MSZ, 9886, k. 137-138, A. Zarychta, „Dwudziestolecie emigracji z Polski...”; A. Zarychta, „Emigracja Polska 1918-1931...”, tabela V. Materiały statystyczne, którymi posługiwał się Zarychta, były niekompletne, często oparte na różnych źródłach, podających dla tych samych faktów i czasookresów różne wartości. Z tego powodu „cyfr tych nie można uważać za materiał zupełnie ścisły”, zob. tamże, s. 9-10.

27. AAN, Konsulat Generalny RP w Londynie, 59, k. 119, Raport emigracyjny K. Komierowskiego za 1922 r. dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej z 23 II 1923 r.; tamże, k. 63, Raport emigracyjny K. Komierowskiego z 28 VII 1922 r.; „Polacy w Anglii”, *Wychodźca* 1922, nr 27, s. 11.

28. AAN, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych [dalej: MSW], 2233, k. 6-12, Spis obywateli polskich wydanych z Wielkiej Brytanii w 1932 r.; AAN, MSW, 1487, Akta osobowe obywateli polskich deportowanych z Wielkiej Brytanii w latach 1927-1935.

większych skupisk polskich w tym kraju²⁹.

W końcu lat trzydziestych w ministerstwie spraw zagranicznych rozważano możliwość emigracji służby domowej z Polski do Wielkiej Brytanii. W tej sprawie pracownicy Konsulatu Generalnego RP w Londynie w 1937 roku prowadzili nieoficjalne rozmowy w brytyjskim ministerstwie pracy. Anglicy dopuszczali możliwość przyjazdu jedynie żeńskiej służby domowej. Londyn sprzeciwił się jednak uregulowaniu tej sprawy w drodze dwustronnej umowy międzypaństwowej. Każdy przypadek miał być rozpatrywany indywidualnie. Strona polska rozważała możliwość powołania agencji kontrolowanej przez ministerstwo pracy i opieki społecznej. Instytucja ta przeprowadzałaby rekrutację oraz selekcję kandydatek i przygotowywałaby je na wyjazd. Wobec braku znajomości języka angielskiego oraz niskiego ogólnego przygotowania, Polki mogłyby najczęściej liczyć na pracę kucharek oraz „służących do wszystkiego”. W lipcu 1938 roku do Konsulatu Generalnego RP w Londynie zgłosiła się dyrektorka warszawskiej Szkoły Przesposobienia Hotelarskiego z propozycją przygotowania kandydatek na wyjazd do Wielkiej Brytanii³⁰. Sprawa odbiła się echem na łamach prasy. Znana poetka, Kazimiera Iłakowiczówna, wskazując na zalety polskiej służby domowej (pracowitość, pomysłowość, ofiarność, oddanie) postulowała zorganizowanie specjalnych kursów dokształcających dla kandydatek:

Elita powinna wyjeżdżać, a nie zbieranina wypędków. Jestem zwolenniczką emigracji reprezentacyjnej, prawie że propagandowej... Jestem nią zwłaszcza, kiedy chodzi o służbę domową. Jest na to rada, żeby jechały nie nasze kocmołuchy, ale nasze perły³¹.

Wobec oporu Anglików przed otwieraniem swego rynku

29. AAN, Konsulat Generalny RP w Londynie, 59, k. 268, List K. Komierowskiego do MSZ z 26 VII 1930 r.; „Kolonja polska w Londynie”, *Polacy Zagranicą, op.cit.*; M. Nowak-Kiełbikowa, *op.cit.*, s. 44.

30. AAN, MSZ, 9724, k. 23, List MSZ do Konsulatu Generalnego RP w Londynie z 9 VII 1930 r.; tamże, k. 35-38, List K. Poznańskiego do MSZ z 19 VIII 1938 r.

31. K. Iłakowiczówna, „Rzecz o kocmołuchach i perle”, *Kronika Polski i Świata* 1938, nr 23, s. 11.

pracy na emigrantów oraz rychłego wybuchu wojny sprawa nie znalazła pomyślnego finału.

Od końca XIX wieku Wielka Brytania była ważnym punktem etapowym dla emigrantów z Polski do Stanów Zjednoczonych i Kanady oraz w przeciwną stronę. W angielskich portach emigranci przesiadali się na statki oceaniczne lub bałtyckie. W drugiej połowie 1920 roku do Polski przez Wielką Brytanię przyjechało ponad 3,5 tys. osób. W tym samym czasie za ocean wyemigrowało blisko 6,5 tys. osób (głównie polskich Żydów)³². Przejazdy przez Wielką Brytanię osiągnęły apogeum w 1921 roku. Towarzystwa okrętowe przewiozły wówczas ponad 14,5 tys. emigrantów z Polski i 9,2 tys. reemigrantów. Zaostrzenie przepisów imigracyjnych przez Stany Zjednoczone przyczyniło się do znacznego spadku ruchu wychodźców w następnym roku. W 1922 roku przez Wielką Brytanię do Ameryki Północnej wyjechało blisko 7,5 tys. emigrantów, powróciło 4,8 tys. reemigrantów³³. W lutym 1923 roku przez angielskie porty w drodze do Polski przejechało zaledwie 37 reemigrantów. Z Polski do Stanów Zjednoczonych towarzystwa okrętowe przewiozły w tym czasie 275 pasażerów³⁴. W sierpniu 1923 roku przez Anglię wróciło 37 emigrantów, a wyjechało z Polski 730 osób³⁵.

W okresie największego ruchu pobyt emigrantów w Anglii (przeważnie w Londynie lub Liverpoolu) trwał od 5 dni do trzech tygodni, a przeciętnie 10 dni. Gdy ruch zmalął, emigranci przesiadali się na statki nieomal bezpośrednio. W lutym 1923 roku w jednym z londyńskich hoteli przebywało zaledwie trzech emigrantów z Polski. Począwszy od 1922 r. większość przejeżdżających kierowana była przez port w Southampton. Zakwaterowanie i aprowizacja emigrantów odby-

32. AAN, Konsulat Generalny RP w Londynie, 59, k. 7-9, Sprawozdanie emigracyjne K. Komierowskiego dla MSZ za rok 1920 z 22 II 1921 r.

33. Tamże, k. 33, Sprawozdanie emigracyjne K. Komierowskiego dla MSZ za rok 1921 z 6 II 1922 r. „Wychodźstwo polskie przez Anglię w r. 1922”, *Wychodźca* 1923, nr 14, s. 8-9.

34. AAN, Konsulat Generalny RP w Londynie, 59, k. 153, Raport K. Komierowskiego dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej za luty 1923 r. z 8 III 1923 r.

35. Tamże, k. 216, Raport K. Komierowskiego dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej za sierpień 1923 r. z 14 IX 1923 r.

wała się na koszt towarzystw okrętowych. Ich sytuacją na terenie Wielkiej Brytanii interesowało się polskie poselstwo oraz konsul generalny w Londynie. W przypadku informacji o złym traktowaniu wychodźców placówki interweniowały w towarzystwach okrętowych. Emigranci jednak rzadko skarżyli się na swoją sytuację³⁶.

W następnym dziesięcioleciu większość emigrantów z Polski, przejeżdżających przez Wielką Brytanię, kierowała się do krajów Ameryki Południowej (Argentyny i Brazylii). Oczekując na statek przez blisko tydzień przebywali w schronisku żydowskim w Londynie, skąd przewożono ich pociągiem do portu w Southampton. Jesienią 1933 roku ksiądz Cichos interweniował w tej sprawie w Konsulacie Generalnym. Domagał się ułatwienia w kontaktach z emigrantami katolikami oraz ulokowania ich przy Polskiej Misji Katolickiej. Po interwencji konsula Hulanickiego towarzystwo okrętowe Royal Mail Lines nie stawiało przeszkód przy odwiedzinach emigrantów przez księdza rektora na statkach czy w schronisku żydowskim³⁷.

W latach trzydziestych XX w. Southampton był największym brytyjskim portem pasażerskim (obsługiwał około 40 proc. ruchu pasażerskiego). Port był też ważnym punktem etapowym dla emigrantów z Polski do Ameryki. Z tego powodu w czerwcu 1934 roku w Southampton otwarty został polski konsul honorowy. Większość emigrantów nie wiedziała jednak o istnieniu polskiej placówki w tym mieście³⁸.

36. Tamże, k. 5-13, Sprawozdanie emigracyjne K. Komierowskiego dla MSZ za rok 1920 z 22 II 1921 r.; tamże, 87-88, Raport emigracyjny K. Komierowskiego dla MSZ za IX 1922 r. z 24 X 1922 r.; tamże, k. 153, Raport K. Komierowskiego dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej za luty 1923 r. z 8 III 1923 r.; tamże, 216-217, Raport K. Komierowskiego dla Urzędu Emigracyjnego przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej za sierpień 1923 r. z 14 IX 1923 r.

37. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/367, List W. Hulanickiego do MSZ z 2 X 1933 r.; tamże, List Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej do Konsulatu Generalnego RP w Londynie z 24 X 1933 r.; tamże, List W. Hulanickiego do T. Cichosa z 30 XI 1933 r.

38. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/129, Sprawozdanie K. Komierowskiego z działalności konsulatu honorowego w Southampton z 1 VII 1935 r.; AAN, MSZ, 9315, k. 8, Sprawozdanie K. Komierowskiego z działalności konsulatu honorowego w Southampton z 1 V 1936 r.

W 1936 roku przez port w Southampton przejechało 3153 emigrantów z Polski, rok później ich liczba wzrosła do 4331 osób³⁹.

31 marca 1937 roku urzędnik Konsulatu Generalnego RP Stanisław Nahlik przeprowadził inspekcję w schronisku żydowskim w Londynie. Do konsulatu dotarły skargi polskich emigrantów na przepełnione sale, wszy, brud oraz złe jedzenie („przeważnie pożywienie rytualne żydowskie, którego [Polacy] nie mogą znosić”). Według szacunków konsulatu generalnego emigranci chrześcijanie (Polacy i Ukraińcy) stanowili około 70-80 proc. ogółu przejeżdżających wówczas przez Wielką Brytanię. Po interwencji konsula generalnego Karola Poznańskiego w dyrekcji kompanii przewozowej emigranci chrześcijanie zostali przeniesieni do hotelu przy Tovrington Square, w pobliżu Konsulatu Generalnego RP. Takie rozwiązanie odpowiadało emigrantom. W ten sposób rozwiązano problem ciasnoty w noclegowniach⁴⁰.

Warunki materialne Polaków przebywających w Wielkiej Brytanii były skromne. Wynikało to przede wszystkim ze struktury społeczno-zawodowej kolonii polskiej, wśród której przeważali drobni rzemieślnicy, kupcy i robotnicy, na ogół o niskich kwalifikacjach zawodowych i słabym wykształceniu. Stosunek władz brytyjskich do Polonii był poprawny. Według urzędników Konsulatu Generalnego RP

jeżeli jest odmiennym od stosunku do obywateli państw o wysokim poziomie kultury, przypisać to należy więcej samej emigracji niż władzom, gdyż w wielu wypadkach emigrant jest analfabetą i pod względem zewnętrznym przedstawia się gorzej od Francuza, Amerykanina lub Niemca. Ubóstwo emigracji naszej odgrywa tu też pewną rolę⁴¹.

Polonia brytyjska, podobnie jak wychodźstwo w innych krajach, podlegała naturalnym procesom asymilacyjnym.

39. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/129, Sprawozdanie K. Komierowskiego dla MSZ, 1 IV 1938 r.

40. IPiMS, Konsulat Generalny RP w Londynie, A. 42/367, Sprawozdanie S. Nahlika z inspekcji w schronisku żydowskim w Londynie z 2 IV 1937 r.; tamże, List K. Poznańskiego do MSZ z 18 V 1937 r.

41. AAN, MSZ, 11764, k. 18, Raport administracyjny K. Komierowskiego dla MSZ z 28 I 1929 r.; M. Nowak-Kiełbikowa, *op.cit.*, s. 45.

Przystosowanie, wrastanie w nowe środowisko było nieuchronne. Sprzyjał temu czynnik czasu, angielskie otoczenie, szkoła, praca czy małżeństwa mieszane. Zjawisko to dotyczyło zwłaszcza potomków emigracji popowstaniowej z XIX wieku. Większość z nich posiadała nie tylko angielskie obywatelstwo, ale również pod względem kulturowym miała już niewiele wspólnego z polskością. Nie władali oni językiem polskim, zachowując jedynie świadomość swojego polskiego pochodzenia. Do tej grupy zaliczał się na przykład znany angielski aktor John Gielgud. Według szacunków konsulatu generalnego RP około 25 proc. Polaków osiadłych w Wielkiej Brytanii nabyło obywatelstwo brytyjskie w drodze naturalizacji. Dzieci emigrantów urodzone na Wyspach otrzymywały obywatelstwo brytyjskie z mocy ustawy.

Czynnikiem wpływającym na stopień asymilacji był nie tylko czas, ale także rozproszenie w obcym środowisku. Przykładem może być los polskich górników, którzy osiedlili się w przeszłości w Walii. Ich potomkowie byli tak silnie zasymilowani, że pod koniec lat trzydziestych XX wieku pracownicy konsulatu generalnego RP nie natrafili już na ich ślad⁴².

Grupą w znacznym stopniu zasymilowaną była również młodzież oraz dzieci emigrantów urodzone już w Wielkiej Brytanii. Młodzi słabo mówili po polsku i w najlepszym razie uważali się za Anglo-Polaków. W niewielkim stopniu angażowali się też w działalność polskich organizacji. W komplecie zjawiali się jedynie na imprezach rozrywkowych. Dzieci niemal w ogóle nie znały już języka ojczystego rodziców i dziadków.

Więź z krajem, z polską tradycją i kulturą najsilniejsza była w grupie emigrantów, którzy przybyli na Wyspy Brytyjskie na przełomie XIX i XX wieku. Przedstawiciele tej generacji najczęściej uważali się za Polaków. W mowie posługiwali się przeważnie językiem ojczystym. Spośród nich pochodzili przede wszystkim działacze organizacji społecznych⁴³.

Asymilacja młodzieży i dzieci groziła w przyszłości szybkim wynarodowieniem Polonii brytyjskiej. Niebezpieczeństwo to dostrzegali urzędnicy Konsulatu Generalnego RP w

42. AAN, MSZ, 10566, k. 29, List K. Poznańskiego do MSZ z 26 VIII 1938 r.; M. Nowak-Kiełbikowa, *op.cit.*, s. 44-45.

43. AAN, MSZ, 10566, k. 31-32, S. Nahlik, Polacy w Anglii z 3 VI 1938 r.

Londynie. W raporcie z 1929 roku czytamy:

Duch polskości, o ile dotychczas istnieje, należy zawdzięczać jedynie wpływowi starszego pokolenia, pamiętającego jeszcze Ojczyznę. Wpływ ten w miarę lat, t.j. w miarę wymierania starszego pokolenia będzie mały. Zabraknie dotychczasowego łącznika między Ojczyzną, a młodym pokoleniem, jakim byli rodzice, i siła wynaradawiania nabierze większego rozpędu.

Ten niebezpieczny trend zahamować mogła aktywna polityka państwa polskiego. Tylko zwiększenie subsydiów na szkolnictwo oraz organizacje społeczne mogło

zastąpić wpływy wymierającej generacji, a tym samym uratować polskość tutejszej kolonii⁴⁴.

W końcu lat trzydziestych XX wieku władze polskie szacowały, iż poza krajem mieszkało około 8 milionów Polaków. Kilkutysięczna kolonia polska w Wielkiej Brytanii, tak pod względem liczebności, jak i znaczenia, należała do najmniejszej grupy wychodźstwa. W większości tworzyli ją robotnicy i rzemieślnicy, którzy przybyli na Wyspy Brytyjskie na przełomie XIX i XX stulecia. Była to również grupa w znacznym stopniu zasymilowana (zwłaszcza drugie i trzecie pokolenie emigrantów). Wydawało się, że ta niewielka społeczność „wtopi się” w kraj zamieszkania.

Czynniki zewnętrzne: wybuch drugiej wojny światowej, klęska Francji i przeniesienie nad Tamizę siedziby emigracyjnych władz polskich oraz wojska, zmieniły bieg wydarzeń. W połowie 1940 roku narodził się fenomen „polskiego” Londynu. Wielka Brytania na długie lata stała się wówczas politycznym centrum polskiego wychodźstwa. Tu urzędował rząd i prezydent, działały partie polityczne oraz liczne organizacje społeczne, zawodowe, kulturalne. Po drugiej wojnie światowej na Wyspach Brytyjskich pozostało około 160 tysięcy Polaków, ale to już zupełnie inna historia.

Krzysztof TARKA

44. AAN, MSZ, 11764, k. 15, Raport administracyjny K. Komierowskiego dla MSZ z 28 I 1929 r.; „Kolonia polska w Londynie”, *Polacy Zagranicą, op.cit.*, s. 113-114.

Wojciech ŚLESZYŃSKI

KONCEPCJE PRZESIEDLENIA LUDNOŚCI POLSKIEJ NA ZIEMIE PÓŁNOCNO-WSCHODNIE II RZECZYPOSPOLITEJ

Problem osadnictwa polskiego na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej był aktualny w całym okresie dwudziestolecia. Wojna polsko-sowiecka 1920 roku wzmogła tylko przeświadczenie o potrzebie zwiększenia liczby ludności rdzennie polskiej na wschodnim pograniczu. Grupą naturalnie predysponowaną do spełnienia tej roli wydawali się żołnierze, którzy po przejściu w stan spoczynku pełnić mogli rolę swoistych strażników kresowych. Dwie ustawy dotyczące osadnictwa wojskowego przyjęte zostały jednogłośnie przez Sejm 17 grudnia 1920 r.¹ Pierwsza z nich dotyczyła przejścia na własność państwa ziemi, która do tej pory stanowiła:

1/ dobra skarbu rosyjskiego, państwowe, apanażowe i gabinetowe oraz dobra byłego Banku Włościańskiego, 2/ dobra skarbowe, nadane przez władze rosyjskie pod nazwą majoratów, 3/ dobra, należące do członków byłej dynastii rosyjskiej, 4/ dobra duchowne i klasztorne, będące w posiadaniu Kościoła katolickiego po porozumieniu ze Stolicą Apostolską, a co do innych dóbr – po porozumieniu z przedstawicielami właściwych wyznań (...)².

1. Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Zespół: Ministerstwo Spraw Zagranicznych (dalej: MSZ), sygn. 18474, k. 84.

2. J. Stobniak-Smogorzewska, „Kresowe osadnictwo wojskowe 1920-1945”,

Natomiast druga ustawa z utworzonego w ten sposób zasobu zapowiadała nadanie ziemi żołnierzom. Prawo darmowego otrzymania nadziałów posiadali inwalidzi wojenni oraz żołnierze-ochotnicy, którzy odbyli służbę frontową i wyróżnili się w walce. Pozostali inwalidzi i żołnierze mieli otrzymać działki w następnej kolejności, jeżeli pozwoliłyby na to zapasy zgromadzonej ziemi, za odpłatnością ustaloną w wysokości 30-100 kg żyta za 1 ha rocznie, a okres spłaty rozłożony został na 30 lat³. Obok zadośćuczynienia obrońcom ojczyzny (przyszłe nadanie ziemi żołnierzom zapowiadała ogłoszona 3 sierpnia 1920 roku odezwa Rady Obrony Państwa) planowano też zagospodarować obszary opuszczone z wyniku ewakuacji zarządzanej w 1915 roku przez władze carskie⁴. Pragnąc zniwelować do minimum ewentualne konflikty wynikające z nadania działek, ustawodawca gwarantował właścicielom powracającym do Rzeczypospolitej po 1 kwietnia 1921 roku zwrot ich własności pod warunkiem, iż nie zostały one wcześniej nadane osadnikom⁵. Również do zmniejszenia napięć pomiędzy miejscową ludnością a nowo przybyłymi żołnierzami zmierzała instrukcja wydana przez powstałą przy Gabinetnie Ministra Spraw Wojskowych Sekcję Osad Żołnierskich, zalecającą przeprowadzenie całej akcji bez zbytecznego nagłaśniania w terenie⁶.

Pierwsze grupy żołnierzy już wiosną 1921 roku udały się na kresy. Zorganizowane zostały w tzw. kolumny robocze, na czele których stał zazwyczaj oficer. Najczęściej taka grupa składała się z byłych żołnierzy jednej formacji (batalion, pułk). Macierzysty oddział w pierwszym okresie zagospodarowywania się pomagał osadnikom – najpowszechniejszym

Warszawa 2003, s. 28, 61. Postanowieniami ustawy z 17 grudnia 1920 roku nie została objęta Litwa Środkowa, gdzie moc obowiązywania miały dekrety gen. L. Żeligowskiego. Żołnierze wojsk Litwy Środkowej mogli nabywać ziemię za opłatą.

3. *Ibidem*, s. 29.

4. AAN, MSZ, sygn. 18474, k. 84. „Informator powszechny Rzeczypospolitej Polskiej z kalendarzem Policji Państwowej na rok 1922”, Warszawa 1921, s. 261.

5. J. Stobniak-Smogorzewska, *op.cit.*, s. 28.

6. *Ibidem*, s. 36.

rodzajem wsparcia było przydzielanie koni z demobilu⁷.

Rozmieszczenie osadników wojskowych na Kresach Wschodnich odbywało się bez wcześniej ustalonego całościowego planu. Chcąc nadać akcji osadniczej charakter przedsięwzięcia zabezpieczającego polskie interesy państwowe, władze wojskowe już w trakcie trwania przydzielania działek przygotowały kwestionariusz pytań, który miał pomóc w wytypowaniu najdogodniejszych obszarów osadniczych. Pytania dotyczące zagadnień narodowościowych brzmiały następująco:

(...) A) izolować osadników od ludności miejscowej czy odwrotnie, B) kadry osadników uzupełniać wedle dzielnic Polski i nie mieszać pomiędzy sobą osadników z różnych ziem polskich pochodzących – czy też postępować odwrotnie, C) skupiać osadników w wyspy polskie czy też rozpraszać osadników według pewnych planów pomiędzy ludność miejscową, D) od początku akcji rozdzielać osadników równomiernie po wszystkich punktach ważnych i następnie zasilać ich nowym przyływem, czy też obsadzać w miarę postępu kolonizacji kolejno punkta stosownie do ich ważności, E) w doborze osadników kierować się więcej ich fachowym przygotowaniem rolniczym czy też ich uświadomieniem narodowościowym i państwowym, F) wiązać osadników z miastem, jako siedzibą polskiej inteligencji i urzędników czy też traktować osadników zupełnie odrębnie⁸.

Zasadnicza część tych postulatów nie została nigdy wzięta pod uwagę, a sama akcja kolonizacyjna w znacznie większym stopniu uwzględniała specyfikę wojskową niż cywilną całego przedsięwzięcia (jednostki wojskowe otrzymywały nadziały ziemi, które przydzielane były kolumnom roboczym, a dopiero w następnej kolejności poszczególnym żołnierzom)⁹.

Kolektywny charakter przedsięwzięcia, w mniejszym stopniu sprzyjający skutecznej uprawie roli, wydawał się być bardziej adekwatny do drugiego zadania, jakie stało przed

7. „Stosunki narodowościowe w województwie nowogródzkim z uwzględnieniem tła socjologicznego”, opracował Józef Zaremba, Instytut Badań Spraw Narodowościowych, Warszawa 1939, s. 24-25.

8. Centralne Archiwum Wojskowe (dalej: CAW), sygn. 300.1.648, k. 378.

9. „Informator powszechny Rzeczypospolitej Polskiej z kalendarzem Policji Państwowej na rok 1922”, Warszawa 1921, s. 262.

osadnikami wojskowymi – ochrony polskich kresów. Posiadanie broni w pierwszym okresie zagospodarowywania się było jednym z gwarantów zapewniającym skuteczną obronę. Jednak wraz z wyjściem spod opieki wojska (co oznaczało m.in. odebranie broni), przed administracją państwową stanął problem dalszego skutecznego wykorzystywania osadników jako siły mogącej się przeciwstawić komunistycznej akcji dywersyjnej¹⁰. W pierwszej połowie lat dwudziestych obrona przez atakami oddziałów partyzanckich próbujących destabilizować Kresy Wschodnie miała zasadnicze znaczenie dla całego funkcjonowania obszarów północno-wschodnich Rzeczypospolitej.

Pomysł powołania paramilitarnego związku osadników wojskowych przedłożył w piśmie z 22 lipca 1922 roku Szefowi Sztabu Generalnego jego zastępca płk Piskor. Twierdził on, iż powstanie tego typu organizacji przyniesie zarówno korzyści natury wojskowej, jak i politycznej. Do wojskowych zaliczał posiadanie na terenie ewentualnych przyszłych działań zbrojnych dobrze wyszkolonych i znających teren żołnierzy oraz podniesienie morale i bitności żołnierza poprzez to, iż będzie on bezpośrednio zainteresowany obroną własnego domu, natomiast przy celach politycznych wymieniał: zapobieganie procesowi wynaradawiania się osadników, rozbudzanie wśród miejscowej ludności uczuć patriotycznych i nastawienia pro-polskiego oraz utrudnianie szpiegostwa i agitacji komunistycznej. Pod względem bieżącego bezpieczeństwa wewnętrznego autor opracowania twierdził, iż organizacja paramilitarna ułatwi samoobronę mieszkańców i przyczyni się do ukrócenia działalności bandyckiej oraz generalnie będzie działała w kierunku poskramiania wszelkich wystąpień antypaństwowych. Proponował także, aby kolejne oddziały nowo powoływanej organizacji tworzone były stopniowo w poszczególnych rejonach. Chciano dzięki temu przywrócić się reakcji miejscowej społeczności na fakt powstania tego typu grup paramilitarnych i skuteczniej kontrolować poczynania samych członków. I to

10. CAW, sygn. 300.1.648, k. 49. W projekcie przedłożonym Ministerstwu Spraw Wojskowych postulowano zorganizowanie oddziałów osadniczych na wzór paramilitarny i uzbrojenie ich w broń z demobilu.

najprawdopodobniej ostatnie zastrzeżenie autora projektu za-
ważyło na fakcie niepowołania wojskowej organizacji osadni-
ków¹¹. Co prawda, do pomysłu stworzenia paramilitarnych
oddziałów z osadników-żołnierzy wracano niejednokrotnie w
późniejszym okresie, widząc w tym jeden ze sposobów walki
z nękającymi kresy napadami oddziałów dywersyjnych, m. in.
z takim pomysłem wystąpił pod koniec 1924 roku kierownik
Oddziału Bezpieczeństwa Publicznego Województwa Nowo-
gródzkiego – Downar Zapolski¹². Władze administracyjne nie
zdecydowały się jednak na tego typu posunięcie obawiając się
zbyt dużego ryzyka, wynikającego z masowego posiadania
broni przez osadników. Mogło to bowiem prowadzić zamiast
do uspokojenia sytuacji, do zwiększenia destabilizacji¹³.

Już od samego początku realizacji idea osadnictwa wojs-
kowego spotkała się z silną falą krytyki¹⁴. Zarzucano po-
mysłodawcom, iż nie licząc się ze współczesnymi realiami
polityczno-społecznymi wywołują nowe pole konfliktu. Lud-
ność miejscowa witała przybyszów z wyraźną niechęcią, na
którą nakładały się zarówno względy ekonomiczne, jak i po-
lityczne. Miejscowi mieli poczucie krzywdy, uważali, że zie-
mia opuszczona w wyniku działań wojennych im winna
przypaść w pierwszej kolejności¹⁵. Oprócz tego tracili serwi-
tuty i inne świadczenia związane z majątkami, które przypad-
ły do podziału osadnikom. Obok społeczności chłopskiej,
także ziemiaństwo polskie poczuło się zagrożone obecnością

11. *Ibidem*, sygn. 300.1.651. J. Stobniak-Smogorzewska, *op.cit.*, s. 172.
Powołany w marcu 1922 roku na zjeździe w Warszawie Centralny Związek
Osadników Wojskowych w pracy swej skupił się przede wszystkim na
rozwiązywaniu zagadnień o charakterze gospodarczym i kulturalnym. Nie
bez znaczenia w wyborze tej koncepcji miał fakt poparcia jej przez
ówczesnego ministra spraw wojskowych gen. Sosnkowskiego.

12. AAN, Zespół: Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (dalej: MSW),
sygn. 20172, k. 22.

13. CAW, sygn. 300.1.651.

14. AAN, MSZ, sygn. 18474, k. 83-86. Posłowie białoruscy w 1930
roku złożyli skargę na rząd polski do Ligi Narodów w Genewie, w której
krytykowali zaborcą politykę Polski związaną z prowadzoną wojskową
akcją osadniczą na północno-wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej.

15. Biblioteka Narodowa (dalej: BN), Dział Rękopisów (dalej: DR),
Zygmunt Domański, „Wspomnienia z lat 1892 – ok. 1950”, sygn. akc.
9215-9126, k. 330.

nowych osadników, tym bardziej, że zachodziła obawa, iż część ziemi na ten cel pochodzić może z majątków prywatnych, co na kresach oznaczało majątki polskie.

Również administracja polska niechętnie odnosiła się do przybyszów, widząc w nich częściej nowe problemy niż wsparcie dla własnej polityki narodowościowej¹⁶. Choć zdarzały się i inne przypadki, kiedy to lokalni urzędnicy faworyzowali osadników kosztem miejscowych obywateli, wywołując kolejny pretekst konfliktu¹⁷. Mit o rycerskości i obronie kresów polskich najczęściej nie wytrzymał zderzenia z codziennymi problemami (brakiem budynków mieszkalnych, narzędzi, nieprzygotowaniem części przybyszów do pracy na roli czy konfliktami w gronie samych osadników)¹⁸. Część obdarowanych ziemią swoją działalnością zaprzeczała samej idei osadniczej. Zygmunt Domański w swoich wspomnieniach przytacza przykład żołnierza, który po otrzymaniu 12 ha nadziału wydzierzawił po 1 ha ziemi poszczególnym chłopom z pobliskiej wsi, za co ci mieli go gościć każdy przez jeden miesiąc w roku¹⁹. Na Polesiu natomiast do 31 grudnia 1924 roku na 1323 osadników, którzy otrzymali ziemię, nie zaczęło jej jeszcze uprawiać 131²⁰.

Mimo początkowych trudności, współzycie obu społeczności układało się wraz z upływem czasu coraz lepiej. Zarzucano nawet byłym żołnierzom, że zbyt łatwo wsiąkają w miejscową społeczność białoruską, co niejednokrotnie prowadziło do utraty świadomości polskiej²¹. Tam, gdzie stosunki układały się poprawnie, Białorusini nierzadko wybierali na

16. AAN, Zespół: Urząd Wojewódzki w Wilnie (dalej: UWW), sygn. 7, k. 3 v. Państwowe Archiwum Obwodu Brzeskiego w Brześciu (dalej: PAOB), sygn. F. 1, o. 10, d. 1721, k. 8.

17. PAOB, sygn. F. 2003, o. 2, d. 401, k. 6-6v. BN, DR, A. Brochocki, „Na przełomie dwóch epok. Zapiski obszarńika”, sygn. akc. 10313, s. 335. Autor wspomnień twierdzi, iż w jego przekonaniu „(...) polityka kresowa polegała na dzieleniu wpływów ziemian i osadników wojskowych, popierając w niektórych powiatach jednych, a w innych drugich. Wynikało z tego współzawodnictwo pomiędzy tymi powiatami, a wojewoda w myśl odwiecznej zasady *divide et impera*, przychylił się do jednej, lub drugiej strony”.

18. CAW, sygn. 300.1.648, k. 328.

19. BN, DR, Z. Domański, „Wspomnienia z lat 1892 – ok. 1950”, *op.cit.*

20. PAOB, sygn. F. 1, o. 2, d. 2390, k. 1.

wójta osadnika, twierdząc, iż on jako Polak łatwiej zdoła porozumieć się z władzami²².

Przejęta na mocy ustawy z 17 grudnia 1920 roku ziemia w znacznie większej ilości pochodziła z zasobów prywatnych niż państwowych (byłe dobra skarbu rosyjskiego). Do 1929 roku w województwach wileńskim, nowogródzkim i poleskim przejęto na własność państwa polskiego 230 240 ha, z czego 168 830 ha należało poprzednio do majątków prywatnych. Z 230 240 ha na potrzeby związane z osadnictwem wojskowym przeznaczono 91 715 ha (pozostała część przypadła w udziale osadnikom cywilnym i miejscowej ludności). Łącznie w latach 1921-1929 na obszarze trzech województw północno-wschodnich zamieszkało 4538 rodzin osadników wojskowych²³. Nie była to liczba mogąca w jakikolwiek sposób wpłynąć na zmianę struktury ludności na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej. Była jednak liczbą wystarczającą, aby wzbudzić negatywne emocje wśród miejscowej ludności, dla której nie tyle była rzeczywistą konkurencją ekonomiczną, co raczej symbolem polskiej polityki na Wschodzie. Tak też była wykorzystywana w działalności propagandowo-ideologicznej przeróżnych ugrupowań mniejszościowych.

Akcja przejmowania nowych obszarów ziemskich na poczet ustawy o osadnictwie wojskowym została wstrzymana uchwałą sejmu z 24 marca 1923 roku. Za tą decyzją byli posłowie PSL „Wyzwolenie”, PPS, Związku Ludowo-Narodowego i ugrupowań reprezentujących mniejszości narodowe. Posłowie ze stronnictw polskich uważali, iż należy zaprzestać przejmowania nowej ziemi i skupić się na wzmocnieniu dotychczasowych gospodarstw osadniczych. Nie bez znaczenia był też fakt niezgodności prawnej przepisów z 17 grudnia 1920 roku z ustawą o wykonaniu reformy rolnej z 15 lipca 1920 roku. Wszystkie te argumenty przyczyniły się do tego, że akcja osadnictwa wojskowego jako samoistne przedsięwzięcie została zakończona postanowieniami ustawy o wykonaniu reformy rolnej z 28 grudnia 1925 roku. Od tej pory

21. Archiwum Państwowe w Białymstoku, Zespół: Urząd Wojewódzki w Białymstoku, sygn. 19, k. 5.

22. AAN, UWW, sygn. 7, k. 5.

23. AAN, MSZ, sygn. 18474, k. 84-86.

byli żołnierze mogli się ubiegać o nadziały ziemi zgodnie z ogólnymi zasadami obowiązującej reformy rolnej – znaleźli się w drugiej grupie uprzywilejowanej po dzierzawcach parcelowanych majątków²⁴.

Równoległe z kolonizacją wojskową na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej prowadzona była akcja osadnictwa cywilnego. Nie miała ona jednak tak zorganizowanej formy jak wojskowa i w większym stopniu przypominała samorządną akcję kolonizacyjną. Na dzień 1 stycznia 1933 r. w województwie nowogródzkim powstało 612 gospodarstw cywilnych, podczas gdy działek osadników wojskowych było 1762²⁵.

Krytyka spotykająca akcję osadnictwa wojskowego ze strony różnych ugrupowań i środowisk polskich nie negowała samej potrzeby kolonizacji ziem wschodnich. Zwracano przede wszystkim uwagę na popełnione błędy.

Osadnictwo polskie – czytamy w pracy Joachima Bartoszewicza „Znaczenie polityczne Kresów Wschodnich dla Polski” – na ziemiach wschodnich jest niewątpliwie koniecznością narodową i państwową. Ale formy i sposoby jego urzeczywistnienia muszą być inne niż dotychczasowe. Trzeba żeby ludność osiadała na kresach bez wywoływania niepotrzebnego rozgorzyczenia wśród ludności miejscowej²⁶.

Podkreślano niedostateczną selekcję osadników wojskowych i brak odpowiedniej opieki materialnej²⁷.

Władysław Studnicki w wydanej w Warszawie broszurze „W sprawie osadnictwa żołnierskiego na ziemiach wschodnich” wytykał słabości prowadzonej akcji: brak dostatecznej koordynacji, zaniechanie prowadzenia kolonizacji w miastach kresowych, a przede wszystkim brak należytego wsparcia finansowego ze strony państwa²⁸.

Rodzące się praktycznie równoległe z prowadzoną akcją

24. J. Stobniak-Smogorzewska, *op.cit.*, s. 85-93.

25. „Stosunki narodowościowe...”, s. 28.

26. J. Bartoszewicz, „Znaczenie polityczne Kresów Wschodnich dla Polski”, Warszawa 1924, s. 31-32.

27. S. Srokowski, „Uwagi o Kresach Wschodnich”, Kraków 1925, s. 12.

28. W. Studnicki, „W sprawie osadnictwa żołnierskiego na ziemiach wschodnich”, Warszawa brw.

osadniczą nowe pomysły na kolonizację ziem wschodnich nierzadko z samego założenia były mało realne. Proponowano m.in. skierowanie reemigracji ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec na kresy czy przesiedlanie rolników z Wielkopolski²⁹. Zgłaszając tego typu postulaty praktycznie nie liczone się z rzeczywistością mówiącą, iż przyzwyczajeni do określonych standardów życia, byli emigranci czy osadnicy z lepiej rozwiniętych rejonów kraju, niechętnie chcieliby przenosić się w surowe warunki kresowe³⁰. Kresy w II Rzeczypospolitej znacznie częściej stanowiły synonim nędzy niż „eldorado”.

Obok publicystów również administracja państwowa prowadziła prace nad modyfikacją dotychczasowego (głównie wojskowego) charakteru kolonizacji ziem wschodnich. Na posiedzeniu Komitetu Politycznego Rady Ministrów w lutym 1923 roku potwierdzano, iż odbudowa i zasiedlanie ziem wschodnich jest przedmiotem poważnych studiów rządu, oraz zapowiadano w najbliższym czasie przedstawienie stosownych wniosków³¹. Jednak już z dotychczasowego toku prac wynikało, że rząd odstępuje od planów jednoczesnej kolonizacji całych kresów i wyraźnie skłania się w stronę koncepcji większego wsparcia inicjatyw podejmowanych na jednym obszarze – Polesiu, gdzie można było

(...) przez odpowiednie poparcie odnośnych instytucji gospodarczych, odbudowy itp. zyskać zaufanie miejscowej narodowo nieuświadomionej ludności i tą drogą uzyskać na Polesiu specjalne oparcie dla polskiej polityki państwowej na Kresach. Słabe zaludnienie tego kraju oraz możliwość uzyskania dalszych obszarów na cele kolonizacyjne stwarzają tamże dla idei wzmocnienia elementu korzystne horoskopy. W ten sposób Polesie wzmocnione elementem czysto polskim odegrać powinno rolę klina rozdzielającego ruch białoruski od ukraińskiego³².

Powyższą koncepcję zarysowaną na posiedzeniu Kom-

29. W. Studnicki, „Kolonizacja i rozwój gospodarczy naszego wschodu”, Warszawa 1921, s. 6-23.

30. Archiwum Polskiej Akademii Nauk, Materiały Ludwika Eckerta, sygn. 71, k. 19.

31. AAN, Zespół: Protokoły Komitetu Politycznego Rady Ministrów za lata 1921-1923, k. 177.

32. *Ibidem*, k. 175.

tetu Politycznego Rady Ministrów rozwijał wojewoda poleski Stanisław Downarowicz w przesłanym 28 lutego 1923 roku do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych „Zarysie programu zadań i prac państwowych na Polesiu”. Obok szeregu działań takich jak: oświata, religia, rozwój gospodarczy, wojewoda opisywał też akcję osadniczą jako ważny element w planach zabezpieczenia przynależności kresów do Polski. Pragnąc stworzyć z Polesia bufor odcinający od siebie żywioły na północy białoruski, a na południu ukraiński, postulował odbudowę i rozbudowę miast poleskich oraz ich stopniową polonizację. Należało w pierwszej kolejności stworzyć odpowiednie warunki egzystencji przybywającym urzędnikom, aby ci przestali traktować pracę na kresach jak zesłanie i chcieli z nią związać swoją przyszłość. Zapoczątkować to winno osadnictwo miejskie na wzór dotychczasowego wiejskiego osadnictwa wojskowego i cywilnego,

(...) które jak dotąd – czytamy w dokumencie przygotowanym przez wojewodę poleskiego – znacznie więcej wywołało złej krwi u miejscowej ludności i narzekań na Polskę, niż oddziaływało na charakter wsi polskiej. Nie setki i nie tysiące osadników, których mało znać na obszarach Polesia, ale dziesiątki, setki tysięcy kolonistów mogą dopiero ten charakter zmienić. (...) Na razie trzeba kolonizować i polonizować miasta, które są również ośrodkami życia wsi i przemożny na kulturę wsi wpływ wywierają. Prowadząc osadnictwo miejskie, wypierać będziemy żyda, a nie wejdziemy w żaden konflikt z miejscowym chłopem³³.

Pomysły sfer rządowych znalazły też odbicie w licznych publikacjach. Od drugiej połowy lat dwudziestych ukazało się szereg artykułów i broszur w różny sposób propagujących walory Polesia³⁴. Żaden z rejonów północno-wschodnich II Rzeczypospolitej nie budził tak wielkiego zainteresowania w kwestii ewentualnego wykorzystania kolonizacyjnego. Słabe zaludnienie, niezdeklarowana narodowościowo znaczna część Poleszuków oraz olbrzymie tereny wymagające osuszenia

33. AAN, MSW, sygn. 938.

34. W. Mondalski, „Polesie. Zarys wiadomości ogólnych”, Brześć 1927; S. Dworakowski, „Rubież polesko-wołyńska”, Warszawa 1938; J. Obrębski, „Problem etniczny Polesia”, Warszawa 1936.

stanowiły podstawowe atuty tego obszaru. W publikacjach nie szczędzono śmiałych porównań, obiecywano stworzenie z Polesia drugiej Holandii³⁵.

Uczynienie z bagien poleskich obszaru przydatnego pod przyszłą kolonizację wymagało olbrzymich nakładów finansowych. Brak tychże środków był głównym powodem wstrzymującym prace melioracyjne. Co prawda pojawiały się od czasu do czasu pomysły śmiało przedstawiające „łatwe” sposoby pozyskania środków, ale najczęściej były one mało realne. Na przykład Zygmunt Czerwijowski w swojej publikacji „Kolonizacja ziem wschodnich” proponował sumy wydawane przez obywateli na emigrację zagraniczną przeznaczyć na osadnictwo kresowe. Według przedstawionych przez niego obliczeń przetransportowanie pięcioosobowej rodziny do Kanady kosztowało tyle co melioracja 9 ha ziemi na wschodzie Polski³⁶. Autor opracowania epatując cyframi na dalszy plan spychał wyjaśnienie faktycznych potrzeb i dążeń samych emigrantów. Zdawał się zapominać, iż głównym motorem popychającym do wyjazdu była wiara w lepsze warunki na nowym miejscu, o które na ziemiach kresowych kojarzonych raczej z biedą niż bogactwem było trudno. Takie podejście do problemu charakteryzowało większość ówczesnych wydawnictw. Kolonizację kresów traktowano jako narzędzie realizacji polityki państwa w minimalnym stopniu licząc się z faktycznymi potrzebami przesiedlanej ludności.

Mimo licznych publikacji dotyczących osadnictwa polskiego na Kresach Wschodnich, lata wielkiego kryzysu ekonomicznego nie sprzyjały aktywnej polityce państwa w tym zakresie. Problem ten nie przestał być aktualny, ale w zderzeniu z niemocą ekonomiczną organów państwowych stracił na wyrazistości. Z większą energią przystąpiono do niego dopiero po 1935 roku³⁷. Śmierć Piłsudskiego, zmiany

35. T. Tillinger, „Polesie – jako teren kolonizacyjny”, *Polska Wschodnia*, 1930, nr 2.

36. Z. Czerwijowski, „Kolonizacja ziem wschodnich”, Warszawa 1929, s. 12.

37. Projekty zmian struktury ludności na obszarze województw północno-wschodnich II Rzeczypospolitej w drugiej połowie lat 30 przedstawilem w artykule zamieszczonym w zbiorze „Repatriacje i migracje ludności

w bloku sanacyjnym, rozwój mocarstwowej wizji państwa oraz dominacja w polityce międzynarodowej systemów totalitarnych (faszyzm, komunizm), skłaniały władze polskie do ponownego rozpatrzenia pomysłów osadniczych.

Wzrost liczby ludności niepolskiej widoczny przy porównaniu danych spisu powszechnego z 1921 i z 1931 roku, choć w znacznym stopniu wynikał z różnych metod zastosowanych przy ich sporządzaniu, budził wielkie obawy wśród rządzących. Spadek w „polskiej grupie etnicznej” interpretowany był (po części słusznie) jako wzrost poczucia narodowego wśród mniejszości zamieszkującej kresy³⁸. W celu poprawy zaistniałej sytuacji rząd powołał do życia dwie nowe komórki państwowe: Komisję Naukowych Badań Ziem Wschodnich i Komitet do Spraw Ziem Wschodnich. Pierwsza instytucja miała za zadanie naukowe zbadanie ogólnych zagadnień dotyczących ziem wschodnich, zaś na podstawie tych wyników komórka druga miała opracować stały i jednolity plan działania. Jednym z zasadniczych problemów miała być kolonizacja, co przy dużym przyroście naturalnym w centralnej Polsce i słabym zaludnieniu ziem wschodnich stwarzało duże możliwości. W opracowaniu przygotowanym przez Departament Polityczny MSW z 1935 roku, w dalszym ciągu w pierwszej kolejności na ten cel wyznaczone zostały obszary Polesia, gdzie nie rozbudzając niepotrzebnych konfliktów narodowościowych można było osuszyć bagna. Autorzy raportu propagując ten kierunek kolonizacji odrzucali, ich zdaniem nieuzasadnione, obawy części wojskowych mówiące, że osuszenie bagien poleskich może wpłynąć ujemnie na przyszłą organizację obrony kraju. Argumentowano, iż

Projekt Biura Melioracji Polesia przewiduje, że bagna poleskie zostaną pocięte kanałami biegnącymi równoległe do granicy co 2,5 km. System ten pozwala przewidzieć dodatkowe

i pogranicza w XX wieku. Stan badań oraz źródła do dziejów pogranicza polsko-litewsko-białoruskiego”, (Białystok 2004). Tam też dołączyłem kopie map z pracy W. Ormickiego ilustrujące potencjalne obszary migracji ludności polskiej.

38. E. Mironowicz, „Plany integracji ziem wschodnich II Rzeczypospolitej w polityce obozu sanacyjnego (1935-1937)”, *Białoruskie Zeszyty Historyczne* 2002, nr 18, s. 121.

urządzenia, które w razie niebezpieczeństwa podnosiłyby stan wody w kanałach i w terenie, czyniąc Polesie nieprzybytem obszarem bagien i wody³⁹.

Ziemie wschodnie II Rzeczypospolitej raport dzielił na trzy części: 1) tereny z mniejszością białoruską, 2) tereny kolonizacyjne, 3) tereny z mniejszością ukraińską. Za tereny białoruskie w tym podziale uważano Wileńszczyznę oraz 2/3 obszaru północnego woj. nowogródzkiego, natomiast południe Nowogródziny, Polesie i północ wołyńskiego zaliczano do terenów kolonizacyjnych. Oznaczenie ziem północnych mianem białoruskich, a południowych ukraińskich nie oznaczało wyeliminowania ich z planów kolonizacyjnych, ale wymagało innego podejścia niż do ziem Polesia⁴⁰. W tym samym opracowaniu, w celu generalnego zwiększenia liczby ludności polskiej na kresach, Departament Polityczny MSW proponował zaprzestanie wypłacania rent i emerytur osobom, które nie przeniosą się z centralnej Polski na kresy. Ustawa ta – w zamyśle pomysłodawców – zmuszając do przesiedlenia się ponad dwustu tysięcy emerytów z jednej strony ożywiłaby życie kulturalne ziem wschodnich a z drugiej zmniejszyłaby przeludnienie w centralnych i zachodnich województwach państwa. Autorzy raportu wyliczali, iż pobierający świadczenia otrzymują je tylko w niewielkim stopniu ze składek ubezpieczonych (2 440 000), natomiast bez porównania więcej dokładał do nich budżet państwa [20 740 000 rok 1930/31 – WS]. Dlatego też – argumentowali twórcy opracowania – państwo może

(...) żądać i pewnych ofiar od emerytów, przyczem przesiedlenie emerytów na ziemie wschodnie nie można uważać za ofiarę, gdyż życie tam jest tańsze, zdrowsze niż w przemysłowych centrach kraju, a sam fakt pewnej misji, którą zostaną obciążeni emeryci, powinien im być nie przykrością, lecz swojego rodzaju zaszczytem⁴¹.

Proponowanie tak radykalnych rozwiązań z jednej strony

39. AAN, MSW, sygn. 946, k. 8.

40. *Ibidem*, sygn. 946, k. 9.

41. *Ibidem*, sygn. 946, k. 25.

świadczyło o determinacji rządzących, a z drugiej – co jest bardziej prawdopodobne – o braku jednego przemyślanego i skoordynowanego planu działania⁴².

Charakter propozycji miały też zgłoszone w piśmie skierowanym 22 października 1936 roku do Ministerstwa Spraw Wojskowych przez gen. bryg. Januszkiewicza (dowódcę Okręgu Korpusu nr IX) uwagi o zahamowaniu ubytku elementu rdzennie polskiego na kresach północno-wschodnich. Jako tereny najbardziej zagrożone ekspansją żywiołu niepolskiego wymieniał powiaty nowogródzki, baranowicki i stonimski. Postulował on również przesiedlenie ludności polskiej, argumentując następująco:

Racja stanu Państwa i zadania stąd płynące ciężą przede wszystkim (na wypadek starcia z Rosją) na Kresach Wschodnich, które w pierwszym rzędzie muszą „moralnie” wytrzymać pierwsze uderzenie wroga. To pierwsze powodzenie lub niepowodzenie będzie zasadniczą podwaliną nastroju i ducha całości Narodu w przyszłej nieuniknionej wojnie z Rosją⁴³.

Wzrost siły państwa widział on przede wszystkim w kolonizacji, w przypadku której:

jako zasadę przyjąć należałoby kolonizowanie rodzinami, a nie jednostkami. Rodzina dla wieśniaka jest źródłem niezbędnych i bezpłatnych rąk roboczych, a w dodatku sprzyja zachowaniu polskości w obcym środowisku. Skądinąd doświadczenie z tak zwanych „działek” powojennych mówi dobitnie na jakie przeciwności narażony był samotny osadnik – kawaler. Znane są wypadki wynaradawiania się osadników w wyniku zawarcia małżeństw z miejscowymi kobietami. Jednym słowem przy racjonalnym podejściu do sprawy zagon zaorany polską ręką pod Stołpcami złączy społeczeństwo z Kresami Wschodnimi znacznie mocniej niż „gadana” propaganda do Białorusa lub Poleszuka, który i tak samorzutnie da się porwać wpływom sąsiada – Polaka zza miedzy⁴⁴.

Wszystkie zgłaszane propozycje podkreślając pilną potrzebę kolonizacji, stanowić mogły jedynie preludium do

42. E. Mironowicz, *op.cit.*, s. 121.

43. CAW, I 302.4.120, k. 21.

44. *Ibidem*.

przygotowania całościowego planu zmiany struktury ludnościowej na Kresach Wschodnich. Kompleksowe opracowanie zatytułowane „Perspektywy osadnictwa wewnętrznego” przygotowane zostało w grudniu 1937 roku przez dr. Wiktora Ormickiego. Raport Instytutu Badań Spraw Narodowościowych skierowany był do najwyższych władz w państwie odpowiedzialnych za politykę wschodnią. Jeden z egzemplarzy trafił m.in. do Rydza-Śmigłego⁴⁵.

Wiktor Ormicki przy sporządzaniu raportu oparł się na wynikach spisu powszechnego z 1931 roku, a za ludność polską uznał osoby deklarujące wyznanie rzymskokatolickie i posługujące się językiem polskim. Eliminując w ten sposób znaczną rzeszę osób innego wyznania uznających się za Polaków, tak argumentował swój wybór:

określenie liczebności żywiołu polskiego w myśl wyłuszczonej przesłanek zaleca się: 1) jasnością kryteriów ułatwiających kontrolę i śledzenie dynamiki zjawiska na przyszłość oraz 2) ostrożnością, redukującą do minimum możliwości przecenienia sił polskich⁴⁶.

Głównym zadaniem autora było sprecyzowanie tzw. „stabilizowanej przewagi żywiołu polskiego”, która gwarantowałaby bezpieczeństwo państwowe. Dążenie do wzmocnienia siły ludności polskiej na obszarach zamieszkałych w przeważającej części przez mniejszości winno nie tylko zmierzać do osiągnięcia równowagi liczebnej, ale osiągnąć przewagę w wysokości 6,2% jako zapewniającą utrzymanie pozycji dominującej przez okres kolejnych dwóch do trzech pokoleń. W myśl tych zasad obszary o przewadze ludności polskiej powyżej 56% autor uznał za stabilne, natomiast obszary poniżej 43,8% za niestabilne wymagające reakcji państwa. Granica stabilizowanej większości żywiołu polskiego przecinała Rzeczypospolitą południkowo, pozostawiając trzy powiaty województwa białostockiego (grodzieński, bielski, wołkowycki) oraz dwa powiaty województwa lubelskiego (włodawski i hrubieszowski) po stronie niestabilizowanej. Na terenie

45. *Ibidem*, sygn. 302.4.120.

46. AAN, MSW, sygn. 955, k. 4.

województw wschodnich zlokalizowana była jedna wyspa stabilizowanej przewagi żywiołu polskiego obejmująca powiaty: wileńsko-trocki, oszmiański i lidzki. Na ziemiach północno-wschodnich znajdowały się również obszary z niewielką przewagą elementu niepolskiego (powiaty święciański, postawski, wołczyński i szczuczynski).

Wiktor Ormicki proponował uzyskanie stabilizowanej większości żywiołu polskiego trzema sposobami: 1) imigracją elementu polskiego (ruch dośrodkowy w stosunku do obszaru osadniczego), 2) ewakuację żywiołu niepolskiego (ruch odśrodkowy w stosunku do obszaru osadniczego), 3) wymianą ludności według każdorazowo ustalonego klucza (ruch dwukierunkowy). Według ustaleń Ormickiego, pomógł mu w tym specjalnie skonstruowany celu wzór matematyczny: aby uzyskać stabilizowaną większość ludności polskiej na całych kresach, do województw wschodnich należało przesiedlić 6 milionów ludzi. Było to jednak z oczywistych względów niewykonalne, dlatego też Ormicki zaproponował rozpocząć proces zmiany struktury ludności od obszarów północno-wschodnich i przesiedlić tam 360 000 Polaków, co pozwoliłoby uzyskać stabilizowaną przewagę na łącznie 1/4 całego obszaru kresów. Nowo zakładane gospodarstwa winny być o 25% większe od istniejących w okolicy, co zapewniłoby większy dobrobyt, i co za tym idzie, większe zadowolenie przesiedlonych tam obywateli. Należało też stosować zabudowę zwartą, jako łatwiejszą do utrzymania więzi rodzinnych, narodowych, jak również wygodniejszą do organizacji całej infrastruktury społeczno-ekonomicznej (kościół, szkoła, dom kultury, spółdzielnia, itd.). Równoległe z osadnictwem wiejskim władze winny były prowadzić kolonizację miejską, gwarantującą zbyt wytwarzanym przez rolników towarom, jak i wiążącą (jako ośrodek kultury) całą okoliczną społeczność nastawioną propaństwowo⁴⁷.

Wszystkie zgłaszane od połowy lat dwudziestych plany osadnicze nigdy nie wyszły poza fazę projektów. Cechą wspólną tych rozwiązań było to, iż prawie całkowicie pomiąły koszty społeczne. Były to rozwiązania typowe dla dwu-

47. *Ibidem*, sygn. 955, k. 12-32.

dziestowiecznej „inżynierii społecznej”. Opracowując kolejne plany bagatelizowano fakt, że zwiększenie liczby ludności polskiej mogło stać się nowym polem konfliktu. Co prawda w dalszej perspektywie masowy napływ Polaków mógłby przyczynić się do szybszej polonizacji kresów, a co za tym idzie, także do wzrostu bezpieczeństwa państwowego, ale równie dobrze mógł podziałać jak katalizator przyczyniający się do wzrostu nastrojów narodowych i nacjonalistycznych. W prezentowanych pomysłach racja stanu, rozumiana jako interes narodowy, a następnie państwowy, stawiana była wyżej od potrzeb poszczególnych obywateli. Koszty społeczne całego przedsięwzięcia schodziły na plan dalszy. I choć co prawda w przypadku ludności polskiej planowano przedsięwziąć minimalne środki łagodzące trudy przenosin, to w stosunku do obywateli innych narodowości takich planów już nie czyniono.

Do realizacji, zarysowanych z wielkim rozmachem szczególnie w drugiej połowie lat trzydziestych, koncepcji jednak nie doszło, gdyż na przeszkodzie stanął zarówno brak możliwości technicznych, jak i stanowczości politycznej. Zdecydowanie się na tak radykalne kroki musiało wywołać oburzenie nie tylko krajowych środowisk opozycyjnych, ale również spowodować reakcję zachodnich sojuszników II Rzeczypospolitej, na co, w komplikującej się coraz bardziej sytuacji międzynarodowej końca lat trzydziestych, państwo polskie nie mogło sobie pozwolić.

Wojciech ŚLESZYŃSKI

Krzysztof BUCHOWSKI

TADEUSZ KATELBACH A LITWA

Niemal w całym okresie międzywojennym stosunki polsko-litewskie pozostawały napięte. Głównym przedmiotem sporu było Wilno. Litwa nie uznała inkorporacji Wileńszczyzny do Polski w 1922 roku. W geście protestu nie nawiązano z Polską stosunków dyplomatycznych, zamknięto granicę, zerwano łączność kolejową, pocztową i telefoniczną, wstrzymano cały ruch osobowy i towarowy. Litwa oficjalnie głosiła, iż znajduje się w stanie wojny z Polską, w kolejnych konstytucjach umieszczano zapis o Wilnie jako litewskiej stolicy czasowo tylko okupowanej przez Polskę. Konsekwentnie odmawiano nawiązania kontaktów dyplomatycznych z Polską do czasu, zanim ta nie uzna litewskich pretensji do Wilna. Taki stan rzeczy wywoływał irytację polskich władz, które uznawały litewskie pretensje za nieuzasadnione. Wielokrotnie, choć bezskutecznie, usiłowano nakłonić Kowno do zmiany stanowiska. Według Warszawy pełnej normalizacji miał przeszkadzać jedynie niezrozumiały i irracjonalny litewski upór.

Na forum międzynarodowym Litwa szukała poparcia dla kierunku swej polityki przede wszystkim w Niemczech oraz Związku Sowieckim. Zakładano przy tym trwałe charakter konfliktu między Polską a tymi państwami, co miało szachować Polskę i sprzyjać litewskim pretensjom odnośnie Wilna. W pierwszej połowie lat trzydziestych Litwa przeżyła

jednak cały szereg politycznych wstrząsów, które zachwiały jej dotychczasową pozycją międzynarodową, a także negatywnie wpłynęły na sytuację wewnętrzną. W 1932 roku Polska uregulowała stosunki z ZSSR, co zostało przyjęte w Kownie z dużym niezadowoleniem. Dodatkowo w latach 1932-1935 znacznie zaostrzyła się sytuacja w Kłajpedzie, co antagonizowało Kowno z Berlinem. Wreszcie w styczniu 1934 roku podpisano polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy, co wywołało w Litwie prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi. Kraj znalazł się w międzynarodowej izolacji, coraz poważniej rozważano zatem ewentualność zmiany dotychczasowego kursu.

Jeszcze przed 1934 rokiem, okresem kulminacyjnym dla opisanych tendencji, pojawiły się nieśmiałe głosy o konieczności szukania w Polsce oparcia przeciwko Niemcom. Litewskie władze, bojąc się potencjalnych skutków izolacji, zaczęły zdradzać oznaki chęci nawiązania dialogu z Polską. W Warszawie podjęto tę inicjatywę. W latach 1933-1935 przyjeżdżali do litewskiej stolicy nieoficjalni wysłannicy polskich władz: Władysław Mergel, Tadeusz Katelbach, Anatol Mühlstein, Leon Stachórski, a nawet były premier Aleksander Prystor. Również w Warszawie nieoficjalnie bawili wysłannicy Litwy, jak Włodzimierz Zubow, Kazimierz Narutowicz i Jurgis Šaulys.

Najpoważniejszą rolę na tym etapie stosunków polsko-litewskich odegrał niewątpliwie Tadeusz Katelbach, który pełnił swą misję najdłużej, od jesieni 1933 do stycznia 1937 roku, oficjalnie przebywając w Kownie jako korespondent *Gazety Polskiej*. Wybór właśnie jego osoby do tak odpowiedzialnego zadania nie był dziełem przypadku. Ze względu na działalność w latach 1919-1920 Katelbacha uznawano za specjalistę od spraw litewskich. Ponadto uznawano, że jako urodzony i wychowany w Warszawie, trzeźwo oceni stronę litewską i jest wolny od sentymentów wobec Litwy, o które nieraz podejrzewano osoby pochodzące z Wileńszczyzny. Doceniano także jego zaangażowanie jako animatora życia społeczno-politycznego polskiej mniejszości w Niemczech. Polski MSZ zakładał wykorzystanie Polonii litewskiej w planach skłonienia Kowna do normalizacji stosunków z Warsza-

wą. Katelbach otrzymał zadanie m.in. aktywizacji działalności litewskich Polaków w tym kierunku.

Tadeusz Katelbach był działaczem politycznym, żołnierzem, dziennikarzem i publicystą związanym z obozem piłsudczykowskim. Urodził się w 1897 roku. W okresie okupacji niemieckiej podczas pierwszej wojny światowej wstąpił do tajnego Związku Młodzieży Polskiej „ZET”, następnie związał się także z kręgami Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). W tym czasie studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim i był jednym z przywódców strajku studenckiego w 1917 roku. Działalność niepodległościowa pochłonęła go bez reszty. Jesienią 1918 roku uczestniczył w walkach polsko-ukraińskich o Lwów, wreszcie został żołnierzem 36. Pułku Piechoty (tzw. Legii Akademickiej). Wiosną 1919 roku w wyniku porozumienia zetowskiego Towarzystwa Straży Kresowej (TSK) z wywiadem wojskowym wysłano Katelbacha na ciągle jeszcze zajętą przez Niemców Suwalszczyznę „celem montowania tam akcji politycznej i wojskowo-dywersyjnej”¹.

Suwalszczyzna, czyli dawna rosyjska Gubernia Suwalska, stanowiła w Królestwie Kongresowym charakterystyczny „półwysep”, od północy i wschodu ograniczony nurtem Niemna². W północnych powiatach zdecydowanie przeważała ludność litewska. Polacy stanowili większość w powiatach południowych: augustowskim i suwalskim oraz w części sejneńskiego. Na przełomie XIX i XX wieku Suwalszczyzna stała się jednym z najważniejszych ośrodków litewskiego odrodzenia narodowego, którego rozwojowi towarzyszył narastający konflikt polsko-litewski. W okresie Wielkiej Wojny niemieccy okupanci początkowo nie zajmowali się specjalnie stosunkami polsko-litewskimi. Jednakże już wkrótce zaczęli działać w myśl zasady „dziel i rządź”. W 1917 roku zezwolili na utworzenie w Wilnie Litewskiej Rady Państwowej (Taryby), której od następnego roku stopniowo przekazywano część kompetencji administracji cywilnej. Działania te

1. T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, Gdańsk 2001, s. 92; por. S. Cenckiewicz, „Tadeusz Katelbach (1897-1977). Biografia polityczna”, [w:] *Dzieje Najnowsze* 2003, nr 1.

2. W skład guberni wchodziły następujące powiaty: augustowski, suwalski, sejneński, kalwaryjski, wyłkowyszkowski, mariampolski i władysławowski.

spotkały się z ostrym sprzeciwem polskiej ludności na Litwie, zwłaszcza iż Litwini zgłaszali pretensje między innymi do terenów z polską większością etniczną, przede wszystkim żądali włączenia całej Wileńszczyzny i Suwalszczyzny do przyszłego litewskiego państwa.

Jesienią 1918 roku, kiedy stało się jasne, że Niemcy ostatecznie przegrali Wielką Wojnę, prędzej czy później musieli wycofać się także z Suwalszczyzny, jednakże ze względów komunikacyjnych zatrzymali ją w swych rękach aż do sierpnia 1919 roku. W listopadzie 1918 roku nie chcąc zbyt szybkiego usamodzielnienia się Litwinów spod własnej kurateli, okupanci zgodzili się na powołanie Tymczasowej Rady Obywatelskiej Okręgu Suwalskiego (TROOS), czyli polskiej administracji cywilnej w powiatach augustowskim, suwalskim i sejneńskim. Jak określili sami członkowie TROOS, ich podstawowym zadaniem stało się „utrzymanie polskości i niedopuszczenie do litwinizacji tych ziem”³. Niemieckie władze do czasu tolerowały polskie aspiracje. Zezwoliły nawet na przeprowadzenie w powiatach Suwalszczyzny wyborów do polskiego Sejmu Ustawodawczego (16 lutego 1919 roku). Jednak wiosną 1919 roku Niemcy uznali dalsze wzmacnianie polskich aspiracji za niebezpieczne. W końcu marca 1919 roku oficjalnie poinformowano TROOS o przekazaniu władzy nad całą Suwalszczyzną litewskiej Radzie Państwowej – Tarybie (od początku roku działającej w Kownie). W początku maja do niemieckich wojsk w Sejnach i Suwałkach dołączyły świeżo sformowane oddziały litewskiej armii.

Strona polska nie zamierzała godzić się z utratą tej części byłego Królestwa Kongresowego. Na okupowanych terenach powstały struktury antyniemieckiej i antylitewskiej konspiracji, ściśle powiązane z centralą w Warszawie. W nawiązaniu do niedawnej tradycji całą inicjatywę nazwano POW. W takich okolicznościach Tadeusz Katelbach pod przybranym nazwiskiem Karola Müllera przybył do Suwałk. Jak wspomni-

3. Archiwum Państwowe w Suwałkach, Tymczasowa Rada Obywatelska Okręgu Suwalskiego (APS, TROOS), t. 4, k. 5, Okólnik TROOS do zarządów gminnych z grudnia 1918; por. Archiwum Akt Nowych, Towarzystwo Straży Kresowej (AAN, TSK), t. 311, Raport Polityczny TROOS z 29 marca 1919.

nał później: „Cały sztab roboty składał się z paru podporuczników i podchorążych – wszystko chłopaków między 20-tą i 23-cią wiosną życia”⁴. Wkrótce powstała siatka konspiracyjna obejmująca nie tylko polskie etnicznie powiaty Suwalszczyzny, ale rozbudowana także na terenie litewskim. Siatka stanowiła ważny punkt w całokształcie ówczesnej polskiej akcji wywiadowczej na Litwie, zmierzającej do zorganizowania pro-polskiego puczu w Kownie. Zadaniem Katelbacha było sporządzanie analiz politycznych i raportów oraz kierowanie propagandą. Zorganizował i redagował dziennik *Ziemia Suwalska*, na łamach którego podtrzymywano przekonanie polskiej ludności o rychłym połączeniu Suwalszczyzny z Polską. W jednym z raportów politycznych o stosunkach na Litwie, przeznaczonych dla centrali wywiadu wojskowego w Warszawie, dwudziestodwuletni Katelbach oceniał, iż Taryba „składa się z elementów skrajnie szowinistycznych, wrogich Polsce”. Zapewniał o słabości litewskich struktur państwowych zdominowanych przez karierowiczów i niemieckich agentów, nie mających oparcia w społeczeństwie. Według autora elaboratu, miejscowa ludność, „nie wyłączając Litwinów”, z niecierpliwością oczekuje ustanowienia polskiej władzy państwowej na Litwie⁵.

Spór o Suwalszczyznę trafił także pod obrady paryskiej Konferencji Pokojowej. I Litwa, i Polska usiłowały przekonać przedstawicieli Ententy o słuszności swoich postulatów zbierając podpisy oraz wysyłając delegacje mające zaświadczyć o litewskości lub polskości mieszkańców. Ostatecznie 18 lipca 1919 roku w Paryżu zadecydowano, że Niemcy mają jak najszybciej opuścić resztę okupowanych ziem, a tymczasowym rozgraniczeniem między Polską a Litwą będzie tzw. Linia Focha, która na odcinku suwalskim pozostawiała po polskiej stronie powiaty suwalski i augustowski oraz Sejny i cztery z ówczesnych czternastu gmin powiatu sejneńskiego.

Na miejscu w rzeczywistości obie strony konfliktu nie były zadowolone z takiego rozgraniczenia. Kością niezgody pozostawały przede wszystkim Sejny, zamieszkałe głównie

4. T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 92.

5. Tenże, „Mój pierwszy raport polityczny o Litwie”, [w:] *Tydzień Polski* 27 lipca 1968.

przez Polaków i Żydów, ale będące przecież jednym z głównych ośrodków litewskiego życia narodowego. W Kownie 17 sierpnia zorganizowano wiec, podczas którego zdecydowanie zaprotestowano przeciw niekorzystnej dla Litwy decyzji Ententy⁶. Latem 1919 roku Linia Focha jako przyszła granica polsko-litewska była jeszcze pojęciem abstrakcyjnym. Niemcy dopiero szykowali się do ewakuacji, a władza w praktyce spoczywała już w rękach Litwinów, którzy z tygodnia na tydzień ściągali na Suwalszczyznę nowe oddziały wojska.

Wobec niepewnej przyszłości sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, jak wspomina Katelbach, polska ludność „niecierpliwiała się mówiąc coraz głośniejsze o powstaniu”, chociaż Warszawa kategorycznie zakazywała takiej akcji⁷. W terenie sytuacja coraz bardziej wymykała się jednak spod kontroli. Litewskie władze, niechętnie przyjmowane przez miejscowych Polaków, nieudolnie próbowały spacyfikować nastroje wysyłając do gmin zarządzenie o poborze do litewskiego wojska. Część młodzieży zagrożonej poborem należała do POW. Młodzież ta była coraz bardziej wojowniczo nastawiona wobec Litwinów. Pod wpływem tych nastrojów dowódca miejscowych sił POW zarządził mobilizację i pełną gotowość bojową⁸.

Administracja litewska rozumiała, że w związku z ustaleniami międzynarodowymi nie uda się jej utrzymać całej południowej Suwalszczyzny. Ostatecznie jeszcze przed wycofaniem się Niemców Litwini opuścili Suwałki, natomiast w Sejnach manifestacyjnie wzmocnili swe siły wojskowe, dając do zrozumienia, iż mimo wszystko zamierzają zatrzymać w całości przynajmniej sejneński powiat. Jego terytorium uznawano za bezdyskusyjnie litewskie. Zresztą także Polacy kwestionowali przebieg Linii Focha. W okupowanych jeszcze przez Niemców Suwałkach 12 sierpnia 1919 roku z inicjatywy

6. Č. Laurinavičius, „Lietuvos-Sovietų Rusijos taikos sutartis”, Vilnius 1992, s. 31.

7. T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 94.

8. P. Łossowski, „Kwestia przynależności państwowej Sejneńszczyzny w latach 1918-1920”, [w:] „Materiały do dziejów Ziemi Sejneńskiej”, t. 1, Białystok 1963, s. 358; por. T.M.K. [T. Katelbach], „Z niedawnej rocznicy powstania sejneńskiego (23-25 VIII 1919)”, [w:] *Przełom* 1929, nr 26-27.

Katelbacha odbył się zjazd Polaków-delegatów z Suwalszczyzny. Ton nadawali delegaci przybyli z terenów oficjalnie przyznanych Litwie. Katelbach wygłosił zasadniczy referat polityczny, on również przygotował rezolucję, w której wezwano rząd w Warszawie do zajęcia nie tylko całej Suwalszczyzny, ale także reszty Litwy przez polskie wojska, gdyż – jak określono – tylko takie posunięcie „będzie mogło rozwiązać zawiły problem polsko-litewski”⁹.

Bez wyraźnej akceptacji centrali młode „gorące głowy” w suwalskiej POW podjęły decyzję o zorganizowaniu antylitewskiego powstania tuż po ewakuacji wojsk niemieckich z tego terenu. Zakładano opanowanie całego terytorium powiatu sejneńskiego, aby w ten sposób nie tylko zamanifestować wolę przyłączenia Sejneńszczyzny do Polski, ale przede wszystkim stworzyć fakty dokonane. Na zajęte w ten sposób tereny miało następnie wkroczyć polskie wojsko. Powstanie wybuchło w nocy z 22 na 23 sierpnia 1919 roku. Trzy polskie kompanie POW wspomagane przez grupy młodzieży gimnazjalnej, miejscowych inteligentów i okolicznych gospodarzy zaatakowały Sejny i po kilkugodzinnej walce zdobyły miasto. W czasie ataku Katelbach dowodził jedną z kompanii, następnie został komendantem miasta. Wiele lat później wspominał:

Po raz pierwszy i ostatni w życiu zetknąłem się w tej roli z Litwinami: księżmi, nauczycielami, legionem charakterystycznych dewotek litewskich, młodzieżą oraz jeńcami wojennymi. [...] W oczach Litwinów czytałem jednak nienawiść. Sejny były polskie, a tylko korzystając z opieki niemieckiej, zażarty Litwin, biskup Karaś [Antanas Karosas, ówczesny biskup sejneński – KB], litwinizował je w przyspieszonym tempie. Zajęcie przez nas Sejn kładło kres litwinizacyjnym planom biskupa. Jego najbliżsi byli teraz pod moją opieką i kontrolą. Znowu, jak pod Lwowem [w 1918 roku wobec Ukraińców], nie czułem w sobie żadnego powołania do surowych rozpraw z Litwinami. Wszystkie zakorzenione w nas od dzieciństwa mickiewiczowskie sentymenty buntowały się przeciwko stosowaniu polityki tzw. silnej ręki. Lecz gdy nazajutrz po zajęciu Sejn musieliśmy urządzić pogrzeb naszych poległych, a ksiądz Litwin najpierw wzdragał się wykonania swych obowiązków

9. *Ziemia Suwalska* z 24 sierpnia 1919.

duchownych, a w czasie fotografowania konduktu protestował przeciwko jego zatrzymaniu, pogroziłem mu pejcą i, gdyby się nie zatrzymał, zdziesiąłbym go niechybnie¹⁰.

Powstańcy oczekiwali rychłego obsadzenia południowej części Suwalszczyzny przez polskie wojska, jednakże szybciej nadciągnął pod Sejny batalion litewskiej piechoty wspomaganą przez miejscowych ochotników. Litwini zaatakowali miasto.

Kiedy w ubraniu kładłem się spać do wygodnego łóżka opuszczonego przez komendanta litewskiego Sejn – wspomina dalej Katelbach – usłyszałem słabe pukanie naszego jedyne go zdobytego na Litwinach karabinu maszynowego. Po chwili zaczął pracować coraz energiczniej. Wybiegłem do sąsiednich pokoi budząc zaspanych towarzyszy. Na rynku konno uwijał się już Zawadzki, rzucając pierwszą sformowaną rezerwę na jakiś odcinek frontu¹¹.

Wojsko litewskie odbiło Sejny, w czasie walk poległ dowódca powstańców ppor. Wacław Zawadzki¹². Przejawszy dowodzenie Katelbach z niedobitkami peowiaków wycofał się w kierunku Suwałk. Po drodze napotkano już spieszące na odsiecz regularne oddziały polskiego wojska, które 26 sierpnia odbiły Sejny. Po ciężkich walkach, podczas których miasteczko kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk, dopiero w końcu sierpnia wyparto Litwinów za Linie Focha, a na przyznaną Polsce część Sejneńszczyzny wkroczyły polskie wojska. Powstanie po litewskiej stronie zostało stłumione.

Katelbach, już oficjalnie jako funkcjonariusz wywiadu wojskowego, również powrócił do miasta, we współpracy z rządowym komisarzem zajął się organizacją komórki Towa-

10. T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 95.

11. T.M.K., „Z niedawnej rocznicy...”, *op.cit.*

12. Śmierć przyjaciela i dowódcy sugestywnie opisuje Katelbach: „Do ostatniej podwoły podjechał Zawadzki, poczem zawrócił konia i dość niespodziewanie wjechał w jedną z ulic miasteczka zajmowanego przez Litwinów. Zawrócił, gdyż sądził zapewne, że zdoła może skupić jakichś maruderów, ratując ich przed groźącą i pewną śmiercią z rąk Litwinów. Troska o swych żołnierzyków poniosła go na śmierć. Opadnięty przez oddziały żołnierzy litewskich, ranny kilkakrotnie, strzelający do ostatka, padł śmiercią na ulicy miasta, które dwa dni wcześniej zdobywał na czele swojego oddziału – dla Polski”, tamże.

rzystwa Straży Kresowej. Pracował również w komisji badającej prześladowanie miejscowej ludności przez wojsko litewskie. Nadal redagował *Ziemię Suwalską*, w połowie września organizował wizytę Naczelnika Państwa w Sejnach¹³. W wydanych dopiero w 2001 roku wspomnieniach Katelbach opisuje tę wizytę jako uwieńczenie zakończonego sukcesem dzieła. Triumfalnie witany Marszałek był w świetnym humorze i „choć tego nie mówił, czuliśmy, że nam dziękuje za całą naszą kilkumiesięczną robotę”¹⁴.

Jednakże wbrew temu przekonaniu oceny rezultatów powstania sejneńskiego, a tym samym oceny zaangażowania samego Katelbacha, dalekie były od jednoznaczności. Wbrew lokalnej legendzie powstanie nie osiągnęło przecież podstawowego celu, jakim było opanowanie całej Sejneńszczyzny. Drastyczne wypadki przemocy wobec ludności cywilnej stosowanej przez obie strony w trakcie kilkudniowych walk wpłynęły na rozpalenie wzajemnej nienawiści. Napięta sytuacja dawała niejednokrotnie pretekst do odwetu za dawne sąsiedzkie urazy i krzywdy. Walki silnym echem odbiły się na Litwie. Po raz pierwszy doszło do krwawych starć polsko-litewskich. Od tej pory coraz częściej zdarzały się represje przeciwko Polakom w głębi Litwy. Wskazując przykład sejneński, litewskie władze określały polską mniejszość jako najgroźniejszego przeciwnika niepodległości kraju. Urzędowy dziennik *Lietuva* z 23 sierpnia 1919 roku na wieść o wybuchu powstania w Sejnach oświadczył: „Wiemy, że wszyscy oni [litewscy Polacy – KB] są naszymi wrogami”.

Antypolskie nastroje w Litwie znajdowały odpowiednią pożywkę właśnie w momencie, kiedy polski wywiad wojskowy przygotowywał w Kownie zamach stanu, w wyniku którego zamierzano stworzyć propolski rząd, a następnie zjednać Litwinów do idei odnowienia państwowego związku Litwy z Polską. Do realizacji planu chciano wykorzystać miejscowych Polaków. Powstanie sejneńskie wyraźnie kolidowało z tymi zamiarami. Polski oficer łącznikowy w Kownie porucznik

13. APS, TROOS, t. 10, k. 1-4, Protokół komisji powołanej do zbadania gwałtów litewskich na ludności polskiej z 7 września 1919; *Ziemia Suwalska* z 5 września 1919 i następne.

14. T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 96.

Wiktor Dunin-Wąsowicz w liście do Mariana Kościółkowskiego z 29 sierpnia 1919 roku ujął sprawę dosadnie:

Medal za mądrość bałwanowi, który nam urządził Sejny. Dziwny brak jednolitości akcji i doprawdy trzeba wierzyć w cuda, że dotychczas nie skreśliśmy karku¹⁵.

Niebawem litewskie władze serią aresztowań wśród kowieńskich Polaków sparaliżowały plany zamachu i rozbiły tamtejszą siatkę POW. Od tych wydarzeń latem i jesienią 1919 roku rozpoczął się konflikt polsko-litewski, długotrwały i bolesny dla obu stron. Dwa lata po opisywanych wydarzeniach litewsko-polski pisarz Józef Albin Herbaczewski (Herbačiauskas) szukając przyczyn dalszej eskalacji konfliktu i przyjmując racje litewskie zauważył, iż wypadki sejneńskie i kowieńskie odegrały decydującą rolę¹⁶.

Jesienią 1919 roku Tadeusz Katelbach powrócił do Warszawy. Pracował w centrali Towarzystwa Straży Kresowej, nadal współpracował z wywiadem, współorganizował ruch studencki. W pierwszych miesiącach 1920 roku powstał jego obszerny artykuł pt. „Spór o Suwalszczyznę”, opublikowany na łamach miesięcznika TSK *Wschód Polski*. W artykule skrytykował przyjęcie Linii Focha jako polsko-litewskiej granicy. Przekonywał o konieczności rozszerzenia polskiego stanu posiadania na Suwalszczyźnie, gdyż po litewskiej stronie pozostały miejscowości z przewagą polskiej ludności, a poza tym jedynie przyłączenie do Polski terenów etnicznie litewskich, na przykład całego powiatu sejneńskiego, miało zabezpieczyć interesy polskiej mniejszości na Kowieńszczyźnie, czyli w Republice Litewskiej¹⁷. Analiza spotkała się następnie z dużym uznaniem w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zwłaszcza ze strony Juliusza Łukasiewicza, naczelnika Wydziału Wschodniego. Zgodnie z relacją samego Katelbacha, Łukasiewicz chwalił autora za przenikliwość,

15. Cyt. za P. Łossowski, „Konflikt polsko-litewski 1918-1920”, Warszawa 1996, s. 68.

16. J. A. Herbaczewski, „Litwa a Polska. Rozważania na czasie”, Wilno 1921, s. 18.

17. T.K. [T. Katelbach], „Spór o Suwalszczyznę”, [w:] *Wschód Polski*, 1920, nr 6-7.

kompetencje i zrozumienie polskiej racji stanu. Odtąd 23-letniego oficera wywiadu i początkującego dziennikarza zaczęto w MSZ postrzegać jako doradcę i eksperta od spraw polsko-litewskich¹⁸.

Latem 1920 roku Wilno wpadło w ręce bolszewików, którzy wkrótce przekazali miasto Litwie. Już z własnej inicjatywy, faktycznie współdziałając z Armią Czerwoną, wojsko litewskie zajęło także południowe powiaty Suwalszczyzny. Po przełomowej bitwie warszawskiej polskie wojska odrzuciły bolszewików i we wrześniu wyparły Litwinów z Suwalszczyzny. Katelbacha wraz z grupą pracowników TSK wysłano do Suwałk, aby dzięki swoim kontaktom i doświadczeniu konspiratora pomógł w przeniknięciu polskich agentów do zajętego przez Litwinów Wilna. Również w Suwałkach 30 września rozpoczęły się pokojowe rozmowy polsko-litewskie. Katelbach zgłosił się do przewodniczącego polskiej delegacji Juliusza Łukasiewicza i natychmiast został zaangażowany jako doradca. W związku z obecnością delegacji Ligi Narodów, strona polska przewlekła rokowania, w rzeczywistości przygotowując akcję odbicia Wilna. Układ z Litwą podpisano 8 października 1920 roku, a już 9 października generał Lucjan Żeligowski na czele „zbuntowanych” oddziałów zajął Wilno, tworząc quasi-niepodległą Litwę Środkową. W taki sposób Józef Piłsudski usiłował jeszcze raz zmusić Litwę do federacji. W następnych miesiącach, w związku z oporem Kowna i przy fiasku prób mediacji ze strony Ligi Narodów, poważnie rozważano możliwość przeprowadzenia na Wileńszczyźnie plebiscytu.

Już kilka dni po „buncie” Żeligowskiego, Katelbach otrzymał rozkaz zrzucenia munduru i wyjazdu do Wilna, gdzie miał zorganizować i objąć redakcję dziennika TSK – *Gazety Wileńskiej*. Jak sam przyznawał, trzy miesiące pracy redakcyjnej stały się dla niego najlepszą szkołą zawodu dziennikarza. *Gazeta Wileńska* stała się w tym czasie największym i najbardziej opiniotwórczym dziennikiem Wileńszczyzny. Jak wspomniano, celem stworzenia Litwy Środko-

18. T. Katelbach, „Moja misja kowieńska”, [w:] *Zeszyty Historyczne* 1976, nr 36, s. 64; tenże, „Spowiedź pokolenia”, s. 104.

wej była kolejna próba nakłonienia kowieńskich polityków do odnowienia związku z Polską. Wilno miało w tym wypadku odgrywać rolę karty przetargowej, gdyż nie wyobrażano sobie, aby Litwa pogodziła się z utratą historycznej stolicy. W tym wypadku, według nadziei Piłsudskiego, „kowieńska” Litwa miała sfederować się z „wileńską” (Litwą Środkową), a wtedy rola czynnika polskiego w kraju stanie się tak duża, iż skłoni to litewskie władze państwowe do szerszego porozumienia z Polską.

Linia polityczna *Gazety Wileńskiej* z reguły nie pokrywała się jednak z koncepcją Piłsudskiego. Katelbach, mimo rosnącego uwielbienia dla Marszałka, uważał jego postrzeganie Litwy i Litwinów za romantyczne i nierealistyczne. Na łamach dziennika przekonywał, że rozwiązania federacyjne można Litwie narzucić tylko siłą, poprzez zajęcie całego kraju i ustanowienie nowej władzy pod polskim protektoratem. Jeszcze po latach podtrzymywał tę opinię, wyrażając przy tym częste w Polsce okresu międzywojennego przekonanie o niskim poziomie litewskich elit, o ich politycznej niedojrzałości, uzależnieniu od Niemców i celowym działaniu na szkodę Polski. Wyrażał opinię, że Niemcy i Rosja zrobią wszystko, aby podsycać antagonizm polsko-litewski. Jedno z wydań *Gazety Wileńskiej*, z artykułami utrzymanymi w podobnym duchu, rozpoczynało się wierszem o wymownym tytule-wezwaniu: „Do Kowna!”¹⁹. Coraz wyraźniej opowiadano się przeciwko odrębności Litwy Środkowej od Polski. Na tle kierunku pisma dochodziło kilkakrotnie do spięć między redaktorem naczelnym a jego niedawnymi kolegami z wywiadu.

W 1922 roku Wileńszczyzna została włączona do Polski. Litwa nie uznała tego stanu rzeczy i całkowicie odizolowała się od swego południowego sąsiada prawdziwym „chińskim murem”. Z początkiem 1921 roku Katelbach powrócił do Warszawy i pracy w centrali TSK. Pragnął również dokończyć studia prawnicze. Jak pisał: „Tak oto w pierwszych latach mej działalności politycznej połąkłem litewski bakcyl.

19. Tamże, s. 108. Tego typu opinie Katelbacha powtarzane w jego emigracyjnej publicystyce po 1945 roku wywoływały nieraz irytację emigracyjnych autorów litewskich, zob. np. S., „Katelbachas Kaune”, [w:] *Laisvė* (New York) 1957, nr 13.

A choć wkrótce potem skoncentrowałem swe zainteresowania na stosunkach polsko-niemieckich i zagadnieniach narodowościowych w Europie powersalskiej, nigdy się już go nie pozbyłem”²⁰. W rzeczywistości na ponad dekadę młody działacz stracił bezpośredni kontakt ze sprawami litewskimi, chociaż jako publicysta kilkakrotnie powracał do wspomnień z lat 1919-1920. W 1923 roku nawiązał współpracę ze Związkiem Obrony Kresów Zachodnich i z jego ramienia wyjechał do Berlina, oficjalnie jako korespondent polskiej prasy. Został także faktycznym redaktorem *Dziennika Berlińskiego* oraz nadzorował Centralę Związku Polaków w Niemczech. Pobyt w tym kraju przedłużył się do jesieni 1933 roku.

Wiosną 1932 roku w Berlinie odwiedziła Katelbachów Zofia Jesajtis, daleka krewna Zenaidy, żony Tadeusza. Rodzina żony wywodziła się z Litwy, „ciocia Jesajtisowa” była zaś żoną znanego litewskiego adwokata. Dzięki wstawianictwu i koneksjom krewnej udało się Katelbachom uzyskać zgodę na odwiedzenie Litwy. Tadeusz Katelbach wielokrotnie mówił o swym, „litewskim bakcyłu”, jak podkreślał, jego Niemieccy przodkowie w XVII wieku osiedlili się pod Kownem, zapoczątkowując polską linię rodu. Sam nigdy jednak wcześniej nie był w tak zwanej Litwie Kowieńskiej, jak potocznie określano w Polsce oddzieloną „chińskim murem” międzywojenną Republikę Litewską. „Dostanie się za ten niedostępny mur – pisał – miało w owych czasach dla Polaka posmak pasjonującej przygody”. Wreszcie nie bez znaczenia był w tym wypadku sentyment, jakim w polskiej kulturze darzono tradycyjny mickiewiczowsko-sienkiewiczowski obraz Litwy i litewskości. W obrazie tym dominowały szlacheckie dwory i ich mieszkańcy żywcem z „Pana Tadeusza”, laudańskie zaścianki z „Potopu”, święte węże i dąbrowy z „Dewajtisa”. Taki wizerunek był powszechnym elementem idealizacji i mitologizacji nie tylko krajobrazu, ale również stosunków społecznych i etnicznych na Litwie. Szeroko rozpowszechniło się postrzeganie Litwinów jako półdzikich, małomównych, ale łagodnych, i prawych... patriotów Rzeczypospolitej, jak na przykład sienkiewiczowski Longinus Podbiپیęta. Przecież nie

20. T. Katelbach, „Moja misja kowieńska”, s. 67.

tylko pokolenie Katelbacha zaczytywało się w Polsce Sienkiewiczem i Rodziewiczówną, budując w wyobraźni idealny obraz Litwy, z którym boleśnie konfrontowano rzeczywistość międzywojennego konfliktu polsko-litewskiego. Raz jeszcze oddajmy głos Tadeuszowi Katelbachowi, który w następujący sposób opisuje swe ówczesne fascynacje:

Był jeszcze jeden powód chęci poznania Kowieńszczyzny. Bardzo polski. Od chwili, gdy zaczęliśmy połykać sienkiewiczowską „Trylogię” znaleźliśmy nazwy wielu miejscowości tej właśnie części Litwy. Lauda, Kiejdany, Pacunele, Lubicz, Wodokty, Poniewież, Wiłkomierz, Taurogi, Połaga, Birże czy Telsze zapadły w naszej pamięci na zawsze. Mieszkali w nich, zaglądali do nich, bili się o nie bohaterowie sienkiewiczowscy – Kmicic, Wołodyjowski, Zagłoba. [...] Romantyczna legenda jaką otoczył Sienkiewicz w „Potopie” cały ten kraj zroszony krwią jego synów przelaną w służbie Rzeczypospolitej, podniecała wyobraźnię. A powstanie 1863 roku? A Józef Piłsudski, którego ród wywodził się ze Żmudzi? Chciałem się naocznie przekonać czy w ocalałych po litewskiej reformie rolnej dworach, zaściankach, pałacach i chatach, przechowały się bodaj strzępy owej legendarnej przeszłości²¹.

Właśnie na tle podobnego obrazu dawnej szlacheckiej Litwy w międzywojennej Polsce często egzystowało wyobrażenie współczesnej ludowej Litwy i Litwinów jako odszczepieńców, zaprzańców wspólnych dziejów i wspólnego interesu narodowego – niemieckie i sowieckie marionetki – wychowanych w polskiej kulturze polakożerców, niesłusznie domagających się polskiego Wilna itp.

Lato 1932 roku Tadeusz Katelbach wraz z rodziną spędził u rodziny na Litwie. Nie zaniedbywał możliwości nawiązania towarzyskich kontaktów z wieloma wpływowymi osobistościami, słusznie przypuszczając, iż ułatwi to ewentualne późniejsze starania o zgodę na ponowne odwiedziny w tym kraju. Druga wizyta, która nastąpiła już niebawem, na przełomie 1932 i 1933 roku, została uzgodniona z polskim MSZ. Katelbach spędził Boże Narodzenie u rodziny żony pod Szawlami, odwiedził również Kowno. Jeszcze w Berlinie

21. T. Katelbach, „Ciocia otwiera wrota do Litwy”. (Z gawęd o Polakach na Kowieńszczyźnie), [w:] *Wiadomości* (Londyn) z 20 lipca 1975.

nawiązał kontakt z litewskim posłem w Niemczech, Jurgisem Šaulysem. Dzięki wstawiennictwu Šaulyśa, dziennikarza z Polski przyjmowano w kowieńskich sferach politycznych już jako nieoficjalnego reprezentanta polskich władz. Po powrocie do Berlina Katelbach opisał pobyt na Litwie nie tylko w szczegółowym raporcie dla MSZ, ale także w kilku artykułach na łamach warszawskiej prasy.

Towarzyskie kontakty z Šaulysem zaowocowały koncepcją wyjazdu Katelbacha do Kowna w charakterze korespondenta *Gazety Polskiej*, a nieoficjalnie – kogoś w rodzaju ambasadora, upoważnionego do prowadzenia rozmów dyplomatycznych. Zarówno litewska, jak i polska strona przychylnie ustosunkowały się do projektu. Przed uzyskaniem ostatecznej zgody swoich przełożonych, Šaulyś poprosił o pomoc w zorganizowaniu spotkania z Marszałkiem Piłsudskim. Rozmowy Piłsudski–Šaulyś, do których dzięki pośrednictwu Katelbacha doszło w sierpniu 1933, nie przyniosły żadnego przełomu w stosunkach polsko-litewskich, niemniej strony wyraźnie pokazywały wolę ocieplenia wzajemnych kontaktów. Jak uważano w Warszawie, misja polskiego dziennikarza w litewskiej stolicy mogła zatem stanowić pierwszy krok w kierunku nawiązania pełnych stosunków dyplomatycznych. W opinii części litewskich elit, dążących do przyszłego kompromisu z Polską, już sama zgoda na przyjazd korespondenta z wrogiego kraju była czytelnym sygnałem dobrej woli.

Przed wyjazdem do Kowna Katelbach otrzymał szczegółowe instrukcje od szefa polskiego MSZ Józefa Becka, który był jednak raczej sceptycznie nastawiony do rezultatów misji²². Dziennikarz miał przede wszystkim być oczami i uszami Becka, sondować nastroje wśród litewskich elit i zbadać możliwości porozumienia na polskich warunkach oraz energicznie działać w pożądanym przez Polskę kierunku. Według Becka wstępem do rozpoczęcia jakichkolwiek rozmów politycznych miało być uregulowanie stosunków dyplomatycznych na ogólnie przyjętych zasadach.

Nie ulega wątpliwości, że faktyczne kierownictwo pol-

22. Tenże, „Moja misja kowieńska”, s. 72.

skiej polityki zagranicznej w tym czasie znajdowało się w rękach Piłsudskiego, jednak w opinii Piotra Łossowskiego nominacja Becka na szefa polskiej dyplomacji w 1932 roku nie pozostała bez wpływu na kierunek polskiej polityki wobec Litwy. „Wprawdzie stosując się do ogólnej linii Marszałka – pisze Łossowski – Beck również zmierzał do regulacji stosunków na zasadzie partnerskiej. Był jednak mniej układowy niż jego poprzednik, zaś opowiadał się za większą konsekwencją i stanowczością w działaniach. Bardzo krytycznie oceniał też postępowanie polityków litewskich”²³. Nakazał Katelbachowi utrzymywanie wyjątkowo ścisłej łączności z polskim MSZ. Uzasadniona zatem wydaje się teza, iż dziennikarz przez następne lata spędzone w Kownie rzeczywiście był mężem zaufania szefa polskiej dyplomacji²⁴.

We wrześniu 1933 roku Tadeusz Katelbach przyjechał do tymczasowej litewskiej stolicy. Po latach wspominał:

Pozycja moja w Kownie była niezmiernie delikatna. W małym, przytulnym mieście ustawicznie byłem na widoku. Interesowano się z nieco parafiańską ciekawością każdym szczegółem mego prywatnego życia. [...] Szowinistyczna prasa nie szczędziła ataków na moją osobę. Fotografowano mnie i karykutowano. Wszystko to w sumie przyczyniło się do nawet nadmiernego spopularyzowania mej skromnej osoby. Nazwisko moje znane też było każdemu inteligentnemu Litwinowi. Gdy przedstawiałem się w pociągu przypadkowemu towarzyszowi podróży, słyszałem z reguły, bądź po litewsku: „A, ponas Katelbachas” lub po polsku: „A, pan Katelbach”²⁵.

23. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, Warszawa 1997, s. 239-240; por. opinię francuskiego ambasadora w Warszawie, Julesa Laroche’a ze stycznia 1934 roku: „Podczas ostatniej wizyty, którą złożyłem ministrowi spraw zagranicznych (...) rozmawialiśmy o Litwie, o której mówiono, że poszukuje zbliżenia z Polską. Przyznając, że istnieje pewien zwrot w tym kierunku, Beck nie wierzył, aby znaleźli się tam ludzie dostatecznie odważni dla wkroczenia na taką drogę. «Polska – powiedział – nie ma potrzeby płacenia za zbliżenie, gdyż jest w sytuacji *beatus possidens*»”, J. Laroche, „Polska lat 1926-1935”, Warszawa 1966, s. 145.

24. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, [w:] „Przyjaźnie i antagonizmy. Stosunki Polski z państwami sąsiednimi w latach 1918-1939”, Wrocław 1977, s. 163; S. Cenckiewicz, „Tadeusz Katelbach...”, *op.cit.*, s. 163.

25. T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 176-177.

Od początku pobytu wysłannik Warszawy pełnił również funkcje nieoficjalnego konsula. Litewskie władze właśnie do niego kierowały wszystkich zainteresowanych podróżą do Polski. Jednak głównym nurtem zainteresowań Katelbacha były przecież sprawy polityczne. Jeszcze jesienią 1933 roku odbył on niewiarygodnie dużą ilość spotkań i rozmów z przedstawicielami litewskich elit, umacniając się w przekonaniu o narastających na Litwie tendencjach antyniemieckich. Został przyjęty przez premiera Juozasa Tūbelisa, ministra spraw zagranicznych Dovasa Zauniusa, a nieco później także przez prezydenta Antanasa Smetonę²⁶. Szczegółowo informował Warszawę o wrażeniu, jakie wywarła w Kownie polsko-niemiecka deklaracja ze stycznia 1934, niezmiennie przekonywał mocodawców o sile i znaczeniu elementów przychylnie nastawionych do idei normalizacji stosunków z Polską.

W czerwcu 1934 roku doszło w Litwie do próby pro-niemieckiego zamachu stanu. W konsekwencji nieudanego puczu nastąpiły określone zmiany w rządzie. „Patentowanego germanofila” Dovasa Zauniusa, jak określał Katelbach, zastąpił Stasys Lozoraitis, polityk – wedle tychże ocen – nastawiony ugodowo do Polski. W nowej sytuacji, wobec pojawienia się swego rodzaju przychylniej atmosfery, w licznych kontaktach z nowym szefem litewskiej dyplomacji Katelbach zwielokrotnił naciski na Litwinów w celu przyjęcia polskich warunków oraz podjęcia bezpośrednich rozmów międzypaństwowych²⁷. Również w czerwcu wysłannik Warszawy przygotował wizytę w Kownie byłego premiera Polski, Aleksandra Prystora. Wizyta miała prywatny charakter, dość powszechnie uważano jednak, iż były premier przywoził swego rodzaju po-

26. AAN, Ministerstwo Spraw Zagranicznych (MSZ), t. 6077, s. 28-47, Raport T. Katelbacha z października 1933 r.

27. AAN, MSZ, t. 6078, s. 208-211; w tym czasie podczas pobytu w Warszawie Katelbach został przyjęty przez Piłsudskiego. „Instrukcja Marszałka – wspomina – brzmiała jasno: najpierw Litwa musi stwierdzić oficjalnie, że godzi się na normalizację stosunków polsko-litewskich. Konsekwencją przyjęcia tej zasady winno być natychmiastowe nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Do tej chwili Polska nie będzie rozmawiała z Litwinami ani na temat Wilna, ani o żadnej autonomii kulturalnej dla Litwinów w Wileńszczyźnie, ani w ogóle nie uczyni gestów pojednawczych”, T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 179.

zytywne przesłanie od Piłsudskiego. W tym okresie Katelbach w swych raportach niemal entuzjastycznie przekonywał Becka o nieuchronności porozumienia polsko-litewskiego i pozytywnych nastrojach w Kownie²⁸.

Jesienią 1934 roku korespondent *Gazety Polskiej* uzyskał audiencję u prezydenta Smetony, przeprowadził z nim również wywiad. Podczas rozmowy ustalono między innymi, iż należy wysłać do Polski korespondenta prasy litewskiej. Ostatecznie w wyniku starań Katelbacha w początkach następnego roku do Warszawy wyjechał Valentinas Gustainis, były redaktor naczelny urzędowego dziennika *Lietuvos Aidas*. Jego przeszło półtoraroczny pobyt zaowocował licznymi korespondencjami oraz książką „Lenkai ir Lenkija” („Polacy i Polska”), wydaną w 1937 roku, w obiektywny i interesujący sposób przybliżającą polskie sprawy litewskiemu czytelnikowi. Prezydent Smetona we wspomnianym wywiadzie sprecyzował stanowisko Litwy w sprawie warunków ewentualnego kompromisu z Polską. Jako podstawowy i niezbędny warunek przedstawił on uregulowanie sprawy Wilna oraz poprawę położenia litewskiej mniejszości w Polsce²⁹.

Pomimo braku widocznych efektów swojej intensywnej działalności również w 1935 roku Katelbach nie tracił nadziei na rychłe doprowadzenie do polsko-litewskiego kompromisu. W obszernych raportach, mimo pewnych symptomów zniecierpliwienia, nadal utwierdzał w tym przekonaniu również swoich zwierzchników w warszawskim MSZ³⁰. Jego nadzieje ciągle zdawały się uzasadnione zwłaszcza w kontekście całego szeregu gestów dobrej woli ze strony kowieńskiego MSZ, interpretowanych jako wstęp do właściwych negocjacji.

Jednym z takich gestów była zgoda na zaproszenie przez Katelbacha do Kowna polskiej śpiewaczki operowej Ewy Bandrowskiej-Turskiej³¹, czy też zgoda na sprowadzenie z terenu Litwy do Wilna prochów matki Józefa Piłsudskiego. Po śmierci Marszałka, Katelbach w czerwcu 1935 roku przy pomocy organizacji polskiej mniejszości zorganizował ekshu-

28. AAN, MSZ, t. 6078, s. 206.

29. AAN, MSZ, t. 6078, s. 247-270 i 380-383.

30. AAN, MSZ, t. 6079, s. 89-95.

31. AAN, MSZ, t. 6079, s. 2-63.

mację zwłok matki Marszałka, Marii z Billewiczów Piłsudskiej z grobu w Sugintach (Suginčiai) koło Uciany. W ekshumacji 2 czerwca wzięły udział delegacje z terenu całej Litwy, nad grobem zgromadziło się ponad 200 osób³².

Jednakże pomimo takich gestów, które jeszcze kilka lat wcześniej wydawały się nie do pomyślenia, nad perspektywami litewsko-polskiego porozumienia coraz wyraźniej zbierały się chmury. Po śmierci Piłsudskiego kierownictwo polskiej polityki zagranicznej niepodzielnie objął minister Józef Beck. W przypadku stosunków z Litwą oznaczało to wzmożenie nacisków na Kowno w celu jak najszybszego i definitywnego zakończenia sporu, ale na polskich warunkach. Na takie zaś rozwiązanie Litwini ani politycznie, ani mentalnie nie byli przygotowani. Nad próbami porozumienia ciągle fatalnie ciążyła sprawa Wilna. Coraz poważniejszym problemem w prowadzonych nadal poufnych negocjacjach i sondażach stawała się kwestia mniejszości narodowych. Kowno uważało położenie własnej mniejszości na Wileńszczyźnie i Suwalszczyźnie za jeden ze wskaźników rzeczywistych intencji Warszawy. Kwestie prześladowania Litwinów w Polsce były również jednym z najczęstszych elementów dotychczasowej propagandy. Każdy litewski rząd musiał liczyć się ze zdaniem opinii publicznej w tej sprawie. Nie ukrywano, że wszelkie równoległe represyjne posunięcia przeciwko litewskim Polakom także w dużej mierze zależą od antypolskich nastrojów ogółu społeczeństwa, żywo zainteresowanego losami rodaków w Polsce³³. Natomiast Beck proponował właściwie przejście do porządku dziennego nad problemami mniejszości.

W Warszawie zdecydowanie nie doceniano wagi, jaką

32. Lietuvos Centrinis Valstybės Archyvas (LCVA), f. 1169, ap. 1, b. 46, k. 61, Opracowanie wewnętrzne „Pochodni” pt. „Po drugiej stronie” z czerwca 1935; por. T. Katelbach, „Odkrycie w Sugintach”, [w:] *Wiadomości* (Londyn) z 13 października 1974; szczątki Marii Piłsudskiej spoczęły na wileńskiej Rossie wraz z sercem Józefa Piłsudskiego.

33. Prezydent Smetona w rozmowie z L. Stachórskim we wrześniu 1934 r. powiedział: „Nie twierdzą, że Polakom w Litwie dzieje się dobrze, że wszyscy mają możliwość swobodnej nauki w języku polskim, ale na to wpływ ma opinia publiczna, ta zaś jest poinformowana o losie Litwinów Wileńszczyzny. Z tym trzeba się liczyć”, AAN, MSZ, t. 6078, k. 279 i n.; por. T. Katelbach, „Moja misja kowieńska”, s. 87.

litewska opinia publiczna przywiązywała do tego ostatniego problemu. Dominowało przekonanie, że jakiegokolwiek koncesje na rzecz litewskiej mniejszości mogły stać się niebezpiecznym precedensem w kontekście całokształtu polityki narodowościowej w II Rzeczypospolitej. Od jesieni 1935 roku coraz wyraźniej było zatem widać, że do zasadniczego przełomu w obecnych warunkach nie dojdzie. W Kownie opadła również fala zaabsorbowania tą sprawą, tym bardziej, że Litwa kosztem ustępstw w Kłajpedzie doprowadziła do odprężenia w stosunkach z Niemcami. Władze przekonały się także o sile i determinacji przeciwników ustępstw na rzecz Polski, o zakorzenieniu w społeczeństwie antypolskich fobii i stereotypów, które przecież usilnie propagowano przez cały okres niepodległości. Rządzący stali się właściwie zakładnikiem własnego społeczeństwa³⁴.

W Polsce minister Beck, rozdrażniony politycznym niepowodzeniem, czynił już w tym czasie przygotowania do podjęcia w niedalekiej przyszłości bardziej stanowczych kroków przeciwko „upartemu sąsiadowi”. Jak pisze Piotr Łossowski, „w polskim MSZ po zawodzie, którego doznano jesienią 1935 roku, nie wierzono już jak poprzednio Katelbachowi”³⁵. Mimo fiaska swojej misji, nadal pozostawał on w Kownie, jednak coraz bardziej koncentrował się na sprawach polskiej mniejszości. W Warszawie dostrzeżono zatem, że poprzez aktywizację polskiej mniejszości w określonym kierunku można również liczyć na efekty w postaci nowych argumentów w grze dyplomatycznej z Litwą³⁶.

Realizatorem koncepcji warszawskiego MSZ wobec polskiej mniejszości w Litwie stał się przebywający na miejscu Tadeusz Katelbach³⁷. Wydaje się jednak, że wysłannik Becka nie tylko wykonywał polecenia obu przełożonych, ale również w dużej mierze sam kształtował opinię Warszawy o pro-

34. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, Warszawa 1997, s. 272-281.

35. Tamże, s. 285.

36. AAN, MSZ, t. 6078, k. 3 i n., Raporty T. Katelbacha z Litwy za pierwszy kwartał 1934 r.

37. T. Katelbach, „Olimp”, [w:] *Wiadomości* (Londyn) z 5 września 1976.

blemach litewskich Polaków. Jeszcze w kwietniu 1933 roku, po pierwszym ze swoich półprywatnych pobytów w Litwie, Katelbach podzielił się z czytelnikami warszawskiego *Przełomu* refleksjami na temat roli tej mniejszości w stosunkach polsko-litewskich. Postulował konieczność „aktywizacji” mniejszości i odmłodzenia jej struktur kierowniczych³⁸. W szczegółowych sprawozdaniach dla MSZ Katelbach opisywał dotychczasowe stosunki organizacyjne polskich towarzystw w Litwie, w czarnych barwach przedstawiając zwłaszcza rolę tak zwanego „Olimpu”, czyli kilkusobowego ziemiańskiego kierownictwa polskiej mniejszości. Jednym z najcięższych oskarżeń pod adresem tego grona był zarzut „krajowości”, to jest próby połączenia polskości w wymiarze kulturalnym z litewskim patriotyzmem. W tym czasie w Warszawie, na skutek interpretacji przedstawianej przez Katelbacha, tak rozumianą litewską „krajowość” utożsamiano wręcz ze zdradą polskiego interesu narodowego.

Zrozumiałe – pisał Katelbach – że niektóre osoby zbliżone do rządu litewskiego chętnie popierają [...] kierunek krajowy wśród Polaków. Jasne dla nich jest, że przeciwstawienie jednolicie rozumianej polskości zawiłego typu krajowca – o kulturze polskiej lecz „członka narodu Wielkiego Księstwa Litewskiego” – wprowadza zamęt i może tylko przyspieszyć zanik resztek elementu polskiego w Litwie³⁹.

W celu wywarcia nacisku na „Olimp” Katelbach doprowadził do zmniejszenia o 1/3 kwoty subwencji dla polskiej mniejszości na Litwie⁴⁰. Działacze „Olimpu” jednak nie próżnowali, usiłując wykorzystać własne kontakty w Warszawie do zdyskredytowania Katelbacha⁴¹. W marcu 1935 roku zakomunikował on „Olimpowi” oficjalną decyzję Warszawy o zlikwidowaniu dotychczasowego gremium kierującego sprawami polskiej mniejszości i powołaniu nowego ciała kierowniczego pod jego osobistym bezpośrednim kierownictwem⁴².

38. *Iskry* 1934, nr 1; por. też c.d. korespondencji Katelbacha w *Przełomie* 1934, nr 2 (przedruk [w:] *Iskry* 1934, nr 2-3).

39. AAN, MSZ, t. 6142, k. 12 i n.; por. tamże, t. 6078, k. 3 i n.

40. AAN, MSZ, t. 11368, k. 65-73.

41. AAN, MSZ, t. 10470, k. 58-62; por. tamże, t. 10191, k. 6-7.

42. K. Buchowski, „Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918-1940”, Białystok 1999, s. 231.

W lipcu 1935 roku w Kownie ukazał się pierwszy numer dwutygodnika *Głos Młodych*, powołanego do życia dzięki pomocy Katelbacha i działającego pod jego patronatem. W końcu 1935 roku Katelbach doprowadził również do zmiany redaktora naczelnego *Dnia Polskiego*, jedyne polskiego dziennika w Litwie.

Spory wśród przywódców polskiej mniejszości były z uwagą obserwowane przez litewskie władze. W oficjalnych kręgach otwarcie sympatyzowano raczej z „Olimpem” i starszym pokoleniem działaczy, tym samym przy określonym nastawieniu Warszawy, w zasadzie oddawano im zatem niedźwiedzią przysługę. Wyraźne niezadowolenie wzbudzała jednak rola, jaką w konflikcie odgrywał Katelbach. Podejrzewano, że poprzez popieranie opozycji w gruncie rzeczy dąży on do antylitewskiej dywersji⁴³. Oto przykładowo 31 stycznia 1936 roku oficjalny dziennik *Lietuvos Aidas* pisał:

Trzeba zaznaczyć, że ludzie z pozycji [tj. środowisko „Olimpu”] chcą być lojalnymi względem państwa litewskiego, unikać wykroczeń przeciwko organom administracyjnym, całą działalność polską prowadzić lojalnie względem Litwy w granicach ustaw. Natomiast ludziom z opozycji taka działalność się nie podoba. Opozycja jest skłonna do poddania się wpływowi obcego państwa i kierowania się jego wskazówkami.

Aczkolwiek w opinii polskiego MSZ, wraz z fiaskiem nadziei na rychłe porozumienie polityczne z Kownem, znaczenie poglądów i wrażeń Katelbacha wyraźnie się zmniejszyło, to jednak wysłannik ten nadal dostarczał wielu cennych informacji, które mogły być wykorzystane w planowanej akcji zaostżenia kursu wobec Litwy i Litwinów mieszkających w Polsce. Na przełomie 1935 i 1936 roku Katelbach wręcz wzywał zwierzchników do stanowczej interwencji na rzecz polskiej mniejszości, podając przy tym liczne przykłady represji, jakie spadły na nią w ciągu ostatnich miesięcy. Wyrażał nawet pewien rodzaj zdziwienia, czy zniecierpliwienia, iż strona polska ciągle zwleka ze stosownymi retorsjami przeciwko Litwinom na Wileńszczyźnie i Suwalszczyźnie⁴⁴.

43. AAN, MSZ, t. 6169, k. 173.

44. AAN, MSZ, t. 7292, k. 6, Opracowanie pt. „Prześladowanie Pola-

W biurach przy ulicy Wierzbowej w Warszawie ostatecznie zwyciężyła koncepcja zakładająca intensyfikację nacisków na Litwę w celu nakłonienia jej do normalizacji stosunków politycznych z Polską. Dzięki raportom Katelbacha w polskim MSZ zauważono, że położenie mniejszości litewskiej na Wileńszczyźnie jest najpoważniejszym atutem na drodze do ostatecznego celu, jakim pozostawało nakłonienie Kowna do nawiązania pełnych stosunków dyplomatycznych z Warszawą. Wobec rosnącego oporu Litwy po polskiej stronie Niemna rozpoczęto zatem akcję „twardego kursu”, czyli połączenia bezprecedensowego nacisku na litewską mniejszość narodową w Polsce z odrzucaniem wszelkich ofert połowicznych rozwiązań w dziedzinie politycznej.

Kowieńskim władzom, niezwykle wyczulonym na problemy litewskiej mniejszości w Polsce, wydarzenia na Wileńszczyźnie dały niebawem powody do działań wymierzonych w polską mniejszość u siebie. Nowe obostrzenia zarówno w Polsce, jak i w Litwie dotyczyły niemal wszystkich dziedzin życia społecznego, zwłaszcza szkolnictwa. Litwa coraz bardziej broniła się przed naciskami, wykorzystując przy tym każdy słaby punkt przeciwnika, kontratakując i represjonując polską mniejszość; Polska zaś coraz mocniej naciskała poprzez represje wymierzone w litewską mniejszość. Powstała klasyczna sytuacja błędnego koła.

Już w styczniu 1936 roku litewską prasę obiegły informacje o licznych wiecach organizowanych w wielu miastach w Polsce. Zgromadzenia zwoływano głównie pod hasłem obrony polskiego szkolnictwa gnębnego przez kowieńskie władze. Dziennik *Lietuvos Aidas* w końcu stycznia wprost oskarżył Katelbacha o tę prowokację⁴⁵.

Podejrzania o inspirowanie akcji antylitewskiej przez wysłannika Warszawy były przecież częściowo uzasadnione. Przykładowo w sierpniu 1936 roku w polskim MSZ miała miejsce specjalna konferencja z udziałem Katelbacha, poświęcona koordynacji poczynań rządu z oczekiwaniami polskiej

laków na Litwie” z 9 stycznia 1936; por. B. Makowski, „Litwini w Polsce”, s. 270; P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, Warszawa 1997, s. 285.

45. *Lietuvos Aidas* z 31 stycznia 1936.

mniejszości na Litwie. Katelbach zwrócił się wtedy z prośbą o zainspirowanie szerszej obecności w polskiej prasie informacji na temat prześladowania polskiej ludności oraz o zaostrezenie tonu antylitewskich artykułów⁴⁶.

Atmosfera wokół jego osoby i jego poczynań w Kownie gęstniała z dnia na dzień. W październiku 1936 roku Warszawa poleciła mu jednak wstrzymanie się od bezpośrednich rozmów z Litwinami⁴⁷. W styczniu 1937 roku kowieńskie władze nie przedłużyły Katelbachowi zgody na pobyt. Sprawy litewskie oraz ogólne kierownictwo problemami polskiej mniejszości z początkiem 1937 roku powierzono posłowi Rzeczypospolitej w Rydze Franciszkowi Charwatowi. W analizie przesłanej do Warszawy Charwat ostro skrytykował wcześniejsze inicjatywy Katelbacha. Zamieszczane w polskiej prasie informacje o prześladowaniu Polaków, zwłaszcza notatki *Ilustrowanego Kuriera Codziennego*, określał jako „sensacyjne i kłamliwe”, a rozpowszechnianie niesprawdzonych materiałów jako „wysoce szkodliwe, gdyż daje Litwinom argument nieuczciwej propagandy”⁴⁸.

Ocena znaczenia misji Katelbacha w Kownie do dzisiaj pozostaje niejednoznaczna. Krytyczne uwagi dotyczące jego poczynań sformułował m.in. Piotr Łossowski. W latach siedemdziesiątych autor ten pisał:

Katelbach dążył do odegrania większej roli w stosunkach polsko-litewskich. Odbывał liczne rozmowy z działaczami litewskimi zarówno ze sfer rządowych, jak i opozycji. Sondował grunt i starał się różnymi sposobami zjednać ich dla sprawy zbliżenia z Polską. Dążył, by stać się w oczach ministra Becka człowiekiem niezastąpionym – najlepszym ekspertem, kunsztownym dyplo-

46. AAN, MSZ, t. 7292, k. 8, Sprawozdanie z konferencji w sprawach litewskich z 22 sierpnia 1936; por. tamże, t. 7292, k. 27-29, Informacja o położeniu Polaków w Litwie z 30 kwietnia 1936; por. także opinie Katelbacha o „wyjątkowej skuteczności” metod Bociańskiego oraz o „pozytywnych skutkach”, jakie wywierają one na „kierunek litewskiej polityki wobec Polski”, AAN, MSZ, t. 6124, k. 2 i n.; por. zwłaszcza tamże, t. 6080, k. 165-167, Raport T. Katelbacha z listopada 1936; zob. T. Katelbach, „Za litewskim murem”, Warszawa 1938, s. 90.

47. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, Warszawa 1997, s. 296.

48. AAN, MSZ, t. 10468, Raport F. Charwata z 8 stycznia 1938.

matą i przebiegłym politykiem. Wobec Litwinów manifestował przyjaźń, chociaż nieraz przemawiał do nich „stanowczym językiem”. W rzeczywistości był nieprzychylnie do nich usposobiony, poufnie inspirując np. najostrzejsze retorsje wobec mniejszości litewskiej na Wileńszczyźnie. Litwini wyczuwali jego utajoną wrogość i nieszczerłość. (...) Katelbach odegrał niewątpliwie znaczną rolę w stosunkach polsko-litewskich w latach 1933-1936. Trudno jednak oceniać ją jednoznacznie⁴⁹.

Po dwudziestu latach ten sam badacz nieco złagodził ostrą ocenę roli Katelbacha w okresie kowieńskiej misji:

Gdy przyjechał on w 1933 roku na Litwę, towarzyszyła mu fala wzrastających nadziei na zakończenie konfliktu, na wdrożenie rokowań i nawiązanie stosunków. Miał w tej sytuacji odegrać rolę łącznika i inspiratora zarysowującego się porozumienia. Odbił setki rozmów, podczas których przekonywał Litwinów do zgody z Polską. W pewnym momencie zawierzył, że jest ona blisko i wprowadził w błąd ministra Becka. W istocie był tylko wykonawcą wskazówek Ministerstwa Spraw Zagranicznych i samodzielnej roli nie odegrał. W sytuacji, gdy w 1936 roku minister Beck obrał politykę wielostronnych nacisków na Litwę i taktyka ta nie przyniosła wyników, zaś sytuacja uległa dużemu zaostreniu – misja Katelbacha straciła sens⁵⁰.

Ożywiona polityczna aktywność Katelbacha nie przeszkadzała mu w pracy dziennikarskiej. W okresie pobytu w Kownie w latach 1933-1936 na łamach *Gazety Polskiej* i innych czasopism zamieścił ponad dwieście reportaży, wywiadów i artykułów na tematy litewskie. W 1938 roku ukazał się ich wybór w formie książkowej pod wymownym tytułem: „Za litewskim murem”. Oprócz doraźnych uwag politycznych teksty zawierają bardzo wiele cennych spostrzeżeń na temat bieżącego życia Litwy, jej problemów gospodarczych i kultury. W polskiej literaturze do dzisiaj jest to stosunkowo najpełniejsza panorama informacji o międzywojennej Republice Litewskiej.

49. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, [w:] „Przyjaźnie i antagonizmy”, s. 163.

50. Tenże, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, Warszawa 1997, s. 296.

W książce znacznie bardziej niż w tekstach prasowych autor pozwolił sobie jednak na zapal polemiczny, dając upust niechęci na przykład wobec litewskich elit. Według niego niepodległość Litwy i antypolski kierunek jej polityki zagranicznej były dziełem Niemców i Rosjan. To oni zaszczepili Litwinom nienawiść do Polski.

Bez politycznej i gospodarczej pomocy oraz czujnej opieki rewizjonistycznego frontu moskiewsko-berlińskiego, skierowanego zgodnie przeciw Polsce, sama Litwa nie byłaby w stanie odciąć się od więzi historycznych, kulturalnych, nawet psychologicznych, które ukształtowały wieki wspólnych dziejów⁵¹.

Litewskie elity na siłę odcięły państwo od Polski, utrzymywały społeczeństwo w zakłamaniu, wmówiły mu nową fałszywą i koniunkturalną wizję wspólnej historii.

W dusze z natury skromnych, pracowitych rolników, zajętych przede wszystkim troskami materialnymi zaszczepiono niebezpieczny bakcyl chorobliwej megalomanii⁵².

Megalomania ta wyrażała się głównie w pretensjach do polskiego Wilna. Litwini domagali się od Polski zwrotu części terytoriów, które przecież zupełnie bezzasadnie uważają za swoje. Dopiero sukcesy polskiej polityki zagranicznej w latach trzydziestych obnażyły wobec świata prawdziwe oblicze litewskich obaw w stosunkach z Polską.

Okazało się oto, że na dnie tego buńczucznego megalomańskiego imperializmu Litwinów [...] tkwi najpospolitszy «kompleks niższości» wyrosły na podłożu obawy przed tym, aby normalny sąsiedzki proces polsko-litewskiego współżycia nie zagroził słabej roślince odradzającej się z takim trudem narodowej kultury litewskiej⁵³.

Według Katelbacha, Polska zawsze postępowała w stosunku do Litwy uczciwie, cierpliwie czekając na opamiętanie kowieńskich elit i wierząc, „że odrodzona Litwa samodzielnie,

51. T. Katelbach, „Za litewskim murem”, s. 371.

52. Tamże, s. 372.

53. Tamże, s. 373-374.

bez żadnego nacisku ze strony Polski, dokona rewizji swej polityki polskiej”. Rzekome polskie antylitewskie represje podjęte na Wileńszczyźnie w rzeczywistości były tylko akcjami porządkowymi wymierzonymi w nielicznych kowieńskich agentów⁵⁴.

To Litwa ponosiła odpowiedzialność za tak zły stan wzajemnych stosunków. Kowieńscy politycy jakby nie dostrzegali oczywistych korzyści płynących z normalizacji. Sprowokowali Polskę do „twardego kursu” na Wileńszczyźnie. Litewskim elitom, po latach zależności od Moskwy i Berlina, brakuje samodzielności i odwagi:

Mimo wielokrotnie okazywanej przez Polskę dobrej woli, mimo wyraźnie podsuwanych Litwie możliwości wycofania się ze stworzonego przez nią impasu, wycofania się z honorem, a przy tym wzmacniającego gwarancje bezpieczeństwa jej suwerenności, Litwa nie umiała zdobyć się na śmiały, otwarty krok porozumiewawczy. Zachowaniem swym doprowadziła wreszcie do tego, że Polska zdecydowała się na likwidację wybujałych przesterów litewskich na Wileńszczyźnie. (...) W Polsce narastających wciąż nowych generacji, którym obce są najzupełniej sentymenty polsko-litewskiej przeszłości, polityka litewska lat ostatnich wywołała uczucie nieobserwowanej przedtem antylitewskiej wrogości⁵⁵.

Po powrocie do kraju w 1937 roku Katelbach na stałe osiadł w Warszawie, gdzie został dyrektorem działu filmowego Polskiej Agencji Telegraficznej.

Na początku 1938 roku w polskim MSZ uznano, iż należy uczynić krok, który definitywnie przetnie niecodzienny gordyjski węzeł międzypaństwowego konfliktu polsko-litewskiego. Pretekstu dostarczył incydent graniczny, w wyniku którego 11 marca zginął żołnierz KOP. Do Kowna wysłano niezwłocznie (17 marca) notę ultymatywną, w której polski rząd zażądał natychmiastowego nawiązania stosunków dyplomatycznych. W przeciwnym wypadku, jak głosiła nota: „rząd polski własnymi środkami zabezpieczy słuszne interesy swego państwa”. W całej Polsce odbywały się inspirowane przez władze demonstracje, w czasie których wzywano do marszu „na

54. Tamże, s. 375.

55. Tamże, s. 378-379.

Kowno”. W Wilnie rozgorączkowany tłum obrzucił kamieniami gmach litewskiego gimnazjum, przy granicy demonstracyjnie postawiono w stan gotowości oddziały wojskowe⁵⁶.

Katelbach z radością i satysfakcją powitał wiadomość o ultimatum. Jak pisał w *Gazecie Polskiej*, „przebrała się miara polskiej cierpliwości”, gdyż wreszcie wyrosło w Polsce nowe pokolenie pozbawione sentymentu wobec Litwy. Wspominał, że w początkach pobytu w Kownie nieraz namawiał Litwinów do pośpiechu i porozumienia z Polską „póki żyje Marszałek”, pełen życzliwości dla kraju swoich przodków. Teraz jest już za późno – kowieńskie władze stanęły wobec siły i żelaznego zdecydowania nowej Polski, pewnie prowadzonej przez nowego wodza – marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza⁵⁷. Na prośbę Becka Katelbach wystąpił przed mikrofonami radia i – jak sam to określił – „w serdecznych słowach” nawoływał Litwę do przyjęcia ultimatum⁵⁸.

Po krótkim wahaniu, w nocy z 18 na 19 marca 1938 roku Litwa, zagrożona w tym czasie także niemieckimi roszczeniami wobec Kłajpedy, zaakceptowała polskie warunki. Uczyniono zatem pierwszy krok do pełnej normalizacji stosunków. Katelbach w *Gazecie Polskiej* na gorąco pisał o doniosłej chwili wzajemnego poznania i porozumienia nowej Polski z nową Litwą: „zblizamy się do niej: my i Litwini, niewątpliwie z odmiennymi uczuciami. Litwini z przysłowiową, nieco przesadnie przysłowiową nieufnością, my w zrozumiałym nastroju radosnego podniecenia”⁵⁹.

Powszechnie oczekiwano, iż to on właśnie zostanie desygnowany na pierwszego polskiego posła w Kownie, jednakże Litwini kategorycznie i z oburzeniem sprzeciwili się nominacji⁶⁰. Katelbach nie ukrywał rozgoryczenia. Odrzucił wysuniętą pośpiesznie jako rekompensatę propozycję wyjazdu do Gdańska w charakterze nieoficjalnego wysłannika MSZ.

56. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, Warszawa 1997, s. 309-327.

57. T. Katelbach, „Przebrała się miara cierpliwości...”, [w:] *Gazeta Polska* 18 marca 1938.

58. Tenże, „Moja misja kowieńska”, s. 94.

59. Tenże, „Pokój z Litwą”, [w:] *Gazeta Polska* 20 marca 1938.

60. P. Łossowski, „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939”, [w:] „Przyjaźnie i antagonizmy”, s. 163.

Posłem w Kownie ostatecznie został Franciszek Charwat, dotychczasowy reprezentant Polski w Łotwie. Katelbach został doradcą ministra do spraw litewskich. Jednak Charwat już w maju 1938 roku doprowadził do definitywnego „zdania spraw litewskich przez Katelbacha” na swoje ręce⁶¹. Niejako na otarcie łez jesienią 1938 roku Katelbach został wybrany senatorem z województwa lubelskiego z ramienia Obozu Zjednoczenia Narodowego. Również jesienią tego roku wybrał się w swoją, jak się miało okazać ostatnią, prywatną podróż na Litwę.

Po wybuchu II wojny światowej Katelbach znalazł się na emigracji, pełnił funkcję szefa referatu niemieckiego w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji Rządu RP. W 1941 roku raz jeszcze otarł się o sprawy litewskie, uczestnicząc w rozmowach prowadzonych z emigracyjnymi politykami litewskimi w Lizbonie⁶². Po 1945 roku pozostał na emigracji, pracował m.in. w Radiu Wolna Europa, a w drugiej połowie lat sześćdziesiątych osiadł w USA, gdzie związał się z Instytutem Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Na wychodźstwie angażował się w życie polityczne polskich środowisk, pozostał także płodnym publicystą, dobrze znanym czytelnikom *Zeszytów Historycznych, Kultury*, londyńskich *Wiadomości*. Wspólnie z Edmundem Jakubowskim (Żagiellem, dobrze znanym z *Kultury*), dawnym współpracownikiem z lat kowieńskiej misji, opracowali książkę poświęconą litewskim Polakom, jak do tej pory jednak nieopublikowaną, pozostającą w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego⁶³. Tadeusz Katelbach zmarł w Nowym Jorku w 1977 roku.

Jego biograf, Sławomir Cenckiewicz, określił Katelbacha jako typowego przedstawiciela swego pokolenia, „pokolenia Polski niepodległej”⁶⁴. Wydaje się, iż to określenie do pew-

61. AAN, MSZ, t. 10469, k. 35, Opracowanie „Litwa” z 30 maja 1938; T. Katelbach, „Moja misja kowieńska”, s. 94.

62. K. Tarka, „Konfrontacja czy współpraca? Litwa w polityce Rządu Polskiego na uchodźstwie 1939-1945”, Opole 1998, s. 71-73.

63. S. Cenckiewicz, „U kresu ostatniego etapu. Emigracyjna działalność Tadeusza Katelbacha (1945-1977)”, [w:] T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, s. 354.

64. Tenże, „Tadeusz Katelbach (1897-1977). Biografia polityczna”, s. 163.

nego stopnia wyjaśnia również stosunek Katelbacha do spraw litewskich. Pokoleniu wychowanemu w dziewiętnastowiecznej polskiej tradycji romantycznej i niepodległościowej trudno było pogodzić się z aspiracjami mniejszych narodów zamieszkujących tereny dawnej Rzeczypospolitej. Nie rozumiano także nowej „chłopskiej” Litwy i państwowotwórczej determinacji jej budowniczych. Jako aksjomat przyjmowano, iż najlepszym rozwiązaniem dla „młodych narodów” (Litwinów, Białorusinów, Ukraińców) będzie pozostanie pod tradycyjnymi polskimi wpływami tak kulturalnymi, jak politycznymi. Dla tego pokolenia narodowe aspiracje Litwinów były raczej antypolskim separatyzmem, sami Litwini – nieświadomą masą otumanioną przez pełnych złej woli liderów, a litewskie państwo – antypolskim i koniunkturalnym wytworem Niemców i Rosjan. Katelbach do końca życia postrzegał Litwę wyłącznie przez pryzmat historii i współczesnych interesów Polski. Nie chciał zaakceptować nowej Litwy, chociaż trzeba przyznać, że robił wiele, aby ją zrozumieć. Nie odpowiadała jego wyobrażeniom usamodzielniona „młodsza siostra”, oddzielona od Polski i z nią skłócona, nie pragnąca ani opieki, ani dalszych wpływów polskiej kultury. Taki obraz nie odpowiadał wyobrażeniom wielu przedstawicieli tego pokolenia, nie mogących i nie chcących zaakceptować nowej, wcale nieromantycznej dwudziestowiecznej rzeczywistości.

Krzysztof BUCHOWSKI

K. Buchowski – ur. w 1969 r. w Sejnach. Studia historyczne Uniwersytet Warszawski – Filia w Białymstoku, doktorat pod kierunkiem prof. P. Łossowskiego, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu w Białymstoku, autor książek „Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918-1940” (Białystok 1999) oraz „Panowie i żmogusy. Stosunki polsko-litewskie w międzywojennych karykaturach” (Białystok 2004).

Marcin FATALSKI

PODSEKRETARZ STANU SUMNER WELLES A SPRAWY POLSKIE W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ

W czasie długiej prezydentury Franklina Delano Roosevelta Sumner Welles był jedną z czołowych osobistości amerykańskiej polityki zagranicznej. Ten wytrawny dyplomata i doradca prezydenta w zakresie spraw międzynarodowych, pełniąc przez szereg lat wiele ważnych funkcji w amerykańskiej służbie dyplomatycznej, nie tylko realizował koncepcje Roosevelta, lecz stał się współarchitektem wielu programów i inicjatyw o fundamentalnym znaczeniu, by wymienić tylko Politykę Dobrego Sąsiedztwa, Kartę Atlantycką czy projekty powojennej organizacji międzynarodowej.

Charakterystyka roli, jaką Welles odgrywał w amerykańskiej polityce zagranicznej, musi być przedmiotem odrębnego studium, ponieważ zakres jego działalności obejmował wszystkie w zasadzie kierunki aktywności USA w świecie. Nie sposób jednak wyjaśnić wagi kontaktów podsekretarza stanu z politykami i dyplomatami polskimi bez najogólniejszego choćby omówienia jego miejsca w dyplomatycznym Waszyngtonie¹.

1. W ostatnich latach wzrosło zainteresowanie badaczy osobą S. Wellesa, jego działalnością dyplomatyczną, wpływem na politykę amery-

Kierownikiem amerykańskiej polityki zagranicznej jest, jak wiadomo, sekretarz stanu. W dobie Rooseveltońskiej to prestiżowe i wpływowe stanowisko zajmował Cordell Hull, w dniu wybuchu wojny blisko siedemdziesięcioletni polityk Partii Demokratycznej. Pod względem formalnym Welles – podsekretarz stanu – był właściwie jego zastępcą, w rzeczywistości jednak to właśnie on, nie zaś Hull, cieszył się zaufaniem i poparciem Roosevelta, to na nim prezydent polegał w sprawach międzynarodowych. Był szef dyplomacji sowieckiej, a w latach wojny ambasador w Waszyngtonie, Maksym Litwinow w obszernej notatce przeznaczony dla kierownictwa sowieckiego wyjaśniał, że Cordell Hull nie jest w rzeczywistości jedynym szefem Departamentu. W otoczeniu sekretarza stanu są dyplomaci tacy, jak Welles, „którzy osobiście posiadają mnóstwo pieniędzy, być może dziesiątki milionów i są absolutnie niezależni w swoich karierach”. Zachowują oni wpływ na szefa państwa, „czego nie można powiedzieć o Hullu, którego łączą z prezydentem tylko związki partyjne i ideologiczne. Hull jest w konflikcie z niektórymi ze swoich współpracowników” – podsumowuje Litwinow i nie ulega wątpliwości, iż odnosił te słowa do sekretarza stanu i jego zastępcy².

Sumner Welles odgrywał szczególną rolę w Departamencie, usurpując sobie prerogatywy sekretarza stanu, a odpowiedzialność za taki stan rzeczy spadała w znacznym stopniu na prezydenta, który pomijał Hulla i faworyzował podsekretarza, stwarzając mu tym samym warunki do realizacji własnych,

kańską i miejscem w elicie władzy: I. F. Gellman, „Secret Affairs: Franklin Roosevelt, Cordell Hull, and Sumner Welles”, Baltimore, London 1995 i ciekawa recenzja: J. H. Stiller, „Back Stabbing at State”, „Diplomatic History”, vol. 20, no. 2, Spring 1996, s. 261-265; B. Welles, „Sumner Welles: FDR’s Global Strategist”, New York 1997 (autor jest synem S. Wellesa); Ch. D. O’Sullivan, „Sumner Welles, Postwar Planning, and the Quest for a New World Order, 1937-1943”, Columbia University Press, [w:] <http://www.gutenberg-e.org/osc01> (2.05.2003).

2. M. Litwinow do W. Mołotowa, 2 VI 1943, [w:] A. Perlmutter, „FDR & Stalin: A Not So Grand Alliance, 1943-1945”, Columbia, Ms. 1993, Appendix 2, s. 238-239 (w dokumencie błędnie zapisane nazwisko Wellesa; por. *ibidem*, s. 89-90). Cytowany dokument pochodzi z archiwów rosyjskich.

nieograniczonych ambicji politycznych³. Nienormalna sytuacja w Departamencie Stanu frustrowała Hulla, doprowadzając ostatecznie do wysunięcia przez niego żądania dymisji zastępcy latem 1943 r., w przededniu konferencji w Quebecu⁴. W swojej krucjacie przeciw Wellesowi sekretarz stanu znalazł sojusznika w osobie byłego ambasadora USA w Moskwie i Paryżu, Williama Bullitta. Wykorzystując pewne informacje dotyczące życia prywatnego Wellesa, mocno wówczas kompromitujące, wywierali oni stały nacisk na prezydenta i ostatecznie wymusili na Roosevelcie odsunięcie podsekretarza⁵. Po rezygnacji we wrześniu 1943 r. Welles nigdy nie powrócił już do służby publicznej.

Przed wybuchem wojny Sumner Welles miał jedynie sporadycznie do czynienia ze sprawami polskimi; nawet w przededniu konfliktu sprawy środkowoeuropejskie były dla podsekretarza dość odległe. Pierwszy poważny kontakt Wellesa z członkami rządu polskiego miał miejsce w czasie jego misji w Europie w 1940 r. Od tego momentu kontakty te były częstsze, przede wszystkim z ambasadorem Janem Ciechanowskim, ale też z premierem Sikorskim, który trzykrotnie odwiedzał Waszyngton prowadząc tam długie rozmowy z podsekretarzem stanu.

W zakresie generalnych założeń Welles pozostawał bliski prezydentowi, dlatego jego stanowisko wobec miejsca Polski w powojennym łańdże europejskim, czy szerzej – wobec kształtu porządku europejskiego, było pokrewne Rooseveltofskiej koncepcji przyszłości Europy. Podobnie jak inni bliscy doradcy Roosevelta, podsekretarz stanu odcisnął też

3. Por. Ch. E. Bohlen, „Witness to History 1929-1969”, (ed.) R. H. Phelps, London 1973, s. 129. Wszystkie relacje z tego okresu zgodnie podkreślają aspiracje i władzę osobowość S. Wellesa.

4. Na temat konfliktu między Hullem a Wellesem obszernie: I. F. Gellman, *op.cit.*; B. Welles, *op.cit.*; liczne fragm.; mimo istotnych sporów merytorycznych, m.in. w odniesieniu do spraw latynoamerykańskich czy kształtu powojennej organizacji międzynarodowej, wzajemna niechęć obu polityków miała przede wszystkim charakter osobisty.

5. Warto wspomnieć, że Bullitt osiągnął wprawdzie cel, jednak Roosevelt nigdy nie wybaczył mu udziału w intrydze, oświadczając, że nie chce go więcej widzieć, gdy ten zjawił się w Białym Domu oczekując nowej nominacji; R. Dallek, „Franklin D. Roosevelt and American Foreign Policy”, 1932-1945, New York 1979, s. 421.

piętno własnych koncepcji na kształcie amerykańskiej polityki zagranicznej w tych przełomowych latach, ponosząc większą niż inni waszyngtońscy politycy odpowiedzialność za jej osiągnięcia i niepowodzenia. Także te, które w tak dramatyczny sposób określiły przyszłość Polski⁶. Oczywiście staje się zatem potrzeba zapełnienia wyraźnej luki w bogatym dorobku historiografii poświęconym polityce Waszyngtonu w kwestii polskiej w latach II wojny światowej.

Pierwsze rozmowy między Wellesem a kierownictwem polskim miały miejsce w trakcie jego podróży do Europy w 1940 r. Europejska misja Wellesa rodzi kontrowersje badaczy, którzy nie są zgodni co do jej genezy oraz celów, jakim miała służyć⁷. Welles nie mógł bowiem składać żadnych propozycji ani zaciągać zobowiązań, co zresztą do znudzenia podkreślały oficjalne czynniki amerykańskie we wszystkich enuncjacjach na temat jego podróży w celu uspokojenia rodzimych izolacjonistów⁸. Jakikolwiek nadzieje wiązali w rzeczywistości z tą misją Roosevelt i podsekretarz stanu, okazała się ona w zasadzie chybioną inicjatywą i tak naprawdę jedyną konkretną propozycją, jaką otrzymał Welles, była oferta 50 tysięcy dolarów za prawa do jego relacji z przebiegu misji⁹.

Pytanie o przyszłość państwowości polskiej miało z punktu widzenia trwałości nowego ładu europejskiego charakter fundamentalny. Polska tworzyła wraz z Francją i Wielką Brytanią koalicję i choć po klęsce militarnej nie był to sojusz równoprawny, jednak nie było można rozpatrywać jakiegokolwiek możliwości zakończenia wojny bez uregulowania sprawy polskiej. Wszystko wskazuje, że do spotkania między

6. Por. *ibidem*; A. Perlmutter, „FDR & Stalin: A Not So Grand Alliance”, s. 59.

7. Obszerny raport Wellesa z przebiegu misji opublikowany [w:] *Foreign Relations of the United States. Diplomatic Papers* [dalej: FRUS] 1940, vol. I, Washington 1959, s. 21-117. Na ten temat m.in.: R. Dallek, *op.cit.*; W. R. Rock, „Chamberlain and Roosevelt: British Foreign Policy and the United States, 1937-1940”, Columbus 1988; C. A. MacDonald, „The United States, Britain and Appeasement, 1936-1939”, Oxford 1981; H. Batowski, „Rok 1940 w dyplomacji europejskiej”, Poznań 1981.

8. Oświadczenie prezydenta USA dla prasy, cyt. w telegramie sekretarza stanu do *chargé d'affaires* amb. w Paryżu, 9 II 1940 (taką data oświadczenia), FRUS 1940, vol. I, s. 4.

9. I. F. Gellman, „Secret Affairs,” s. 192.

podsekretarzem a polskim premierem i szefem dyplomacji doszło za sprawą Neville'a Chamberlaina, który zasugerował to prezydentowi Rooseveltowi. Może był to skutek zabiegów ministra Augusta Zaleskiego, któremu bardzo zależało na takim spotkaniu¹⁰.

Przełom w myśleniu o roli Stanów Zjednoczonych jako prawdopodobnego filaru koalicji odpierającej agresję Osi nastąpił dopiero po katastrofie Francji w 1940 r., jednak kierownicy polskiej polityki zagranicznej, przede wszystkim zaś gen. Władysław Sikorski, od początku doceniali wagę relacji z Waszyngtonem. Stąd też wizytę Sumnera Wellea w Paryżu wczesną wiosną 1940 r. kierownictwo polskie potraktowało z wielką powagą, widząc w niej okazję do przedstawienia stanowiska polskiego wpływowemu przedstawicielowi administracji Roosevelta. Do rozmów między podsekretarzem stanu a premierem Sikorskim i ministrem Augustem Zaleskim doszło przy okazji wizyty Wellea w Paryżu, która była kolejnym etapem jego misji dyplomatycznej w Europie¹¹.

W ocenie samego Wellea jednak to nie stanowisko polskiego rządu emigracyjnego miało kluczowe znaczenie, w konsekwencji nie przeceniał znaczenia rozmowy z Sikorskim i Zaleskim. Prezydencki wysłannik spoglądał na sytuację europejską z perspektywy poszukiwania możliwości przezwyciężenia kryzysu, w tej sytuacji przykładał wagę do przebiegu rozmów z głównymi rozgrywającymi na europejskiej scenie politycznej, zaś polscy politycy do nich nie należeli. Leżało jednak w zwyczaju Sumnera Wellea z uwagą wysłuchiwać opinii swoich rozmówców, które mogły dać pożywkę jego własnym koncepcjom; tak potraktował zapewne spotkanie z Sikorskim i Zaleskim, choć ten pierwszy kontakt z polskim kierownictwem nie wywarł na nim większego wrażenia. W swojej ostatniej książce Sumner Welles poświęcił

10. Premier Chamberlain do amb. Lorda Lothiana, telegram niedatowany, FRUS 1940, vol. I, s. 1-2; P. Wandycz, „Z Piłsudskim i Sikorskim. August Zaleski minister spraw zagranicznych w latach 1926-1932 i 1939-1941”, Warszawa 1999, s. 184.

11. Nie powiodły się zabiegi strony polskiej o przybycie Sumnera Wellea do Angers, co miałoby znaczenie prestiżowe; *ibidem*.

postaci generała Sikorskiego kilka uwag, zaliczając go do najwybitniejszych mężów stanu czasów II wojny światowej¹². Opinia ta odbiegała znacznie od oceny generała, jaką sformułował po pierwszym spotkaniu.

Generał Sikorski – pisał Welles w notatce z rozmowy – zrobił na mnie wrażenie człowieka z charakterem, prawego i patrioty, ale bez szczególnych możliwości intelektualnych¹³.

Niesprawiedliwa ocena, sformułowana prawdopodobnie pod wpływem nieco patetycznej pozy premiera, uległa później zasadniczej rewizji. Pisząc o Sikorskim z perspektywy czasu, Welles z uznaniem odnosił się do jego polityki, którą oceniał jako pragmatyczną i dojrzałą.

W czasie paryskich rozmów Sikorski starał się nawiązać jak najlepszą relację z amerykańskim wysłannikiem. Podkreślał demokratyczny charakter kierowanego przez siebie rządu i wagę, jaką strona polska przywiązuje do stosunków z USA. Odwzajemniając deklaracje przyjaźni między dwoma narodami, Welles postawił generałowi pytanie kluczowe z punktu widzenia swojej misji: czy w istniejących okolicznościach widzi on możliwość zawarcia „sprawiedliwego i trwałego pokoju”. Odpowiedź Sikorskiego była jednoznacznie negatywna. Premier szeroko omówił rozwój sytuacji międzynarodowej prowadzący do wybuchu wojny, wytykając przy okazji politykom zachodnioeuropejskim oraz byłemu kierownictwu polskiemu zaślepienie wobec narastającego niebezpieczeństwa ze strony Niemiec¹⁴. Sikorski obarczył przywódców sanacyjnych odpowiedzialnością za zaniechanie

12. S. Welles, „Seven Major Decisions”, London 1951, s. 133; w literaturze najczęściej cyt. amerykańskie wydanie: *idem*, „Seven Decisions That Shaped History”, New York 1951.

13. Raport Wellesa, notatka z rozmowy z Sikorskim i Zaleskim, 9 III 1940, FRUS 1940, vol. I, s. 72. Biograf Sikorskiego Olgierd Terlecki wziął po latach odwet na Amerykaninie stwierdzając kąśliwie, że „sam Welles nigdy nie został zaliczony do wybitnych intelektualistów”; O. Terlecki, „Generał Sikorski”, t. 1, Kraków 1981, s. 219.

14. Sprawozdanie z rozmowy Sikorskiego z Wellesem, „Protokoły z posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, październik 1939 – czerwiec 1940” [dalej PPRM], oprac. W. Rojek przy współpracy A. Suchcizy, t. I, Kraków 1994, s. 237-238.

mobilizacji powszechnej we właściwym czasie, co – jak stwierdził – „jest przyczyną główną naszej szybkiej klęski”¹⁵. Pomijając kwestię, czy premier powinien poruszać kwestię rzekomych zaniedbań swoich poprzedników na stanowisku szefa rządu i naczelnego wodza, ocena przyczyn „szybkiej klęski” Polski wypadła wyjątkowo niefortunnie, co znalazło wyraz w notatce Wellesa¹⁶.

Premier nie widział możliwości zawarcia porozumienia z reżimem nazistowskim, odpowiedzialnym za wywołanie wojny i liczne zbrodnie w okupowanej Polsce. Jego argumentacja, podnosząca wprawdzie konieczność przywrócenia terytorialnego *status quo*, nacechowana była przede wszystkim refleksją etyczną, bardzo emocjonalną i najwyraźniej nie przemawiała do amerykańskiego dyplomaty. Sikorski niezwykle optymistycznie oceniał przygotowanie wojenne sprzymierzonych. Podkreślał ich determinację i solidarność, co Welles chętnie potwierdził stwierdzając, że Francuzi są *tres fermes*. Jeśli jednak wierzyć pamiętnikom Amerykanina, w rzeczywistości odniósł on wrażenie kompletnego marazmu, apatii i atmosfery „oczekiwania na miażdżącą katastrofę” panującej we francuskiej stolicy¹⁷.

W czasie rozmowy poruszono również kwestię sowiecką. Tak Welles, jak i polski premier postrzegali ZSSR jako niemieckiego sojusznika. Obaj zgodnie stwierdzili, że Moskwa potrzebuje czasu na zmobilizowanie swojego potencjału; Welles twierdził, że „na pełne uruchomienie Rosji potrzeba więcej jak dwóch lat”, Sikorski był jeszcze bardziej pesymistyczny¹⁸. Polityka sowiecka nie była w czasie tego pierwszego spotkania kwestią pierwszorzędą i rozmówcy nie rozwinęli tematu miejsca Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej, ograniczając się do zagadnień wojskowych. Swoją uwagę poświęcili też polityce Włoch, która była przedmiotem

15. *Ibidem*, s. 238.

16. Notatka Wellesa z rozmowy z Sikorskim i Zaleskim, 9 III 1940, FRUS 1940, vol. I, s. 72.

17. S. Welles, „The Time for Decision”, New York and London 1944, s. 121.

18. Sprawozdanie z rozmowy Sikorskiego z Wellesem, PPRM, *op.cit.*, s. 239-240.

wielkiego zainteresowania Waszyngtonu¹⁹. Welles podkreślał przychylnie dla Polski stanowisko Rzymu, w szczególności ze strony szefa dyplomacji ministra Galeazzo Ciano. Amerykanin, który swoją misję rozpoczął od wizyty nad Tybrem, pozostawał pod dużym wrażeniem Mussoliniego: „Mussolini nie jest Hitlerem – przekonywał Sikorskiego – to zupełnie inna klasa człowieka”²⁰. „Niech Pan Generał zwróci uwagę na Rzym” – zachęcał. Sikorski także wysoko ocenił włoskiego dyktatora, jednak sprowadził rzecz do właściwych proporcji zwracając uwagę, że przecież „Włochy są złączone z III Rzeszą wspólną państw autorytatywnych”²¹.

W notatce sporządzonej ze spotkania z polskimi dygnitarzami podsekretarz stanu odnotował różnicę między optymistycznie nastawionym Sikorskim a Zaleskim, który jawił mu się jako pesymista. Welleśa zwiść miała „niezmienne kwaśna i jakby znudzona twarz polskiego ministra”²², ale Zaleski był też generalnie znacznie bardziej powściągliwy od Sikorskiego i z chłodem dyplomaty oceniał wydarzenia polityczne. Znalazło to wyraz także w przypadku rozmów z Sumnerem Wellesem, których znaczenia, inaczej niż premier, polski minister nie przeceniał. Jak zauważa Piotr Wandycz, „Zaleski zapewne uważał za istotne to, co Wellesowi powiedzieli na temat Polski francuscy i brytyjscy sojusznicy oraz Hitler i Mussolini”²³.

W czasie rozmowy z Zaleskim interesowało Welleśa, „co istotnie Minister Beck obiecał Hitlerowi w Berchtesgaden”²⁴, co polscy dyplomaci trafnie odczytali jako chęć skonfrontowania przezeń wersji, którą usłyszał od Ribbentropa i Hitlera

19. W ocenie Białego Domu dalszy rozwój sytuacji zależeć miał w dużej mierze od decyzji Mussoliniego o przystąpieniu do wojny, stąd zabiegi Roosevelta o zachowanie przez Włochy neutralności, czemu miały służyć także rzymskie rozmowy Welleśa z Mussolinim i Ciano, por. D. Drummond, „The Passing of American Neutrality, 1937-1941”, Ann Arbor, Mich. 1955, s. 86.

20. Sprawozdanie z rozmowy gen. Sikorskiego z S. Wellesem, *op.cit.*, s. 243.

21. *Ibidem*.

22. O. Terlecki, „Generał Sikorski”, s. 219.

23. P. Wandycz, *op.cit.*, s. 185.

24. Notatka z rozmowy Zaleskiego z Wellesem, 9 III 1940, Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN], Ambasada Waszyngton, sygn. 2929.

w Berlinie²⁵. Zaleski omówił żądania wysunięte wobec Becka przez niemieckiego kanclerza. Beck – wyjaśniał Zaleski – stwierdził, że sprawa Gdańska jest trudna, ale wyraził nadzieję, że znajdzie się sposób na ułatwienie komunikacji między Rzeszą a Prusami Wschodnimi. W rozmowie z Ribbentropem zastrzegł jednak, że z jego wypowiedzi nie należy wnioskować, iż możliwa jest rezygnacja Polski z jej praw suwerennych do Gdańska i Pomorza²⁶. Welles wyraźnie podkreślił, że ważne jest dokładne ustalenie, iż nie było dalej idących obietnic Becka. Czy podsekretarz wciąż jeszcze nie wyzbył się złudzeń co do sposobu działania dyplomacji hitlerowskiej, przykładając wagę do rewelacji, które usłyszał w Berlinie? W czasie pobytu w Paryżu i Londynie przyjdzie mu usłyszeć jeszcze wiele o kłamstwach szefa Auswärtiges Amt i kanclerza.

W dalszej części rozmowy dyplomaci poruszyli sprawy polityki włoskiej zgadzając się, że Włochy są przychylnie ustosunkowane do Polski. Welles ponownie wysoko ocenił Mussoliniego, któremu przypisywał „wielką inteligencję i zalety męża stanu”. Trudno wyjaśnić powody, dla których Amerykanin tak bardzo cenił *duce*; być może wierzył w jego dobre intencje oraz zdolności przywódcze, owo *statesmanship*, do którego tak często się odwoływał i w którym upatrywał drogę przezwyciężenia konfliktów europejskich²⁷. Szef polskiej dyplomacji był bardziej powściągliwy choć przyznawał, że Mussolini to polityk przebiegły – *un charmeur*, który potrafi oczarować rozmówcę, by przekonać go do swoich racji²⁸.

W czasie spotkania z Zaleskim wręczono Wellesowi materiały odnoszące się do sytuacji europejskiej oraz położenia ludności polskiej, przygotowane uprzednio z racji wagi, jaką

25. Okólnik MSZ do placówek dyplomatycznych, Nr 5, 10 III 1940, AAN, Poselstwo Berno, sygn. 318.

26. Notatka z rozmowy Zaleskiego z Wellesem w Paryżu, 9 III 1940, AAN, Ambasada Waszyngton, sygn. 2929.

27. *Ibidem*; cytowane słowa o Mussolinim były i tak oględne; sekretarz skarbu Henry Morgenthau, Jr. miał usłyszeć od Wellesa, iż Mussolini „was the greatest man that he [Welles] ever met”, cyt. [w:] I. F. Gellman, *op.cit.*, s. 198 (za diariuszem Harolda Ickesa).

28. Notatka z rozmowy Zaleskiego z Wellesem, *ibidem*.

strona polska przywiązywała do jak najpełniejszego przedstawienia swojego stanowiska wysłannikowi Roosevelta²⁹.

Pierwsze kontakty Wellesa z politykami polskimi dały jedynie okazję do wymiany poglądów. Polski premier dał się zwięźle zawodowej uprzejmości dyplomaty amerykańskiego, który miał mu wyznać, że ich wspólna rozmowa była najcenniejszą ze wszystkich, które przeprowadził w czasie swojej misji. Najmniej umiaru okazał Stanisław Stroński, porównując wagę rozmów z Wellosem do wystąpienia Woodrow Wilsona w sprawie odbudowy państwa polskiego³⁰. Były też głosy bardziej powściągliwe, jak ten Ignacego Schwarzbarta pytającego ministra spraw zagranicznych „czy była tylko woń róż w rozmowie z panem Wellosem, czy też były jakieś oświadczenia konkretne w sprawach istotnego bytu przyszej Polski”³¹.

Należy ocenić, że z punktu widzenia interesów polskich było to jednak ważne spotkanie i duży sukces prestiżowy³². Ze względu na stanowisko Stanów Zjednoczonych nie zaangażowanych w żaden sposób w konflikt europejski, nie mogło przynieść konkretnych korzyści. Przyczyniało się jednak do realizacji podstawowego zadania dyplomacji polskiej, które – tak jak zdefiniował je Zaleski – polegało na wytworzeniu w opinii światowej „przekonania o nienaruszalności jego [tj. państwa polskiego – MF] istnienia”³³. Zacieśnianie relacji z USA należało do priorytetów polskiej polityki zagranicznej, mimo że kierownictwo polskie nie przewidywało możliwości

29. W czasie rozmowy z min. Zaleskim wręczono Wellesowi „Memorandum on the European War”, Angers III 1940, AAN, Ambasada Waszyngton, sygn. 2929; zob. telegram J. Ciechanowskiego do ambasadora w Waszyngtonie, 19 III 1940, *ibidem*; notatka Wellesa z rozmowy z Sikorskim i Zaleskim, 9 III 1940, FRUS 1940, vol. I, s. 72. O niedostatkach bazy źródłowej do rozmów Wellesa z Sikorskim i Zaleskim: H. Batowski, „Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941”, Kraków 1991, s. 125.

30. O. Terlecki, *op.cit.*, s. 219; Protokół z posiedzenia Rady Ministrów, 16. III 1940, PPRM, *op.cit.*, załącznik 21 A, s. 235-236.

31. Stenogram z IX posiedzenia Rady Narodowej RP, Angers 3 IV 1940, AAN, MSZ Angers, sygn. 88.

32. H. Batowski, „Polska dyplomacja na obczyźnie, 1939-1941”, Kraków 1991, s. 126.

33. *Exposé* min. A. Zaleskiego, Stenogram z VIII posiedzenia Rady Narodowej RP w Angers, 28 III 1940, AAN, MSZ w Angers, sygn. 87.

katastrofy militarnej Francji, a w dalszej perspektywie wejścia USA do wojny³⁴.

Jako podsekretarz stanu, często występując w roli szefa dyplomacji, Sumner Welles był zaangażowany w stałe kontakty z przedstawicielami i przywódcami innych państw. Nowy ambasador polski w Waszyngtonie, dotychczasowy sekretarz generalny MSZ, wybitny dyplomata Jan Ciechanowski przeprowadził w czasie swojego urzędowania szereg rozmów z Wellesem³⁵. Podsekretarz był też głównym, obok prezydenta Roosevelta, rozmówcą polskiego premiera w czasie jego trzech oficjalnych wizyt waszyngtońskich³⁶. Zagadnienia polskie stały mu się z czasem dobrze znane, pozostając w kręgu jego zainteresowań również z racji obowiązków w zakresie planowania powojennego. Welles wcześniej zajął się pracą koncepcyjną nad kwestiami porządku powojennego³⁷. Kierując pracami tzw. podkomitetu politycznego, wraz z licznym gronem specjalistów w zakresie spraw międzynarodowych wypracowywał m.in. koncepcje uregulowania trudnych kwestii granicznych³⁸.

W latach trzydziestych Welles, ustosunkowany powściągliwie wobec Moskwy, należał jednak do zwolenników

34. Zaleski mówił o dwóch mocarstwach: Stanach Zjednoczonych i Stolicy Apostolskiej; ta ostatnia miała być jednak mocarstwem „moralnym”, *ergo* traktował USA jako najważniejszy podmiot na arenie międzynarodowej; *ibidem*.

35. Liczne relacje z tych rozmów [w:] J. Ciechanowski, „Defeat in Victory”, London 1948. Ciechanowski zastąpił Jerzego Potockiego i złożył listy uwierzytelniające 6 III 1941 r.; „Historia dyplomacji polskiej”, t. V 1939-1945, pod red. W. Michowicza, Warszawa 1999, s. 37.

36. Na temat wizyt Sikorskiego w USA zob. „Historia dyplomacji polskiej”, liczne fragm. oraz wskazana tam literatura.

37. Welles działał z polecenia Roosevelta, początkowo nieformalnie. Później zagadnienia powojenne stały się przedmiotem prac The Advisory Committee on Postwar Foreign Policy; w tych ramach działał podkomitet polityczny; „The Moffat Papers. Selection from the Diplomatic Journals of Jay Pierrepont Moffat 1919-1939”, Cambridge, Mass. 1956, s. 388; A. Mania, „Cele wojenne i pokojowe Związku Radzieckiego w studiach Departamentu Stanu w latach 1941-1944”, [w:] *idem*, „Studia z dziejów stosunków amerykańsko-radzieckich w okresie II wojny światowej”, Kraków 1989, s. 10 i n.

38. Działalność Wellesa w zakresie planowania powojennego omówiona [w:] Ch. D. O’Sullivan, „Sumner Welles, Postwar Planning, and the Quest for a New World Order...”, *op.cit.*

zacieśnienia relacji między Stanami Zjednoczonymi a ZSSR. Związek Sowiecki, „państwo zamieszkiwane przez sto siedemdziesiąt milionów ludzi i zajmujące największą zwartą powierzchnię na świecie” miało w ocenie Wellesa potencjalnie najistotniejsze znaczenie dla amerykańskich interesów w Azji, Europie oraz samych Stanów Zjednoczonych i z tej racji podejmował działania na rzecz zbliżenia obu krajów³⁹. Poważnym wyzwaniem dla tej koncepcji stała się polityka sowiecka w przededniu wybuchu wojny i w pierwszej fazie konfliktu. Welles odniósł się wrogo do zbliżenia niemiecko-sowieckiego z roku 1939. Po agresji na Polskę z 17 września dał jednoznaczny wyraz swojej ocenie wydarzeń w czasie rozmowy z ambasadorem sowieckim, którego potraktował bardzo oschle⁴⁰. Na tym wszakże jego demonstracja się skończyła. W okresie wojny sowiecko-fińskiej w 1939 r. jego niechęć do Związku Sowieckiego osiągnęła apogeum – podsekretarz opowiedział się nawet za zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Moskwą, co byłoby bardzo radykalnym i ryzykownym krokiem choćby tylko ze względu na powikłaną sytuację międzynarodową⁴¹. Dalsze agresje sowieckie spotkały się z jego stanowczą reakcją – opowiadał się konsekwentnie za polityką nieuznawania zmian terytorialnych.

„Obywatele Stanów Zjednoczonych przeciwstawiają się zaborczym działaniom niezależnie, czy są przeprowadzane siłą, czy pod groźbą użycia siły” – stwierdzał dobitnie Welles, odmawiając uznania sowieckiej aneksji państw bałtyckich i rekomendując prezydentowi utrzymanie ich przedstawicielstw dyplomatycznych w USA⁴².

39. S. Welles, „The Time for Decision”, s. 317; W ocenie Wellesa „friendly relations and cooperation should be restored particularly in view of Chinese-Japanese situation and the possibilities of world war starting in Europe”; cyt. [w:] Ch. D. O’Sullivan, *op.cit.*, Chapter 7: „The Limits of Universalism: American Postwar Planning for Eastern Europe and the USSR, 1941-1943”, s. 2.

40. Ch. D. O’Sullivan, *op.cit.*, s. 3.

41. Welles podkreślał głównie wrażenie, jakie taki krok miał wywołać w Berlinie i Tokio; „The Moffat Papers”, *op.cit.*, s. 280.

42. Oświadczenie podsekretarza stanu S. Wellesa, 27 VII 1940, The Department of State Bulletin, Vol. 111, No. 57, s. 48; Ch. D. O’Sullivan, *ibidem*.

Welles identyfikował się ze stanowiskiem całkowitej negacji zmian terytorialnych dokonanych po wybuchu wojny, wyrażającym jego przywiązanie do prawa międzynarodowego, zdecydowane potępienie agresji militarnej, przede wszystkim jednak przekonanie, że nowy porządek światowy musi być zbudowany na zdrowych podstawach⁴³. Aprobata aneksji terytorialnych – uważał Welles – skazałaby każdą próbę stworzenia stabilnego ładu międzynarodowego na porażkę. W cytowanym oświadczeniu wydanym po aneksji państw bałtyckich Welles stwierdzał, że fundamentem ładu światowego powinny być zasady nieinterwencji w sprawy wewnętrzne suwerennych państw oraz poszanowania ich integralności terytorialnej⁴⁴. Na marginesie warto wspomnieć, że w działalności dyplomatycznej Wellesa można wskazać wyraźne odstępstwa od głoszonych przez niego szczytnych zasad⁴⁵. Nie wydaje się jednak, by zasady te traktował instrumentalnie⁴⁶.

Sytuacja międzynarodowa uległa po 21 czerwca 1941 r. zasadniczej zmianie, w konsekwencji mocarstwa anglosaskie oraz rząd polski stanęły wobec konieczności określenia stanowiska wobec Związku Sowieckiego. Welles z uwagą śledził negocjacje polsko-sowieckie, uznając za rzecz konieczną przywrócenie stosunków dyplomatycznych między rządami tych państw⁴⁷. Uznał, że wybuch wojny zbliżył interesy ZSSR i USA, choć nowa sytuacja i związane z nią nadzieje nie osłabiły negatywnej oceny sowieckiej polityki współdziałania z Niemcami⁴⁸. W

43. S. Welles, „The Time for Decision”; *idem*, „Where Are We Heading?”, New York 1946; liczne fragmenty.

44. Oświadczenie S. Wellesa, 27 VII 1940, *op.cit.*

45. Misja Wellesa na Kubie w 1933 r. stanowiła klasyczny przykład ingerencji mocarstwa w wewnętrzne sprawy słabszego sąsiada; o kubańskiej misji Wellesa ciekawie: M. Kula, „Rewolucja 1933 roku na Kubie”, Wrocław 1978.

46. Por. R. Dallek, „Franklin D. Roosevelt and American Foreign Policy”, *op.cit.*, s. 421.

47. „Mr. Welles was convinced that re-establishment of Polish-Soviet relations was imperative” [w:] J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 40; zob. też: Welles do amb. przy rządzie polskim na uchodźstwie A. Drexell Biddle’a, 26. VI 1941, FRUS 1941, vol. I, Washington 1958, s. 237.

48. Oświadczenie p. o. sekretarza stanu Wellesa z 23 VI 1941, cyt. [w:] Welles do amb. w ZSSR L. Steinhardta, 23 VI 1941, FRUS 1941, vol. I, s. 767.

każdym razie restytucja stosunków polsko-sowieckich była istotna w kontekście współpracy między państwami walczącymi z hitleryzmem.

Welles – wspominał Ciechanowski – w pełni uświadamiał sobie komplikacje wynikające z wejścia ZSSR do wojny z Niemcami⁴⁹. Stronę polską interesowała przede wszystkim możliwość pozyskania wsparcia amerykańskiego w sprawie terytoriów polskich anektowanych przez Związek Sowiecki. W Waszyngtonie zabiegał o to Ciechanowski, krytykując przy tym stanowisko Londynu, który – jego zdaniem – powinien wykorzystać kwestię pomocy dla Moskwy do wywarcia pewnych nacisków na stronę sowiecką i uzyskania w zamian deklaracji zwrotu anektowanych obszarów polskich. Welles miał przychylić się do argumentacji Ciechanowskiego przyznając, że Brytyjczycy przedwcześnie tak dalece sprecyzowali swoje stanowisko wobec ZSSR⁵⁰. Uniknął jednak jakiegokolwiek zobowiązującej deklaracji w sprawie poparcia polskich oczekiwań w kwestiach terytorialnych stwierdzając, że jak dotąd strona sowiecka nie zwróciła się do rządu amerykańskiego o żadną pomoc⁵¹. Trudno w tej sprawie zarzucać dyplomacji amerykańskiej grzech zaniechania, ponieważ nacisk na stronę sowiecką mogli wywierać przede wszystkim Brytyjczycy, a i oni w stosunkowo niedługim okresie czasu⁵². Pomijając wszystkie inne ograniczenia należy też pamiętać, że Ciechanowski podjął inicjatywę w sytuacji, kiedy strona amerykańska dopiero wypracowywała stanowisko w kwestii współpracy ze Związkiem Sowieckim⁵³.

49. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 42.

50. Tak Ciechanowski, *op.cit.*, s. 40; Welles bardzo oględnie w swojej notatce z rozmowy z Ciechanowskim, por. FRUS 1941, vol. I, s. 237-238.

51. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 41; notatka Wellesa z rozmowy z Ciechanowskim; FRUS 1941, vol. I, s. 237-238.

52. Według Edwarda Raczyńskiego, wówczas ambasadora RP przy Dworze św. Jakuba, „te pierwsze tygodnie i miesiące, w których można było na Sowiech coś wymóc, to był czas bardzo niedługi, bo już przed końcem roku Sowiety odparły napad na Moskwę i od tej chwili zaczęły coraz ostrzej, coraz bezwzględniej występować politycznie”; E. Raczyński, T. Żenczykowski, „Od Genewy do Jałty. Rozmowy radiowe”, Londyn 1988, s. 45.

53. A. Mania, „Kształtowanie się amerykańskiej polityki wobec ZSRR w lecie 1941 r.”, [w:] *idem*, „Studia z dziejów stosunków amerykańsko-radzieckich”, s. 91 i n.

Ważnym problemem dyplomacji polskiej stała się na przełomie 1941 i 1942 r. sprawa negocjowanego traktatu brytyjsko-sowieckiego, w którym układające się strony miały uznać część sowieckich aneksji z okresu przed 22 czerwca 1941 r. Waszyngton konsekwentnie forsował zasadę nieuznawania żadnych zmian terytorialnych w czasie trwania wojny i zabiegał o usztywnienie stanowiska strony brytyjskiej w sprawie proponowanych klauzul terytorialnych⁵⁴. Dlatego druga wizyta Sikorskiego w Waszyngtonie mająca służyć pozyskaniu poparcia strony amerykańskiej w tej kwestii trafiła w zasadzie na podatny grunt⁵⁵. Niemniej jednak podsekretarz stanu stanowczo opowiedział się przeciw sugestii ministra Raczyńskiego, by Biały Dom wydał oświadczenie, iż prezydent poinformował szefa polskiej dyplomacji, że w kwestii granic rząd amerykański podtrzymuje wolę nieuznawania żadnych faktów dokonanych. „Uważam, że byłoby to nierozsądne z powodu naszych relacji ze Związkiem Sowieckim” – stwierdzał dobitnie w notatce dla Roosevelta⁵⁶. Ostatecznie w rozmowach z Polakami tak Roosevelt, jak i zastępujący wówczas Hulla Welles, poparli Sikorskiego. Według relacji Raczyńskiego,

Sumner Welles – na tak zwanym spotkaniu roboczym – w uroczystej formie odczytał nam oświadczenie amerykańskie, w którym rząd Stanów Zjednoczonych wypowiadał się przeciwko jakimkolwiek zmianom terytorialnym przed zakończeniem wojny⁵⁷.

Już we wcześniejszych rozmowach z Raczyńskim Welles określił żądania sowieckie jako sprzeczne z Kartą Atlantycką, jednak deklarował gotowość pozytywnego rozpatrzenia po

54. Welles prowadził w tej sprawie rozmowy z amb. Halifaxem, w których bardzo krytycznie odnosił się do zamiarów Londynu w kwestii uznania żądań sowieckich; zob. FRUS 1942, vol. III, Washington 1961, s. 519-520.

55. „Historia dyplomacji polskiej”, s. 293 i n.; pierwsza wizyta Sikorskiego miała miejsce w 1941 r. jeszcze przed przystąpieniem USA do wojny; *ibidem*, s. 190-192.

56. Welles do Roosevelta, 19 II 1942, FRUS 1942, vol. III, s. 107-108.

57. E. Raczyński, T. Żenczykowski, *op.cit.*, s. 58; Okólnik MSZ, Nr 14, 20 IV 1942, AAN, Poselstwo Berno, sygn. 320.

wojnie pretensji terytorialnych ZSSR twierdząc, że po zakończeniu wojny kraj ten powinien uzyskać „uzasadnione środki bezpieczeństwa” (*legitimate measure of security*). Określenie, co składa się na owe środki, pozostawił Welles przyszłości⁵⁸. Jego deklaracja była jednak stanowcza i tak też ocenił ją Edward Raczyński stwierdzając, że „to zapewnienie amerykańskie [o nieuznawaniu zmian terytorialnych – MF] było bardzo cenną zdobyczą” strony polskiej⁵⁹.

Wydaje się, że w okresie negocjowania traktatu brytyjsko-sowieckiego Welles bardzo pryncypialnie traktował zasadę nieuznawania w czasie trwania wojny zmian granicznych dokonanych pod przymusem⁶⁰. Ciekawe światło na istotne motywy stanowiska podsekretarza rzuca wymiana poglądów między nim a Adolfem Berle. Ten ostatni, dyplomata zajmujący wówczas stanowisko zastępcy (*assistant*) sekretarza stanu, a mający w przyszłości doradzać jeszcze prezydentowi Johnowi Kennedy'emu, w notatce sporządzonej dla Wellesa przedstawił swoje wątpliwości związane z polityką USA w kwestii granic wschodnioeuropejskich⁶¹. Berle wróżył polityce amerykańskiej odium „bałtyckiego «Monachium»”, jeśli zgodzi się na realizację sowieckich planów wobec terytoriów anektowanych do 1941 r. Kwestionował możliwość zagwarantowania prawa emigracji tym mieszkańcom ziem wcielonych do ZSSR, którzy nie godzili się na życie w warunkach sowieckiej dyktatury. Welles odpowiedział stanowczo. Jego zdaniem polityka amerykańska opierała się na zasadach wyłożonych jasno w Karcie Atlantyckiej, zaś wątpliwości

58. [E. Raczyński], „W sojusznicy Londynie. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945”, Londyn 1960, s. 138; notatka Wellesa z rozmowy z Raczyńskim, 6 III 1942, FRUS 1942, vol. III, s. 114-116. Welles oświadczył, że „questions of this character would only come up for the final determination at the conclusion of the war”.

59. E. Raczyński, T. Żenczykowski, *op.cit.*, s. 52.

60. Zdaniem A. Perlmuttera stanowisko prezydenta wynikało z dążenia do zaznaczenia roli strony amerykańskiej i nawiązania odrębnych od Wielkiej Brytanii, samodzielnych relacji z ZSSR; *idem*, „FDR & Stalin”, s. 63-64.

61. Berle do Wellesa, 3 IV 1942, FRUS 1942, vol. III, s. 539-540. Uwagi Berlego dotyczyły państw bałtyckich, jednak sprawa ta wiązała się integralnie z kwestią granic wschodnich Polski. Takie było też stanowisko rządu RP; por. E. Raczyński, T. Żenczykowski, *op.cit.*, s. 57.

Berlego wynikać miały z niewiedzy co do przebiegu rozmów amerykańsko-brytyjskich w kwestii negocjowanego traktatu. Welles, nadzwyczaj powściągliwy nawet w wypowiedziach *off the record*, w notatce dla Berlego określił stanowisko brytyjskie w kwestii państw bałtyckich nie tylko jako nieetyczne, ale także „wyjątkowo głupie” (*extraordinary stupid*).

Jestem przekonany – pisał podsekretarz stanu do Berlego – że nim Wielka Brytania podpisze ten traktat stanie wobec nowych żądań uznania praw Związku Sowieckiego do zajęcia (occupation) Bukowiny, Besarabii i co wielce prawdopodobne, wschodniej Polski i północnej Norwegii. Taki pogląd przedstawił mi generał Sikorski i ja pogląd ten podzielał [podkr. MF]⁶².

Ostateczne usztywnienie stanowiska brytyjskiego w sprawie postulatów sowieckich było sukcesem dyplomacji amerykańskiej, w pełni zgodnym z oczekiwaniami strony polskiej. Ambasador Ciechanowski, który 4 czerwca złożył wizytę Wellesowi, by „pogratulować rządowi Stanów Zjednoczonych osiągniętego rezultatu”, zastał podsekretarza w „wyjątkowo dobrym nastroju”⁶³.

Ciechanowski, uważny obserwator amerykańskiej sceny politycznej, z niepokojem przyglądał się rosnącym w Waszyngtonie wpływom zwolenników zacieśnienia współpracy amerykańsko-sowieckiej⁶⁴. Do największych admiratorów ZSSR należeli wiceprezydent Henry Wallace⁶⁵ i były ambasador w Moskwie Joseph Davis. Do tej grupy zaliczano także Sumnera Wellesa, którego pozycja była jednak szczególna, ponieważ należąc do „wewnętrzznego kręgu” (*inner circle*)

62. Welles do Berlego, 4. IV 1942, FRUS 1942, vol. III, s. 542.

63. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 118.

64. *Ibidem*, s. 119.

65. Wiceprezydent H. Wallace dawał często publiczny wyraz swoim poglądom. W jednym z wystąpień miał stwierdzić, że Rosja po I wojnie światowej została „wystawiona do wiatru” (*double crossing*), poprzez pozbawienie jej terytoriów nadbałtyckich, polskich i Besarabii. Dojście do porozumienia z ZSSR wymagało – zdaniem wiceprezydenta – zwrotu temu państwu ziem utraconych po wojnie 1914-18. Ta deklaracja wywołała zrozumiąłę konsternację polskich dyplomatów w USA; notatka *pro domo*, 9 III 1943 r., AAN, Ambasada Waszyngton, sygn. 2725.

współpracowników Roosevelta, był też jego „łącznikiem” z Departamentem Stanu, gdzie z dużo większym dystansem, a w pewnych kręgach nawet sceptycyzmem, podchodzono do perspektyw współpracy z Moskwą⁶⁶.

Welles z uwagą obserwował rozwój sytuacji militarnej na froncie niemiecko-sowieckim, aktywnie wspierając program pomocy dla ZSSR. Wraz z zacieśnianiem współpracy między aliantami, Związek Sowiecki wyrastał na głównego partnera USA w toczącej się wojnie i stawał się istotnym elementem przyszłego ładu powojennego. Znaczący wpływ na stanowisko Wellesa wywierał również prezydent, a jego uznanie dla Związku Sowieckiego i samego Stalina miało przecież stale wzrastać. Fundamentem polityki Roosevelta – tak jak ją rozumiał Welles – była wiara w możliwość trwałego porozumienia z Moskwą; prezydent nie sądził też, by charakter sowieckiego systemu politycznego stanowił przeszkodę na drodze do współpracy⁶⁷. Pod wpływem wszystkich tych czynników umacniało się przekonanie Wellesa o konieczności i – co ważniejsze – możliwości przyjaznego ułożenia stosunków z Moskwą. Uznanie Związku Sowieckiego za strategicznego partnera USA musiało rzecz jasna wpłynąć na stanowisko Wellesa wobec interesów polskich. Na przełomie lat 1942 i 1943 podsekretarz stanu doszedł do przekonania o konieczności zaakceptowania, w pewnym przynajmniej zakresie, sowieckich postulatów terytorialnych w odniesieniu do państw środkowoeuropejskich. Sprawa polska – jak ujmował to sam Welles – była najpoważniejszym problemem we wzajemnych relacjach między mocarstwami⁶⁸.

Stan relacji polsko-sowieckich na przełomie 1942 i 1943 r. stanowił dla Waszyngtonu powód do niezadowolenia, zaś zabiegi strony polskiej o poparcie USA w tej trudnej

66. T. M. Ruddy, „The Cautious Diplomat. Charles E. Bohlen and the Soviet Union, 1929-1969”, Kent, Ohio 1986, s. 17, 21-22.

67. „He [Roosevelt] felt it was indispensable that both governments should realize that in the field of world affairs their respective courses could always be parallel” [w:] S. Welles, „Where Are We Heading?”, s. 37-38. Wpływ poglądów Roosevelta jest bardzo wyraźny w pracach Wellesa; por. S. Welles, „The Time for Decision”, rozdz. „The Constructive Power of the USSR”, s. 306 i n.

68. *Idem*, „Seven Major Decisions”, s. 192.

kwestii wywoływały u Amerykanów pewną irytację. Hull i Welles wyjątkowo zgodnie zdezawuowali znaczenie kolejnej wizyty generała Sikorskiego w Stanach dla pozyskania na rzecz Roosevelta głosów Polonii amerykańskiej w zbliżających się wyborach prezydenckich, co podnosiła strona polska⁶⁹; zdaniem podsekretarza stanu prezydent nie potrzebował przemówień Sikorskiego dla uzyskania poparcia Polonii, ponieważ już je zdobył⁷⁰. Rozmowy Sikorskiego z Rooseveltem i Wellesem w czasie trzeciej i ostatniej wizyty premiera w Waszyngtonie nie spełniły oczekiwań strony polskiej⁷¹; Amerykanom zależało na poprawie relacji polsko-sowieckich, jednak wyraźnie unikali zaciągnięcia jakichkolwiek zobowiązań na rzecz rządu polskiego. W rozmowach z Wellesem Sikorski mógł przekonać się, jak bardzo strona amerykańska zatroskana jest stanowiskiem Moskwy⁷².

W roku 1943, ostatnim roku urzędowania Sumnera Wellesa w Departamencie Stanu, kiedy narastał kryzys w relacjach między rządem Sikorskiego a Stalinem, podsekretarz w pełni podzielał panujący w kierownictwie anglosaskim pogląd o konieczności poczynienia przez Polskę istotnych koncesji terytorialnych na rzecz Związku Sowieckiego, w zamian za pewne terytoria niemieckie. Dyskutując z polskim premierem treść listu, jaki Roosevelt miał skierować do Sikorskiego w celu wsparcia stanowiska polskiego w rozmowach z Rosjanami, Welles zakwestionował fragment mówiący o konieczności odbudowy państwa polskiego w niezmienionych granicach. Deklaracja taka miała jego zdaniem zamykać drogę do „eliminacji korytarza polskiego i inkorporacji Prus Wschodnich” do Polski⁷³. Stanowcze słowa Sikorskiego, że rząd polski nie będzie negocjował ze Stalinem żadnych zmian wschodniej granicy Polski pozostawił Welles bez komentarza⁷⁴.

69. Hull do Biddle'a, 26 IX 1942, FRUS 1942, vol. III, s. 190; notatka Wellesa z 14 X 1942, cyt. *ibidem*, przypis 76.

70. *Ibidem*.

71. „Historia dyplomacji polskiej”, s. 347 i n.

72. Notatka Wellesa z rozmowy z Sikorskim, 4 I 1943, FRUS 1943, vol. III, Washington 1963, s. 314-318.

73. Notatka Wellesa z rozmowy z Sikorskim, 4 XII 1942, FRUS 1942, vol. III, s. 200.

74. *Ibidem*, s. 201.

W obliczu narastającego napięcia w stosunkach polsko-sowieckich Welles uważał, że USA powinny podjąć działania zmierzające do zażegnania kryzysu, o czym mówił Ciechanowskiemu w czasie spotkania 30 stycznia 1943 r. Polski ambasador złożył podsekretarzowi wizytę w związku z notą sowiecką dotyczącą uznania Polaków w ZSSR za obywateli tego kraju⁷⁵. Welles potraktował jednak tę sprawę szerzej, badając możliwości uzdrowienia stosunków polsko-sowieckich. Jak wynika ze szczegółowej relacji ambasadora z tej rozmowy, w pewnej chwili podsekretarz zawahał się, by następnie zapytać, czy oczekiwane przez rząd polski poparcie amerykańskie miałyby dotyczyć utrzymania nieuszczerplonego terytorium państwa. „Czy mam rozumieć – wyjaśniał dalej podsekretarz – że rząd polski jest zdecydowany nie ustąpić nawet o cal ze swoich ziem wschodnich?” Ciechanowski poczuł się jakby uderzony obuchem⁷⁶. Dla polskiego ambasadora był to pierwszy poważny sygnał ostrzegawczy, że dyplomacja amerykańska będzie poszukiwała przezwyciężenia kryzysu na drodze polskich koncesji terytorialnych. Niemniej przebieg rozmów z Wellesem przekonywał go, że podsekretarz będzie w tej sprawie występował w obronie interesów polskich⁷⁷.

W tym czasie Welles był ostatecznie pogodzony z nieuchronnością zmian terytorialnych w Europie wschodniej i utraty przez Polskę obszarów wschodnich. Problemem pozostawał jedynie zakres koniecznych ustępstw. Kwestia granic środkowoeuropejskich oraz sprawa zażegnania narastającego kryzysu w stosunkach sowiecko-polskich stały się przedmiotem rozmów Wellesea z szefem Foreign Office w czasie jego wizyty waszyngtońskiej w marcu 1943 r.⁷⁸ Welles pozostawił bez komentarza informację Edena, wyraźnie zapowiadającą

75. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 150 i n.

76. *Ibidem*, s. 151.

77. „He had shown full understanding of the gravity of the situation created by the Soviets (...). I had no doubt that he would present the case forcibly to the President (...). I knew that he would suggest American intervention and that he realized how urgent it had become to give support to General Sikorski's sincere policy (...)” [w:] *ibidem*, s. 152-153.

78. Notatka Wellesea z rozmowy z Edenem i Halifaxem, 16 III 1943, FRUS 1943, vol. III, s. 19-24.

pogłębienie napięć w stosunkach polsko-sowieckich: minister oświadczył, że Stalin nie wyobraża sobie sprawowania władzy w Polsce przez ekipę londyńską; czynił tu wyjątek dla premiera i ministra Raczyńskiego⁷⁹. Inaczej niż zimą i wczesną wiosną 1942 r., sprawa uznania pretensji terytorialnych Moskwy do polskich ziem wschodnich nie była przedmiotem żadnych kontrowersji rozmówców. Sowiecki postulat oparcia granicy polskiej na tzw. linii Curzona uznał Welles za możliwy do zrealizowania w świetle postulowanego przez Sowiety przekazania Polsce Prus Wschodnich⁸⁰.

Sprawa przyszłości Prus Wschodnich była integralnie związana z kwestią niemiecką. Eden i Welles stanęli na stanowisku, że pokonane Niemcy powinny zostać rozczłonkowane. Dotychczasowe doświadczenia kazały podsekretarzowi wierzyć, że zjednoczone państwo niemieckie zawsze będzie stwarzało zagrożenie dla pokoju, niezależnie od tego, czy – jak się wyraził – Niemcy rządzone będą przez reżim komunistyczny, socjalistyczny, czy liberalno-demokratyczny⁸¹. Warto podkreślić, że Welles głosił ten pogląd konsekwentnie także po odejściu z Departamentu, w którym był zresztą samotnym rzecznikiem podziału Niemiec⁸².

„Jest taka dziwna mapa” – pisze Henryk Batowski o planie podziału granicznego Europy środkowej umieszczonym w książce Wellesa „The Time for Decision”⁸³. Mapa, o której mowa, nie odnosi się jednak do żadnego okresu historii tych ziem. Przedstawia ona taki sposób rozczłonkowania Niemiec i ukształtowania przebiegu granic tego państwa, który Sumner Welles uważał za optymalny. Wedle przedstawionej tam koncepcji powojenna Polska powinna uzyskać Prusy Wschodnie oraz Gdańsk; Welles korygował jednak przebieg granicy na Pomorzu Gdańskim, w Wielkopolsce i na Śląsku na korzyść Niemiec. Konsekwentnie trzymał się poglądu o

79. *Ibidem*, s. 23.

80. *Ibidem*, s. 23-24.

81. *Ibidem*, s. 21.

82. S. Welles, „The Time for Decision”, s. 336 i n.; J. L. Gaddis, „The United States and the Origins of the Cold War, 1941-1947”, New York 1972, s. 98.

83. H. Batowski, „Zachód wobec granic Polski 1920-1940. Niektóre fakty mniej znane”, Łódź 1995, s. 125; S. Welles, *op.cit.*, mapa po s. 342.

konieczności rozczłonkowania Niemiec, jednak – jak wszystko wskazuje – był przeciwny nadmiernemu osłabieniu ich potencjału ekonomicznego. Batowski spekuluje, iż koncepcja takiego okrojenia terytorium Polski mogła stanowić reminiscencje paryskich rozmów Amerykanina w czasie jego głośnej misji z roku 1940⁸⁴.

Reasumując, w okresie, o którym mowa Welles miał ugruntowany pogląd na temat powojennych granic Polski, które w optymalnym kształcie powinny obejmować ziemie etnicznie jednolite, pozbawione terytorium po tzw. linię Curzona na rzecz Związku Sowieckiego, oraz części Pomorza, Wielkopolski i Śląska na rzecz nowych Niemiec. Rekompensatę dla Polski stanowić miały Prusy Wschodnie.

Sytuacja rządu polskiego w relacjach z Moskwą stawała się coraz trudniejsza w miarę postępów armii sowieckiej. Ciechanowski zwracał uwagę Hulla i Wellesa na fakt, że brak interwencji amerykańsko-brytyjskiej na rzecz interesów polskich wytwarzał u Stalina przekonanie, że Anglosasi pozostawili Polskę na jego łasce⁸⁵. Welles rozumiał obawy strony polskiej. Wyjaśniał jednak Ciechanowskiemu, że instrukcje, jakie może przekazać ambasadorowi Standleyowi do Moskwy w sprawie oczekiwanej przez rząd polski interwencji na Kremlu, mogą być jedynie „ogólne”, ponieważ „prezydent nie zdecydował jeszcze, kiedy i w jaki sposób może przedsięwziąć obiecaną interwencję”⁸⁶. Podsekretarz klarownie wyłożył stanowisko amerykańskie stwierdzając, że

jakkolwiek poważny stał się ten problem [stosunków polsko-sowieckich], istnieją inne ważne okoliczności wymagające, by Stany Zjednoczone prowadziły jak najostrożniejszą politykę wobec Związku Sowieckiego [podkr. MF]⁸⁷.

84. H. Batowski, *op.cit.*, s. 126. Podobną opinię wyraża S. Zabiełto, „O rząd i granice. Walka dyplomatyczna o sprawę polską w II wojnie światowej”, Warszawa 1986, s. 45.

85. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 164.

86. *Ibidem*.

87. *Ibidem*. Welles zastrzegł jednocześnie, że nie oznacza to amerykańskiej bierności w tej sprawie.

Widział zagrożenie zerwania relacji między rządem Sikorskiego a Moskwą i przestrzegał Ciechanowskiego, by strona polska nie pozwoliła się sprowokować. Zerwanie relacji uczyniłoby bowiem całą kwestię „dużo poważniejszą”⁸⁸. W rozmowie z Ciechanowskim Welles wyraźnie też wskazywał na decydującą rolę prezydenta w kwestii kształtowania stosunków z ZSSR⁸⁹. Rozumiał obawy polskie, mógł jednak ograniczyć się jedynie do udzielenia „dobrych rad” rządowi polskiemu. W tych okolicznościach podsekretarz stanu bardzo starannie przestrzegał zasady niezaangażowania dyplomacji amerykańskiej w rozwiązanie narastającego kryzysu w relacjach polsko-sowieckich, zalecając placówce moskiewskiej powstrzymanie się od jakichkolwiek interwencji w tej sprawie, ponieważ – jak argumentował – zainteresowane strony starają się same przezwyciężyć trudności⁹⁰. Była to oczywista nieprawda i podsekretarz stanu niewątpliwie zdawał sobie z tego faktu sprawę.

Polska reakcja na ujawnienie zbrodni katyńskiej spotkała się z ostrą krytyką Wellesa. W dniu zerwania przez Moskwę stosunków z rządem polskim Ciechanowski pospieszył do Departamentu Stanu, by omówić nową sytuację. „Po raz pierwszy – wspominał tę rozmowę ambasador – wyczułem napiętą atmosferę w moich relacjach z podsekretarzem”⁹¹. Welles uważał kroki rządu polskiego za kardynalny błąd, który ułatwił Moskwie zerwanie stosunków, i nie zamierzał ukrywać swojej irytacji przed ambasadorem. W rozmowie z Litwinowem w żaden sposób nie dał jednak wyrazu tej ocenie, przeciwnie – ubolewając, że „sprawy zaszły tak daleko”, zwracał uwagę ambasadora na negatywny wydzźwięk, jaki decyzja Moskwy może spowodować w amerykańskiej opinii publicznej⁹².

W przeciwieństwie do wielu osobistości waszyngtońskich

88. *Ibidem*.

89. *Ibidem*.

90. Welles do II sekretarza amb. w Moskwie Thompsona, 11 III 1943, FRUS 1943, vol. III, s. 348.

91. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 171.

92. Notatka Wellesa z rozmowy z Litwinowem, 24 IV 1943, FRUS 1943, vol. III, s. 389-390.

podsekretarz mógł domyślać się prawdy o zbrodni katyńskiej, wiedział bowiem o terrorze sowieckim wobec ludności polskiej. Sprawa ta była poruszana już w czasie jego rozmów z ministrem Zaleskim w 1940 r.⁹³ W lutym 1943 r. na posiedzeniu podkomitetu politycznego Welles wskazywał, że wielu Polaków zostało „zlikwidowanych” oraz deportowanych przez Sowieców; kierowany przez niego podkomitet polityczny dysponował też informacjami na temat polityki prowadzonej przez władze sowieckie wobec ludności zajętych obszarów⁹⁴. Relacja Ciechanowskiego świadczy jednak inaczej: mianowicie Welles skrytykował polską reakcję na „oskarżenie wysunięte przez niemiecką maszynę propagandową”⁹⁵. W istniejących uwarunkowaniach zasadnicze znaczenie miał jednak dla niego fakt, że zerwanie stosunków dyplomatycznych znacznie utrudniało i tak już niełatwą naprawę relacji polsko-sowieckich. Welles spodziewał się ze strony Moskwy żądań rekonstrukcji rządu polskiego jako ceny za normalizację stosunków, i choć uważał, że pewne zmiany rzeczywiście byłyby pożądane, w telegramie do ambasadora Biddle’a stanowczo sprzeciwiał się tego rodzaju rekonstrukcji, która stanowiłaby niebezpieczny precedens⁹⁶.

Welles pracował też nad ustaleniem zakresu ustępstw wobec Moskwy w sprawie przekształceń granicznych. W pochodzącym z lipca 1943 r. opracowaniu podkomitetu politycznego podsumowującym powojenne plany w zakresie Europy wschodniej, w odniesieniu do Polski przyjęto założenie, że uzasadnione jest przesunięcie granicy wschodniej na linię Curzona z tym zastrzeżeniem, iż nie uznawano żądań sowieckich dotyczących „Galicji wschodniej i Bukowiny”⁹⁷.

93 Notatka z rozmowy Zaleskiego z Wellesem, 9 III 1940, AAN, Ambasada Waszyngton, sygn. 2929.

94. Ch. D. O’Sullivan, „Sumner Welles, Postwar Planning, and the Quest for a New World Order”, Chapter 7, s. 21.

95. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 171. Roosevelt twierdził pierwotnie, że „this is entirely German propaganda and a German plot. I am absolutely convinced the Russians did not do this”, cyt. [w:] A. Perlmutter, „FDR & Stalin...”, *op.cit.*, s. 121-122.

96. Welles do Biddle’a, 16 VI 1943, FRUS 1943, vol. III, s. 431.

97. Political Subcommittee; Summary of Views: March 1942 to July 1943, k. 12; „Archive”, [w:] <http://www.gutenberg.org/osc/01/images/osc07sa.html> (2.05.2003)

Sumner Welles musiał uświadamiać sobie, że intencje sowieckie są dyskusyjne zwłaszcza, że posiadana wiedza pozwalała mu w sposób głębszy analizować politykę Moskwy. Ambasador Litwinow przed wyjazdem do kraju odbył z podsekretarzem niezwykle szczerą rozmowę, w której mówił o swoich wątpliwościach dotyczących polityki jego własnego rządu i nie zapatrywał się optymistycznie na perspektywy powojennej współpracy między mocarstwami⁹⁸. Mimo licznych istniejących i potencjalnych źródeł kontrowersji Welles podzielał wiarę Roosevelta w strategiczne porozumienie Waszyngtonu i Moskwy. Przede wszystkim jednak wierzył w samego Roosevelta i jego zdolności przywódcze⁹⁹. Podsekretarz stanu postrzegał też system stalinowski jako pragmatyczny: celem reżimu było utrzymanie władzy oraz obrona interesów mocarstwowych. W tych warunkach – rozumował Welles – istnieje możliwość wciągnięcia ZSSR do współpracy z Zachodem w ramach nowej organizacji międzynarodowej. Liczył, że Stalin uzna taką politykę za bardziej opłacalną od izolacji¹⁰⁰. Przyznanie bezwzględnego priorytetu utrzymaniu jak najlepszych relacji z Moskwą miało poważne konsekwencje polityczne, godząc w pierwszej kolejności w interesy, a nawet suwerenny byt, państw bałtyckich i Polski. Rodziło to konflikt z Wilsonowską wizją ładu międzynarodowego, którą wyznawał podsekretarz, tak dobitnie wyrażoną w artykułach Karty Atlantyckiej. Sam Welles w pełni uświadamiał sobie fakt, że arbitralna decyzja mocarstw w sprawie kształtu granic pozostawać będzie w sprzeczności z literą Karty Atlantyckiej, gwarantującej narodom prawo do samostanowienia. Poszukując rozwiązania tego dylematu, zinterpretował zasadę samostanowienia jako gwarancję, iż nie dojdzie do „przemieszczenia” ludności podlegającej suwerennej władzy jednego państwa pod władzę drugiego bez zgody owej ludności. „Powinno to zapobiec zmuszeniu Polaków do życia pod władzą rosyjską (*under Russian sovereignty*) (...)”¹⁰¹. Jeśli bowiem –

98. Notatka Wellesa z rozmowy z Litwinowem, 7 V 1943, FRUS 1943, vol. Soviet Union, s. 522.; za: I Gellman, *op.cit.*, s. 297-298.

99. S. Welles, „Where Are We Heading?”, s. 375, także inne fragm.

100. Notatka Wellesa z rozmowy z posłem szwedzkim W. Boströmem, 12 VIII 1943, FRUS 1943, vol. III, s. 684-685.

101. S. Welles, „The Time for Decision”, s. 355.

argumentował – zasady wyłożone w Karcie rozumieć jako uniemożliwiające dokonanie jakichkolwiek zmian terytorialnych, niemożliwe stałoby się rozwiązanie problemów będących źródłem konfliktów w Europie środkowej i wschodniej. Przedstawiona argumentacja była logiczna, w żaden jednak sposób nie odnosiła się do faktu, że o kształcie granic i losie mieszkańców spornych obszarów po raz kolejny decydować miał „koncert mocarstw”, tak często przywoływany przez samego Wellesa archetyp potępianej przez niego „starej dyplomacji”. Sprawa Polski i całej Europy środkowej stanowiła najpoważniejsze, choć nie jedyne, wyzwanie dla Wilsonowskiego idealizmu Wellesa, który dokonywał wyboru, by posłużyć się językiem Kissingera, „między zasadami moralnymi a koniecznościami strategicznymi”. Dla Wellesa, „globalnego stratega” Franklina Roosevelta, wybór ten nie stanowił dylematu.

Próbując wypracować sposób choćby częściowego zabezpieczenia interesów państw środkowoeuropejskich, Welles wcześniej zwrócił uwagę na możliwości, jakie stwarzała w tej mierze silna federacja środkowoeuropejska. Już w maju 1942 r. na forum podkomitetu politycznego podsekretarz wskazywał wyraźnie, że taka federacja miałaby stanowić „przeciwagę zarówno dla Rosji, jak i Niemiec”. Uznał, że o ile Moskwa może nawet zdominować Czechosłowację, Jugosławię i Bułgarię, ich wpływ będzie równoważony przez antyrosyjsko nastawioną Polskę wraz z Węgrami, Rumunią i Austrią¹⁰². Welles sądził, że rozwiązanie „federacyjne” stwarza szansę utworzenia rządów prozachodnich w regionie oraz udzielenia im realnego wsparcia ekonomicznego¹⁰³.

Dyskutując w toku dalszych spotkań różne uwarunkowania projektu federacji, rozważano też prawdopodobny sprzeciw Moskwy już wcześniej odrzucającej podobne rozwiązania. Welles uważał jednak, że z „psychologicznego” punktu widzenia skutecznym rozwiązaniem będzie przedstawienie stronie sowieckiej propozycji utworzenia „bufora” państw

102. Cyt. za Ch. D. O’Sullivan, *op.cit.*, Chapter 7, s. 23.

103. A. Mania, „Cele wojenne i pokojowe Związku Radzieckiego w studiach Departamentu Stanu w latach 1941-1944”, [w:] *idem*, „Studia z dziejów stosunków amerykańsko-radzieckich”, s. 24-25.

między Związkiem Sowieckim a Niemcami¹⁰⁴. W toku dalszych prac projekt federacji, jakkolwiek nadal wspierany przez część planistów, tracił znaczenie zarówno w wyniku rozwoju sytuacji militarnej, jak i wyraźnej opozycji ze strony sekretarza stanu¹⁰⁵. Sam Welles także stracił wiarę w skuteczność rozwiązania federacyjnego, przede wszystkim zaś w możliwość jego urzeczywistnienia wobec niechęci Moskwy. Stąd m.in. jego powściągliwość we wspomnianej wyżej rozmowie z Sikorskim właśnie na temat federacji środkowo-europejskiej¹⁰⁶. Pisząc o fiasku inicjatywy federacyjnej warto przytoczyć słowa samego Wellelesa, który – odnosząc się wprawdzie do szerokiego kontekstu relacji amerykańsko-sowieckich – stwierdzał:

Zwycięstwo wojenne stanowiło i musiało pozostać głównym celem. Nie można było poczynić żadnego kroku politycznego, jakkolwiek korzystny mógł okazać się w przyszłości, jeżeli narzązał na szwank lub oddalał zwycięstwo¹⁰⁷.

Ostatnie miesiące urzędowania podsekretarza stanu w Departamencie wypełniły przygotowania do spotkania przywódców mocarstw oraz pogłębiający się kryzys w relacjach z Cordellem Hullem. Ambasador Ciechanowski ubolewał w swoich wspomnieniach z powodu ustąpienia Sumnera Wellelesa. Ciechanowski, człowiek o dużym doświadczeniu i rozległych kontaktach w świecie polityki, wysoko oceniał jego profesjonalizm.

Poznałem go jako utalentowanego i doświadczonego dyplomatę, który mimo swojego chłodu był ludzki i pełen zrozumienia dla problemów świata oraz, co jest raczej rzadkością wśród wysokich urzędników amerykańskich, miał pełną znajomość problemów europejskich¹⁰⁸.

104. Ch. D. Sullivan, *op.cit.*, s. 24.

105. A. Mania, *op.cit.*, s. 25.

106. Notatka Wellelesa z rozmowy z Sikorskim, 4 I 1943, FRUS 1943, vol. III, s. 317-318. Welles przekonywał polskiego premiera, że plan federacji, szczególnie z udziałem Turcji, nieuchronnie zrodziłby w Moskwie podejrzenia, iż w Europie powstaje nowy *cordon sanitaire* izolujący ZSSR.

107. S. Welles, „Seven Major Decisions”, s. 135.

108. J. Ciechanowski, *op.cit.*, s. 235-236.

Wysoka to ocena ze strony dyplomaty, którego zabiegi u Wellesa były przecież często bezowocne. Jego żal z powodu dymisji podsekretarza jest dowodem głębokiego przekonania polskiego ambasadora, iż oto z Departamentu Stanu odchodzi dyplomata otwarty na sprawy polskie, rozumiejący skomplikowaną naturę stosunków międzynarodowych i mający przy tym duży wpływ na Roosevelta.

Ustępując w przededniu konferencji teherańskiej i przed spotkaniem Wielkiej Trójki na Krymie, Welles nie uczestniczył już w wypracowaniu porozumień określających przyszłość Polski. Bronił jednak ich treści twierdząc, że „w Jałcie Stalin uznał potrzebę kompromisu” i otworzył w ten sposób perspektywę dalszej współpracy¹⁰⁹. Uznając mocarstwową pozycję ZSSR, Welles przyznawał Moskwie prawo do „bezpiecznych granic” i posiadania faktycznej strefy wpływów w Europie, którą usiłował przedstawić jako swego rodzaju „system regionalny”¹¹⁰; oznaczało to akceptację miejsca Polski w nowym porządku światowym jako państwa w mniejszym lub większym stopniu podporządkowanego Moskwie. Także w kwestii regulacji terytorialnych Sumner Welles zlekceważył ostatecznie polskie postulaty, przyznając nawet nie pierwszeństwo, ale wyłączość oczekiwaniom sowieckim.

W moim głębokim przekonaniu – pisał – granice, których domaga się Związek Sowiecki (...) są uzasadnione z punktu widzenia jego bezpieczeństwa (...), pod warunkiem, że Moskwa zgodzi się na emigrację za sprawiedliwym odszkodowaniem obywateli z terytoriów w ten sposób przyłączonych, którzy nie chcą podlegać jej władzy¹¹¹.

Należy wątpić, by autor tych słów, który jako urzędujący podsekretarz stanu, wobec ambasadora Ciechanowskiego określił notę sowiecką informującą o nieuznawaniu obywa-

109. S. Welles, „Seven Major Decisions”, s. 192; *idem*, „Where Are We Heading?”, s. 382. Welles krytycznie odnosił się do polityki administracji H. Trumana (także z okresu Poczdamu) głosząc pogląd, że USA ponosiły współodpowiedzialność za wybuch zimnej wojny; por. *ibidem*, s. 89-91, 110-111.

110. S. Welles, „The Time for Decision”, s. 332-334.

111. *Idem*, „Where Are We Heading?”, s. 119.

telstwa polskiego osób przebywających w ZSSR mianem niesłychanej w treści i formie, istotnie spodziewał się, że w przyszłości wola mieszkańców spornych terytoriów będzie uszanowana¹¹².

Sumner Welles – wyraźnie potwierdzają to słowa Jana Ciechanowskiego – na pewno znacznie lepiej niż Roosevelt rozumiał problemy środkowoeuropejskie. Wierząc w możliwość eliminacji napięć międzynarodowych, które doprowadziły do załamania ładu wersalskiego, upatrywał zabezpieczenia nowego porządku światowego na drodze porozumienia mocarstw, uwzględniającego w ograniczonym zakresie interesy mniej znaczących podmiotów sceny międzynarodowej. Amerykański podsekretarz stanu postrzegał sytuację międzynarodową w kategoriach globalnych, stąd klucz do wyjaśnienia jego stanowiska wobec spraw polskich leży w zrozumieniu jego poglądów na temat miejsca i roli Związku Sowieckiego w nowym porządku światowym. Welles kreował się i sam pragnął siebie postrzegać jako dziedzica idei Wilsonowskich. Rozwój sytuacji międzynarodowej w czasie wojny spowodował, że odstąpił od Wilsonowskiego pryncypializmu, przyjmując stanowisko całkowicie pragmatyczne. Odwołując się do dziedzictwa prezydenta Wilsona, był Sumner Welles w istocie jednym z czołowych wyznawców koncepcji Roosevelta, koncepcji sojuszu amerykańsko-sowieckiego i „podziału odpowiedzialności” jako fundamentu powojennego świata. Jak miało się okazać w nieodległej przyszłości, w tak budowanym świecie nie było miejsca dla Polski, o jaką walczyli, mimo wszystkich dzielących ich różnic, ambasador Jan Ciechanowski i generał Władysław Sikorski.



Przedstawione niżej memorandum, wręczone podsekretarzowi stanu w czasie jego rozmowy z Zaleskim, zostało przesłane przez sekretarza generalnego MSZ J. Ciechanowskiego

112. Okólnik MSZ, Nr 19, 28 II 1943, AAN, Poselstwo Berno, sygn. 321.

do ambasady RP w Waszyngtonie wraz z notatką z rozmowy A. Zaleskiego z S. Wellesem¹¹³. Przekazane Wellesowi memorandum oraz notatka z rozmowy obu dyplomatów, tak dalece jak udało się to ustalić, nie były dotychczas ogłoszone¹¹⁴.

Marcin FATALSKI

M. Fatalski – ur. w 1975 r. w Kielcach, absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorant w Katedrze Amerykanistyki UJ.



AAN, Ambasada Waszyngton, sygn. 2929.

Angers, marzec 1940 r.

MEMORIAŁ¹¹⁵
NA TEMAT WOJNY EUROPEJSKIEJ

W celu zrozumienia obecnej sytuacji wojennej w Europie należy rozważyć następujące fakty:

1. Wśród błędów w ocenie sytuacji, popełnionych na Wersalskiej Konferencji Pokojowej, odnotować należy dwa szczególnie:

a) Pochopne było oczekiwanie, że Niemcy chętnie wypełnią swoje zobowiązania wynikające z Traktatu Wersalskiego, nieprzymuszone do uczynienia tego poprzez skuteczny system sankcji.

b) Niemożliwe było ustanowienie takich skutecznych

113. Telegram J. Ciechanowskiego do ambasadora w Waszyngtonie, 19 III 1940, AAN, Ambasada Waszyngton, sygn. 2929. Telegram opatrzony odręcznym dopiskiem amb. Potockiego: „bardzo ciekawe”.

114. H. Batowski w swoich pracach poświęconych dyplomacji polskiej na obczyźnie zwracał uwagę na brak materiałów wręczonych S. Wellesowi w czasie spotkania z Zaleskim [w:] „Z dziejów dyplomacji polskiej na obczyźnie, wrzesień 1939-lipiec 1941”, Kraków-Wrocław 1984, s. 113; „Polska dyplomacja na obczyźnie”, Kraków 1991, s. 125.

115. Dokument w języku angielskim: „Memorandum on the European War”. Polski tytuł jak w telegramie Ciechanowskiego do Potockiego; AAN, Amb. Waszyngton, sygn. 2929.

sankcji w zgodzie z Traktatem Ligi Narodów z tego prostego powodu, iż nie było można uczynić wszystkich państw, które uczestniczyły w wojnie światowej, oraz neutralnych, które nie uczestniczyły – stale i w równym stopniu odpowiedzialnymi za europejskie porozumienie pokojowe, którym wiele z nich nie było bezpośrednio zainteresowanych.

2. W okresie 1920-1933 dokonywano coraz szerszych ustępstw wobec Niemiec.

3. W okresie od 1933 do 15 marca 1939 r. bierna postawa Europy doprowadziła Hitlera do mylnego przekonania, że Niemcy mogą dążyć do dominacji światowej bez narażenia się na ryzyko zbrojnego oporu.

4. Przekonanie, że Hitlera można ułagodzić za pomocą ustępstw i w porę skłonić go do rezygnacji z programu światowej hegemonii Niemiec oraz zgody na pokojową współpracę z mocarstwami demokratycznymi.

5. Nazizm był zbyt długo błędnie postrzegany jako nieodwracalny wróg komunizmu, podczas gdy w rzeczywistości od początku przyjął do swojego programu część głównych zasad komunizmu i jedynie z powodów politycznych odsunął ich realizację.

6. Porażką demokracji było nieuświadomienie sobie w porę aż nadto oczywistego faktu, że nazizm jest i zawsze pozostanie nieodwracalnym wrogiem każdego systemu demokratycznego, a jego ostatecznym celem jest zniszczenie, poprzez podbój, koncepcji wolności jednostki wyrażanej przez taki system. Z drugiej strony, bolszewizm podobnie zmierza do destrukcji demokracji w drodze rewolucji światowej.

7. Dlatego też sojusz Hitler–Stalin jest w sposób naturalny tylko kolejnym elementem w łańcuchu zdarzeń.

8. Przyłączając się do agresji Hitlera, Stalin, tak jak to pokazało jego przemówienie w Moskwie 17 września 1939 r., dostrzegł perspektywę posunięcia rewolucji światowej krok dalej, poprzez współdziałanie z Niemcami, narodem, który uważał za najbardziej dojrzały do komunizmu.

Łącząc się ze Stalinem Hitler liczył, że po zakończonej sukcesem kampanii polskiej zdoła zawrzeć pokój z mocarstwami zachodnimi i skłonić je do stworzenia wspólnego frontu przeciwko rosyjskiemu komunizmowi. Wydawało mu się, że jest to najprostsza droga zarówno do utrwalenia pod-

boju Europy środkowowschodniej, jak i pozyskania poparcia mocarstw zachodnich dla wznowienia jego „Drang nach Osten” – zanim ostatecznie zwróci się przeciwko nim.

10. Wśród zasadniczych przyczyn, które doprowadziły do tej wojny, należy wymienić odmowę ratyfikacji Traktatu Wersalskiego i członkostwa w Lidze Narodów ze strony Stanów Zjednoczonych.

W ten sposób dwudziestoletni czas względnego pokoju, który nastąpił po wojnie światowej może, być podzielony na trzy okresy:

1. Początkowy okres wielkich iluzji opartych na pobożnym życzeniu, iż bez wprowadzania skutecznych sankcji pokonane i ukarane Niemcy uszanują podpisany przez siebie układ i wypełnią jego klauzule.

2. Okres systematycznych ustępstw wobec Niemiec będących wynikiem braku przygotowania oraz niezdecydowania.

3. Okres narastających obaw, w czasie którego pozwolono, by Niemcy podeptały Traktat Wersalski, przeprowadziły remilitaryzację Nadrenii, złamały Traktaty z Locarno, przywróciły obowiązkowy pobór do wojska, anektowały Austrię, Sudety, a następnie resztę Czecho-Słowacji – nie powstrzymane skutecznie, co doprowadziło je do błędnego przekonania, że mogą nadal popełniać akty nieusprawiedliwionych agresji i aneksji bez ryzyka wojny.

Okres pokoju zakończył się 1 września, kiedy to niemiecka agresja po raz pierwszy spotkała się ze zbrojnym oporem Polski.

Widoczna jest różnica poglądów między Niemcami a Sprzymierzonymi co do istoty wojny.

Dla Sprzymierzonych jest to ciąg dalszy konfliktu rozpoczętego we wrześniu 1939 r. niemieckim i sowieckim najazdem na Polskę. Ludności niemieckiej natomiast „Blitzkrieg” jest przedstawiany jako całkowicie odrębna, zwycięska kampania w żaden sposób nie związana z wojną, jaką Wielka Brytania i Francja toczą obecnie z Niemcami, a której Hitler pragnąłby uniknąć, aby zapobiec niepotrzebnemu rozlewowi krwi.

Należy przyznać, że tak jawnie fałszywa interpretacja faktów dokonana wobec podatnych na nią ludzi, przemocą izolowanych od reszty świata przez dyktatora, szczególnie kiedy

wyduje się ona potwierdzona faktem powstrzymywania się przez Aliantów od jakiegokolwiek ofensywnej akcji przeciwko Niemcom, ma wszelkie szanse, by dano jej wiarę i by wzmocniła władzę Hitlera nad Niemcami przekonując ich, że do niego należy wciąż inicjatywa w sprawie wojny lub pokoju.

Wiarygodne informacje z Niemiec dowodzą, że Niemcy wciąż wierzą, iż Hitlerowi ostatecznie uda się zawarcie pokoju i utworzenie wspólnego anglo-francusko-niemieckiego frontu przeciwko Rosji Sowieckiej. Fakt, że Wielka Brytania i Francja nie wypowiedziały wojny Rosji ani nawet nie zerwały stosunków dyplomatycznych z Sowietami, jest wykorzystywany do utrwalenia tego przekonania.

Kolejnym argumentem mającym dowieść wśród zwolenników Hitlera jego dalekowzroczności, jest fakt, że europejski wysiłek Rosji nad Bałtykiem przyczynia się do uspokojenia sytuacji na Dalekim Wschodzie, poprzez poszerzenie swobody działania antykominternowskiego sojusznika Niemiec – Japonii.

Taktyka Hitlera mogłaby zostać udaremniiona, gdyby Sprzymierzeni zdecydowali się rozszerzyć wojnę na hitlerowskiego sojusznika – Rosję.

Ponadto takie posunięcie przyspieszyłoby bieg wojny, która – ograniczona jedynie do frontu zachodniego – nieuchronnie byłaby długa. Kiedy Niemcy zajęte są organizacją dostaw ropy i innych surowców mineralnych z Rosji, czas działa na ich korzyść i wydaje się mało prawdopodobne, że Hitler zechce zaryzykować rozległą ofensywę na Zachodzie.

Jak długo trwa obecny względny brak aktywności na froncie, Hitler będzie okresowo inicjował swoje ofensywy pokojowe, podtrzymując w ten sposób kontrolę nad Niemcami.

Obecna wojna europejska nie może być postrzegana jedynie jako odosobniony imperialistyczny atak jednego człowieka – Hitlera, bądź jednego systemu – nazizmu. To jest ostatnie ogniwo w długiej serii agresywnych wojen wznieconych przez tych samych Niemców, o których Tacyt mówił, iż „wojna jest ich zawodem”, tych samych, którzy byli gotowi kroczyć za Bismarckiem, a później Wilhelmem II, tak jak i teraz są gotowi podążyć za Hitlerem swoją drogą ku dominacji światowej.

Ich barbarzyńskie metody prowadzenia wojny, bez-

względne i nie mające usprawiedliwienia okrucieństwo oraz brutalność, z jaką eksterminują ludność cywilną, ich bezprecedensowe lekceważenie dla wszystkich zasad humanitaryzmu i zawartych konwencji, które dotychczas rządziły cywilizowanymi społecznościami w czasie wojny i pokoju – czynią z Niemiec osobną kategorię.

Jak wskazuje doświadczenie, bezcelowe jest poleganie na niemieckich obietnicach i podpisanych przez Niemcy traktatach. Zarazem przecież cywilizowana ludzkość ma prawo cieszyć się trwałym pokojem. Pokój taki można zapewnić jedynie, jeżeli Niemcy zostaną pokonane i jeśli ponadto naród niemiecki odczuje okropności wojny oraz inwazji na własnym terytorium, co odstraszy Niemców od jakiegokolwiek agresji w przyszłości.

Niemiecki imperializm zagraża obecnie głównie Europie. Jeżeli Niemcy wygrają tę wojnę, nic nie będzie ograniczało ich dążenia do podboju w przyszłości. Ideologia niemiecka sama w sobie jest trwałym zagrożeniem dla wolności ludzi na całym świecie.

Dlatego też nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że Francja, Wielka Brytania i Polska walczą nie tylko o własną wolność, ale o wolność wszystkich cywilizowanych narodów. To nie jest wojna obejmująca jedynie odbudowę Polski, Czecho-Słowacji i Austrii, ale wojna o przywrócenie trwałego pokoju, zaufania i podstaw cywilizacji. Oto dlaczego nie można pozwolić, by wojna ta zakończyła się w jakikolwiek inny sposób niż decydującym zwycięstwem nad Niemcami i ich sojusznikiem, Rosją Sowiecką, bez względu na cenę.

To jest fundamentalny cel wojenny, który należy osiągnąć. Po takim zwycięstwie należy zmusić Niemcy do zwrotu w całości wszystkich bezprawnie uzyskanych korzyści, terytorialnych oraz pozostałych. Tylko wtedy, kiedy się tego dokona, kiedy uzyska się zadowalające gwarancje trwałego bezpieczeństwa i ustanowi bezpieczne strategicznie granice, nadejdzie pora przebudowy nowej, wolnej Europy w oparciu o zasadę federacji tam, gdzie taka federacja będzie możliwa i wskazana, kładąc w ten sposób fundamenty trwałego pokoju.

Sławomir M. NOWINOWSKI

EWAKUACJA POSELSTWA RP Z BELGRADU W 1941 ROKU*

Okupacja terytorium Rzeczypospolitej Polskiej przez Niemcy i Związek Sowiecki we wrześniu 1939 r. nie przerwała działalności jej Poselstwa oraz placówek konsularnych w Jugosławii¹. Akceptacja dalszego ich funkcjonowania świadczyła pośrednio o uznaniu przez najwyższe czynniki polityczne w Belgradzie istnienia państwa polskiego. Nie podjęły one jednak, aż do chwili opuszczenia kraju wiosną 1941 r., żadnych działań zmierzających do akredytacji swego reprezentanta przy naczelnych władzach RP, rezydujących kolejno w Paryżu, Angers i Londynie. W obawie przed reakcją Berlina zrezygnowały nawet z odpowiedzi na notyfikację o ukonstytuowaniu się rządu gen. Władysława Sikorskiego. Analogiczną postawę prezentowały w początkowej fazie II wojny światowej

* Podstawę źródłową artykułu stanowią materiały archiwalne przechowywane w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Przeprowadzenie kwerendy było możliwe dzięki stypendium Fundacji Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej oraz Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga, za co składam ówczesnym władzom tych instytucji podziękowanie.

1. Oprócz Poselstwa w Belgradzie i Konsulatu Generalnego w Zagrzebiu Rzeczypospolita Polska posiadała na terytorium Jugosławii pięć konsulatów honorowych (w Banja Luce, Dubrowniku, Lublanie, Splicie i Sušaku) – „Historia dyplomacji polskiej”, t. 4, 1918-1939, pod red. P. Łossowskiego, Warszawa 1995, s. 627.

rządy m.in. Bułgarii, Grecji, Rumunii, Węgier i Włoch².

Decyzja gabinetu Dragiša Cvetkovića o utrzymywaniu z rządem RP na uchodźstwie tylko jednostronnych kontaktów miała, zwłaszcza w świetle doświadczeń serbskich z okresu Wielkiej Wojny, ewidentnie pesymistyczny wydźwięk³. Z pewnością nie odpowiadała także zdecydowanie propolskim nastrojom panującym wówczas nad Sawą i Morawą. Zważywszy jednak na sytuację międzynarodową Jugosławii⁴ wypada uznać ją za optymalną zarówno z perspektywy Belgradu, jak i emigracyjnych władz RP. Utrzymanie na terenie jugosłowiańskim Poselstwa oraz placówek konsularnych znacznie ułatwiło im bowiem akcję niesienia pomocy uchodźcom cywilnym i zorganizowanie masowej ewakuacji ochotników do formujących się na obczyźnie jednostek Wojska Polskiego. Polskie przedstawicielstwa szybko stały się również nader istotnym elementem systemu łączności kurierskiej i radiowej z okupowanym krajem⁵.

Przewidując, iż Niemcy będą chciały zmusić władze jugosłowiańskie do zamknięcia placówek polskich poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny RP w Belgradzie – Roman Kazimierz Dębicki⁶ już 21 września 1939 r. postulował po-

2. H. Batowski, „Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941”, Kraków 1991, s. 57; *idem*, „Walka dyplomacji hitlerowskiej przeciw Polsce 1939-1945”, Kraków 1984, s. 38; J. Sobczak, „Polska w propagandzie i polityce III Rzeszy w latach 1939-1945”, Poznań 1988, s. 96.

3. Zob. H. Batowski, „Polska dyplomacja...”, s. 61; M. Hulaś, „Goście czy intruzi? Rząd polski na uchodźstwie wrzesień 1939 – lipiec 1943”, Warszawa 1996, s. 17-23.

4. Zob. J. Kozeński, „Agresja na Jugosławię 1941”, Poznań 1979, s. 54-80; M. J. Zacharias, „Jugosławia w polityce Wielkiej Brytanii 1940-1945”, Wrocław 1985, s. 10-16.

5. G. Mazur, „Kontakty polsko-jugosłowiańskie w czasie II wojny światowej”, *Zeszyty Historyczne*, 2000, z.132, s. 27-31; L. Kliszewicz, „Placówka łączności w Jugosławii w czasie ostatniej wojny (kryptonim «Sława», «Drawa»)”, *Zeszyty Historyczne*, 1983, z. 63, s. 87-88.

6. Postać jednego z najbardziej doświadczonych dyplomatów polskich charakteryzują m.in. – A. Wysocki, „Tajemnice dyplomatycznego sejfu”, Warszawa 1979, s. 159; S. Schimitzek, „Drogi i bezdroża minionej epoki. Wspomnienia z lat pracy w MSZ 1920-1939”, Warszawa 1976, s. 194-195, J. Gawroński, „Moja misja w Wiedniu 1932-1938”, Warszawa 1965, s. 289-290. Por. J. Łaptos, „Dyplomaci II RP w świetle raportów Quai d’Orsay”, Warszawa 1993, s. 261, dok. 238, J. Laroche do P. Laval’a 11 IV 1935.

ważną redukcję wydatków przeznaczonych na ich utrzymanie. Uważał przy tym za konieczne jak najszybsze usunięcie ze służby urzędników związanych z Oddziałem II Sztabu Głównego. Wtedy też uzgodnił z Janem Szembekiem – piastującym wciąż jeszcze funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych – czynności, jakie w razie likwidacji Poselstwa należy podjąć dla zabezpieczenia jego wyposażenia oraz archiwum. Dla obydwu dyplomatów było oczywiste, że przedstawiciele RP akredytowani w stolicach państw neutralnych, nie wyłączając bezpośrednio narażonych na presję niemiecką lub sowiecką, „winni pozostać na miejscu aż dopóki zostaną wyrzuceni”⁷.

Niebezpieczeństwo wytworzenia się takiej sytuacji w Jugosławii Dębicki stwierdził 28 grudnia 1940 r. podczas okresowej konferencji z wiceministrem spraw zagranicznych. Milivoje Smiljanić powiadomił go wówczas o przedłożeniu tydzień wcześniej przez Niemcy władzom w Belgradzie kategorycznego żądania likwidacji polskich placówek. W jego uzasadnieniu odwołano się nie tylko do lansowanej zarówno przez Berlin, jak i Moskwę tezy o nieistnieniu państwa polskiego, lecz także podkreślono rolę, jaką Poselstwo RP odgrywa w organizowaniu ewakuacji z terenu Jugosławii ochotników do armii walczących z III Rzeszą⁸. Wskazano wreszcie na precedensowy charakter postanowień o zniesieniu przedstawicielstw polskich wydanych w listopadzie i grudniu 1940 r. przez rządy Rumunii i Węgier⁹. Smiljanić zapewnił wprawdzie pośła, iż jego zwierzchnicy pragną odwlec podjęcie decyzji w tej sprawie chociaż o kilka tygodni, ale równocześnie zasygnalizował, że ceną za dalsze funkcjonowanie Po-

7. J. Szembek, „Diariusz wrzesień – grudzień 1939 r.”, Warszawa 1989, s. 68-69.

8. Zgoła odmiennie aktywność Poselstwa na tym polu oceniali anoni-mowi informatorzy prof. St. Kota, dla których placówka ta była głównie ośrodkiem działalności zwolenników reżimu sanacyjnego – Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego, Archiwum St. Kota (dalej: AZHRL, AStK), t. 294, k. 2-11, Sprawozdanie z podróży służbowej do Belgradu 30 IX - 8 X 1940 r., k. 12, Notatka dotycząca Poselstwa RP w Belgradzie.

9. Zob. T. Dubicki, „Likwidacja polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Rumunii – 4 listopada 1940 r.”, *Teki Historyczne*, 1993, t. 20, s. 234-348; H. Batowski, „Polska dyplomacja...”, *op.cit.*, s. 219-230.

selstwa RP w Belgradzie może być opuszczenie Jugosławii przez jego kierownika. Dębicki odrzucił przytoczone przez jugosłowiańskiego dyplomatę argumenty. Nie dostrzegł żadnych analogii pomiędzy aktualnym położeniem międzynarodowym Jugosławii a warunkami, w jakich znalazły się Rumunia oraz Węgry. Nie omieszkał natomiast wyrazić zdumienia z powodu rozważania zamknięcia polskich przedstawicielstw przez władze państwa uważającego się za spadkobiercę Serbii, która podczas I wojny światowej znalazła się w sytuacji identycznej jak obecnie Polska. Ostrzegł przy tym Smiljanića, że spełnienie żądań niemieckich stanowić będzie nie tylko pogwałcenie norm prawa międzynarodowego, ale również zachętę do wysunięcia przez Berlin nowych postulatów, godzących już bezpośrednio w suwerenność Jugosławii¹⁰.

Informując MSZ o spotkaniu z Smiljanićem poseł oświadczył, iż wobec realnej groźby likwidacji Poselstwa RP, jego wyjazd z Belgradu będzie z pewnością mniejszym złem, lecz jednocześnie zwrócił uwagę na brak gwarancji, co do trwałości takiego rozwiązania. Wiedząc doskonale o ewidentnie proniemieckim nastawieniu kierownictwa jugosłowiańskiego resortu spraw zagranicznych zdecydował się odwołać wprost do regenta i premiera¹¹. Odnalezione dokumenty nie pozwalają jednoznacznie stwierdzić czy Dębicki konferował o przyszłości polskich placówek z księciem Pawłem Karadjordjevićem. Bez wątpienia natomiast rozmawiał na ten temat z Cvetkovićem, najpóźniej 30 grudnia 1940 r. Szef rządu ze zrozumieniem odniósł się do argumentacji posła, uwzględniającej m.in. postanowienia polsko-jugosłowiańskiego paktu o przyjaźni i serdecznej współpracy z 18 września 1926 r. Chociaż Dębicki odniósł wrażenie, że zagrożenie egzystencji polskich przedstawicielstw zostało na pewien czas oddalone, sugerował wszakże konieczność zachowania większej niż dotąd ostrożności w rozwijaniu niektórych

10. Archiwum Instytutu i Muzeum Polskiego im. gen. Sikorskiego – Londyn (dalej: IMPS), A.12.53/35D, k. 20-21, Telegram szyfrowy nr 158 R. Dębickiego do MSZ z 29 XII 1940 r.

11. *Ibidem*, k. 22, Telegram szyfrowy nr 159 R. Dębickiego do MSZ z 29 XII 1940 r.

form aktywności Poselstwa¹².

Świadomość presji jakiej III Rzesza nieustannie poddawała władze w Belgradzie, pragnąc wymusić na nich przyjęcie oferty przystąpienia do Paktu Trzech Mocarstw, skłoniła jednak szefa dyplomacji polskiej – Augusta Zaleskiego do wydania Dębickiemu polecenia przygotowania się na rychłą likwidację Poselstwa. W pierwszym rządzie należało wysondować, które z państw utrzymujących z Jugosławią stosunki dyplomatyczne podjęłoby się opieki nad obywatelami RP. Zdaniem posła najlepszym rozwiązaniem byłoby powierzenie tej funkcji Stanom Zjednoczonym, a dopiero w przypadku ich odmowy Brazylii lub w ostateczności Argentynie¹³. Przymuszalnie wiedząc już o podjętej przez dyplomację amerykańską próbie powstrzymania władz jugosłowiańskich przed wejściem w orbitę Berlina polski minister spraw zagranicznych uznał pierwszy z wariantów za niemożliwy do przeprowadzenia. Realizację drugiego przekreśliła odmowa Rio de Janeiro. Nie pozostawało więc nic innego, jak uzgodnić warunki reprezentowania polskich interesów z przedstawicielem Argentyny. Zaleski nalegał na ograniczenie jego kompetencji do formalnego patronatu nad obywatelami RP, pozwalającego wszakże na ewentualne interwencje w ich obronie. Merytoryczna opieka nad uchodźcami należeć miała nadal do organizacji polskich działających w porozumieniu z czynnikami jugosłowiańskimi¹⁴. Wysunięta przez Dębickiego propozycja oddelegowania do placówki argentyńskiej Wiktora Pola, rutynowanego pracownika polskiej służby zagranicznej znającego przy tym świetnie miejscowe stosunki, uzyskała aprobatę ministra¹⁵.

12. *Ibidem*, k. 24, Telegram szyfrowy nr 161 R. Dębickiego do MSZ z 30 XII 1940 r.

13. Archiwum Akt Nowych – Warszawa (dalej: AAN), mikrofilm akt MSZ z Instytutu Hoovera (dalej: MSZ-IH), 1/58, k. 001197, Telegram szyfrowy nr 44 R. Dębickiego do MSZ z 17 II 1941 r., k. 00193, Telegram szyfrowy nr 51 R. Dębickiego do MSZ z 27 II 1941 r.

14. *Ibidem*, k. 001194, Telegram szyfrowy nr 40 A. Zaleskiego do R. Dębickiego otrzymany 22 II 1941 r., k. 001193, Telegram szyfrowy nr 56 A. Zaleskiego do R. Dębickiego otrzymany 6 III 1941 r.

15. *Ibidem*, k. 001192, Telegram szyfrowy nr 62 R. Dębickiego do MSZ z 7 III 1941 roku, k. 001101, Telegram szyfrowy nr 56 A. Zaleskiego do

Tryb likwidacji przedstawicielstw RP w Bukareszcie i Budapeszcie (a następnie Sofii) nakazywał zawczasu zabezpieczyć także archiwum Poselstwa. Zgodnie z instrukcją MSZ od końca 1940 r. prowadzono więc jego systematyczną ewakuację¹⁶. W oparciu o zebraną dokumentację nie sposób jednak ustalić stanu zaawansowania tej akcji. Nie wiadomo nawet, dokąd akta zostały wysłane. Zeznania zgromadzone podczas śledztwa przeciwko Dębickiemu, wszczętego latem 1941 r. przez Komisję Badawczą Ministerstwa Sprawiedliwości w Jerozolimie, w związku z domniemanymi nieprawidłowościami w działalności Poselstwa w Belgradzie nie potwierdziły zarzutu świadomego zaniedbania obowiązków w tym zakresie¹⁷. Z relacji powstała wynika, że opuszczając placówkę zabrał on ze sobą jedynie kody szyfrowe i korespondencję w nich prowadzoną. Polecił spalić ją w Perast 15 kwietnia 1941 r. uważając, iż podczas przelotu do Aten nie byłaby dość bezpieczna „w razie wypadku lotniczego lub zestrzelenia aparatu”¹⁸. Źródła niemieckie wskazują na zagarnięcie części zasobu archiwalnego Poselstwa przez Einsatzkommando Künsberg – specjalny oddział SS powołany w celu pozyskiwania polskich akt dyplomatycznych prawdopodobnie jeszcze przed wrześniem 1939 r. Rozmiar oraz charakter „zdobyczy” nazistów w Belgradzie pozostają nieznanne. W ich ręce wpadła również pewna ilość dokumentów Konsulatu Generalnego RP w Zagrzebiu. Według kierującego tą placówką Mieczysława Grabińskiego były to wyłącznie akta administracyjne oraz formularze paszportowe. Los reszty archiwaliów pozostaje tajemnicą¹⁹.

R. Dębickiego otrzymany 12 III 1941 r. W. Pol w był latach 1934-1936 radcą Poselstwa RP w Belgradzie, a następnie (do jesieni 1939 r.) konsulem generalnym w Zagrzebiu – *Rocznik służby zagranicznej Rzeczypospolitej Polskiej. Według stanu na 1 kwietnia 1938*, Warszawa 1938, s. 215. Powody, dla których Dębicki wystawił w X 1939 r. negatywną opinię Polowi, nie są znane – J. Szembek, *op.cit.*, s. 120.

16. IMPS, A.13/1, dok. 4, Raport R. Dębickiego do MSZ z 30 IV 1941 r.

17. *Ibidem*, A.20.4a.19, Protokół przesłuchania J. Grabowskiego z 16 X 1941 r., Protokół przesłuchania J. Uriasza z 14 X 1941 r., Protokół przesłuchania St. Ligonja z 21 X 1941 r., Protokół przesłuchania W. de Bondy z [?] 1941 r.

18. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6, R. Dębicki, Diariusz ewakuacji Poselstwa RP w Belgradzie, Kair 5 V 1941 r.

19. Zob. H. Batowski, „Polska dyplomacja...” s. 341-346, M. Grabiński,

W pierwszej dekadzie marca 1941 r. negocjacje jugosłowiańsko-niemieckie w sprawie przystąpienia do Paktu Trzech Mocarstw wkroczyły w decydującą fazę. Istotny wpływ na ich przebieg miało poszerzenie wtenczas grona jego sygnatariuszy o Bułgarię. Sąsiedztwo pięciu członków „osi” dezaktualizowało wszystkie istniejące plany obrony Jugosławii. Informując MSZ o społecznych skutkach polityki osaczenia wspólnego państwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców przez III Rzeszę oraz jej sojuszników Dębicki eksponował szerzące się nastroje depresji, ideowego rozbicia i niezdecydowania. Akces Belgradu do „osi” wydawał się mu nieuchronny²⁰. W tej sytuacji polecił zintensyfikować przygotowania do ewakuacji placówek i zwolnił część ich personelu. Osoby zagrożone represjami ze strony Niemiec miały *via* Stambuł udać się do Palestyny. Z akt Komisji Badawczej Ministerstwa Sprawiedliwości w Jerozolimie wynika jednak, że niektóre z nich nie zostały odpowiednio wcześniej zaopatrzone w niezbędne dokumenty. Odpowiedzialnością za to obarczano przede wszystkim kierownika Wydziału Konsularnego Poselstwa – Pawła Czerwińskiego, który arbitralnie rozstrzygał o kolejności ewakuacji. W podejmowanych przez niego decyzjach doszukiwano się nawet podtekstów towarzyskich i fobii narodowościowych²¹. 1 kwietnia wyjechały do Aten dzieci posła wraz z matką i żoną *attaché militaire* – ppłk. dypl. Janusza Czerwenki. Małżonka II sekretarza Poselstwa – Kazimierza Zdziarskiego postanowiła nie rozstawać się z mężem²². Po dokonanej redukcji etatów obsada placówki dyplomatycznej w Belgradzie składała się

„Dyplomacja w Dachau”, Dachau-Monachium 1946, s. 43. Zob. W. Stępiak, „Archiwalia polskie w zbiorach Instytutu Hoovera Uniwersytetu Stanforda”, Warszawa 1997, s. 150-151.

20. M. Sokolnicki, „Dziennik ankarcki 1939-1943”, s. 184. Zob. J. Kozeński, *op.cit.*, 96-105; M. J. Zacharias, *op.cit.*, s. 20-24.

21. Bulwersujący był zwłaszcza *casus* St. Zukierówny – urzędniczki Wydziału Konsularnego Poselstwa. – IMPS, A.20.4a.19, Protokół przesłuchania H. Słonimskiej z 10 X 1941 r., Protokół przesłuchania B. Lasockiej z 15 X 1941 r., Protokół przesłuchania K. Glinki z 20 X 1941 r., Protokół przesłuchania St. Ligonii z 21 X 1941 r., Protokół przesłuchania W. de Bondy z [?] 1941 r.

22. *Ibidem*, A.13/1, dok. 4; *ibidem*, Kol. 382, t. 4, W. Günther-Schwarzburg, Diariusz 1939-1941, zapis z 3 IV 1941 r.

zaledwie z 5 osób: pośła Dębickiego, radcy Czerwińskiego, *attaché* Zdziarskiego, *attaché militaire* Czerwenki, dietariusza Wydziału Konsularnego – Antoniego Patyny. Personel pomocniczy tworzyli zaś wtedy: radiotelegrafista – Konecki, woźni – Łaśnik i Szczypiński, szoferzy – Ceglarski i Gogol. Tożsamości kilku bezpośrednich podwładnych *attaché militaire*, z wyjątkiem jego zastępcy – kpt. Leonarda Stanisławskiego, nie udało się ustalić²³.

Problem ewakuacji uchodźców polskich nie dotyczył rzecz jasna wyłącznie byłych pracowników służby zagranicznej. W ocenie Dębickiego na terytorium Jugosławii wiosną 1941 r. znajdowało się około 350 obywateli RP. Większość z nich przebywała w zachodniej części kraju: w Zagrzebiu około 20 osób, w Cirkvenicy około 100 dzieci, w Novej Gradišce około 50 urzędników Banku Polskiego. Na obszarze wschodniej Jugosławii 30-40 osobowe skupiska uchodźców powstały w Jagodinie, Leskovacu i Čačaku. Na prośbę władz jugosłowiańskich w tej ostatniej miejscowości inżynierowie i mechanicy Państwowych Zakładów Telefonicznych w Warszawie uruchomili produkcję telefonów i radioaparatów m.in. dla potrzeb armii. Mniejsze zbiorowiska Polaków istniały w Belgradzie i Vranje. Poseł miał nadzieję, że doprowadzi do wyjazdu na Bliski Wschód mniej więcej 200 osób. Na miejscu pozostałoby więc tylko ci, którzy nie chcieli opuścić Jugosławii, albo z racji wieku lub stanu zdrowia czynić tego nie powinni. Niestety, z powodu tempa wydarzeń oraz trudności ze zdobyciem wiz plan ten nie został zrealizowany²⁴.

Zgodnie z przewidywaniami pośła RP 25 marca 1941 r. Jugosławia stała się nowym członkiem „osi”. Decyzja regenta i rządu Cvetkovića wywołała wszakże gwałtowne protesty ludności serbskiej. W nocy z 26 na 27 marca doszło w Bel-

23. *Ibidem*, A.13/1, dok. 4, dok. 6; *ibidem*, A.12.53/35D, k. 48-49, Telegram szyfrowy nr 103. R. Dębickiego do MSZ z 2 IV 1941 r.

24. Według St. Ligonja, troszczącego się o Polaków w Jugosławii z ramienia Obywatelskiego Komitetu Opieki w Budapeszcie, początkowo uchodźcy cywilni wcale nie nalegali na ewakuację. Gdy jednak „zrobiło się gorąco”, nagle chcieli wyjechać wszyscy – *ibidem*, A.20.4a.19, Protokół przesłuchania St. Ligonja z 21 X 1941 r.; *ibidem*, A.13/1, dok. 7, Raport R. Dębickiego do MSZ z 6 V 1941 r.; G. Mazur, *op.cit.*, s. 29.

gradzie do zamachu stanu, w wyniku którego władzę objął prawowity następca tronu Piotr II Karadjordjević. Misję sformowania nowego gabinetu otrzymał zdeklarowany przeciwnik współpracy z III Rzeszą – gen. Dušan Simović. Relacjonując na bieżąco MSZ okoliczności przewrotu Dębicki zwracał uwagę na panujące w tutejszym korpusie dyplomatycznym przekonanie o możliwości zbombardowania w nieodległym terminie Belgradu przez Luftwaffe „ze względu na otrzymany cios prestiżowy”²⁵. Sam również wątpił, aby duża powściągliwość rządu Simovića w składaniu deklaracji odnośnie obranego przez siebie kursu polityki zagranicznej zdołała uchronić Jugosławię przed konfliktem zbrojnym z Niemcami. Sądził bowiem, że „obydwie strony starają się zyskać na czasie dla uzupełnienia swych przygotowań politycznych i wojskowych”²⁶. Z nieskrywaną satysfakcją poseł odnotowywał natomiast okrzyki sympatii, jakie demonstrujący mieszkańcy Belgradu wznosili na widok samochodu Poselstwa z biało-czerwonym proporczykiem. Stanowiły one dla niego widomy znak poprawy oficjalnych relacji polsko-jugosłowiańskich²⁷. O podjętych z inicjatywy Simovića negocjacjach ze Związkiem Sowieckim, które zwińczył pakt o przyjaźni i nieagresji podpisany w Moskwie 5 kwietnia 1941 r., Dębicki dowiedział się dopiero dwa dni później, gdy nie posiadał już łączności z MSZ. Zapewne jednak podzielał opinię Zaleskiego, iż zacieśnienie kontaktów jugosłowiańsko-sowieckich utrudnia sytuację Polski na Bałkanach²⁸.

Dwie ostatnie odnalezione depesze Dębickiego z Belgradu zostały wysłane 2 kwietnia. W pierwszej poseł sygnalizo-

25. M. Sokolnicki, *op.cit.*, s. 189-190. Zob. J. Kozeński, *op.cit.*, s. 106-110; T. Rawski, „Wojna na Bałkanach 1941. Agresja hitlerowska na Jugosławię i Grecję”, Warszawa 1981, s. 141-147.

26. M. Sokolnicki, *op.cit.*, s. 191; IMPS, A.13/1, dok. 4.

27. M. Sokolnicki, *op.cit.*, s.191; AAN, MSZ-IH, 1/58, k. 001187, Telegram szyfrowy nr 96 R. Dębickiego do MSZ z 28 III 1941 r.; Przed gmachem Poselstwa manifestanci (głównie studenci) skandowali: „Polska, Czeszka, Polska, Czeszka” i „Zyvela Polska, zyvela Warszawa” – M. Grabiński, *op.cit.*, s. 31.

28. „Protokoły posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej”, t. 2, czerwiec 1940 – czerwiec 1941, oprac. W. Rojek, Kraków 1995, dok. 60, s. 311, Protokół posiedzenia Rady Ministrów z 8 IV 1941 r.; IMPS, A.13/1, dok. 6.

wał wzrastającą, w obliczu nieuniknionej wojny z Niemcami, determinację społeczeństwa Jugosławii. Rozpoczęcia działań militarnych spodziewał się w przeciągu 7-14 dni²⁹. Druga depesza potwierdzała instrukcję Zaleskiego nakazującą posłowi towarzyszenie rządowi jugosłowiańskiemu również wtedy, gdy zdecyduje się on na opuszczenie Belgradu. Dębicki przewidywał, że identycznie zachowają się wtedy jedynie reprezentanci państw tworzących koalicję antyhitlerowską. Pozostali członkowie korpusu dyplomatycznego, zwłaszcza w obliczu planowanego ogłoszenia Belgradu miastem otwartym, zostaną na miejscu. Przedstawiciel Argentyny zapowiedział to już zresztą posłowi. Nie omieszkął przy tej okazji zaznaczyć, że zawarte przed zaledwie kilkoma tygodniami porozumienie po zamachu stanu z 27 marca przestało obowiązywać. Wobec decyzji o kontynuowaniu przez Dębickiego misji przy rządzie Jugosławii, nie uważa za możliwe przejęcie opieki nad uchodźcami polskimi, „której praktycznie okupant nie da mu wykonywać”³⁰.

Wprawdzie – jak niespełna miesiąc potem konstatował poseł – belgradzki korpus dyplomatyczny „nigdy nie odznaczał się solidarnością”, wszelako w pierwszej dekadzie rządów gabinetu Simovića, w „atmosferze niepewności, pozornych nadziei i wyczekiwania” doznał on „jeszcze większego rozłam”. Szczególnie dyplomaci państw neutralnych lękali się o swój los. Poseł RP spotykał się więc tylko z posłami Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Belgii oraz Grecji, aby dzielić z nimi „informacje i myśli”. W zwołanej na 5 kwietnia przez nuncjusza – Msgr. Felici, konferencji szefów placówek dyplomatycznych nie uczestniczył, wiedząc o zaproszeniu na nią również posłów Włoch i Niemiec. Wieczorem tego dnia amerykański poseł, powołując się na źródła brytyjskie, uprzedził go telefonicznie o planowanym porannym ataku Luftwaffe na Belgrad. Ze względu na usytuowanie budynku Poselstwa RP w pobliżu siedziby resortu armii i marynarki istniało wysokie prawdopodobieństwo poniesienia poważnych szkód. Działania zabezpieczające nakazane przez Dębickiego

29. M. Sokolnicki, *op.cit.*, s.193.

30. IMPS, A.12.53/35D, k. 48-49.

personelowi placówki mogli im zaradzić tylko w minimalnym stopniu³¹.

Agresja III Rzeszy na Jugosławię rozpoczęła się 6 kwietnia 1941 r. od zmasowanej akcji sił powietrznych. Do pierwszego półtoragodzinnego nalotu na Belgrad, który nastąpił o godzinie 6.30, użyto 234 samoloty bombowe i nurkujące oraz 120 myśliwców. Wobec niewielkiej efektywności jugosłowiańskiej obrony przeciwlotniczej cel ataku został osiągnięty. Zbombardowano główne arterie komunikacyjne śródmieścia, dzielnicę rządową, uniwersytet, a także szereg obiektów wojskowych³². Ucierpiał również gmach Poselstwa RP, chociaż nie został bezpośrednio trafiony. Wyleciały wszystkie szyby, wyrwane zostały drzwi i futryny, zniszczeniu uległy bramy wjazdowe, pęd powietrza poprzewracał i uszkodził meble. Wokół budynku piętrzyły się zwalę gruzu i żelastwa ze zburzonych sąsiednich domów. Ustał dopływ elektryczności oraz gazu. Poważnego uszczerbku doznały wreszcie samochody znajdujące się w dyspozycji placówki, cztery z nich (w tym auto ciężarowe) nie nadawały się do użytku.

Jeszcze podczas nalotu telefonował do Poselstwa szef protokołu dyplomatycznego prosząc w imieniu władz Jugosławii o natychmiastowe opuszczenie Belgradu i wyjazd na południe, nawet do Grecji. Dębicki – powołując się na instrukcję Zaleskiego – kategorycznie odmówił, deklarując przy tym wolę dalszego towarzyszenia rządowi Simovića. Jugosłowiański dyplomata oznajmił więc posłowi, że agendy resortu spraw zagranicznych zostaną niezwłocznie ewakuowane do leżącego 200 km na południe od Belgradu kurortu Vrnjačka Banja. Tam też będą przygotowane kwatery dla członków korpusu dyplomatycznego. Chwilę później przestały działać telefony, nie udało się już zatem nawiązać kontaktu z Konsulatem Generalnym RP w Zagrzebiu. Gdy nalot dobiegł końca Dębicki, poleciwszy podwładnym przygotowanie się do niezwłocznej ewakuacji, udał się w objazd po Belgradzie dla zorientowania się w rozmiarach zniszczeń.

31. IMPS, A.13/1, dok. 5, Raport R. Dębickiego do MSZ z 30 IV 1941 r. Por. T. Rawski, *op.cit.*, s. 220-221.

32. Zob. J. Kozeński, *op.cit.*, s. 124-125; T. Rawski, *op.cit.*, s. 223-224.

Złożył także krótkie wizyty posłom Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii oraz Belgii. Po powrocie zastał personel dyplomatyczny i pomocniczy placówki gotowy do drogi. Brakowało jedynie dietariusza Patyny, który miał tymczasowo pozostać w gmachu Poselstwa i ewakuować się dopiero po pewnym czasie. Nie pozostawało nic innego, jak powierzyć klucze od posesji (termin jej wynajmu upływał 1 maja 1941 r.) dozorczy. Ostatnią czynnością, jaką wykonano, było zdjęcie z budynku godła Rzeczypospolitej³³.

Wyjazd nastąpił o godzinie 10.30, zaledwie dwa kwadransy przed kolejnym nalotem Luftwaffe. W porównaniu z kawalkadą 20 samochodów, którymi opuszczali Belgrad urzędnicy przedstawicielstwa Wielkiej Brytanii, kolumna 3 polskich aut prezentowała się nader skromnie. Swoją prywatny samochód Dębicki odstąpił *attaché militaire*, który zamierzał wraz ze swymi podkomendnymi dołączyć do jugosłowiańskiego Naczelnego Dowództwa. Nowa lokalizacja Kwatery Głównej nie była mu wszakże na razie znana. Pozostałe 2 auta musiały oprócz 9 osób i ich bagażu pomieścić także 4 skrzynie zawierające radiostację. Poseł nakazał ją zabrać mimo zdecydowanego sprzeciwu władz jugosłowiańskich. Sądził bowiem, że przy jej pomocy zdoła potajemnie utrzymać łączność z MSZ³⁴.

Kolejne etapy trwającej blisko dwa tygodnie ewakuacji Poselstwa RP z Belgradu można odtworzyć głównie na podstawie lakonicznego diariusza Dębickiego, sporządzonego zapewne w oparciu o prowadzone na bieżąco notatki³⁵. Warto przyjrzeć mu się nieco bliżej. Nie tylko dla nabrania wyobrażenia o skali dramatycznych przeżyć urzędników polskiej służby zagranicznej podczas katastrofy państwa jugosłowiańskiego, ale również dla zorientowania się, jak w tych ekstremalnych warunkach wywiązywali się z powierzonych im obowiązków.

Vrnjačka Banja, do którego personel Poselstwa RP dotarł około godziny osiemnastej, w istocie okazała się tymczasową siedzibą resortu spraw zagranicznych oraz większości spośród

33. IMPS, A.13/1, dok. 5, dok. 6. Zob. AAN, MSZ-IH, 1/58, k. 001197.

34. IMPS, A.13/1, dok. 5; *ibidem*, A.12.53/35D, k. 48-49.

35. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6.

ewakuowanych z Belgradu placówek dyplomatycznych³⁶. Nie gwarantowało to jednak wcale dostępu do informacji o aktualnej sytuacji polityczno-militarnej. Rozmowy, na których upłynął Dębickiemu następny dzień, przyniosły jedynie nieco enigmatycznych wiadomości na temat porozumienia jugosłowiańsko-sowieckiego. Nie udało się natomiast zweryfikować pogłosek o przystąpieniu do wojny kolejnych państw „osi”: Bułgarii i Węgier.

Wbrew zapowiedziom nie pojawił się we Vrnjačka Banja szef dyplomacji Jugosławii – Momčilo Ninčić. Co gorsza, miejsce pobytu rządu, a także Naczelnego Dowództwa wciąż pozostawało tajemnicą. Zarówno poseł, jak i *attaché militaire* nie mogli więc przystąpić do wykonywania nakazanej im przez MSZ misji. Władzom jugosłowiańskim, zarówno cywilnym, jak i wojskowym najwyraźniej zresztą wcale nie zależało na obecności reprezentantów władz RP u swego boku. Można nawet przypuszczać, że w obawie przed reakcją Moskwy wręcz jej sobie nie życzyli. W każdym razie opuszczający 8 kwietnia Vrnjačka Banja dygnitarze resortu spraw zagranicznych nie uznali za wskazane zaprosić Dębickiego do leżących około 100 km na północny zachód Użic, w okolicach których urzędował obecnie gabinet Simovića. O stawienie się tam poproszono tylko przedstawicieli państw uczestniczących w operacjach wojennych na Bałkanach: Grecji i Wielkiej Brytanii. Dębicki zdołał wszak przekonać znajdującego się w analogicznej sytuacji posła Belgii o konieczności udania się w ślad za wyżej wymienionymi. Wobec braku reakcji ze strony oficjalnych czynników jugosłowiańskich, poinformowanych o powziętej decyzji przez posłów Grecji i Wielkiej Brytanii, jeszcze tego samego dnia wieczorem polsko-belgijski konwój wyruszył do Użic. Po dwunastogodzinnej podróży dotarł do Čačaku.

Przebywali tam nadal polscy mechanicy i inżynierowie. Wytwórnia telefonów, w której pracowali lada chwila miała być jednak przeniesiona do Bajina Bašta. Wszyscy otrzymali od Dębickiego nowe paszporty oraz pewne kwoty w dinarach

36. Stolicę Jugosławii opuściły 6 IV 1941 r. przedstawicielstwa Belgii, Grecji, Holandii, Norwegii, Polski, Wielkiej Brytanii oraz Związku Sowieckiego – *ibidem*, A.13/1, dok. 5.

i dolarach. Poseł omówił również z kierującymi grupą inżynierami: Burhardtem i Konem trasy ewentualnej ewakuacji na wypadek zagrożenia działaniami wojennymi. W Čačaku znajdowało się w tym czasie jeszcze około 20 obywateli RP ewakuowanych z Belgradu przez długoletniego przedstawiciela biura podróży „Francopol” w Jugosławii – Mileckiego (właśc. Moczydłowski). Oni także zostali zasileni funduszami z kasy Poselstwa³⁷.

Tuż po południu 9 kwietnia osiągnięto wreszcie Użice, ale ani Polakom, ani Belgom nie dane było w nich pozostać. Instrukcja Ninčića przekazana telefonicznie szefowi protokołu dyplomatycznego nakazywała obydwu przedstawicielstwom wyjazd do Goražde, znajdującego się jeszcze ponad 100 km na zachód. Wszelako gdy zwrócono się o jej potwierdzenie do wiceministra Smiljanića oświadczył on, iż resort spraw zagranicznych życzy sobie powrotu dyplomatów do Vrnjačka Banja. Dębicki, powołując się na doniesienia o powodzeniu natarcia niemieckiego z terytorium Bułgarii, odmówił i jeszcze raz przypomniał o woli towarzyszenia rządowi Simovića. W końcu zgodził się wykonać polecenia Ninčića, które po długich sporach jugosłowiańscy urzędnicy uznali za najlepsze wyjście z sytuacji. Polsko-belgijska kolumna po kilku godzinach jazdy zawiąną śniegiem drogą zdołała tego dnia osiągnąć jedynie Višegrad. Potrzeba usunięcia awarii jednego z samochodów sprawiła, że w kolejny etap podróży, do Rogaticy, wyruszono nazajutrz wczesnym popołudniem. Trasa wiodła przez górskie przełęcz zasypane śniegiem i zatarasowane różnego rodzaju sprzętem transportowym. Gdy o zmroku Polacy i Belgowie znaleźli się u celu, poinformowano ich, że powinni skierować się do Sarajewa. Sukcesy Wehrmachtu zniweczyły bowiem projekt umieszczenia członków korpusu dyplomatycznego w Goražde. Pokonanie około 50 km dzielących Rogaticę od stolicy Bośni i Hercegowiny zajęło cały poranek i przedpołudnie dnia następnego. Nie-trudno to zrozumieć czytając relację z eskapady w diariuszu Dębickiego:

37. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6; dok. 7.

Droga niezmiernie trudna. Przejazd 2 przełęczy na wysokości 1000-1300 m nad poziom morza. Zatarasowanie znacznie większe niż dnia poprzedniego, co wskazuje na wzrastającą panikę. Dopiero osobista interwencja ministra armii i marynarki, Bogoljuba Ilića, który jedzie o kilka samochodów za nami i rozkazy wydane przezeń kilkunastu oficerom usuwającym z rewolwerem w rękę zbyt powolne, uszkodzone lub nie zaopatrzone w łańcuchy na kołach pojazdy, otwiera i nieco przyspiesza dalszą drogę³⁸.

Pierwsze godziny pobytu w Sarajewie zajęło Dębickiemu załatwianie spraw obywateli RP. Wspólnie z Mileckim ustalili, że pilotowana przez niego grupa wyruszy w kierunku Kotoru. Z kolei Artur Potocki, zawiadujący od kilku miesięcy społeczną akcją niesienia pomocy uchodźcom polskim w Jugosławii, otrzymał od pośła zadanie przedostania się na terytorium proklamowanego 10 kwietnia 1941 r. tzw. Niezależnego Państwa Chorwackiego i roztoczenia opieki nad znajdującymi się tam Polakami. Dębicki oczywiście zaopatrzył go w odpowiednie środki finansowe i potrzebne dokumenty³⁹.

Rozmowa z przypadkowo napotkanym Ninčićem wprawiła pośła RP w konsternację. Optymizm, jakim tryskał, nie przystawał bowiem zupełnie do tragicznego położenia militarnego Jugosławii. Zgoła odmiennie zapatrywał się na sytuację poseł brytyjski – Ronald Campbell. W jego opinii zarówno rząd, jak i korpus dyplomatyczny powinien zmierzać już w pobliże baz ewakuacyjnych usytuowanych na południowym wybrzeżu Adriatyku. Nieudana próba dotarcia *via* Mostar do Dubrownika, podjęta przez jedną z grup Brytyjczyków, dowiodła, że niebawem może się to okazać całkowicie niewykonalne. Władze jugosłowiańskie pozostawiły sugestie Campbella bez odpowiedzi. Nie potrafiły przy tym zdobyć się na decyzję odblokowania przez wojsko znajdującej się pod kontrolą chorwackich separatystów drogi do Mostaru, ani nawet wskazać korpusowi dyplomatycznemu miejsc pobytu

38. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6.

39. Wśród nich znajdowały się dzieci z ośrodka w Cirkvenicy prowadzonego w imieniu szwajcarskiej fundacji „Pro Polonia” przez Union Internationale de Secours aux Enfants. W opinii Dębickiego gwarantowało to wychowankom względne bezpieczeństwo – *ibidem*, dok. 6, dok. 7.

mniej narażonych na bombardowania niż Sarajewo i pobliskie kąpielisko Ilidża. O kwatery dla personelu Poselstwa RP po raz kolejny w ogóle nie zadbano, szukano ich na własną rękę w okolicy.

Cierpliwość brytyjskiego posła wyczerpała się w południe 13 kwietnia. Jego decyzja o opuszczeniu Ilidży przesądziła o ewakuacji pozostałych placówek dyplomatycznych. Wobec niemożności skorzystania z drogi na Mostar oraz ryzyka utknięcia w zaspach śnieżnych podczas przekraczania przełęczy w masywie Durmitoru, leżącej na wysokości 1700 m n.p.m., wybrano szlak wiodący pograniczem Hercegowiny i Czarnogóry. Niewiele wszak brakowało, aby podróż nim wcale nie doszła do skutku.

Wskutek zmylenia drogi przez posła Campbella – referował wyjazd z Ilidży Dębicki – wpadamy na pomocniczy areodrom w chwili nalotu nań. Z wielkim trudem udaje się naszej kolumnie wyjechać wśród bomb i ostrzeliwania z kulomiotów przez nieprzyjacielskie samoloty z doliny i wjechać w wąwóz górski, który stanowi pewną ochronę⁴⁰.

Po blisko dobre forsownej jazdy konwój szczęśliwie dotarł nad Zatokę Kotorską. Personel Poselstwa RP zakwaterowano w Perast, zaledwie 15 km od bazy jugosłowiańskiej marynarki wojennej.

Dopiero tam, mając zagwarantowany dopływ prądu, zmontowano radiostację. Okazało się jednak, że wskutek wstrząsów podczas transportu uległa ona uszkodzeniu, na usunięcie którego potrzeba było kilkanaście godzin. Jedyłą od wybuchu wojny w Jugosławii depezę do MSZ udało się więc wysłać 15 kwietnia. Dębicki prosił w niej o interwencję w Foreign Office, aby członków Poselstwa RP ewakuowano wraz z brytyjskim personelem dyplomatycznym.

Zwróciłem uwagę posłowi angielskiemu kilkakrotnie – telegrafowałem – na specjalne zagrożenie nasze i niedopuszczalność dostania się do niewoli⁴¹.

40. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6.

41. *Ibidem*, A.12.53/35D, k. 51, Telegram szyfrowy nr 109 R. Dębickiego do MSZ z 15 IV 1941 r.

Wieczorem 15 kwietnia Smiljanić potwierdził pogłoski o opuszczeniu przez króla i rząd terytorium Jugosławii oraz mającej nastąpić niebawem kapitulacji armii. Istotnie komplikowało to sytuację korpusu dyplomatycznego zarówno pod względem prawnym, jak i faktycznym. Dla reprezentantów państw tworzących koalicję antyhitlerowską definitywna ewakuacja stała się wręcz nakazem chwili. Zasady jej przeprowadzenia ustalił, z powodów oczywistych, Campbell. Z jego polecenia sporządzono listę około 60 osób, które nie powinny pozostać w Jugosławii. Część z nich zamierzano już najbliższej nocy wysłać do Grecji brytyjskimi wodnopłatowcami typu *Sunderland*. W pierwszym rzucie ewakuacji znaleźć się mieli także członkowie korpusu dyplomatycznego, ale, rzecz jasna, nie wszyscy. Dla poszczególnych poselstw zarezerwowano po 2 miejsca, wyjątek uczyniono tylko dla przedstawicielstw Egiptu i Polski. Pierwsze mogło dysponować 1, a drugie 3 miejscami. Dębicki bezskutecznie próbował przekonać brytyjskiego posła o konieczności zabrania jeszcze 3 osób. W końcu Campbell zgodził się przyznać mu jeszcze jedno miejsce przeznaczone dotąd dla egipskiego *chargé d'affaires*. Obiecał także, iż uczyni wszystko, aby pozostali pracownicy Poselstwa RP również zostali ewakuowani⁴².

Ostatnia narada Dębickiego ze współpracownikami odbyła się w napiętej atmosferze. Wiadomym było, że w podróż do Grecji wraz z posłem udać się muszą radca Poselstwa oraz *attaché militaire*. Nalegał na to zresztą poseł Wielkiej Brytanii. *Attaché* Poselstwa wyraził gotowość pozostania w Jugosławii, prosił jedynie o zabranie swej żony. Ta jednak odmówiła wyjazdu bez męża. Dębicki zdecydował więc o wyjeździe obojga małżonków Zdziarskich, licząc na uzyskanie dla nich w ostatniej chwili jeszcze jednego miejsca w samolocie. Wykonanie projektu zniweczyło nadejście ppłk. Czerwenki, który

kategoriycznie zażądał, biorąc za to pełną odpowiedzialność, zabrania jako czwartego kpt. Stanisławskiego swego pomocnika, który dzięki kilkunastoletniej pracy w II-gim Oddziale Sztabu Głównego narażony był na skazanie na śmierć przez Niemców⁴³.

42. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6.

43. *Ibidem*, A.13/1, dok. 4.

Nie mogąc spodziewać się ewakuacji 6 osób Dębicki zmuszony był przystać na bezceremonialnie zgłoszony postulat *attaché militaire*⁴⁴. Następnie wypłacił wszystkim podwładnym odprawy, a wśród pozostających w Jugosławii dodatkowo rozdzielił posiadane dinary i pewną kwotę w dolarach na pokrycie potrzeb ich samych oraz Polaków przybyłych do Dubrownika pod opieką Mileckiego. Dołączyli do nich wkrótce woźni oraz szoferzy placówki, nie mający w przeciwieństwie do Zdziarskich i Koneckiego żadnych szans na ewakuację przez Brytyjczyków. Oprócz dokumentacji szefowej poseł nakazał zniszczyć pieczęci Poselstwa, a także radiostację (po uprzednim wymontowaniu z nich kwarców, które zamierzał przekazać najbliższemu przedstawicielstwu RP)⁴⁵.

Bilans dokonań Poselstwa na rzecz uchodźców polskich w kwietniu 1941 r. Dębicki uznał za dodatni. Żadna z grup rozsianych na terytorium Jugosławii nie została pozostawiona swojemu losowi. Wobec bardzo ograniczonych możliwości ewakuacyjnych i dużego tempa operacji niemieckich w większości przypadków jedynym, co można było zrobić dla nich zrobić, to zaopatrzyć w środki finansowe, pozwalające na utrzymanie się przez okres 2-3 miesięcy. Równie istotne wydało się także posłowi delegowanie do dalszego koordynowania akcji pomocy ludzi kompetentnych, dobrze znających język i uwarunkowania lokalne. W jego ocenie przyszłość tylko nielicznych uchodźców polskich mogła budzić poważniejsze obawy. Nie zaliczył do nich jednak kierownika Konsulatu Generalnego RP w Zagrzebiu⁴⁶.

Przerwany 6 kwietnia kontakt z nim nie został już ponownie nawiązany. Dębicki nie wiedział zatem, dlaczego Grabiński nie wykonał przesłanej mu 30 marca pisemnej instrukcji, w której nakazał mu w razie wybuchu wojny dołączenie do Poselstwa lub, gdyby to okazało się niemożliwe, dotarcie do wy-

44. W literaturze przedmiotu dotyczącej Oddziału II Sztabu Generalnego/Głównego Wojska Polskiego postać kpt. L. Stanisławskiego nie występuje. Według informatorów prof. St. Kota był on „szarą eminencją” belgradzkiego attaszatu i... szwagrem ppłk. Czerwenki – AZHRL, ASt.K, t. 294, k. 2-11, 12.

45. IMPS, A.13/1, dok. 4, dok. 6, dok. 7.

46. *Ibidem*, dok. 7.

brzeża Adriatyku i dalszą jazdę w kierunku Kotoru. Podejrzał jedynie, że na przeszkodzie stanęły działania Wehrmachtu i akcja chorwackich separatystów⁴⁷. Tymczasem wybuch wojny nie zakłócił w większym stopniu funkcjonowania zagrzebskiej placówki. Brak bezpośredniego zagrożenia skonstatował też Rapp – tamtejszy konsul Wielkiej Brytanii, z którym Grabiński rozmawiał 8 kwietnia. Uprzedzając wtedy polskiego dyplomatę o zamiarze udania się do Splitu w celu doszlusowania do składu Poselstwa ewakuowanego z Belgradu, przyrzekł, że zabierze go ze sobą. Z niewiadomych przyczyn scenariusz ten nie został zrealizowany. 11 kwietnia – dzień po ogłoszeniu niepodległości Chorwacji – do gmachu Konsulatu wtargnęło 3 uzbrojonych ustazy i dokonało rewizji poszukując broni oraz materiałów wybuchowych. Oprócz 2 rewolwerów wpisanych do inwentarza placówki zabrali również służbowy samochód. Po incydencie Grabiński zarządził w Konsulacie stałe dyżury urzędników. Cztery dni później skrupulatnego przeszukania budynku dokonało Gestapo, które aresztowało wszystkich znajdujących się tam pracowników. Grabińskiego oraz jego małżonkę – Wandę poddano przesłuchaniu w Zagrzebiu, a następnie umieszczono w więzieniu w Grazu. Pod koniec maja żona konsula generalnego odzyskała na pewien czas wolność, natomiast on sam w połowie sierpnia 1941 r. został zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie był więziony do 29 kwietnia 1945 r.⁴⁸ Próby uwolnienia go w drodze wymiany za obywateli III Rzeszy podjęte przez dyplomację polską i amerykańską zakończyły się bowiem fiaskiem⁴⁹. Pozostałych urzędników Konsulatu – Jakuba Kołodzieja i Adama Koziółkowskiego więziono przez kilka miesięcy w Grazu i Wiedniu. Pierwszy z nich trafił potem na roboty przymusowe⁵⁰.

47. *Ibidem*, dok. 4.

48. We wrześniu 1939 r. Grabiński był urzędnikiem Konsulatu RP w Monachium. Został internowany przez nazistów, a następnie odtransportowany do Budapesztu 17 IX 1939 r. – M. Grabiński, *op.cit.*, s. 11-20, 34-70; „Polska służba zagraniczna po 1 września 1939 r.”, Londyn 1954, s. 87.

49. W. Michowicz, „Organizacja polskiej służby dyplomatycznej w okresie II wojny światowej”, [w:] „Historia dyplomacji polskiej”, t. 5, 1939-1945, pod red. W. Michowicza, Warszawa 1999, s. 86-87.

50. „Polska służba...”, *op.cit.*, s. 88.

Pożegnawszy się z podwładnymi Dębicki wraz z towarzyszącymi mu osobami udał się do Risan, skąd odlecieć miał do Grecji. Został tam oprócz obywateli brytyjskich oraz członków korpusu dyplomatycznego osobistości jugosłowiańskie, czeskie i bułgarskie, które zamierzano też ewakuować.

Wkrótce – zanotował poseł – skierowują nas na statek pasażerski, leżący na kotwicy od dłuższego czasu w zatoce, na którym mamy czekać nadejścia wodnopłatowców. Chodzi o to, by na statku, który jest oddalony o kilkadziesiąt metrów od brzegu i do którego tylko łódką można się dostać, przeprowadzić jeszcze raz selekcję oraz możliwie zabezpieczyć poufność całej operacji⁵¹.

Oczekiwane *Sunderlandy* pojawiły się jednak dopiero pod wieczór następnego dnia. W międzyczasie brytyjski konsul odpowiedzialny za ewakuację zawrócił na ląd część pasażerów statku, m.in. własnych rodaków pracujących dla wywiadu. Na pokład dwóch wodnopłatowców wpuszczono natomiast około 30 osób, każda z nich mogła zabrać ze sobą tylko niewielki bagaż podręczny. Ze względu na fatalne warunki meteorologiczne, jakie panowały u ujścia Zatoki Kotorskiej piloci *Sunderlandów* zwlekali ze startem nie chcąc ryzykować rozbicia się o skały lub wodowania w zasięgu działania floty włoskiej. Dopiero o 3 nad ranem poderwali maszyny, które po 5 godzinach lotu bezpiecznie dotarły w rejon Faleronu. Stamtąd ewakuowanych przewieziono samochodami do Aten.

Przebywający jeszcze w stolicy Grecji poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny RP – Władysław Günther-Schwarzburg nalegał, aby Dębicki i jego współpracownicy natychmiast zaokrętowali się wraz z personelem tutejszej placówki polskiej na stojącym w Pireusie S/S „Warszawa”, ponieważ prawdopodobnie nazajutrz władze greckie zmuszone będą udać się na Kretę. Dębicki przystał na to⁵². Z Aten wysłał więc tylko depeszę do MSZ informującą o okolicznościach opuszczenia Jugosławii i planowanym wyjeździe do Egiptu.

51. IMPS, A.13/1, dok. 6.

52. *Ibidem*; M. Sokolnicki, *op.cit.*, s. 197. Zob. W. Günther, „Pióropusz i szpada. Wspomnienia ze służby zagranicznej”, Paryż 1963, s. 189-190.

Prosił w niej także o zwrócenie uwagi Foreign Office na dramatyczne położenie małżeństwa Zdziarskich⁵³.

S/S „Warszawa” jeszcze przez 2 dni cumował u nabrzeży Pireusu, po czym w konwoju popłynął do Port Saidu. Zawinął tam 24 kwietnia. Niebawem członkowie Poselstwa byli już w Kairze, gdzie wreszcie mogli zająć się pisaniem sprawozdań z ostatniego etapu aktywności placówki w Jugosławii⁵⁴. Misja Dębickiego w Belgradzie miała wszak jeszcze swój epilog: od 30 sierpnia 1941 r. do 1 września 1942 r. reprezentował on Rzeczypospolitą jako poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny przy jugosłowiańskim rządzie na emigracji.

Sławomir M. NOWINOWSKI

S. M. Nowinowski – ur. w 1965 r. w Nowym Targu; doktor nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Historii Powszechnej Najnowszej Uniwersytetu Łódzkiego.

53. IMPS, A.12.53/35B, k. 49, Telegram szyfrowy nr 89 R. Dębickiego do MSZ z 17 IV 1941 r.

54. *Ibidem*, A.13/1, dok. 6.

Marek WIERZBICKI

W KWESTII SZMALCOWNICTWA W WARSZAWIE W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

Dzieje stosunków polsko-żydowskich obfitują w wiele tzw. trudnych tematów, czyli kontrowersyjnych kwestii, które są zupełnie inaczej przedstawiane oraz oceniane przez Żydów i Polaków. Do jednej z najważniejszych należy problem szmalcownictwa, a więc wymuszania na Żydach okupu pod groźbą zadenuncjowania do władz niemieckich. W polskiej literaturze historycznej okresu powojennego brakuje opracowań naukowych tego tematu, co najwyżej był on wzmiankowany dość ogólnikowo na marginesie innych opracowań¹. Więcej uwagi poświęciła tej kwestii literatura wspomnieniowa, jednak obarczona piętnem subiektywizmu, stała się niezdolna do jej obiektywnego przedstawienia. W latach 90-tych XX wieku rozpoczął się okres badań młodszego pokolenia historyków nad dziejami najnowszymi Polski, w tym nad problematyką stosunków polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej. Powstają prace, które w oparciu o niewykorzystaną wcześniej bazę źródłową poruszają

1. Zob. np. T. Szarota, „Okupowanej Warszawy dzień powszedni”, Warszawa 1978, s. 210; W. Bartoszewski, „1859 dni Warszawy”, Warszawa 1984, s. 380, 405.

najbardziej kontrowersyjne zagadnienia polskiej historii. Jedną z takich prac jest przygotowywana właśnie rozprawa prof. Jana Grabowskiego o marginesie społecznym Warszawy w latach II wojny światowej. Jej zapowiedzią jest niejako artykuł tegoż autora, poświęcony zagadnieniu szmalcownictwa na terenie Warszawy w latach 1939-1942, zamieszczony na łamach *Zeszytów Historycznych*².

W swoim artykule J. Grabowski próbuje przedstawić genezę oraz pierwszy okres szmalcownictwa w Warszawie, praktycznie już od pierwszych miesięcy okupacji niemieckiej. Podstawą źródłową jego dociekań stały się akta okupacyjnego Sądu Specjalnego dystryktu warszawskiego oraz prokuratury niemieckiej znajdującej się przy tym sądzie. Zawierają one akta spraw sądowych i dochodzeń w sprawie szantażowania Żydów oraz napadów na żydowskie mieszkania. Pochodziły one głównie z 48 procesów przed niemieckim Sądem Specjalnym o wymuszenia dokonywane na warszawskich Żydach. Materiały odnoszą się jedynie do terenu Warszawy, a niekiedy do obszaru dystryktu warszawskiego. Należy się więc zgodzić z opinią autora, że wnioski wyciągane na podstawie tego materiału źródłowego mogą dotyczyć jedynie obszaru Warszawy i dystryktu warszawskiego, nie mogą być więc rozciągane na cały obszar Generalnego Gubernatorstwa. Z drugiej zaś strony szereg innych, zamieszczonych w tym artykule, opinii budzi moje wątpliwości. Dotyczą one głównie kwestii metodologicznych.

Pierwszym zagadnieniem jest stosowanie definicji szmalcownictwa. Według przytaczanej przez autora definicji W. Doroszewskiego „szmalcem nazywano za okupacji hitlerowskiej okup wymuszany na kimś, zwykle na Żydach, pod groźbą zadenuncjowania, wydania w ręce Gestapo”³. Podobnie (choć nie do końca) określają to zjawisko bezpośredni świadkowie tych wydarzeń. Na przykład, Emanuel Ringelblum tak charakteryzował to zjawisko:

Obok agentów policyjnych szantażyści i „szmalcownicy” są wieczną zmorą Żydów po aryjskiej stronie. Nie ma dosłownie

2. *Zeszyty Historyczne*, 2003, z. 143, s. 86–117.

3. W. Doroszewski (red.), „Słownik języka polskiego”, Warszawa 1966.

Żyda „na powierzchni” czy „pod powierzchnią”, który by nie miał z nimi do czynienia raz albo kilka razy i nie musiał się od nich wykupić większą lub mniejszą sumą pieniędzy.[...] Szmalcownictwo zaczyna się z chwilą przejścia Żyda przez bramę getta albo dla ścisłości już u bram getta, które są obserwowane przez roje „szmalcowników”. W każdym Żydzie, opuszczającym getto, widzi „szmalcownik” żer dla siebie. Żyd w terminologii „szmalcowników” to „kot”, który przekrada się ulicami miasta. Dobrowolni agenci policyjni – „szmalcownicy” nie spuszczaają Żyda z oka, aby w odpowiednim momencie, gdy Żyd zdejmie opaskę i wejdzie do jakiejś bramy, złapać go na gorącym uczynku i zażądać odpowiedniego wykupu. Sprytniejszy „szmalcownik” zaobserwuje numer mieszkania i do spółki z policjantem dokona „wypadu” na Żyda i podejmujących go chrześcijan. „Szmalcownicy operują wszędzie tam, gdzie Żydzi mają styczność ze stroną aryjską, a więc przy wszystkich metach koło murów, przy bramach wylotowych, na trasie placówek, na placówkach itd., jednym słowem wszędzie gdzie Żydzi próbują „urwać się”, tzn. odłączyć od placówki i udać się do mieszkania po aryjskiej stronie⁴.

W opisie E. Ringelbluma znajdują się informacje pozwalające osadzić szmalcownictwo w odpowiednim miejscu i czasie oraz kontekście sytuacyjnym. Dowiadujemy się z nich, że stało się ono plagą, utrudniającą życie setek tysięcy Żydów osadzonych w warszawskim getcie. Niemniej wydaje się, że w swojej „klasycznej” postaci szmalcownictwo powstało dopiero po odizolowaniu ludności żydowskiej od ludności „chrześcijańskiej”, dokonany przez utworzenie getta, a więc po 15 listopada 1940 r., oraz po wprowadzeniu, 15 października 1941 r. w Generalnej Guberni, a 10 listopada 1941 r. w dystrykcie warszawskim, kary śmierci za jego opuszczenie. Czy można więc zatem mówić o szmalcownictwie w odniesieniu do okresu przed utworzeniem getta czyli przed 15 listopada 1940 r.? J. Grabowski odpowiada na to pytanie twierdząco, używając do tego celu szeregu przykładów „spraw szmalcowniczych”, które znalazły odbicie w dokumentach hitlerowskiego wymiaru sprawiedliwości. Przyglądając się tym przykładom powstaje jednak przekonanie, że autor wspomnianego artykułu dokonał w wielu wypadkach swoistego

4. E. Ringelblum, „Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej”, Warszawa 1988, s. 95.

pomieszania pojęć, kwalifikując jako „szmalcownicze” sprawy zupełnie innego gatunku.

Na przykład, wśród przytoczonych przykładów „zorganizowanego szmalcownictwa” znalazła się sprawa przestępczej działalności szajki Tadeusza Łozińskiego (vel Wittena). Jej przywódca – przedwojenny kryminalista i recydywista do współpracy wciągnął kilku Polaków oraz przygodnie napotykanym niemieckim żołnierzom. Grupa Łozińskiego dokonała co najmniej kilku napadów na żydowskie mieszkania, w czasie których jej członkowie podawali się za funkcjonariuszy Gestapo. Na przykład, podczas napadu na mieszkanie Żyda mieszkającego na Starym Mieście napastnicy pozorowali przeprowadzenie rewizji, kradnąc drogocenne przedmioty. W czasie innego napadu, tym razem na hurtownię ubrań, Łoziński i jego towarzysze krzykiem i biciem usiłovali zmusić właściciela – Żyda, a także dwoje Polaków (dozorcę i osobę sprawującą pieczę nad magazynem hurtowni) do wydania ubrań. W sumie napastnicy zrabowali 600 koszul i dwa futra. Wkrótce potem na skutek skargi poszkodowanych Polaków cała grupa została aresztowana przez niemiecką policję⁵. Kolejny gang zajmujący się rabunkiem składał się wyłącznie z Polaków, którzy w czasie napadów udawali Niemców. W wigilijny wieczór 1939 r., pozorując rewizję obrabowali mieszkanie Stanisława Zduna, szewca narodowości polskiej. Inne ofiary tej szajki, tym razem narodowości żydowskiej, były rabowane w podobny sposób, na przykład Anna Pach z ulicy Targowej, której w czasie „rewizji” skradziono 30 tys. zł, biżuterię, futra oraz inne przedmioty. Kolejne napady wyglądały podobnie, z tym że bezkarność i brak reakcji ofiar coraz bardziej rozzuchwalały przestępców. Dokonywane przez nich napady stawały się coraz bardziej zuchwałe. Na przykład, z mieszkania niejakiej Bajli Herszbajn wynieśli wszystkie meble i pościel oraz dowód osobisty. W następnych dniach wracali domagając się pieniędzy za zwrot tego dokumentu. Skarga polskiego szewca, a następnie zeznania kolejnych poszkodowanych Żydów spowodowały zatrzymanie całej grupy. Trzech spośród przestępców zostało niebawem rozstrze-

5. J. Grabowski, „Szmalcownicy warszawscy”, *op.cit.*

lanych przez Niemców. Innym przykładem określanym przez J. Grabowskiego mianem szmalcownictwa była przestępcza działalność tzw. kolumn sanitarnych, które trudniły się dezynfekcją mieszkań objętych lub zagrożonych epidemią tyfusu. Członkowie zespołów dezynfekujących mieszkania wymuszali od właścicieli haracze grożąc zniszczeniem bielizny lub innych rodzajów odzieży. Często dopuszczali się też zwyczajnych kradzieży.

Moim zdaniem przytoczone przykłady są czymś zupełnie innym niż podana na wstępie definicja szmalcownictwa. Po pierwsze, są one przypadkami zwyczajnego rabunku, poparte „argumentem” siłowym lub oszustwem. „Motyw rasowy” tych przestępstw, o którym wspomina J. Grabowski, schodzi w nich na plan dalszy. Żydzi są atakowani przede wszystkim dlatego, że są „słabsi”, tzn. łatwiej jest ich obrabować niż Polaków (tych zresztą jak widzimy rabowano również), a nie dlatego, że złamali stworzone z motywów rasistowskich ustawodawstwo okupanta. Jeśli można mówić o szmalcownictwie *sensu stricto* w okresie 1939-1940 to dotyczyć ono mogło jedynie wymuszania okupu za ukrywanie opasek z gwiazdą Dawida, nie zaś przypadków napadania na domy żydowskie pod pozorem rewizji. W tym okresie ofiary takich napadów narodowości żydowskiej znajdowały się (przynajmniej formalnie) pod ochroną niemieckiego prawa, o czym mogą świadczyć ich skargi składane w niemieckiej prokuraturze i ostre konsekwencje wyciągane przez niemiecki wymiar sprawiedliwości wobec przestępców. W ten sposób niemieckie prawo brało pod opiekę rabowanych Żydów. Sytuacja była więc jakby odwrotna w porównaniu do położenia ludności żydowskiej po zamknięciu getta i karania śmiercią osób opuszczających getto bez zgody władz niemieckich. W tym sensie Żydzi nie odróżniali się od „aryjskiego” otoczenia, toteż dokonywane na nich rabunki należy traktować jako zwykły bandytyzm. Przestępstwa członków tzw. kolumn sanitarnych także wykraczają poza przytoczoną na wstępie definicję szmalcownictwa. Nietrudno się domyślić, że pobieranie haraczy dotyczyło także ludności polskiej, a więc nie była to akcja wymierzona w Żydów ze względu na ich narodowość. Szantażyści nie grozili denuncja-

cją do władz niemieckich, ale zniszczeniem ubrania, łamiąc tym zresztą prawo niemieckie. Świadczą o tym procesy sądowe przed sądami niemieckimi. Wreszcie dokonywali też licznych kradzieży, co nijak się ma do szmalcownictwa. Podobnie nietrafnym przykładem szmalcownictwa zamieszczonym w artykule J. Grabowskiego jest sprawa kilkunastu chłopów spod Falenicy, którzy w latach 1940-1941 napadali na żydowskie furmanki, bili Żydów batami, wymuszali pieniądze i kradli wieszoną żywność. Mamy tu do czynienia z przejawami pospolitego bandytyzmu, który sam autor omawianego artykułu wyłączył z rozważań dotyczących szmalcownictwa, argumentując swój wybór zbyt nikłym „motywy rasowym” dokonywanych przestępstw⁶.

W niektórych, z przytoczonych przez J. Grabowskiego, przypadkach można znaleźć zjawiska z pogranicza szmalcownictwa. Dotyczy to np. sprawy działalności gangu Ukraińca Pawła Dmytruka, który kierował napadem na dom przy ul. Elektoralnej. W wigilię 1940 r. Dmytruk wraz z grupą granatowych policjantów oraz kilkoma współnikami narodowości polskiej, niemieckiej i żydowskiej, wyrzucił z mieszkań około 15 Żydów rabując je w czasie pozorowanej rewizji. Następnie aresztował dwóch kupców, którzy nie chcieli oddać rzekomo posiadanych towarów. Poszkodowani wyszli z więzienia dopiero po dwóch tygodniach, jak się można domyślać, po wpłaceniu haraczu. Rzecz charakterystyczna, to ofiary rabunków i wymuszeń poinformowały władze niemieckie o działalności grupy Dmytruka, trudno więc mówić o „klasycznym” szmalcownictwie, podobnym do prowadzonego wokół getta w latach 1942-1943. Także reakcja władz niemieckich świadczyła o tym, że przestępstwa gangów kryminalnych traktowano jak przestępstwa pospolite, czego nie zmieniał fakt ich dokonywania w stosunku do Żydów.

Tytuł artykułu J. Grabowskiego został więc sformułowany nieprecyzyjnie. Traktuje on bowiem nie tyle o samych szmalcownikach i szmalcownictwie, ile o przestępstwach dokonywanych na Żydach (choć nie tylko) w pierwszym okresie okupacji niemieckiej, a także o przestępcach trudniących się

6. *Ibidem*, s. 113.

rabunkiem, szantażem, oszustwem i złodziejstwem.

J. Grabowski nie zauważył również, że w okupowanej Warszawie spotykamy się z dwoma rodzajami szantażu opartymi na fakcie, iż według ustawodawstwa niemieckiego, znajdujący się poza granicami getta Żyd tracił wszelkie prawa, a także prawo do życia. Pierwsze polegało na zaczepieniu na ulicy kogoś uznanego za Żyda i wymuszeniu na nim drobnego haraczu („daj pan na szmaliec”) pod groźbą denuncjacji. Inne zjawisko, na ogół o wiele groźniejsze, to wykrycie miejsca ukrywania się Żydów, którego konsekwencją było najście na mieszkanie powiązane z żądaniem na ogół dużego okupu pod groźbą przekazania w ręce policji niemieckiej. To drugie zjawisko było szczególnie groźne, tak ze względu na pozbawienie ukrywających się względnie bezpiecznego schronienia, jak na fakt, że najczęściej najścia takie się powtarzały. Szantaż taki obejmował przy tym nie tylko ukrywających się Żydów, lecz również dających im schronienie Polaków⁷. Oba wypadki bazowały w pełnym zakresie na ustawach niemieckich, a działania szantażystów były całkowicie bezkarne, gdyż szły zgodnie z linią hitlerowskiej polityki rasistowskiej. Właśnie identyfikacja szantażysty z hitlerowską koncepcją Żyda stawała się czymś najbardziej charakterystycznym dla opisywanych zjawisk. Można byłoby ją określić jako bandycką kolaborację z okupantem. Szmalcownictwo było bowiem specyficzną formą kolaboracji, polegającą z jednej strony na wykorzystaniu niemieckiego ustawodawstwa dla własnej korzyści, z drugiej zaś na wspomaganiu okupanta w realizowaniu jego polityki względem ludności żydowskiej.

Marek WIERZBICKI

M. Wierzbicki – ur. w 1964 r. w Pionkach, absolwent Wydziału Humanistycznego KUL (1988), doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie.

7. Na takie dwie formy szantażu o podłożu rasowym wskazywał także E. Ringelblum, „Stosunki polsko-żydowskie...”, *op.cit.*, s. 95-98.

REPLIKA

Dr Marek Wierzbicki zarzuca mi nieściśłość metodologiczną polegającą na posługiwaniu się zbyt szeroko rozbudowanym pojęciem szmalcownictwa. Obok analizy zachowań szmalcowniczych, jak twierdzi dr Wierzbicki, wiele miejsca poświęcam zwykłym bandytom, którzy na Żydów napadali z powodów koniunkturalnych („bo są słabsi”), a nie rasowych. Zarzut ten jest o tyle dziwny, że już na drugiej stronie mojego tekstu zastrzegłem się, że:

obok szmalcownictwa rozumianego jako żądanie okupu w artykule zwrócimy również uwagę na bandytów, dokonujących napadów i rabujących Żydów, grożąc ofiarom wydaniem w ręce okupanta, bądź też podając się za agentów Gestapo.

Powołując się na to zastrzeżenie, mógłbym w tym miejscu zakończyć polemikę z dr. Wierzbickim, ale uważam, iż temat jest na tyle ważny, że warto dodać kilka uściśleń. Zagadnienie kryminalizacji społeczeństwa polskiego oraz postaw kolaboranckich w czasie okupacji niemieckiej nadal czeka na rzetelne opracowanie. Ostatnio wydane monografie (np. praca A. Rybickiej o Instytucie Niemieckiej Pracy Wschodniej) jedynie potwierdzają potrzebę prowadzenia dalszych badań w tym kierunku. Wobec braku prac naukowych poświęconym tym do dziś dnia bardzo bolesnym i drażliwym tematom, trudno jest mówić o istnieniu jakichkolwiek „przyjętych definicji”. Każdy zawodowy historyk, podobnie jak i większość ludzi choć trochę zainteresowanych historią najnowszą instynktownie rozumie znaczenie słowa „szmalcownik”. Odbywa się to jednak na zasadzie „koń jaki jest, każdy widzi”, a nie na podstawie ustaleń systematycznie przeprowadzonej kwerendy. Sprawy nie ułatwiają polskie encyklopedie i słowniki, które (nie przypadkiem) pomijają milczeniem ten rzeczownik. Wróćmy więc do zarzutów dr. Wierzbickiego.

Cytowany za Ringelblumem *passus* rzeczywiście odnosi się do „klasycznych” szmalcowników, czynnych po zamknięciu getta i po nałożeniu na poruszających się poza jego granicami Żydów kary śmierci. Czy nie należy jednak rozszerzyć badań na postawy pokrewne? Na podstawie przejrzanych materiałów sądowych mogę stanowczo stwierdzić, że gangi szantażystów i bandytów grasujące w Warszawie od zimy 1939 r. w sposób selektywny wybierały żydowskie ofiary. Podczas rewizji i napadów element szantażu był niezwykle wyraźnie wyeksponowany („płać, albo idziemy na Gestapo”). To, że nawet w oczach hitlerowskich władz szantażowani Żydzi nie popełnili żadnego wykroczenia, nie miało najmniejszego znaczenia. Żydzi wiedzieli, że zostali wyjęci spod prawa i że próby dowodzenia swych racji w Alei Szucha są z góry skazane na niepowodzenie. Natomiast Polacy jedynie z rzadka, z reguły w wyniku pomyłki, stawali się ofiarami tych gangów.

Jeżeli już mowa o zasadności zawężających tematykę definicji, to pojawia się pytanie, czy pod szmalcowników możemy podciągnąć ludzi gwałcących szantażowane Żydówki. Z akt sądowych (ale też i z literatury pamiętnikarskiej) wiadomo, że tego rodzaju okup był nierzadko pobierany. Tymczasem pieniądze nie przechodziły z rąk do rąk – brak więc motywacji finansowej, leżącej rzekomo u podstaw szmalcownictwa. W moim opracowaniu pominąłem te wypadki milczeniem, zapewne niestusznie. Podobne pytania dotyczą ludzi, którzy wiosną 1940 roku zapragnęli się wzbogacić kosztem ekspropriowanych żydowskich sklepikarzy i kamieniczników. Pierwszym krokiem był szantaż, drugim – w razie niepowodzenia – donos w Aleję Szucha. Inni ludzie, których niełatwo sklasyfikować przy pomocy cytowanej przez dr. Wierzbickiego definicji Ringelbluma, wydawali Żydów w ręce policji („bo tak wypadło”) ze strachu, bojąc się zbiorowej odpowiedzialności mieszkańców całej kamienicy w razie „wpadki” ukrywających się Żydów.

Dr Wierzbicki myli się również sugerując, że wszyscy szmalcownicy byli kolaborantami. Raz jeszcze potykamy się o nieszcześnie definicje. Owszem, między zatrzymanymi szmalcownikami natknąć się można i na konfidentów Gestapo, ale niemieckie akta sądowe dostarczają przykładów ludzi, którzy

rabując i szantażując Żydów, czynili to również z „pobudek patriotycznych i ideowych” – aby posłużyć się słowami z jednego z zatrzymanych. Dla wielu szmalcowników „walka z międzynarodowym żydostwem” łączyła w sobie aspekty działalności patriotycznej i zarobkowej. Natomiast przyznaję rację autorowi tekstu polemicznego, że nie dość wyraźnie zaznaczyłem różnicę między nieorganizowanymi bandami wyrostków, wymuszającymi drobne haracze, a lepiej ukonstytuowanymi szajkami idącymi śladem Żydów ukrywających się na melinach po „aryjskiej” stronie. Zagadnieniu temu poświęciłem więcej miejsca w przygotowywanej obecnie do druku książce. Jak słusznie zaznacza M. Wierzbicki, tematyka znajdująca się w polu mojego zainteresowania nie została dotąd szerzej rozwinięta przez polskich historyków. Jestem wobec tego wdzięczny dr. Wierzbickiemu za zabranie głosu w tej sprawie.

Jan GRABOWSKI

ARCHIWUM «KULTURY»

Andrzej DOBROWOLSKI

«WOT TAM DIADIA WYSZYNSKI...» LIST T. PARNICKIEGO DO J. GIEDROYCIA Z 2 XII 1954

Dwudziestego drugiego listopada 1954 r. o godzinie 9.30 w Nowym Jorku zmarł nagle na atak serca szef delegacji ZSSR przy ONZ, Andriej Wyszyński¹. Do gmachu delegacji sowieckiej – dla złożenia hołdu zmarłemu – przybył m.in. Dag Hammarskjöld, sekretarz generalny ONZ. We wspomnieniach pośmiertnych zachodni publicyści – najczęściej jednak o prokomunistycznych sympatiach, a takich było wówczas wielu – pisali o nim jako o „mężu pokoju” i człowieku, który „przyczynił się do podniesienia sowieckiego wymiaru sprawiedliwości”². Oczywiście, zupełnie inaczej zapamiętali go Polacy, którzy po II wojnie światowej znaleźli się na emigracji, również w wyniku bezwzględności kierowanej przez niego dyplomacji. Londyński *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza*, pismo cieszące się dużą popularnością wśród byłych polskich ofiar sowieckiego „porządku praw-

1. Andriej J. Wyszyński (1883-1954) – sowiecki prokurator i dyplomata; od 1931 prokurator Rosyjskiej FSRS, 1933-1939 prokurator generalny; oskarżał w głównych procesach politycznych; od 1940 wicekomisarz, a następnie w latach 1949-1953 minister spraw zagranicznych.

2. Głosy prasy zachodniej cytował *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* z 24 i 25 listopada 1954.

nego”, ustosunkował się dość jednoznacznie do pozytywnych opinii na temat prokuratora generalnego, inicjującego w Związku Sowieckim procesy pokazowe w latach trzydziestych i angażującego się w zaprowadzanie nowego ładu w Europie środkowej i wschodniej. Artykułik „Zwłoki Wyszyńskiego – do Moskwy” ukazał się z pod nagłówkiem „Posłał na śmierć tysiące, ujarzmił miliony”, również nota „A. J. Wyszyński” kończyła się wyrażeniem:

Andrzej Januariewicz Wyszyński odszedł tam, gdzie nie będzie oskarżycielem, ale oskarżonym³.

Nie wszystkie materiały zamieszczone przez *Dziennik* były równie poważne: wśród tekstów okolicznościowych znalazło się także doniesienie „Bywalca”, który w stałej – i znanej raczej z nierzetelności – rubryce „Podsluchane” pozwolił sobie na uzupełnienie o dość szczególne *polonicum* – jego pierwszoplanowym bohaterem stał się pisarz Teodor Parnicki:

W wiadomości o śmierci Wyszyńskiego (*Dz.P.* z dn. 24 [XI]) była mowa o jego polskim pochodzeniu. Mogę również do tego dodać od siebie parę szczegółów o związkach Wyszyńskiego z polskością (z czego bynajmniej nie możemy być dumni). Otóż Andrzej Wyszyński był ojcem chrzestnym Teodora Parnickiego, znanego powieściopisarza, przebywającego obecnie w Meksyku. Chrzest odbył się w Berlinie w 1909 r. w kościele katolickim i w myśl przepisu kodeksu kanonicznego. Wyszyński widocznie musiał wówczas podawać się za katolika i obracać się w kołach polskiej studenterii w Berlinie, do której rodzice Parnickiego należeli. Gdyby mogli przewidzieć dalszą karierę chrzestnego ojca ich syna, na pewno by zrezygnowali z tego „zaszczytu”...⁴

Właśnie doniesienie „Bywalca” skłoniło Jerzego Giedroycia – który w kontakcie korespondencyjnym z Teodorem Parnickim znajdował się od 1947 r. i który niebawem miał wydać jego najnowszą powieść⁵ – do zwrócenia się w liście

3. *Dziennik Polski* z 25 XI 1954 r.

4. Tamże; pseudonimu „Bywalec” używał m.in. Tadeusz Horko (1913-1976); w l. 1947-1959 redaktor dziennika.

5. T. Parnicki, „Koniec «Zgody Narodów»”. Powieść z roku 179 przed Nar. Chrystusa, t. 1-2, Paryż 1955, „Biblioteka Kultury”, t. XII.

do niego z 29 XI 1954 r. z zachętą do rozwinięcia tego wątku biograficznego:

Dziennik Polski podał, że Wyszyński był Pana ojcem chrzestnym. Czy to prawda? Jeśli tak, to wydaje mi się, że prasa amerykańska z rozkoszą by to wykorzystała i przy tym świetnie zapłaciła.

Parnicki odpowiedział od razu w liście z 2 XII 1954 r.:

Wyszyński nie był moim ojcem chrzestnym – nie mógł nim być, choćby dlatego, że – jakkolwiek w samej rzeczy urodziłem się w Berlinie w r. 1908 – ochrzczony zostałem dopiero po śmierci matki w szereg lat później... Natomiast prawdą jest, że Wyszyński był najbliższym kolegą i przyjacielem mego ojca w końcowych dwu klasach gimnazjum w Baku.

Jednocześnie przyznał, że, przebywając w więzieniach sowieckich, próbował się z nim listownie kontaktować. Myślał o spotkaniu z nim również w trakcie swojej późniejszej pracy w ambasadzie RP w Kujbyszewie, gdzie pracował jako *attaché* kulturalny, ale

Kot⁶ nigdy nie chciał mnie zetknąć z Wyszyńskim. Ani też Romer⁷ – uważając, że mógłbym go „skonfudować”....

Wyjaśnienia Parnickiego Giedroyc skwitował krótko w liście z 12 XII 1954 r.:

Szczegóły dotyczące Wyszyńskiego są b[ardzo] ciekawe, ale nie bardzo widzę, by można było je wykorzystać „prasowo”. Co za szkoda, że nie spróbował Pan nawiązać kontaktu z Wyszyńskim wbrew ambasadorom. Rzeczywiście coraz bardziej przychodzę do przekonania, że dyplomaci są z reguły pozbawieni wyobraźni.

6. Stanisław Kot (1885-1975) – historyk, polityk; w l. 1941-1942 ambasador RP w ZSSR; 1942-1943 minister stanu na Bliskim Wschodzie, później – do 1944 minister informacji; w 1945 wraz ze Stanisławem Mikołajczykiem wrócił do Polski, skąd został wysłany jako ambasador do Rzymu; od 1947 na emigracji; autor m.in. „Listów z Rosji do generała Sikorskiego” (1955) i „Rozmów z Kremlm” (1959).

7. Tadeusz Romer (1894-1978) – w l. 1942-1943 ambasador RP w Kujbyszewie; 1943-1944 – minister spraw zagranicznych w rządzie S. Mikołajczyka.

Na łamach *Kultury* nie ukazało się żadne sprostowanie. Najprawdopodobniej należy to tłumaczyć niechęcią Jerzego Giedroycia do nobilitacji rubryki „Bywalca” przez podejmowanie z nią polemik – jednak fakt, że dezinformacja *Dziennika Polskiego* nie spotkała się z żadną reakcją, miał pewne konsekwencje, choć dały one o sobie znać dopiero po latach.

Janusz Kowalewski, pisarz, który w 1940 r. przebywał razem z Teodorem Parnickim w jednej celi więzienia na Zamarstynowie, powtórzył w swojej „Drodze powrotnej” niesprostowane informacje z 1954 r.:

Parnicki żył nadzieją, że z więzienia wydobędzie go jego ojciec chrzestny – generalny prokurator ZSRR Andrzej Wyszyński... Parnicki urodził się w Odessie i jego rodzice, którzy znali Wyszyńskiego, poprosili go „w kumy”. Pisywał co kilka dni do tego swego chrzestnego tatusia i czekał na odpowiedź⁸.

Jego relacja jest tym bardziej charakterystyczna, że w pierwszej wersji swoich wspomnień, bardzo ciepłych wobec autora „Aecjusza, ostatniego Rzymianina”, publikowanych na łamach *Wiadomości* w 1950 r.⁹, w ogóle nie napomknął o jakichkolwiek jego związkach z Wyszyńskim... Czy jednak należy zakładać, że Kowalewski stał się ofiarą dezinformacji sprzed lat, czy raczej, że był jej sprawcą, ale ośmielony brakiem odzewu na dawne swoje doniesienia, pozwolił sobie na ich powtórzenie? To on bowiem zapewne był informatorem „Bywalca”, jako jedyna osoba parająca się piórem, mająca kontakt z Parnickim w okresie jego uwięzienia. Kowalewski, pisarz podzielający zasadnicze opinie kulturalnego Londynu na temat relacji: emigracja – Kraj, zmienił swój stosunek do Parnickiego, kiedy ten – w ścisłej konsultacji z Giedroyciem – zdecydował się na wydawanie swoich powieści w Polsce, i to w IW „Pax”:

Teodor Parnicki – obecnie przyjaciel Bolesława Piaseckiego¹⁰

8. J. Kowalewski, „Droga powrotna”, Londyn 1974.

9. J. Kowalewski, „Cela nr 60”, *Wiadomości*, 1950 nr 17.

10. B. Piasecki (1915–1979) – działacz polityczny; w 1934 był jednym ze współzałożycieli Obozu Narodowo-Radykalnego; w 1935 został przywódcą ONR-Falangi; w czasie wojny należał do założycieli Konfederacji

– cieszył się dużymi względami Pochmurskiego [więźnia kryminalnego, który został osadzony w tej samej celi – przyp. AD] (tak jak dzisiaj Piaseckiego – widocznie gangsterzy lgną do intelektualistów [...]).

Przemiana stosunku Kowalewskiego była wielce symptomatyczna dla sytuacji Parnickiego na emigracji: nie dość, że jego powieści – „Koniec «Zgody Narodów»”, wydany w „Bibliotece *Kultury*”, i następne, drukowane w „Paxie” i PIW-ie – będące do dziś niedoścignionymi osiągnięciami w dziedzinie prozy nie tylko polskiej, ale i światowej – spotykały się z niemal całkowitym milczeniem emigracji (chlubnym wyjątkiem były omówienia Jerzego Stempowskiego¹¹), to jednocześnie coraz częściej podkreślała ona swój dystans do niego¹² – jako człowieka...

Dla Parnickiego – i pisarza, i człowieka – było to bardzo bolesne...



Odręczny list Teodora Parnickiego pochodzi z archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte i stanowi fragment obszernego zbioru korespondencji z J. Giedroyciem przygotowywanego do druku w roku 2005 w SW „Czytelnik”.

Wtręty rosyjskie, pisane cyrylicą, zostały podane w transkrypcji. Dopiski na marginesach oznaczono w druku w nawiasach { }.

Andrzej DOBROWOLSKI

Narodu; dowodził jej kolejnymi formacjami zbrojnymi; w 1944 aresztowany przez NKWD, a następnie przekazany komunistom polskim; w 1945 w porozumieniu z władzami PPR zaczął wydawać tygodnik *Dziś i Jutro* i stanął na czele ruchu działaczy katolickich akceptujących powojenną rzeczywistość (od 1952 do śmierci był przewodniczącym Stowarzyszenia „Pax”).

11. P. Hostowiec, „Notatnik nieśpiesznego przechodnia. Nowa powieść Parnickiego”, *Kultura* 1954 nr 5/79; „Notatnik nieśpiesznego przechodnia. «Zgoda Narodów»”, *Kultura* 1958 nr 9/131.

12. Charakterystyczny pod tym względem jest fragment powieściowy Mariana Czuchnowskiego, pt. „Pachnący groszek”, opublikowany w *Wiadomościach* 1956 nr 16 (wyjątek z „Opowieści z czarnej koronki” [1966]). Bohaterem fragmentu jest „znakomity autor powieści historycznych, Konrad Powidło”, przebywający pod koniec wojny – podobnie jak T. Parnicki – w Londynie.

[Meksyk,] 2 grudnia 1954

Drogi Panie,

List Pański nadszedł w chwili, gdy właśnie czytałem w ostatniej „Kulturze”, jak postępuje „Dziennik Polski” ze sprostowaniami¹³, a nosiłem się z zamiarem, by posłać tam sprostowanie, bo wiadomość w rubryce „Bywalca” (właśnie przysłała mi ten wycinek z Londynu Ela¹⁴) o związkach mojej rodziny z Wyszyńskim jest nieprawdziwa – o tyle, że oddała się od prawdy w sposób co najmniej nieodpowiedzialnie lekkomyślny. Wyszyński nie był moim ojcem chrzestnym – nie mógł nim być, choćby dlatego, że – jakkolwiek w samej rzeczy urodziłem się w Berlinie w r. 1908 – ochrzczony zostałem dopiero po śmierci matki¹⁵ w szereg lat później... Natomiast prawdą jest, że Wyszyński był najbliższym kolegą i przyjacielem mego ojca¹⁶ w końcowych dwu klasach gimnazjum w Baku {Do gimnazjum tego

13. W *Kulturze* 1954 nr 11/85 ukazał się list J. Giedroycia do redaktora *Dziennika Polskiego*, ustosunkowujący się do przeinaczenia, jakiego dopuściło się to pismo w numerze z 12 X 1954 w sprawie informacji na temat pieniędzy pożyczonych Instytutowi Literackiemu przez Stefana Zamoyskiego. List ten nie doczekał się publikacji na łamach *Dziennika*.

14. Eleonora Parnicka, z domu Kubińska, *primo voto* Grygier (ur. 1922) – siostrzenica starosty nieświeskiego, Antoniego Winczewskiego, z którym po 17 IX 1939 znalazła się na Litwie. W czerwcu 1941 została wywieziona do Republiki Komi. Po podpisaniu układu Sikorski–Majski pracowała w Delegaturze Ambasady RP w Syktywkarze. Wraz z innymi pracownikami aresztowana pod zarzutem szpiegostwa, zwolniona dzięki interwencjom dyplomatycznym, jesienią 1942 znalazła się w Kujbyszewie. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządem RP a rządem sowieckim wyjechała do Persji. Wiosną 1943 została wezwana do MSZ w Londynie, gdzie pracowała do 1952. Ślub z T. Parnickim wzięła 30 XI 1955 (*per procura*). Do Meksyku przyjechała 29 I 1956.

15. Augustyna Parnicka (z Piekarskich) urodziła się w 1881 w Kijowie, zmarła w maju 1918 w Ufie. Do wybuchu I wojny światowej wraz z mężem i synami mieszkała w Moskwie. Parniccy – jako obywatele niemieccy – po rozpoczęciu działań wojennych musieli opuścić stolicę Rosji.

16. Bronisław Parnicki (1880-1928) przed I wojną światową jako inżynier-metalowiec pracował w moskiewskiej firmie „Gustaw Liszt i Synowie”.

ojciec mój przyszedł dopiero do klasy VII (zdaje się, w roku 1896 albo 97). Przedtem uczył się w seminarium rzymskokatolickim w Saratowie, ale pod wpływem marksizmu stracił nie tylko powołanie kapłańskie, ale i w ogóle wiarę...} i że razem wybrali się na Uniwersytet w Kijowie – po drodze obaj rozchorowali się na szkarlatynę w Charkowie, umówili się, że ten, który pierwszy wyzdrowieje, nie czekając na drugiego, wyruszy do Kijowa załatwić wpis uniwersytecki (ojciec mój miał studiować medycynę, Wyszyński – prawo) i znaleźć mieszkanie. Nie pamiętam dokładnie, który wyzdrowiał pierwszy, ale „tradycja rodzinna” mówi, że Wysz[ykański] pierwszy wpadł na adres mieszkania, a ojciec mój pierwszy tam poszedł... Przy ul. Wasilkowskiej 32 zobaczył w samej rzeczy kartkę *Sdajetsia komnata studentam*¹⁷ – zadzwonił – otworzyła mu 17- lub 18-letnia panienska w mundurku żeńskiego gimnazjum...

Z panienką tą (z żydowskiej rodziny o nieżydowskim nazwisku Piekarska) ojciec mój się potem ożenił – została moją matką... Stało się to dopiero w r. 1904 w Berlinie, jako że obie rodziny (i Parniccy, i Piekarscy) byli przeciwni temu mieszanemu małżeństwu, i póki oboje byli na terenie Imperium Rosyjskiego, nie mogło być mowy o tym małżeństwie... Ale bodajże już na I roku studiów i Wyszyński, i mój ojciec za udział w jakiejś „ostrej” akcji socjalistycznej zostali dotkliwie ukarani: ojciec mój został wyrzucony z „wilczym biletem”, że zaś był poddanym niemieckim, opuścił czasowo Rosję i studiował – rezygnując z medycyny – na politechnikach, najpierw w Karlsruhe, potem w Charlottenburgu... W międzyczasie moja (późniejsza) matka wyjechała na studia do Genewy, a potem – gdy ojciec z Karlsruhe przerzucił się do Charlottenburga – to i ona pojechała do Berlina, gdzie w r. 1904 się pobrali... Otóż „tradycja rodzinna” mówi, że na ślubie (laickim, cywilnym, nie katolickim {Stąd też absolutnie „z palca wyssane” są wnioski Bywalca w „Dzien[niku] Polsk[im]”, że Wyszyński uważał się za katolika... Również drugi wniosek („obracał się wówczas w kołach polskiej studenterii”) jest bezpodstawny: matki mojej

17. *Sdajetsia komnata studentam* – wynajmujemy pokoje studentom.

nigdy nic z polskością nie łączyło, a ojciec mój, choć Polak niewątpliwy, był mocno ziemczony, jak i mój dziad, August P.¹⁸, żołnierz pruski z wojny 1870-1871. Dopiero w Moskwie w latach 1914-15 ojciec „odkrył” w sobie Polaka...)) moich rodziców było 6 osób, a między nimi – Wyszyński... Dawniej zawsze zdawało mi się, że Wyszyńskiego też z „wilczym biletem” wyrzucono z uniwersytetów rosyjskich, i że też studiował w Niemczech i w ten sposób łatwo znalazł się na ślubie mych rodziców, ale Wyszyński powiedział Kotowi {Kot nigdy nie chciał mnie zetknąć z Wyszyńskim. Ani też Romer – uważając, że mógłbym go „skonfudować”...}, a i w ogóle zawsze zapytywany przez dyplomatów i dziennikarzy, uporczywie twierdził, że nigdy przed ostatnią wojną nie był poza granicami Rosji... Mam jednak znakomicie w pamięci z opowiadań rodziców, że on był na ich ślubie, więc nie wiem już, co myśleć...

Osobiste wspomnienie o nim – b[ardzo] mgliste a b[ardzo] wyraziste (jedno z najdawniejszych w życiu) mam jedno jedyne... Dojeżdżam do jakiejś stacji (mogła to być Warszawa – Kijów – mniej prawdopodobne: Baku) pociągami... późno w nocy... Musiałem mieć najwyżej 3-4 lata (gdyż podróże swe z okresu lat pięciu: Moskwa – Kijów – Moskwa i Moskwa – Warszawa – Berlin – Szwecja, albo Petersburg – Moskwa – pamiętam z najdrobniejszymi szczegółami¹⁹), więc był to rok 1911-12 (w każdym razie przed obchodami w Moskwie stulecia odparcia Napoleona). Wagon jest przepełniony – ojciec patrzy przez okno – woła do mnie

18. August Parnicki urodził się między 1840 a 1845 rokiem w Wałczu (Deutschenkrone); był nieślubnym synem Karoliny Parnickiej i po niej przyjął nazwisko; ożenił się z poznanianką Marianną Bączkowską; po wojnie francusko-pruskiej wraz z rodziną mieszkał w różnych miejscach w Polsce i Rosji; zmarł w 1910 lub 1911 w Kijowie.

19. Jeden z etapów podróży do Szwecji (Moskwa – Warszawa) T. Parnicki opisał we wspomnieniach, jakie powstały podczas jego pobytu w 1945 w Londynie (zob. „Pamięć, władca [...] bezlitosny, wciąż i wciąż wskrzesza ponownie to, co minęło...”, oprac. T. Markiewka, *Pamiętnik Literacki*, 2002, z. 2). Do Szwecji B. Parnicki – wraz z żoną i synem – wyjechał w 1913; reprezentował swoją firmę w pertraktacjach z dyrekcjami zakładów przemysłowych w Eskilstuna.

*Wot tam diadia (!) Wyszynski*²⁰ podaje mnie na rękach temu panu na peron przez okno...

Z pobytu w Moskwie (do lipca 1915) nie pamiętam {Najpewniej nie było go wówczas w Moskwie}, by Wyszyński u nas w domu bywał... W czasie rewolucji ojciec mój działał (najpierw w Ufie, potem w Omsku – przy Kołczaku²¹) jako „mienszewik”, a że Wyszyński odszedł od mienszewików ku bolszewikom, drogi ich polityczne się rozeszły, a więc chyba zerwała się i przyjaźń osobista... Nie wykluczam jednak, że Wyszyński mógł „przyłożyć rękę” do tego, by po upadku Kołczaka (ojciec mój był w Irkucku, wówczas gdy Kołczak został przez Czechów wydany i rozstrzelany) ojcu uszło względnie „na sucho” (pracował jako „spec” w przemyśle uralskim aż do śmierci – w r. 1928), to że *primknął k Kołczaku*²², ale szczegółów żadnych nie znam, bo rozstałem się z ojcem na zawsze jeszcze w Omsku w lipcu 1919... Podobno starszemu bratu mego ojca, Alfredowi P., gdy koło r. 1930 wpadł w ręce GPU²³ w Charkowie, Wyszyński dopomógł interwencją swą, ratując go od 10 lat więzienia... Ja sam z więzienia w Gorodni (opisanego przez Grubińskiego w „Między młotem a sierpem”²⁴) pisałem do Wyszyńskiego z prośbą o interwencję... Nie wiem, czy to pismo kiedyś go doszło, ale – wyraźnie w wyniku tego pisma – *oblastoj prokur*²⁵ szybko przerzucił mnie do więzienia w Czernichowie, gdzie też *oblastoj sud*²⁶ skazał mnie na 8 lat (B[ardo] możliwe, że to w wyniku mego pisma do W[yszyńskiego] nie skazano mnie administracyjnie, tylko postawiono przed sądem)... To wszystko. Wątpię, by

20. *Wot tam diadia Wyszynski* – tam jest wujek Wyszyński.

21. Aleksandr W. Kołczak (1874-1920) – admirał rosyjski, jeden z przywódców białej armii w wojnie domowej; aresztowany przez bolszewików i rozstrzelany w Irkucku.

22. *Primknął k Kołczaku* – uciekł do Kołczaka.

23. Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenije (Państwowy Zarząd Polityczny) – sowiecka policja polityczna w l. 1922-1934.

24. Wacław Grubiński (1907-1983) – pisarz; w l. 1931-1939 przewodniczący Związku Autorów Dramatycznych; w styczniu 1940 aresztowany we Lwowie, a po wyroku osadzony w rejonie północnego Uralu, gdzie przebywał do marca 1942; w 1943 zamieszkał na stałe w Londynie.

25. *Oblastoj prokur* – prokurator okręgowy.

26. *Oblastoj sud* – sąd okręgowy.

amerykańska prasa miała tu, za co „świetnie zapłacić”, Pan jednak z informacji tych {swobodnie, bezpłatnie} może zrobić taki użytek, jaki Panu się spodoba... Wówczas bym nie potrzebował też kłopotać się o sprostowanie do „Dzienn[ika] Polsk[iego]”.

[...] ²⁷

Serdecznie Pana pozdrawiam

T. PARNICKI

27. Ostatni, kilkudzaniowy, akapit listu poświęcony jest sprawom związanym z wydaniem „Końca «Zgody Narodów»”.

Maria PASZTOR

ZMARNOWANA SZANSA. NA MARGINESIE LEKTURY NAJNOWSZEJ PRACY O STOSUNKACH POLSKO- FRANCUSKICH W LATACH 1938-1944*

Najnowsza monografia na temat relacji polsko-francuskich już chociażby ze względu na swoją objętość i szatę graficzną, bogatą bibliografię i rozbudowane przypisy budzi zainteresowanie. Wszystko to sprawia, że na pierwszy rzut oka wydaje się solidnie udokumentowaną książką, która istotnie wzbogaca historiografię krajową. Problem w tym, że wrażenie to mija w chwili, gdy zapoznajemy się z ustaleniami autorki.

Pytania badawcze, cezury chronologiczne

Małgorzata Gmurczyk-Wrońska formułując tak temat swej pracy stanęła przed wyjątkowo trudnym zadaniem ze względu chociażby na rozległość literatury przedmiotu, „wyeksploatowanie” przez historyków udostępnianych do tej pory archiwaliów oraz ograniczony dostęp do nowego rodzaju

* M. Gmurczyk-Wrońska, „Polska – niepotrzebny aliant Francji? (Francja wobec Polski w latach 1938-1944)”, Wydawnictwo „Neriton” Instytut Historii PAN, Warszawa 2003, 548 s.

źródeł (zwłaszcza odnoszących się do okresu Vichy) w archiwach francuskich i rosyjskich.

Skalę trudności powiększa podjęcie przez nią próby osadzenia „wydarzeń” w kontekście stosunków ZSSR – Francja (rodzi się pytanie: dlaczego nie Niemcy–Francja? – kontekst niemiecki polityki francuskiej wobec Polski miał wszak znaczenie pierwszoplanowe). Powyższe przedsięwzięcie wydaje się tym bardziej skomplikowane, iż wymaga nie tylko zanalizowania związków sojuszniczych w aspekcie politycznym, ale również i wojskowym. Podważenie dotychczas panujących w literaturze przedmiotu opinii jest śmiałym przedsięwzięciem również dlatego, że historycy, zajmujący się tą problematyką, są wyjątkowo zgodni w ocenie miejsca i roli, jaką „przy mierze” odgrywało w polityce obydwu krajów¹. W świetle ich ustaleń dziwaczne wydaje się postawione przez Gmurczyk-Wrońską pytanie, uzasadniające sformułowanie tematu pracy: „Czy sojusz z Polską miał znaczenie dla Francji jedynie w kontekście relacji z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim?” (s. 5). Niezależnie od tego, iż autorka nie wyjaśnia, jakie inne państwa ma na myśli, dla badaczy tej problematyki nie ulega wątpliwości, że to właśnie kwestia niemiecka wyznaczała i kształtowała sojusze Francji w całym omawianym okresie, a nawet znacznie później.

ZSSR stał się w latach trzydziestych dla Paryża (i nie tylko) przedmiotem gry dyplomatycznej, której celem było przede wszystkim niedopuszczenie do wskrzeszenia ducha Rapallo. Nie było to jednak tożsame z zamiarami realnego wiązania się Paryża z Moskwą, na co wskazuje chociażby brak konwencji wojskowej, która zdecydowanie obniżała wartość dwustronnego układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy podpisanego 2 maja 1935 r. między obydwoma krajami, o czym autorka zresztą sama pisze w dalszej części pracy (s. 28), nie wyciągając z tego faktu wniosków. To charakterystyczne dążenie autorki do „tropienia” związków francusko-sowieckich w omawianym okresie i ich rzekomo wyjątkowej roli dla Paryża prowadzi do dokonywania ryzykownych

1. H. Bułhak, „Polska-Francja. Z dziejów sojuszu 1922-1939. Cz. I (1922-1932)”, Warszawa 1993, s. 9-10; P. Wandycz, „Z dziejów dyplomacji”, Warszawa 1988, s. 14.

odniesień do tradycji owych powiązań począwszy od końca XIX w.

Podobne wątpliwości budzą cezurę recenzowanej monografii. Autorka pisze, iż „praca obejmuje wydarzenia od końca 1938 r. do 1944 r. z niektórymi antecedencjami do lat 1934-1938, a jednocześnie wybiega niekiedy poza rok 1944” (s. 5). Rok 1938, a zwłaszcza „okres po konferencji monachijskiej” (s. 5), który przyjmuje jako cezurę początkową dla swych rozważań nie przyniósł w polityce Francji wobec Polski ani też w relacjach polsko-francuskich żadnego przełomu. W przekonaniu większości specjalistów był on konsekwencją powrotu do „briandowskiego” kursu w polityce zagranicznej Paryża, przyjętego po dojściu do władzy „Cartel des gauches” w roku 1924, nakierowanego na znalezienie *modus vivendi* z Niemcami. Objęcie władzy przez zwolenników ugody z Hitlerem: Edouarda Daladiera i Georges’a Bonneta (10 kwietnia 1938 r.) oznaczało co prawda nieodwracalne wejście Francji na drogę *appeasementu*, ale było już tylko potwierdzeniem wcześniejszych zamierzeń uwolnienia się od zobowiązań wobec coraz bardziej „kłopotliwych” sojuszników jakimi były Czechosłowacja i Polska. Stąd ogólna konstatacja o malejącej roli sojuszu polsko-francuskiego „w okresie poprzedzającym wybuch II wojny światowej i w latach wojennych” (s. 5) jest o tyle stwierdzeniem mało odkrywczym, co również nieprecyzyjnym. Wyraźne symptomy jego osłabienia obserwujemy już przecież znacznie wcześniej. Nie zgadzam się również ze stwierdzeniem, że na sprawy polskie „rzutowała przecież przeszłość aliansu francusko-rosyjskiego” z 1892 r.! (s. 7). Niezależnie bowiem od orientacji politycznej kolejnych rządów sprawujących władzę w III Republice, rządów Vichy czy przywódcy „Wolnej Francji”, gen. de Gaulle’a, trudno politykom francuskim zarzucić brak realizmu i kierowanie się w kompletnie zmienionej sytuacji politycznej w Europie, jaka zaistniała po upadku imperium Romanowych w 1917 r., sentymentami. Odwoływanie się do tradycji dawnego aliansu czy też wzajemnych sympatii należało do klasycznego repertuaru francuskiej retoryki politycznej. Nie należy jej brać na serio w naukowych analizach tej problematyki, bo nie robili tego sami zainteresowani. Na

to byli za bardzo wytrawnymi politykami.

Sprzeciw budzi stwierdzenie, iż „okres po konferencji monachijskiej do upadku III Republiki znajduje swoje częściowe [podkreślenie – MP] przedłużenie w dziejach „Wolnej Francji”, a potem Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Rządu Tymczasowego generała Charlesa de Gaulle’a” (s. 6). Teza jest na tyle śmiała i szokująca, iż warto by ją wyjaśnić. M. Gmurczyk-Wrońska nie czyni tego. Podobnie kuriozalne wydaje się powołanie się w uzasadnianiu przyjętej „periodyzacji” na „myślenie rządu polskiego na uchodźstwie w Londynie, który dostrzegał dwie, a nawet trzy Francje” (s. 6). Liczbę „Francji” można mnożyć, ale podpieranie się w ustalaniu cezur monografii enuncjacjami rządu polskiego na uchodźstwie wydaje się wątpliwe. „Badania kończę – pisze dalej autorka – na rozmowach francusko-radzieckich w grudniu 1944 r. w Moskwie i misji Christiana Foucheta do Polski w początkach 1945 r., gdyż wydarzenia te zamykają okres wycofywania się Francji z wpływów w Europie Środkowej, który rozpoczął się w 1938 r.” (s. 6). To sformułowanie też wydaje się dalekie od precyzji. Sądzę, iż rok 1938 kończy raczej etap dominujących wpływów politycznych Francji w tym regionie.

Pozwalam sobie ponadto skonstatować, iż na przełomie roku 1944/1945 zdania francuskich dyplomatów co do polityki Francji w tym regionie były podzielone. Część z nich była przeciwna mocniejszemu zaangażowaniu się Francji w tej części Europy, opowiadając się jednak za utrzymaniem wpływów kulturalnych, inni, jak (Maurice Dejean) uważali, że Paryż może tam odegrać ważną rolę. Pisali o tym zarówno Antoine Marès jak i Marek Mikołajczyk². Biorąc pod uwagę, iż priorytetem polityki zagranicznej samego de Gaulle’a było przywrócenie Francji jej mocarstwowej pozycji, trudno mówić o definitywnym wycofaniu się Francji z wpływów w tej części Europy w okresie wskazanym przez autorkę.

2. A. Marès, „La France Libre et l’Europe centrale et orientale (1940-1944)”, *Revue des Etudes Slaves* 1982, t. 54, fasc. 3, s. 305; M. Mikołajczyk, „Polityka Francji wobec Polski (wrzesień 1944 r. – luty 1948 r.)”, s. 55.

Kolejny jak sądzę poważny zarzut wobec recenzowanej monografii dotyczy jej ograniczonej bazy źródłowej. Jej podstawę stanowią materiały zgromadzone w Ministère des Affaires Etrangères w Paryżu seria: Europe 1918-1940, podseria: Pologne, którą autorka stara się „rozdać” cytując tytuły poszczególnych tomów, co wywołuje u czytelnika złudzenie wykorzystania wielu podserii. Nie wiadomo, dlaczego M. Gmurczyk-Wrońska nie wykorzystwała trudnych do przecenienia dla podjętych przez nią rozważań podserii: URSS i Allemagne, w tym szczególnie raportów ambasady Francji w Berlinie (przechowywane są w Nantes). W serii Papiers d’Agents – Archives privées wysoce naganny wydaje się brak odwołania się do korespondencji dyplomatycznej ostatniego ambasadora Francji w Polsce Léona Noëla, które zdeponowane zostały w archiwum francuskiego MSZ w latach 1975-1976 i bez problemów udostępniane są badaczom. Brak też śladów wykorzystania przeprowadzonego przez Maurice’a Vaïsse’a wywiadu z Noëlem (tzw. *archives orales*). Co najmniej niezrozumiałe wydaje się niewykorzystanie w tekście pracy wspomnień Noëla, „Polonia Restituta. La Pologne entre deux mondes”, Paris 1984 (aczkolwiek umieszczone one zostały w bibliografii, s. 517). Wszak najbardziej zbliżone są one do jego raportów dyplomatycznych, chociaż w diametralny sposób odbiegają od stwierdzeń zawartych w wydanych w Polsce w roku 1966 wspomnieniach tego dyplomaty. Konfrontacja powyższych źródeł chociażby z zeznaniami złożonymi przez Noëla w powołanej po wojnie parlamentarnej komisji śledczej ukazuje nie tylko „machinacje” tego dyplomaty wokół osoby polskiego ministra spraw zagranicznych, ale również ułatwia zrozumienie mechanizmów decyzyjnych panujących na Quai d’Orsay w omawianym przez autorkę okresie³. Uwagi te dotyczą również zeznań przed tą samą komisją

3. „Les événements survenus en France de 1933 à 1945; Rapport présenté par M. Charles Serre, député, au nom de la Commission d’enquête parlementaires”, 2 vols; „Témoignages et documents recueillis par la Commission d’enquête parlementaire”, 9 vols, Paris 1947-1952.

E. Daladiera (autorka wymienia to źródło w bibliografii, lecz w tekście próżno by szukać jakichkolwiek odniesień do niego), gen. Maurice'a Gamelina i Josepha Paul-Boncoura. Zastrzeżenia budzi wykorzystanie spuścizny E. Daladiera. Trudno doszukać się w recenzowanej monografii materiałów, dotyczących procesu z Riom, gdzie znajdują się tzw. *dépositions*, złożone przez Noëla i Daladiera oraz dokumenty związane z działalnością tego ostatniego i Bonneta.

Poważne wątpliwości budzi również niewykorzystanie w tekście rozważań wspomnień samego Bonneta⁴, które autorka wymienia jedynie w bibliografii. Trudno bowiem analizować jego politykę, nie wykorzystując tego, co pisał o niej sam zainteresowany. W przypadku jego spuścizny konfrontacja różnego rodzaju źródeł nabiera zresztą szczególnego znaczenia, a związane to jest z poważnymi wątpliwościami, dotyczącymi autentyczności kopii korespondencji dyplomatycznej pochodzących z serii *Papiers 1940: „papiers Bonnet”* oraz *„Reconstitution Fouques-Duparc”* (dossier Bonnet) z Archives du Ministère des Affaires Etrangères.

Zapewne nowe spojrzenie na wiele kwestii przyniosłoby wykorzystanie zgromadzonych w ramach serii *Papiers d'Agents* w archiwum francuskiego MSZ dokumentów ambasadora Francji w Moskwie Paula-Emile'a Naggiara z lat 1938-1940 tym bardziej, iż tylko niektóre z nich są publikowane w *„Documents Diplomatiques Français”*. Brakuje również dokumentów, pochodzących z tej samej serii ze spuścizny Pierre Etienne Flandina, papierów Lavala (seria: *Papiers 1940*), czy znajdujących się w serii *Cabinet du Ministre*, materiałów dotyczących decyzji podejmowanych przez rząd premiera Georges Bidault (*Cabinet G. Bidault*).

Długa jest również lista dostępnych i, jak się wydaje, koniecznych do wykorzystania w tego typu monografii materiałów ze zbiorów Archives Nationales w Paryżu, a pominiętych przez autorkę. Dotyczy to chociażby znajdującej się tam w serii *Archives privées* papierów Philippe'a Pétaina, Léona

4. G. Bonnet, *„Défense de la paix”*, t. I: *„De Washington au Quai d'Orsay”*, Genève 1946; t. II: *„Fin d'Europe”*, Genève 1948; *„Dans la tourmente 1938-1948”*, Paris 1971; *„Le Quai d'Orsay sous trois républiques”*, Paris 1961.

Bluma, André François-Ponceta, Marcela Déata, Jacquesa Kaysera czy Louisa Marina. Deklaracja M. Gmurczyk-Wrońskiej, iż podjęła ona próbę „przyjrzenia się układowi polityka–propaganda–opinia publiczna” zakłada również konieczność wykorzystania dostępnych wszak materiałów Agence Havas i przechowywanych w Archives Nationales *dossier* najważniejszych dzienników francuskich.

Za poważne uchybienie należy również uznać niewykorzystanie przez autorkę znajdujących się w Archives de l'Assemblée Nationale tzw. *procès verbaux* komisji spraw zagranicznych 16 legislatury (tj. z okresu 1936-1940) i finansów (to samo odnosi się do analogicznych komisji senatu w Archives du Sénat), nie mówiąc już o znajdujących się w Archives Nationales sprawozdaniach z posiedzeń rządu francuskiego (seria F 60).

Za nieusprawiedliwione należy uznać również nieuwzględnienie w badaniach militarne aspektu funkcjonowania sojuszu polsko-francuskiego, w tym opinii na tę kwestię najważniejszych czynników wojskowych. Autorka nie wykorzystła papierów szefa Sztabu Generalnego i naczelnego wodza Francji w latach 1935-1940 gen. Maurice'a Gamelina. Brak jest znajdującej się w SHAT spuścizny gen. M. Weyganda oraz Guy La Chambre'a. W stopniu niezadawalającym uwzględnione zostały akta wytworzone przez Cabinet du Ministre de la Guerre (cytowane są jeden raz, z błędną zresztą sygnaturą).

Autorka pomija także archiwalia odnoszące się do utrzymania wojska polskiego we Francji (akta Ministerstwa Finansów znajdujące się w Bercy, a następnie przeniesione do Fontainebleau) i finansowych aspektów funkcjonowania sojuszu wojskowego (seria C – Relations Commerciales znajdująca się na Quai d'Orsay). Za istotny brak należy uznać niewykorzystanie zespołów zgromadzonych w Bibliotece Polskiej w Paryżu, w tym akt ambasadora Polski w Moskwie Wacława Grzybowskiego oraz Les Amis de la Pologne, którego rola była nie tak mała, jak utrzymuje autorka⁵. Szkoda, że M.

5. Pisze o tym chociażby Y. Beauvois, „Stosunki polsko-francuskie w czasie «dziwnej wojny»”, Kraków 1991, s. 34-35.

Gmurczyk-Wrońska nie wykorzystała archiwum Zygmunta Lubicz-Zaleskiego, który był prezesem Towarzystwa Opieki nad Polakami we Francji (dawny PCK) w Vichy, nie mówiąc już o wydanym przez M. Willaume jego pamiętniku⁶. O archiwach departamentalnych lepiej nie wspominać (np. Bouches-du-Rhône, l'Isère).

Podobne braki źródłowe można zauważyć przy okazji wykorzystania źródeł przechowywanych w Polsce. Autorka wskazuje w bibliografii pracy na zespoły, które ani razu nie pojawiają się w jej tekście, jak np. Konsulat RP w Marsylii, Konsulat Honorowy w Nicei, Ambasada RP w Paryżu czy Gabinet Ministra Spraw Zagranicznych (wszystkie z Archiwum Akt Nowych – AAN). Nie wiadomo, dlaczego nie zapoznała się z tak ważnymi z punktu widzenia podjętego tematu aktami Ambasady RP w Berlinie. Ten sam zarzut dotyczy nieobecnych w jej pracy innych zespołów znajdujących się w AAN takich jak: Wydział Kontroli Socjalnej Cudzoziemców w Vichy, Generalna Dyrekcja Biur Polskich we Francji, Towarzystwo Opieki nad Polakami we Francji, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej Rządu RP w Londynie. Wszystkie one mają kluczowe znaczenie dla rozważań zawartych w III części pracy. Przykłady innych istotnych dla tematu, a pominiętych przez autorkę zbiorów archiwalnych można by dłużej jeszcze wyliczać, ale ze względu na ograniczoną objętość tej recenzji pomijam je. Ważniejsze wydaje się bowiem bardziej szczegółowe omówienie ustaleń merytorycznych autorki.

Ustalenia merytoryczne autorki

We wstępie do monografii M. Gmurczyk-Wrońska nie precyzuje dokładnie, czy analizując postawę Francji wobec Polski bierze pod uwagę tylko koła rządowe, czy również opinię publiczną i opozycję, jak zdaje się to sugerować tytuł pracy. Wyjaśnia co prawda, iż przez francuskie koła rządowe

6. Z. Lubicz-Zaleski, „Pamiętnik. Od Grotowic do Buchenwaldu (1939-1945)”, opr. M. Willaume, Paryż-Łódź 1998.

rozumie „decydentów” i „wykonawców” (s. 8). Podział ten wprowadzony został przez J.-B. Duroselle’a⁷, ale w literaturze przedmiotu na gruncie polskim po raz pierwszy został użyty w mojej pracy „Polska w oczach francuskich kół rządowych w latach 1924-1939”, Warszawa 1999 (s. 7-8), co autorka literalnie przepisując dyskretnie przemilcza. W grupie „decydentów” umieszcza członków poszczególnych gabinetów rządowych (premierzy, ministrowie), prezydentów, liderów partii politycznych, parlamentarzystów. W grupie drugiej – pisze – występują urzędnicy MSZ, dyplomaci, wyżsi dowódcy wojskowi (opuszcza finansistów, ludzi interesów i informatorów) oraz „propagatorzy”, czyli przede wszystkim dziennikarze. Zaznacza również, iż podjęła próbę przyjrzenia się układowi polityka – propaganda – opinia publiczna, aby dalej stwierdzić, iż „marginalnie porusza kwestie nastawienia francuskiej opinii publicznej wobec Polski i Polaków”, co – jak stwierdza – „wynika to w dużym stopniu z braku dostatecznej liczby źródeł” (s. 9). Czyżby? Warto przypomnieć, iż od roku 1939 we Francji prowadzone były systematyczne badania opinii publicznej, z którymi autorka nie uważała za stosowne się zapoznać⁸. W Archives Nationales znajdują się ponadto tzw. *synthèses mensuelles* ministrów spraw wewnętrznych oparte na sprawozdaniach prefektów, analizujące m.in. potoczne oceny wydarzeń międzynarodowych, wskazujące na poziom sympatii wobec poszczególnych narodów. Są znacznie bardziej wiarygodne niż przywoływane przez M. Gmurczyk-Wrońską fragmenty wspomnień niektórych urzędników, przedstawiające opinie uzyskane np. w trakcie wizyty u fryzjera...

W części I pracy, zatytułowanej „Potrzebny sojusznik (koniec 1938-1940)”, odchodząc od schematu prezentacji

7. J.-B. Duroselle, „Tout empire périt. Une vision théorique des relations internationales”, Paris 1982, s. 63-64. Autorka nie odwołuje się jednak do tej pozycji, tłumacząc ją „wybiórczo” za: M. Pasztor, „Polska w oczach francuskich kół rządowych w latach 1924-1939”, Warszawa 1999, przypis 6, s. 12.

8. Na gruncie polskim o postawie Francuzów wobec ewentualnych prób zagarnięcia Gdańska na podstawie ankiety Institut Français d’Opinion Publique pisał T. Szarota, „Polska w świetle badań opinii publicznej za Zachodzie (1939-1953)”, *Przegląd Historyczny* 1974, t. LXV, z. 3, s. 506.

francuskich kół rządowych przyjętego we wstępie (s. 8), autorka z trudnych do zbadania przyczyn odwołuje się nagle do podziału zawartego w pracy Marie-Christine Kessler („La politique étrangère de la France. Acteurs et processus”, Paris 1999). Dokonując prezentacji głównych „aktorów” kształtujących według niej francuską politykę zagraniczną ogranicza się do zarysowania sylwetek trzech najważniejszych, według niej postaci francuskiego MSZ, tj. sekretarza generalnego Quai d’Orsay Alexisa Légera (gwoli ścisłości nigdy nie był on, jak pisze na s. 19, ambasadorem w Pekinie, lecz drugim sekretarzem ambasady Francji w Chinach), ministra spraw zagranicznych G. Bonneta, premiera i wielokrotnego ministra obrony narodowej i wojny E. Daladiera oraz grona ich najbliższych współpracowników, sprowadzając procesy decyzyjne francuskiego MSZ do walki „klanów” i „koterii” urzędniczych. Jednocześnie zaznacza, że w czasie pełnienia funkcji sekretarza generalnego MSZ przez Légera „machina urzędnicza na Quai d’Orsay funkcjonowała perfekcyjnie” (s. 20).

Wielce to uproszczony i nieprawdziwy schemat. Zarówno badania J.-B. Duroselle’a⁹, E. du Réau¹⁰, jak i M. Vaïsse’a¹¹ wskazują, jak bardzo złożony był proces podejmowania najważniejszych decyzji (w tym z zakresu polityki zagranicznej) i jak duży wpływ miały na nią poglądy różnego rodzaju ekspertów, uczestniczących w nie zawsze formalnych spotkaniach. E. du Réau nie bez przyczyny wskazuje w swych rozważaniach na przykład (przytaczany zresztą nieprecyzyjnie przez autorkę) ministra finansów w latach 1938-1940, Paula Reynaud, który brał udział w częstych debatach w wąskim gronie, poprzedzających posiedzenia Rady Ministrów (Daladier, Bonnet)¹². Na ociążałość, skostnienie maszyny

9. J.-B. Duroselle, „Politique étrangère de la France. La décadence. 1932-1939”, Paris 1979, s. 269-289.

10. E. du Réau, „L’information du «décideur» et l’élaboration de la décision diplomatique française dans les dernières années de la IIIe République”, *Relations Internationales* 1982, nr 32, s. 525-541.

11. M. Vaïsse, „L’adaptation du Quai d’Orsay aux nouvelles conditions diplomatiques”, *Revue d’Histoire Moderne et Contemporaine* 1985, t. XXXII, s. 144-160.

12. E. du Réau, „L’information du «décideur»...”, s. 531; *idem*, „Le renseignement et l’élaboration de la décision diplomatique et militaire: le

dypłomatycznej wskazywali niejednokrotnie również inni badacze¹³.

M. Gmurczyk-Wrońska pisze, iż po I wojnie światowej Polska przejęła we francuskiej polityce zagranicznej „w pewnym stopniu” rolę Rosji jako „przeciwwagi do Niemiec aczkolwiek bardziej jako bariera przed Niemcami, a nie jako *allié de revers* (s. 26). Konstatacja ta, jak wiele podobnych stwierdzeń w analizowanej pracy jest co najmniej nieprecyzyjna. Wszak utrata przez Francję aliansu z Rosją carską¹⁴ oraz zagrożenie ze strony Niemiec skłaniały niektórych przynajmniej polityków francuskich (Bloc National) a zwłaszcza wojskowych (marszałek Foch) do budowania nowego systemu sojuszu jako przeciwwagi dla Berlina. Chociaż istotna rola w tej kombinacji miała przypaść Polsce, to jednak cały system miał opierać się na współdziałaniu nie tylko Paryża i Warszawy ale na bliskiej współpracy Francuzów i Polaków z Małą Ententą. Wszak tylko takie współdziałanie pod kierownictwem Francji mogło przynieść pożądany efekt w aspekcie budowy przeciwwagi dla Niemiec. To właśnie konflikty i sprzeczności w łonie tzw. „małych sojuszników” ułatwiły francuskim politykom uzasadnienie kursu zmierzającego do rozluźnienia z nimi więzów. Nic więc dziwnego, że historycy mówią o *réseau d'alliances de revers* Francji. Polska w przekonaniu francuskich elit politycznych nie mogła skutecznie szachować Niemiec. Wzmiankowanie o tym, iż Polska nie była *allié de revers* jest nie tylko zbyteczne, lecz mylące. Trudno również zrozumieć, jak Polska mogła chociażby ze względu na swoje położenie geograficzne stać się „barierą przed Niemcami”. Wszak II RP nie graniczyła z Francją. Autorka nie precyzuje, co ma na myśli pisząc o próbie powrotu

cas de la France (1933-1940)”, *Relations Internationales* 1994, nr 78, s. 241-260.

13. J.-B. Duroselle, „Politique étrangère...”, s. 288-289; E. du Réau, „Le renseignement...”, s. 260; M. Vaïsse, „Sécurité d'abord. La politique française en matière de désarmement. 9 décembre 1930-17 avril 1934”, Paris 1981, s. 160; P. S. Wandycz, „The Twilight of French Eastern Alliances, 1926-1936. French-Czechoslovak-Polish Relations from Locarno to the Remilitarization of the Rhineland”, Princeton 1988, s. 456.

14. J.-B. Duroselle, „Histoire diplomatique de 1919 à nos jours”, Paris 1970, s. 123.

w latach trzydziestych, „w wersji zmodyfikowanej, do koncepcji wielkiego aliansu z Rosją”, podobnie zresztą nietrafna jest jej konstatacja o profrancuskim nastawieniu Związku Sowieckiego (s. 26)¹⁵.

Czy ma sens określanie w ten sposób pozorów „zblizienia” i gry z ZSSR (jakim był chociażby przedstawiany przez M. Gmurczyk-Wrońską) plan Barthou obliczony w rzeczywistości na wciągnięcie do niego Niemiec w zamian za akceptację ich zbrojeń, uwikłanie Moskwy w politykę Paryża? Wszak jak pisze amerykańska badaczka Nicole Jordan, zarówno sam Barthou jak i Stalin nader sceptycznie zapatrywali się na możliwość zawarcia bilateralnego paktu między swoimi krajami. Litwinow otrzymał we wrześniu 1934 r. instrukcję nakazującą niepodejmowanie żadnej inicjatywy w kwestii paktu wschodniego bez Niemiec i Polski. Postawa Stalina wobec paktów mutilateralnych była mimo całej gry dyplomacji sowieckiej jednoznacznie negatywna¹⁶.

Fałszywe jest również stwierdzenie M. Gmurczyk-Wrońskiej, przypisujące autorce tej recenzji wyznawanie poglądu, że Barthou „dążył do reaktywowania, ale osadzonego w ówczesnych realiach, aliansu z Rosją”¹⁷. Sądzę, iż w kontekście polskim była to próba przerzucenia zobowiązań sojuszniczych Paryża wobec Warszawy na Moskwę. Ten ostatni pogląd

15. S. Gregorowicz, M. J. Zacharias, „Polska-Związek Sowiecki. Stosunki polityczne 1925-1939”, Warszawa 1995; O. Kien, „Moskwa i pakt o nienapadeniu z Polszej (1930-1932 gg.)”, Sankt-Pietierburg 2003, s. 41 i nast. Zarówno dotychczasowe badania S. Gregorowicza i M. J. Zacharias oraz Olięga Kiena poświęcone stosunkom polsko-sowieckim we wcześniejszym okresie dowodnie wskazują, iż Moskwa była daleka od ulegania sentymentom wobec Paryża. Do nieufności w kontaktach z politykami francuskimi skłaniały ją chociażby doświadczenia wyniesione z kontaktów z dyplomacją francuską uzależniającą podpisanie francusko-sowieckiego paktu o nieagresji (parafowanego 10 sierpnia 1931 r.) od zawarcia układu między ZSSR i Polską.

16. N. Jordan, „The Popular Front and Central Europe: the Dilemmas of French Impotence, 1918-1940”, Cambridge University Press 1992, s. 29-32.

17. M. Pasztor, „Polska w oczach francuskich kół rządowych...”, s. 51 „Jego [tj. Barthou- MP] plan zmierzał do wciągnięcia Niemiec i ZSRR do systemu bezpieczeństwa na podstawie wzajemnych gwarancji udzielonych przez jego uczestników (tj. ZSRR, Niemcy, Polskę, Czechosłowację, Finlandię, Estonię, Łotwę i Litwę)”.

autorka sobie przywłaszcza (s. 28), zniekształcając wyrażone przeze mnie stanowisko w tej sprawie¹⁸.

Poważne zastrzeżenia budzi też konstatacja, iż „w 1933 r. Moskwa mogła liczyć przede wszystkim na Josepha Paul-Boncoura, Edouarda Herriota i Edouarda Daladiera” (s. 26). Wszak Daladier w roku 1933 jako premier i minister wojny wykazywał daleko posunięty sceptycyzm wobec pomysłów zbliżenia z Moskwą. Należałoby przy tym nadmienić, iż to właśnie on, według M. Vaïsse’a, upoważnił Fernanda de Brinon oraz Edouarda Pfeiffera do podjęcia prób uzyskania kompromisu z Hitlerem w kwestii problematyki zbrojeniowej i możliwości zbliżenia francusko-niemieckiego. M. Vaïsse twierdzi nawet, iż Daladier rozważał na jesieni 1933 r. możliwość *entente directe* z Hitlerem, które nie zostało zrealizowane wskutek oporów w łonie Partii Radykalnej oraz obaw związanych z postawą Wielkiej Brytanii¹⁹. Zresztą ten kierunek zdaje się potwierdzać chociażby słynne przemówienie Daladiera na kongresie radykałów w Vichy (8 października 1933 r.) stanowiące ukłon w kierunku wschodniego sąsiada²⁰, a gesty jakimi były wizyty E. Herriota i Pierre’a Cota w Związku Sowieckim we wrześniu 1933 r. czy inicjatywy uzupełnienia francusko-sowieckiego paktu o nieagresji paktem o wzajemnej pomocy nie przesądzały o kierunku polityki zagranicznej Francji. Mogły zaś stanowić element taktyki w prowadzonej przez Paryż grze. Zresztą budziły one poważne opory wśród aparatu urzędniczego Quai d’Orsay. Francuski MSZ traktował je jako próby „zaangażowania” Paryża w „swe”, jak to określano, „napięte przecież stosunki z Japonią”²¹.

Nie należy przy tym zapominać o głębokich kontrowersjach dzielących Daladiera i ministra spraw zagranicznych

18. Na s. 51 (a nie 76, jak utrzymuje Gmurczyk-Wrońska) mojej [MP] pracy „Polska w oczach francuskich kół rządowych...” napisałam: „Z polskiego punktu widzenia oznaczało to dążenie do rozmycia zobowiązań sojuszniczych Paryża wobec Polski, czego wyrazem była m.in. chęć zastąpienia gwarancji pomocy francuskiej dla Warszawy - pomocą ze strony Moskwy”.

19. M. Vaïsse, „Sécurité d’abord...”, s. 363-364; 448.

20. M. Vaïsse, „Sécurité d’abord...”, s. 448.

21. M. Vaïsse, „Sécurité d’abord...”, s. 449.

w jego rządzie, Paul-Boncoura. Ten ostatni był przede wszystkim orędownikiem utrzymania wspólnego frontu z Wielką Brytanią oraz zmuszenia Niemiec do poddania się kontroli zbrojeń, nie zaś bezkrytycznym zwolennikiem ZSSR. Jego inicjatywy (dotyczące zawarcia paktu o wzajemnej pomocy i przystąpieniu Związku Sowieckiego do Ligi Narodów) wynikały z przekonania, iż Moskwa może okazać się skutecznym instrumentem nacisku na Niemcy. Według M. Vaïsse'a mimo sprawowania przez niego teki ministerialnej (od grudnia 1932 r. do stycznia 1934 r.) nie odgrywał on, zwłaszcza w roku 1933 roli wiodącej we francuskiej polityce zagranicznej, podobnie jak E. Herriot, który w 1933 r. pełnił zaledwie funkcje przewodniczącego komisji spraw zagranicznych izby niższej Assemblée Nationale²². W tym kontekście trudno twierdzić, jak to czyni autorka, iż Moskwa mogła liczyć na tych polityków. Podobnie błędne jest twierdzenie, iż „Rządy radykałów we Francji zawsze były przychylnie zacieśnianiu związków z ZSRR” (przypis 1, s. 26), gdyż trudno odnieść je chociażby do posunięć kolejnych gabinetów Daladiera zarówno z lat 1933, 1934 jak i 1938-1940 (nie mówiąc o subtelnej grze, jaką prowadził w latach dwudziestych z ZSSR Edouard Herriot).

Autorka obszernie opisuje również działalność „doradcy” Daladiera i sekretarza generalnego partii radykalnej Edouarda Pfeiffera (nie Pleiffera jak pisze w tekście – s. 26 oraz indeksie pracy), któremu Daladier, jak wiadomo, powierzył m.in. misję nawiązania kontaktów z Hitlerem na jesieni 1933 r. Trudno w osobie Pfeiffera, związanego zresztą z prawym skrzydłem Partii Radykalnej (z J. Caillaux i F. de Brinonem) upatrywać „wielbiciela” ZSSR.

Wyjazdy Francuzów nie rozpoczęły się, jak twierdzi Gmurczyk-Wrońska, w 1932 roku, a Pfeiffer nie był „jednym z pierwszych”, którzy odwiedzili ten kraj (s. 26). Aby się o tym przekonać, wystarczyło przejrzeć chociażby pracę Freda Kupfermana, „Au pays des Soviets: le voyage Français en Union soviétique, 1917-1939”, Paris 1979. W tym kontekście dodatkowej pikanterii tej tragedii pomyłek dodaje

22. M. Vaïsse, „Sécurité d'abord...”, s. 412-413.

fakt, iż zgodnie z przyjętą w monografii manierą, zmierzającą do wykazania czytelnikowi, że autorka wykorzystała znacznie więcej literatury przedmiotu i źródeł, niż to czyni w rzeczywistości, praca Kupfermana znajduje się w bibliografii recenzowanej monografii. Szkoda tylko, że autorka „zapomniała” się zapoznać z ustaleniami jej autora... Zaręczam, że nie wszyscy tam wymienieni byli wielbicielami Związku Sowieckiego.

Zdumienie budzi opinia M. Gmurczyk-Wrońskiej o akcji dyplomatycznej związanej z układem monachijskim i wkroczeniem armii polskiej na Śląsk Cieszyński w październiku 1938 r. „Kozłem ofiarnym – pisze MGW – uczyniono jednak Polskę, która nie tylko, że nie uległa naciskom Moskwy, dotyczącym przemarszu wojsk, ale również wzięła udział w rozbiórce Czechosłowacji w październiku 1938 r.” (s. 31-32). Trudno winić Becka, iż w swym oświadczeniu (z 24 maja 1938 r.)²³, odrzucił propozycję francuską dotyczącą wysłania przez polski rząd noty ostrzegawczej do Hitlera, która niewątpliwie miała na celu zablokowanie polsko-niemieckiego współdziałania, ale nie sposób określać Polskę „kozłem ofiarnym”, którym niewątpliwie była Czechosłowacja. Traktowanie Polski i III Rzeszy jako biernych obiektów działalności polityki francuskiej i sowieckiej jest oczywistym nonsensem.

Powołując się na ustalenia Sabine Dullin, autorka wskazuje na źródła kampanii antypolskiej w prasie francuskiej na jesieni 1938 r. wiążąc ją z opłacaniem przez ambasadę ZSSR takich dziennikarzy, jak Pertinax, Buré czy Tabouis (s. 37 p. 34) czy Henri de de Kérillis (s. 72). Jest to dowód mocno wątpliwy. Nie należy zapominać, iż prasa francuska należała w okresie międzywojennym do najbardziej skorumpowanych, a branie pieniędzy od obcych ambasad oraz „subwencje” i „abonamenty” dużej części nakładów poszczególnych dzienników były codzienną praktyką, co nie przesądzało jeszcze o

23. M. Pasztor, „Polityka francuska wobec Polski w latach 1936-1939”, w: „Droga ku wojnie, Polityka europejska i amerykańska w przededniu II wojny światowej”, pod red. T. Kisielewskiego, Bydgoszcz 1999, s. 67-68. Zob. też M. K. Kamiński, M. J. Zacharias, „W cieniu zagrożenia. Polityka zagraniczna RP 1918-1939”, Warszawa 1993, s. 217-220.

„linii politycznej” pism i publicystów. Artykuły Emile’a Buré zamieszczane w *L’Avenir* (gdzie był redaktorem naczelnym), a potem w *L’Ordre* były wszak dla Polski przychylnie i... opłacane przez ambasadę polską w Paryżu²⁴. Podobnie nie należy sprowadzać do „sowieckich srebrników” postawy Charlesa Josepha André Gérauda-Pertinaxa, wybitnego prawnicowo-nacjonalistycznego publicyisty, krytyka bonnetowskiej polityki ustępstw wobec III Rzeszy (zob. *L’Ordre* z 11 stycznia 1939).

Analogiczne uwagi można odnieść do Henri de Kérillisa. Ten wybitny poseł partii umiarkowanej prawicy nacjonalistycznej (Républicains Indépendants), jeden z najbardziej wpływowych redaktorów *L’Echo de Paris*, następnie kierownik polityczny *L’Epoque*, nie tylko demaskował posunięcia propagandy sowieckiej²⁵, a potem niemieckiej (należał do zagorzałych krytyków układu monachijskiego, głosując przeciwko ratyfikacji układu), ostrzegając przed niebezpieczeństwem ze strony Niemiec. Zalecał on co prawda w roku 1939 alianse z „małymi sojusznikami” a nawet ZSSR (choć był przeciwnikiem komunizmu!) jednakże trudno go uważać za dziennikarza „zaprzędanego” Moskwie²⁶. Na łamach *L’Epoque* oskarżał on (11 stycznia 1939 r.) Bonnetta

24. Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Ministerstwo Spraw Zagranicznych (dalej: MSZ), sygn. 3791, A. Chłapowski do MSZ, Paryż, 23 XII 1926. Buré był zrazu szefem gabinetu Brianda, a potem jego przeciwnikiem; stąd też wynikały m.in. jego kontakty z polską ambasadą.

25. S. Coeuré, „La grande lueur à l’Est. Les Français et l’Union soviétique 1917-1939”, Paris 1999, s. 208-210. Autorka pisze szeroko o działalności tego dziennikarza zmierzającej do storpedowania propagandy sowieckiej we Francji w latach trzydziestych, konkludując iż Kérillis „est ainssi l’un des seuls à tenter une oposition systematique à la présence de la propagande soviétique en France”. Swoim negatywnym spostrzeżeniom z podróży do ZSSR Kérillis dał chociażby wyraz w relacji „Paris-Moscou en avion”.

26. H. de Kérillis, „Français, voici la guerre...”, Paris 1936. Zob. przemówienie Kérillisa z 13 I 1939 r. „wiem, że gdy mówię sojusz ze wschodem wielu z was myśli o Rosji sowieckiej. Ustrój tego kraju jest zarówno dla mnie, jak i dla was, koledzy z prawicy, odpychający. Jednak gdy chodzi o politykę zagraniczną Francji, nie pozwalam, aby «bourgeois» brał górę nad patriotą”. Zob. K. Mazurowa, „Europejska polityka Francji 1938-1939”, Warszawa 1974, s. 335-6, 204.

o nierespektowanie interesów Polski²⁷. Epatowanie czytelnika łatwymi i wyrazistymi epitetami wydaje się w tym wypadku nie na miejscu, bo jest po prostu nieprawdziwe²⁸.

W dalszych rozważaniach, dotyczących postawy poszczególnych tytułów prasowych wobec kursu francuskiej polityki zagranicznej autorka posługuje się podziałem na dzienniki prawicowe i lewicowe, ignorując ich związek z poszczególnymi partiami politycznymi (s. 70) i dopuszczając się zresztą rżących błędów. Wszak trudno zaliczyć *La République* – organ „młodych Turków” Partii Radykalnej do gazet prawicowych; podobnie zresztą *La Dépeche de Toulouse* – największy związany z radykałami dziennik na prowincji. Nie wiemy, skąd czerpie podstawy dla stwierdzenia, iż Moskwa wykorzystywała prasę francuską (jaką?) do bliżej niesprecyzowanych celów propagandowych (s. 79). „Cień ambasady” zdaje się tak rzutować na poglądy M. Gmurczyk-Wrońskiej, iż pisze, że „prorządowy *Le Temps*, mający powiązania z Ambasadą Radziecką w Paryżu krytykował zawsze nieufność Polski wobec ZSRR i brak zrozumienia dla jego motywacji dotyczących ewentualnego przejścia wojsk radzieckich przez terytorium Polski” (s. 107). Na tej samej zasadzie wszak moglibyśmy mówić o powiązaniu *Le Temps* z... Ambasadą RP, albowiem w roku 1930 polska placówka subwencjonowała tę gazetę, a 20 stycznia 1932 jej numer specjalny został poświęcony prawie w całości problematyce polskiej²⁹. Historyk prasy francuskiej Claude Belanger twierdzi nawet, iż *Le Temps* był wręcz pismem antykomunistycznym, który to kurs tylko epizodycznie miał być łagodzony. Nie był też „zawsze” ani *porte parole* ani *interprète* Quai d’Orsay³⁰. Autorka nie przedstawia żadnych dowodów o charakterze

27. K. Mazurowa, *op.cit.*, s. 430.

28. Autorka niniejszego artykułu nie kwestionuje bynajmniej opisywanego szeroko w literaturze przedmiotu wpływu Moskwy na francuskie kręgi intelektualne (zwłaszcza lewicowe), nie mówiąc już o środowiskach politycznych i intelektualnych związanych z FPK. Zob. chociażby: S. Coeuré, *op.cit.*; czy H. R. Lottman, „Lewy brzeg. Od Frontu Ludowego do zimnej wojny”, Warszawa 1997.

29. AAN, Ambasada Polska w Paryżu, Ambasada Polska w Paryżu do Wyd. Prasowego, sygn. 3762.

30. C. Bellanger, „Histoire Générale de la presse française”, t. III, Paris 1972, s. 560-561.

źródłowym wskazujących na ścisłe trzymanie się przez ten dziennik wskazówek Légera (s. 169). Przeciwno tej tezie świadczy chociażby co najmniej jego „pobłażliwy” stosunek do Włoch Mussoliniego, których przeciwnikiem był Léger. Wbrew opinii autorki *L'Oeuvre* nie była pismem „skupiającym republikanów i pewne środowiska radykalne” (s. 140), lecz dziennikiem zbliżonym do lewego skrzydła Parti Radical-Socialiste.

Kontrowersje budzi również kwestia postawy sekretarza generalnego Quai d'Orsay Alexisa Légera. Trudno zrozumieć na czym miał polegać według autorki tzw. manewr Légera (s. 60-61) i w jaki sposób, poprzez inspiracje prasowe (!?) – bo innych jego posunięć nie przedstawiono – „dążąc do zneutralizowania Moskwy w polityce europejskiej, próbował przede wszystkim do akcji przeciwko Niemcom wykorzystać Polskę”. Jednak „każdy proniemiecki ruch Warszawy wywoływał u niego niepokój” (s. 65). Pisząc o okresie pomonachijskim, autorka stwierdza, że Léger „oscyłował między pacyfistycznymi nastrojami społeczeństwa, a próbami przeciwstawienia się hegemonii niemieckiej” (przypis 2 s. 40). Twierdzenie to jest co najmniej nieprecyzyjne. Jako urzędnik, a nie działacz partyjny, Léger nie musiał liczyć się z nastrojami społecznymi, przynajmniej w takim stopniu jak członkowie gabinetu. Chyba bliższe prawdy byłoby już stwierdzenie, iż lawirował on między zwolennikami przeciwstawienia się posunięciom Hitlera a zwolennikami, niejednolicie rozumianej przecież *réconciliation*, którzy zasiadali w gabinecie Daladiera lub stanowili wyższy personel MSZ.

Autorka zdaje się też zapominać, dokonując na s. 39 podziału środowisk politycznych Francji okresu pomonachijskiego na „twardych” (zwolenników przeciwstawienia się Hitlerowi, „aczkolwiek bardziej na drodze dyplomatycznej niż zbrojnej”), i „miękkich” (zwolennicy *repli impérial*), iż nie zawsze zwolennicy utrzymania francuskiego stanu posiadania w koloniach byli – jak twierdzi – zwolennikami ustępstw wobec Hitlera w Europie. Przykłady polityków nacjonalistycznej prawicy (jak chociażby Henri de Kérillis i Louis Marin) świadczą o tym dowodnie. Jeżeli tak by było, to do jakiej grupy zaliczyć należałoby samego Bonneta, który za

cenę polepszenia stosunków z Włochami, mimo słownych deklaracji, gotów był w istocie na ustępstwa wobec tego kraju w kwestii kolonii?³¹

Jest ewidentne, iż u schyłku roku 1938 głównym przedmiotem francuskiej dyplomacji było niedopuszczenie do wojny (ewentualnie jej odwleczenie) z Hitlerem oraz utrzymanie wspólnego frontu z Wielką Brytanią. Związek Sowiecki miał być przede wszystkim przedmiotem „zabiegów” dyplomatycznych, które mogły zostać wykorzystane jako instrument nacisku na III Rzeszę. Żadne przytaczane przez autorkę źródła nie wskazują na to, aby po rozczłonkowaniu Czechosłowacji przez Niemcy przedmiotem troski francuskiej dyplomacji był wzrost wpływów Moskwy w tym regionie (!), nie wspominając już o Polsce. Wszak co najmniej jednym z motywów niezrywania sojuszu z Polską była wyraźna obawa przed pchnięciem Warszawy w objęcia Hitlera (przecież nie Stalina!). Autorka nie przytacza żadnych poważnych argumentów na rzecz tezy, iż w istocie różnica między Daladierem a Bonnetem sprowadzała się do metod, jakimi ten pokój należało utrzymać, i psychologii tych postaci. Bonnet był zwolennikiem poświęcenia Czechosłowacji i Europy Środkowej już na wstępie, Daladier i koła wojskowe sądziły (ze względów chociażby militarnych), iż utrzymanie wspólnego frontu z Wielką Brytanią (i zachowanie chociażby pozorów współdziałania z Polską i ZSSR) zmusi Hitlera do powstrzymania jego agresywnych żądań. Stąd, jak konstatuje Y. Lacaze, nie można mówić w łonie gabinetu Daladiera o istnieniu polityki Bonneta prowadzonej obok „polityki Daladiera”, nawet jeśli pierwszy niekiedy próbował prowadzić własną grę³². Czyżby autorka uległa mało wiarygodnym wspomnieniom Bonneta lub apologetów Daladiera (jak chociażby R. Génébrier)? Czy rzeczywiście wierzy (bo to określenie wydaje się najbardziej stosowne), iż Francuzi dążyli w okresie Monachium do „wypracowania aliansu” z Moskwą? (s. 41). Jak należy rozumieć zdanie, iż po Monachium „Wprawdzie Francji nie udało się uczynić kroku w celu

31. M. Mazurowa, *op.cit.*, s. 320.

32. Y. Lacaze, *op.cit.*, s. 443.

wypracowania aliansu z Moskwą, ale w sytuacji – jak sądzono – dyplomatycznego wycofania Rosji Sowieckiej z Europy, nie zagrażało jej porozumienie radziecko-niemieckie”? (s. 41). Jak się to ma do wcześniejszych rozważań o zagrożeniu dla wpływów francuskich w tej części Europy przez ZSSR? (s. 40). A więc: wycofanie, czy rozszerzanie wpływów? Autorka wyraźnie nie może się zdecydować. Ze znanych przecież w literaturze przedmiotu (którą autorka dyskretnie pomija) rozmów ambasadora Coulondre’a z Litwinowem w październiku 1938 r. wynika, iż Rosjanie nie kryli przed Francuzami intencji znalezienia, jak to określają S. Gregorowicz i M. Zacharias – *modus vivendi* z Niemcami³³. Nieco dalej, powołując się na znaną w literaturze rozmowę Potiomkina z Coulondre’em (z 4 października 1938 r.) autorka pisze wszak, że Paryż odebrał oświadczenie sowieckiego dyplomaty jako ostrzeżenie przed zbliżeniem niemiecko-sowieckim (s. 42). Nie sądzę, żeby Francuzi nie wyciągnęli z tego praktycznych wniosków. Co gorsza autorka nie przedstawia żadnych argumentów dla weryfikacji twierdzenia R. Girault, iż kolejne rządy francuskie w okresie od czerwca 1937 r. do marca 1939 r. uważały kwestię zbliżenia z Moskwą za sprawę drugorzędną, a główną ich troską było „przyklejenie się” do polityki angielskiej, schronienie się za linią Maginota i liczenie na flotę brytyjską³⁴. O postawie Bonnet’a w kwestii „rozluźnienia” związków z Polską Noël pisze w swych wspomnieniach. Mówił o tym również w swych zeznaniach na procesie z Riom oraz przed komisją sejmową w dniu 28 IV 1948 r. (źródła tych próżno szukać w pracy)³⁵. Wszak w świetle powyższych enuncjacji ambasadora oraz dokumentów z zespołu Daladiera Bonnet nie podjął żadnych decyzji w kierunku zawężenia aliansu z Polską ani w listopadzie, ani w styczniu 1939 r., mimo ponagień dla ambasadora (brak instrukcji dla Noël’a)³⁶. Brak wykorzystania nowych źródeł

33. S. Gregorowicz, M. Zacharias, *op.cit.*, s. 166.

34. R. Girault, „Les relations franco-soviétiques à la veille de la seconde Guerre mondiale: bilan des années 1937-1940”, *Revue des Etudes Slaves* 1977, t. L, s. 421.

35. L. Noël, „Agresja niemiecka na Polskę”, Warszawa 1966, s. 215. Identyfikacja wersja w wydaniu francuskim (1946 r., s. 259).

36. Noël mówił o swej interwencji u Bonnet’a w listopadzie 1938 r. i

sprawia, iż rozważania, jak daleko chciał pójść Bonnet w planach rewizji układów z Polską, są całkowicie jałowe. Za gołosłowne należy uznać stwierdzenie autorki, iż Bonnet „zachowanie” Polski wykorzystał nie tylko do krytyki alianta, ale również prób rozluźnienia związków sojuszniczych z Polską w październiku 1938 r. (s. 42-43). Nie przedstawia żadnych dowodów na potwierdzenie tej tezy.

Nie wiadomo również, na czym M. Gmurczyk-Wrońska opiera przekonanie, iż chcąc zapobiec porozumieniu niemiecko-sowieckiemu Bonnet „coraz wyraźniej widział rozwiązanie tego problemu w porozumieniu Francji z Niemcami lub z ZSRR”. Twierdzenie, iż w koncepcjach politycznych Bonneta Polska w stosunkach Paryża z Moskwą odgrywała rolę przynęty, podobnie jak opinia, że na jesieni 1938 r. oscylował on między opcją prorosyjską i proniemiecką, jest gołosłowne i niczym nie poparte. Podobnie ma się rzecz z przypisywaniem mu machiawelicznej koncepcji wystawienia Polski na „pożarcie” Sowietom. Wszak główną troską francuskich kół politycznych i wojskowych było niedopuszczenie przede wszystkim do konfliktu z Hitlerem, zacieśnienie więzi z Wielką Brytanią i neutralizacja Włoch oraz przeszkodzenie wepchnięciu Polski w objęcia Hitlera³⁷. Wyrazem tendencji do porozumienia z Niemcami była francusko-niemiecka deklaracja z 6 grudnia 1938 r., stanowiąca potwierdzenie linii politycznej zmierzającej do porozumienia z Berlinem i *désintéressement* wobec Europy Środkowo-Wschodniej³⁸. Logiczną jej konsekwencją było chociażby niepodjęcie przez Bonneta kontaktu z Beckiem podczas pobytu polskiego ministra na Lazurowym Wybrzeżu w grudniu 1938 r. Powo-

styczniu 1939 r., mającej na celu podjęcie działań w celu „zawężenia” aliansu z Polską. Bonnet w listopadzie obiecał mu przysłanie instrukcji, a w styczniu zastrzegał się koniecznością odczekania pewnego okresu, aby nie wywołać wrażenia, iż rozluźnienie więzi z Polską jest skutkiem francusko-niemieckiej deklaracji z 6 grudnia 1938 r. Zob. Archives Nationales, E. Daladier, 496AP/40 Procès-verbaux, 27 avril 1941, Riom oraz „Rapport fait au nom de la Commission chargée d'enquête sur les événements survenus en France de 1933 à 1945”, w: „Rapport présenté par M. Charles Serre...”, Séance du mardi 27 avril 1948, audition de M. L. Noël, t. IV, s. 855-856.

37. E. du Réau, „Edouard Daladier 1884-1970”, Paris 1993, s. 300-303.

38. K. Mazurowa, *op.cit.*, s. 303, 305-307.

ływanie się przy tym jedynie na wydany przez syna Daladiera i J. Daridana „Journal” Daladiera, przy okazji rozmowy Ribbentrop-Bonnet z 6 grudnia 1938 r., jako dowód na potwierdzenie rozbieżności między Daladierem a Bonnetem w tej kwestii (s. 56) wydaje się nieprzekonywujące. Rozpatrywana przez autorkę możliwość podjęcia przez Légera „próby powrotu do projektu Barthou i lansowanej przez niego idei włączenia Niemiec do systemu bezpieczeństwa” (s. 56) jest nie tylko dyskusyjna, lecz wręcz absurdalna (nic nie wskazuje na to, iż jeśliby nawet taka próba istniała, to popierali ją Daladier i Bonnet).

Omawiając miejsce Polski w francusko-brytyjsko-sowieckich rokowaniach wiosną i latem 1939 r. autorka niewiele wnosi do dotychczasowych ustaleń, wyraźnie ulegając tezie brytyjskiego historyka A. J. Taylora, iż to właśnie Francja jako jedyna dążyła do ich sfinalizowania³⁹. W istocie nie przedstawia ona również żadnej nowej argumentacji na korzyść, jak się wydaje słusznej hipotezy, iż „Francuzi byli za słabi, aby zatrzymać Brytyjczyków. Włączyli się więc do «gry» prowadzonej przez Wielką Brytanię” (s. 85). Wszak pogląd ten przed nią prezentowali chociażby J.-B. Duroselle⁴⁰ i E. du Réau⁴¹, o czym uczciwość nakazywałaby napisać.

Nie wiadomo, skąd czerpie autorka wiedzę o tym, iż Léger był zwolennikiem utrzymania sojuszu z Polską oraz – jak to precyzuje – „posiadał dość istotną wiedzę na temat ZSRR” (s. 79). Podobnie pozbawione podstaw źródłowych są twierdzenia, iż Bonnet po „fiasku rozmów z Niemcami w grudniu 1938” nie wierzył ani w negocjacje z Rosjanami, ani „w takie porozumienie z Niemcami, które dawałoby Francji jakiegokolwiek korzyści” (s. 88). Nie wiadomo, na czym autorka opiera swe twierdzenie iż „Francuzi obawiali się zresztą polskiego stanowiska i w celu przeciwdziałania ewentualnemu impasowi w rozmowach [brytyjsko-francusko-polskich] wystąpili z pomysłem udzielenia Polsce «jakichś» bliżej nieokreślonych gwarancji” (s. 84). Na dowód „odkrycia”, iż to Francuzi byli

39. A. J. P. Taylor, „The Origins of the Second World War”, London 1963, s. 231.

40. J.-B. Duroselle, *op.cit.*

41. E. du Réau, „Edouard Daladier ...”, Paris 1993.

autorami pomysłu brytyjskich gwarancji dla Polski z 31 marca 1939 r. autorka bezkrytycznie przytacza wysłaną do Genewy notę Bonneta (z 22 maja 1939!), w której jest mowa o tym, iż to Francja naciskała na Wielką Brytanię w kierunku udzielenia przez nią gwarancji (s. 84-85 oraz przypis 22, s. 84). Nie konfrontuje tej opinii z żadnym innym źródłem, co w świetle powszechnej wiedzy na temat kłamliwości Bonneta winno skłaniać do ostrożności w formułowaniu takich sądów. Nielogiczne w świetle tych wywodów wydaje się stwierdzenie autorki, że Londyn nie poinformował Paryża o gwarancjach brytyjskich dla Polski (zwłaszcza jeśli Francuzi byli – jak pisze – ich inspiratorami; to ostatnie stwierdzenie jest zresztą nieprawdziwe)⁴². Jeśli owe gwarancje zostałyby udzielone zgodnie z sugestiami Paryża, to skąd by się brała ich negatywna ocena wyrażona na posiedzeniu rządu francuskiego? Tak naprawdę wynikała ona z oporów Polski dla udzielenia „antyniemieckich” gwarancji dla Rumunii⁴³.

Nie wiem też, dlaczego autorka pisząc, iż już 21 sierpnia ambasador francuski w Moskwie Emile Naggjar powiadomił Bonneta o uzgodnieniach między Mołotowem a Schulenburgiem w kwestii polskiej w przyszłym pakcie, zawartym 23 sierpnia, pomija literaturę przedmiotu w tym względzie i przypisuje sobie zasługę ustalenia tej daty (s. 123) – chyba że właśnie taki był cel tego zabiegu⁴⁴.

Przypisywanie głównie Légerowi „zasługi” utrzymania sojuszu z Polską po 23 sierpnia (jedynie w oparciu o dziennik R. Boyer de Saint-Suzanne’a – s. 127) nie zostało przez autorkę udokumentowane. Nie sądzę, aby to do niego należało podejmowanie tak strategicznej decyzji. Jeśli rzeczywiście jego naciski w tym kierunku okazały się decydujące, to wydaje się, że zadecydowało tu znane powszechnie probrytyjskie nastawienie sekretarza generalnego Quai d’Orsay. Zdaje się przemawiać to na korzyść starej hipotezy, iż głównym

42. Za: J.-B. Duroselle, „Politique étrangère...”, s. 418.

43. J. Zay, „Carnets secrets de Jean Zay (de Munich à la guerre)”, Paris 1942, s. 56-57.

44. E. Naggjar do G. Bonneta, 21 VIII 1939. Pisał o tym w oparciu o spuściznę Daladiera, R. Young, „In Command of France. French Foreign Policy and Military Planning”, Montreal 1991, s. 228.

motywem polityków francuskich było „trzymanie” się kursu politycznego Wielkiej Brytanii.

Przedstawiając dyskusje na łamach prasy w „sprawie zaangażowania zbrojnego Francji w przyszłym konflikcie europejskim czy uniknięcia wojny” autorka zajmuje się analizą zjawiska pacyfizmu. Trudno jednak doszukać się w tej prezentacji zarysowania chociażby jego odmian, a co ważniejsze, wynikających z tego podziału praktycznych konsekwencji w postaci ewolucji postawy poszczególnych partii politycznych wobec wojny, nie mówiąc już o poszczególnych kategoriach społeczno-zawodowych, związanych z różnymi odmianami pacyfizmu oraz ewolucji postaw społeczeństwa francuskiego. Ogranicza się jedynie do stwierdzenia, że „pacyfizm humanitarny głoszony przez socjalistów, radykałów, chrześcijańskich demokratów i kombatanatów zapuszczał coraz głębsze korzenie w społeczeństwie francuskim” (s. 136). Wyjątek stanowi *passus* poświęcony L. Blumowi i pacyfizmowi SFIO, zaczerpnięty we fragmentach z artykułu Vaïsse’a (o czym autorka nie wspomina). M. Gmurczyk-Wrońska z bliżej nieznanymi przyczynami utożsamia postawę Bluma z całą partią socjalistyczną, pomijając podziały na zwolenników „siłowej” postawy wobec faszyzmu (prawe skrzydło partii G. Bonnet, P. Brossolette, D. Mayer) oraz jej przeciwników (lewe skrzydło z Zyromskim)⁴⁵.

Może warto by było wyjaśnić stosunek do pacyfizmu Francuskiej Partii Komunistycznej i jego ewolucję po 1935 r. oraz stosunek tej partii do wydarzeń z 1 i 17 września 1939 r. w Polsce?

Opierając się na artykule M. Vaïsse’a, autorka pisze o „powolnym cofaniu się tego ruchu” (pacyfizmu) po Monachium. O wiele bardziej miarodajne w tym względzie są niewykorzystane przez nią pierwsze francuskie sondaże opinii publicznej. Tuż po podpisaniu układu monachijskiego za nim odpowiedziało się 57% respondentów, a przeciw – 37%. Nieco później na pytanie „Czy uważa Pan, że Francja i Wielka Brytania powinny obecnie oprzeć się nowym żądaniom

45. Podział ten pogłębił się na kongresie SFIO w Nantes w marcu 1939 r. Pisze o tym M. Vaïsse, „Le pacifisme français dans les années trente”, *Relations Internationales* 1988, nr 53, s. 49-50.

Hitlera” – 70% badanych odpowiedziało tak, a tylko 17% nie⁴⁶. Sądzę, że nie było to jednoznaczne z wolą społeczeństwa francuskiego podjęcia walki zbrojnej; wszak przekonanie o nieuchronności zbliżającego się konfliktu nie jest tożsame z determinacją udziału w wojnie. Wyrażane współczucie dla Polski i oburzenie wobec Niemiec nie musiało się przekładać na wolę podjęcia walki zbrojnej. Wydaje się, iż konstatacja K. Mazurowej, że Francuzi byli „rozumem” za wojną, a „sercem” za pokojem, trafnie oddaje ich postawę⁴⁷.

Opisując okoliczności internowania rządu polskiego w Rumunii, a następnie wyłonienia polskich władz we Francji we wrześniu 1939 r. oraz stosunki między czynnikami francuskimi a rządem Sikorskiego, autorka niewiele wnosi nowego do ustaleń dokonanych przez Y. Beauvois i T. Wyrwę. Niewiele nowego w tej materii wnoszą również wykorzystane przez nią nowe źródła, dotyczące inwigilacji polskich wojskowych we Francji. Potwierdzają one tylko tezę Y. Beauvois o panującej nieufności, a nawet niechęci wobec polskich żołnierzy we Francji ze strony władz francuskich. Autorka recenzowanej pracy nie ustosunkowuje się do tezy Beauvois, iż dla Francuzów w istocie armia polska stanowiła czynnik zupełnie zbędny, o czym zdaje się świadczyć sposób realizacji umowy wojskowej, zawartej między rządem Sikorskiego a władzami francuskimi w dniu 4 stycznia 1940 r., a zwłaszcza sposób traktowania polskich żołnierzy przybyłych do Francji z Rumunii i Węgier, nie wspominając już o przedstawionych przez Beauvois konfliktach związanych z planowanym ich wykorzystaniem w Finlandii⁴⁸. Stwierdzając, iż rząd Sikorskiego był „fikcyjnym partnerem” i „znalazł się we francuskiej pułapce” (za Jackiem Tebinką), autorka nie wyciąga z tego żadnych praktycznych wniosków dla swej pracy. Podobnie twierdząc (słusznie), że z rządem polskim nie omawiano spraw związanych z toczącą się wojną, autorka zdaje się zapominać o wnioskach płynących z ustaleń francusko-brytyjskiej konferen-

46. S. Berstein et P. Milza, „Histoire de la France au XXe siècle. T. II: 1930-1945”, Paris 1991, s. 285.

47. K. Mazurowa, *op.cit.*, s. 466.

48. Hipotezę tę potwierdził w rozmowie z Beauvois ambasador Noël. Zob. Y. Beauvois, *op.cit.*, s. 73.

cji sztabów generalnych (kwiecień–maj 1939 r.) oraz Najwyższej Rady Wojennej w Abbeville (z 12 września) na której zapadła decyzja, iż o przyszłości Polski zadecyduje ostateczny wynik wojny, a nie jej początkowy etap. Gwoli ścisłości autorka pisze o tej konferencji wcześniej (s. 155) i później, konstatując, iż „12 września w Abbeville zdecydowano, że dla Polski nic nie można zrobić” (s. 215). Jak to ma się do tezy (a zarazem tytułu I części pracy) o „potrzebnym sojuszniku”? Pomijam z braku miejsca obecne w tej, jak i pozostałych częściach pracy liczne błędy w tłumaczeniach źródeł francuskich.

Część II pracy zatytułowana „Czy jeszcze sojusznik? (1940-1944)” poświęcona została stosunkom „Wolnej Francji” de Gaulle’a z rządem polskim w Londynie oraz jej kontaktom z polskimi komunistami w ZSSR, a następnie Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego i Rządem Tymczasowym. Autorka kończy w zasadzie swe rozważania na podpisaniu między Rządem Tymczasowym a rządem sowieckim układu o przyjaźni i współpracy (21 kwietnia 1945 r.). Wychodząc słusznie z założenia, iż decydującym czynnikiem, który zaciążył na polityce de Gaulle’a wobec Polski oraz Europy Środkowo-Wschodniej była tym razem Moskwa, stara się ukazać jego politykę w kontekście stosunków francusko-sowieckich w tym okresie.

Co nowego wnoszą ustalenia autorki do stanu naszej wiedzy na ten temat? Odwołuje się ona co prawda sporadycznie do literatury przedmiotu (głównie do niektórych ustaleń E. Duraczyńskiego, J. E. Zamojskiego, Z. Zaks), ale pomija w zasadzie artykuły A. Marès (cytuje go raz na s. 274)⁴⁹, G.-H. Soutou⁵⁰ oraz znakomity szkic M. Mikołajczyka⁵¹. Nie uważa na ogół za stosowne, korzystając wszak z tych samych źródeł co poprzednicy, zaznaczyć, iż poszczególne dokumenty były już wykorzystywane w pracach cytowanych powyżej autorów.

49. A. Marès, *op.cit.*, s. 54.

50. G.-H. Soutou, „Les dirigeants français et l'entrée en Guerre froide: un processus de décision hésitant (1944-1950)”, *Le Trimestre du Monde* 1993, nr 23.

51. M. Mikołajczyk, „Polityka Francji wobec Polski (wrzesień 1944 r. - luty 1948)”, w: W. Malendowski, K. Robakowski, „Państwa zachodnie wobec przełomowych wydarzeń w Polsce w latach 1945-1995”, Poznań 1995.

Wydaje się, iż wkład autorki w poszerzenie naszej wiedzy na temat stosunków polsko-francuskich jest mizerny, a przyjęty z góry schemat sprowadza się do kuriozalnego i historiozoficznego *leitmotiv* o porzuceniu polskiego sojusznika na rzecz... „dążenia do podpisania z Moskwą konwencji wojskowej”, co miało oznaczać „powrót do aliansu z końca XIX w.” (s. 274, 349). M. Gmurczyk-Wrońska stwierdza co prawda dalej iż „w sensie dosłownym powrót ten nie był już możliwy” (s. 274), ale powołując się przy tym na rzekome stwierdzenie A. Marèsa pisze – de Gaulle jak „należy raczej przypuszczać” „myślał o jakiejś zmodyfikowanej formie planu Barthou, czyli dążył do reaktywowania paktu francusko-radzieckiego z 1935 r. wzbogaconego o konwencję wojskową” (s. 274)⁵². Stwierdzenie to wydaje się nieuprawnione z wielu powodów. Autorka pisze przecież (na tej samej stronie), że „generał potrzebował poparcia ZSRR w rozgrywkach z Anglosasami i gen. Giraudem oraz solidnego aliansu na wschodzie”.

Nawiązując do idei owego „solidnego aliansu” autorka bezkrytycznie powtarza, nie cytując zresztą z nazwiska opinie francuskiego dziennikarza Henri-Christiana Girauda, którego prace (stanowiące publicystykę historyczną) cechuje wyraźnie stronniczy (niechętny) i źródłowo nie zawsze udokumentowany stosunek do osoby generała de Gaulle’a⁵³.

Jak sądzę, to właśnie kontakty z Kremlen stwarzały w przekonaniu de Gaulle’a nowe możliwości w rozgrywkach z Anglosasami. Nadrzędnym celem Generała (obok utrzymania pozycji przywódcy) było przede wszystkim zapewnienie Francji bezpieczeństwa ze strony Niemiec; zaś później – odbudowa „zrównoważonej Europy”, czyli w istocie przywrócenie Paryżowi jego mocarstwowej pozycji na kontynencie. Brak zrozumienia dla powyższych dążeń oraz dla przywódczej roli

52. A. Marès, *op.cit.*, s. 315. Stwierdzamy brak takiego «passusu».

53. H.-Ch. Giraud, „De Gaulle et communistes”, t. 2 „Le piège. Mai 1943-janvier 1946”, Paris 1989, s. 347. Giraud odwołuje się tu zresztą do rozmów de Gaulle’a ze Stalinem w grudniu 1944 r. Zob. też H.-Ch. Giraud, „Les relations de Gaulle-Staline pendant la guerre”, in: „50 Ans d’une passion française. De Gaulle et les communistes”, dir. S. Courtois et M. Lazar, Paris 1991, s. 71. Por. M. Gmurczyk-Wrońska, *op.cit.*, s. 387.

de Gaulle'a (zaangażowanego od grudnia 1942 r. do kwietnia 1944 r. w rozgrywkę z popieranym przez USA gen. H. Giraud) sprawiły, iż wykorzystując sprzeczności między ZSSR a mocarstwami anglosaskimi podjął on próbę manewru politycznego i pozyskania dla swych planów Stalina. Realizacji właśnie tej strategii były podporządkowane stosunki „Wolnej Francji” z rządami znajdującymi się na emigracji w Londynie. O ile kontakty ZSSR z najważniejszym sojusznikiem przedwojennej Francji, jakim była Czechosłowacja, układały się – jak oceniano – w sposób modelowy, o tyle relacje polsko-sowieckie traktowano jako mogące narazić Francję na poważne komplikacje. W tym kontekście, jak sądzę, należy oceniać stosunki de Gaulle'a z rządem polskim w Londynie. Stąd też wynikała, zgodna zresztą z realiami, pozytywna ocena układu Sikorski–Majski oraz akceptacja francuskiego przywódcy dla polskich rewindykacji na zachodzie, a odmowa poparcia dla koncepcji tego rządu w materii zachowania polskiej granicy na wschodzie. Wszak de Gaulle powiedział o tym generałowi Sikorskiemu już w styczniu 1942⁵⁴. Nie wiemy, dlaczego w przekonaniu autorki „De Gaulle do połowy 1943 r. traktował Polskę jako nielojalnego, a czasem wręcz szkodliwego sojusznika” (s. 269). Nawiązanie oficjalnych stosunków między „Wolną Francją” a rządem Sikorskiego nie mogło wpłynąć na zmianę priorytetów, jakie dla Francuzów stanowiły wtedy stosunki z Moskwą, o co M. Gmurczyk-Wrońska ma do de Gaulle'a wyraźną pretensję.

Autorka dostrzega co prawda próby podjęcia przez dyplomację francuską mediacji w konflikcie polsko-sowieckim (s. 289-290) po zerwaniu stosunków między rządem polskim a ZSSR, lecz zdaje się nie zauważać, że możliwości de Gaulle'a w tej kwestii były bardzo skromne. Wszak o ograniczonych środkach oddziaływania na Sowiety w kwestii polskiej granicy wschodniej i braku swego poparcia dla jej przebiegu sprzed 17 września 1939 r. mówił generał po śmierci Sikorskiego ambasadorowi Kajetanowi Morawskiemu wielokrotnie, nie ukrywając swego stanowiska w tej sprawie

54. Z. Zaks, „«Wolna Francja» i Polska w latach 1943-1944 (październik 1943-lipiec 1944)”, *Kwartalnik Historyczny* 1987, nr 4, s. 99-100.

(choćby 20 grudnia 1943 r.)⁵⁵. Stąd zupełnie niezrozumiały wydaje się wniosek autorki, że „Dążąc jednak do zacieśnienia związków z Moskwą i nie rezygnując z pryncypiów swej polityki, de Gaulle mógł posługiwać się kartą polską w sposób wieloznaczny” (s. 307). Postawa de Gaulle’a w kwestii polskiej granicy wschodniej nie była bynajmniej jednoznaczna z całkowitą rezygnacją Francji z odgrywania jakiejkolwiek (choćby kulturalnej i ekonomicznej) roli w Europie Środkowo-Wschodniej. Trudno mieć pretensje do de Gaulle’a, iż liczył się z realiami i nie forsował sprawy polskiej granicy wbrew własnym interesom. Za chybioną i nieprawdziwą uznać należy interpretację dotyczącą nawiązania przez dyplomację de Gaulle’a stosunków z komunistami polskimi w ZSSR. Za budzącą sprzeciw uważam ironiczną konstatację, iż „zarówno program tej grupy [Związku Patriotów Polskich] jak i reprezentowany przez nią «realizm» mieścił się w ramach zasad głoszonych przez Francję” (s. 283). Autorka pyta: „dlaczego de Gaulle od początku odnosił się z nieufnością do tej grupy. Czy wynikało to wyłącznie z rezerwy wobec komunistów i faktu, że w obliczu legalnego rządu polskiego w Londynie nie chciano traktować polskich sił lewicowych w ZSRR w kategoriach *légitime*”. Wszak przytaczany przez autorkę (za Z. Zaks) nieco dalej (s. 285) przykład reakcji de Gaulle’a na udział szefa Francuskiej Misji Wojskowej (FMW), gen. E. Petit w uroczystości związanej z poświęceniem sztandaru II Dywizji WP im. J. Dąbrowskiego (skrajna irytacja), nie świadczył bynajmniej o akceptacji gen. de Gaulle’a dla zacieśniania więzów z polskimi komunistami. Podany na tej samej stronie przykład kontaktów Petita z marszałkiem Georgijem Żukowem przy okazji polskiej uroczystości mówi chyba najlepiej, jakie zadania (oprócz rutynowej działalności) postawiono przed FMW. Wszak problem jeńców francuskich w Związku Sowieckim (co odegrało bodajże podstawową rolę w nawiązaniu stosunków między Tymczasowym Rządem Republiki Francuskiej a PKWN) wydawał się tu mieć znaczenie niezwykle istotne. Trudno zaprzeczyć, iż sympatia de Gaulle’a, mimo różnego rodzaju

55. Z. Zaks, „«Wolna Francja»...”, s. 112.

napięć i konfliktów, leżała po stronie rządu w Londynie, a nie polskich komunistów, czemu generał dawał niejednokrotnie wyraz⁵⁶. Namacalnym dowodem jego stosunku do rządu polskiego było podpisanie 17 grudnia 1943 r. umów restytucyjnych między FKWN a rządem RP, umożliwiających rozpoczęcie przekazywania złota temu rządowi (od marca 1944 r.) mimo oficjalnego protestu Moskwy. Szkoda, iż autorka nie stara się tych faktów ze sobą kojarzyć. Od wiosny 1943 r. sprawą priorytetową dla francuskich interesów stało się pozyskanie sowieckiego dyktatora dla korzystnego dla Francji rozwiązania kwestii niemieckiej. Trudno się dziwić postawie Francuzów, skoro Brytyjczycy zaproponowali już wcześniej Stalinowi podział wpływów w Europie, o czym Churchill poinformował de Gaulle w dniu 11 listopada 1944 r.⁵⁷. Wyrazem rezerwy, jaką wobec PKWN wykazywał Rząd Tymczasowy Republiki Francuskiej, był m.in. brak akceptacji dla przyjęcia przez jego przedstawiciela w Moskwie Garreau notyfikacji dotyczącej powstania PKWN oraz odmowa uznania (*de iure*) PKWN. Dalszy rozwój wydarzeń, w tym przede wszystkim obawy o los wielu francuskich jeńców oraz więźniów, którzy z różnych przyczyn⁵⁸ znaleźli się na terenie Polski, zadecydowały o zgodzie Francuzów na skierowanie do Lublina swego wysłannika Christiana Foucheta, mającego podlegać ambasadorowi francuskiemu w Moskwie. Nadmienając o sprawie jeńców francuskich autorka zupełnie nie łączy z nią kwestii nawiązania kontaktów „Wolnej Francji” z PKWN i polskim Rządem Tymczasowym. O relacjach między Rządem Tymczasowym

56. Z. Zaks, „«Wolna Francja»...”, s. 121; M. Mikołajczyk, *op.cit.*, s. 54.

57. M. Mikołajczyk, *op.cit.*, s. 62.

58. W pracy „Retours d’URSS. Les prisonniers de guerre et les internés français dans les archives soviétiques 1945-1951”, pod redakcją Catherine Klein-Gousseff (Paris 2001, s. 370-371) cytowane są dokumenty, z których wynika, iż liczba Francuzów repatriowanych z ZSSR w 1945 r. wynosiła ponad 310 tys. Na podstawie polskich i rosyjskich materiałów źródłowych można stwierdzić, że wielu jeńców – Francuzów (przede wszystkim Alzacczycy, Lotaryńczycy, Saarczycy) prawdopodobnie zostało przekazanych polskiemu Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego przez NKWD. Ostatni Francuzi – jeńcy wojenni opuścili polskie obozy w 1950 r. Zob. D. Jarosz, M. Pasztor, „Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948-1953”, Toruń 2001, s. 48-49.

Republiki Francuskiej a PKWN oraz Rządem Tymczasowym pisała szeroko Z. Zaks (wcześniej niż Ch. Morelle i M. Vaïsse, na których powołuje się autorka) oraz M. Mikołajczyk, a „ustalenia” autorki nie wnoszą nic nowego⁵⁹. Uwaga ta dotyczy również misji „delegata rządu francuskiego w czwartej randze” jak tytułuje Ch. Foucheta, którego raporty trafnie w moim przekonaniu zanalizowali M. Mikołajczyk oraz Z. Zaks⁶⁰.

Szczególny sprzeciw budzą oceny, dotyczące „moralnej” strony kontaktów przedstawicieli de Gaulle’a w ZSSR z polskimi komunistami: „W sytuacji, kiedy legalny rząd polski tracił na znaczeniu, kiedy francuski «legalny rząd» kolaborował z Niemcami, a uzurpujący sobie prawo do *légitime* de Gaulle dążył do uzyskania wsparcia moskiewskiego, na terytorium ZSRR dyplomaci de Gaulle’a i polscy lewicowi «uzurpatorzy» [ZPP] kontrolowani przez służby sowieckie znajdowali wspólne tematy do rozmów i snuli projekty wspólnych związków” (s. 282). Jest to ocena w świetle źródeł, i to nawet tych przedstawianych przez autorkę, nieuprawniona. Pomijając fakt, iż, jak sądzę, nie do historyka-profesjonalisty w tekście roszczącym sobie ambicje do naukowości należy ferowanie sądów moralnych.

Niepojęte wręcz wydają się dywagacje autorki, odnoszące się do ewolucji związków polsko-francuskich. Zwracając słusznie uwagę czytelnika na wpływ Moskwy na postawę Polski i Francji autorka pisze dalej: „Jeśli ZSRR zgodziłby się na ścisły sojusz, przypominający ten z końca XIX wieku, Polska mogłaby być «uzależniona» od Moskwy i rządzona przez komunistów, jeśli natomiast byłby to układ przypominający ten z 1935 r., to myślano o planie przypominającym koncepcję ministra spraw zagranicznych Louisa Barthou z 1934 r., czyli alians z ZSRR i małymi sojusznikami. W układzie tym głównym sojusznikiem byłby ZSRR, a układ z Polską i tak byłby rozluźniony” (s. 307). Bez komentarza! Podobnie dzi-

59. Z. Zaks, „Rząd Francuski wobec Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Rządu Tymczasowego RP (lipiec 1944–sierpień 1945)”, *Polska 1944/45–1989*, 1995, nr 1, s. 63–90.

60. M. Mikołajczyk, *op.cit.*, s. 64–65; Z. Zaks, „Rząd francuski...”, s. 80–82.

wacne i świadczące o braku znajomości literatury są stwierdzenia autorki typu „nie wiadomo, czy rzeczywiście komuniści dążyli do przejęcia władzy we Francji po wojnie, przed czym przestrzegał często de Gaulle” oraz konstatacje typu: „pytanie czy Stalin przygotowuje rewolucję światową pozostawało niewyjaśnione” (s. 325 oraz p. 4 z tejże strony). Wszak Michaił Narinskij, na którego powołuje się autorka, pisze, że teza, jakoby komuniści francuscy przygotowywali się do przejęcia władzy we Francji drogą rewolucyjną, nie znajduje potwierdzenia, ale Stalin nie wykluczał przejęcia przez nich władzy we Francji na drodze legalnej (wyborów).

Dla francuskiej delegacji, udającej się na rozmowy ze Stalinem w listopadzie 1944 r. kwestia polska była sprawą drugorzędną. Celem nadrzędnym było podpisanie paktu francusko-sowieckiego oraz uzyskanie poparcia dla francuskich żądań terytorialnych w Niemczech – co wszak autorka zaznacza (s. 353). Na s. 370 stwierdza, że „sprawy polskie zajmowały [w tych rozmowach] marginalne miejsce”, ale już na s. 370 (p. 64) zmienia zdanie i pisze, że w czasie wizyty de Gaulle’a w Moskwie w grudniu „nie poruszano problemu polskiego”. Warto by się na coś zdecydować... Trudno też mówić o „wezwanie” de Gaulle’a do Moskwy i „zmuszeniu francuskiego przywódcy do uznania PKWN” (s. 262), skoro według źródeł francuskich i rosyjskich (wbrew twierdzeniom samego de Gaulle’a zawartych w pamiętnikach, na które powołuje się autorka) zwrócił się on w listopadzie 1944 r. z prośbą o umożliwienie mu wizyty w ZSSR⁶¹. Trudno zgodzić się z M. Gmurczyk-Wrońską, iż „Francja przyjęła podpisanie układu z Moskwą z zadowoleniem” (s. 370). Wszak pośpiech, z jakim został on podpisany, oraz niektóre kwestie mu towarzyszące (jak zgoda na wymianę nieoficjalnych przedstawicieli między PKWN a Tymczasowym Rządem) były obiektem krytyki dyplomatów francuskich. Sprawa ta zresztą jest niejednoznacznie oceniana w literaturze przedmiotu⁶². Śladu tej dyskusji próżno szukać w książce M. Gmurczyk-Wrońskiej.

61. Archives du Ministère des Affaires Etrangères, série Europe 1944-1960, sous-série URSS, sygn. 51, s. 36. Zob. też, J. Laloy, „Yalta”, Paris 1988, s. 83.

62. M. Mikołajczyk, *op.cit.*, s. 60-61.

Za sprzeczne z wymogami profesjonalizmu uznać należy rozważania „historiozoficzne”, zgodnie z którymi w 1944 r. Francja miała się znaleźć w 1944 r. „w sytuacji przypominającej 1814 i 1815 r., kiedy na Kongresie Wiedeńskim próbowała ratować granice swego imperium”. Porównanie de Gaulle’a z Napoleonem w pracy naukowej o takim charakterze, jak recenzowana, nie wydaje się na miejscu.

Za absurdalne uważam również konstatacje autorki, iż po uznaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej przez rząd de Gaulle’a (29 czerwca 1945 r.) „zdezaktualizowały się francuskie obawy z okresu monachijskiego. Antyniemiecka polityka proradzieckiego rządu w Polsce wykluczała bowiem możliwość porozumienia polsko-niemieckiego” oraz że „aktualna pozostała koncepcja traktowania Polski jako przeciwwagi dla Niemiec w bloku radzieckim”. W analogicznych kategoriach należy ocenić pytanie: „czy jednak decydenci francuscy rzeczywiście rozumieli to, co dokonywało się w rejonie Europy Środkowej? Czy twierdzenie Foucheta, że Polska znajduje się w «rosyjskim systemie dyplomatycznym» było po Jałcie dobrze interpretowane na Quai d’Orsay?” (s. 387). Zapewniam autorkę zarówno w oparciu o badania własne, jak i dotychczasową literaturę przedmiotu, iż w Paryżu znakomicie rozumiano, co się dzieje w Europie, a „gra” de Gaulle’a przynajmniej do 1946 r. przyniosła Francji pozycję niewspółmierną do jej wkładu w zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami oraz umożliwiła podjęcie rozgrywki z Anglosasami, której stawką było Zagłębie Ruhry, Nadrenia oraz Saara. Nie oznaczało to wszak rezygnacji Francji z pośrednictwa w „budowaniu pomostów” między Wschodem a Zachodem jeszcze po odejściu de Gaulle’a od władzy, czego wyrazem było podjęcie inicjatywy Polski i Czechosłowacji w kwestii dwustronnych sojuszy z Francją, które zakończyło się fiaskiem dopiero w listopadzie 1947 r.

Powracając do pytania postawionego na wstępie rozdziału: „Czy jeszcze sojusznik?” autorka pisząc, że „Francja straciła «małego sojusznika», ponieważ nie było możliwe kontynuowanie przedwojennej polityki w rejonie należącym obecnie do radzieckiej strefy wpływów” (s. 389), zdaje się odpowiadać na nie negatywnie. „Jeśli Francja zrozumiała cele

radzieckiej polityki zagranicznej, to wszelkie próby zacieśnienia kontaktów z Polską wynikały z planów utrzymania obecnego układu z Moskwą i z dążeń do przekształcenia go w rzeczywisty alians” (s. 389). Wielce to niesprawiedliwa i jak sądzę źródłowo nie poparta konkluzja. Jak się to ma do zapowiadanego we wstępie oświadczenia iż autorka „znacznie poszerzyła” bazę źródłową o materiały francuskie, polskie, jak i rosyjskie? (s. 11). Rzeczywiście konstatacja, iż jej ustalenia „w wielu punktach różnią się znacznie od analiz Zofii Zaks”, co jak przyznaje, „nie pomniejsza to jednak wartości jej [Z. Zaks – MP] badań” (s. 11) wydaje się prawdziwa. Rzecz w tym, iż „nowe” ustalenia nie poparte są dowodami, a analiza „ustaleń” M. Gmurczyk-Wrońskiej przemawia za słusznością wyważonych sądów Z. Zaks.

Część III pracy zatytułowana „Niewygodna sprawa polska (1940-1944)” została poświęcona przede wszystkim analizie relacji między reżimem w Vichy a rządem polskim w Londynie w latach 1940-1942. Autorka omawia powrót w charakterze *chargé d'affaires* przy rządzie w Vichy Feliksa Frankowskiego określając go sformułowaniem „niefortunny”, podkreślając słusznie stały nacisk władz niemieckich, który odegrał następnie, jak się wydaje, zasadniczą rolę w podjęciu przez kolaborancki rząd francuski decyzji o zerwaniu stosunków dyplomatycznych i konsularnych z polskim rządem (23 września 1940 r.). Ukazując stopniowy wzrost „nadzoru” i „kontroli” nad ośrodkami polskimi podkreśla z drugiej strony „tolerowanie” działalności tzw. Biur Polskich powstałych po przekształceniu polskich konsulatów. Z jednej strony stwierdza, iż „zarządzenia i plany francuskich władz centralnych wobec Polaków były niezwykle rygorystyczne”, z drugiej pisze, iż „gdyby wszystkie władze lokalne przestrzegały ich, prawdopodobnie już w 1940 r. Polacy pozbyliby się złudzeń co do możliwości działania na terenie Vichy” (s. 471). Z tej dychotomii nie wyciąga jednak żadnych wniosków. Podważając opinię Zabięłły, jednego z głównych organizatorów polskiej akcji opiekuńczej we Francji, pisze, że „przejaskrawiał on zbyt liberalizm władz Vichy” w tej materii (s. 471). Nie przeszkadza jej to, aby dalej (za Zabięłłą) stwierdzić, iż „w tym okresie (do 1941 r.) rzadko dochodziło do aresztowań

Polaków, a jeśli miało to miejsce, byli oni po jakimś czasie uwalniani”. Wreszcie dochodzi do wniosku, że władze francuskie patrzyły na to przez palce, ponieważ chciały się pozbyć niewygodnych cudzoziemców (s. 471). Może najprostszym wytłumaczeniem byłoby przyjęcie, że polscy żołnierze skupieni w kompaniach pracy zatrudnieni w przemyśle, przy pracach drogowych czy leśnych uzupełniali po prostu niedobór francuskiej siły roboczej, stąd też niechętnie widziano uszczuplanie ich liczebności z powodu ucieczek.

Nieco uwagi poświęca autorka kwestiom PCK, problemom finansowania tej organizacji (s. 451-457), próbom odzyskiwania kapitałów francuskich w przedsiębiorstwach na ziemiach polskich (s. 457-459) oraz Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość (POWN) i organizacji „Nurmi”, aby rozważania swe zakończyć omówieniem pobytu we Francji kardynała Augusta Hlonda (s. 482-491). Nie wiemy, dlaczego autorka (wbrew swym deklaracjom – s. 6) zajmuje się w sposób wyrywkowy tymi akurat dwoma organizacjami, omijając z konsekwencją (a raczej jej brakiem) działalność chociażby Polskiej Organizacji Niepodległościowej czy Organizacji Wojskowej, o której zresztą nie wspomina omawiając działalność gen. Juliusza Kleberga (s. 466-472). Konstatacje autorki w sprawie działalności POWN, PCK nie wnoszą (poza szczegółami) wiele nowego w porównaniu do ustaleń J. E. Zamojskiego⁶³. Pisząc (za W. Rojkiem), iż jednym z celów rządu polskiego w Londynie była ochrona Polaków we Francji, w tym wielu żołnierzy, oraz sprawa polskiego złota (s. 446) stwierdza jednocześnie iż „Władysław Sikorski przyjął, przynajmniej na początku”, opcję provichy’stowską (s. 240). W naszym przekonaniu czytelnikowi należy się szersze wyjaśnienie owej kwestii „dwutorowości” polityki rządu Sikorskiego, która została wyrażona w „Tezach programowych” z 15 sierpnia 1940 r.

M. Gmurczyk-Wrońska pomija niemal zupełnie sprawy związane z akcją opiekuńczą nad polskimi uchodźcami i jeńcami we Francji, którą sprawował PCK we współpracy z Francuskim Czerwonym Krzyżem, a potem Towarzystwo

63. J. E. Zamojski, „Polacy w ruchu oporu...”, s. 90-97.

Opieki nad Polakami we Francji (TOPF), którego prezesem został prof. Zygmunt Lubicz-Zaleski. Śladów informacji o działalności opiekuńczej, nie mówiąc już o współpracy PCK z Francuskim Czerwonym Krzyżem trudno szukać na kartach tej książki. Podjęcie tego wątku umożliwiłoby zapewne przestudiowanie Archiwum Lubicz-Zaleskiego, a przede wszystkim wzmiankowanych już zespołów archiwalnych.

W zakończeniu pracy Gmurczyk-Wrońska oddaje się ponownie rozważaniom historiozoficznym dokonując „syntetycznego” ujęcia francuskiej polityki zagranicznej poczynając od kardynała Richelieu, poprzez wiek XIX, a na okresie międzywojennym kończąc. Wyraźnie trawestując konstatację ambasadora J. Laroche’a, iż „Polska skazana jest na Francję”⁶⁴ autorka pisze, iż to Francja „szczególnie w latach 1938-1940 potrzebowała Polski (...)”, a w „warunkach braku ścisłego aliansu z ZSRR była ona «skazana na Polskę» w swej polityce niemieckiej”. O tym, że rację miał Laroche, nikogo nie należy przekonywać. Podobnie oczywiste jest, iż w polityce międzynarodowej w okresie międzywojennym to Francja „dostosowała” się do stanowiska Wielkiej Brytanii, a nie Wielka Brytania, jak stwierdza autorka na s. 493, przecząc wyraźnie swym wcześniejszym wywodom. Nie rozumiem też, na czym miała polegać rola de Gaulle’a, którego polityka „oscylowała między próbami utrzymania mało znaczącego sojuszu a wykluczeniem dawnego «małego alianta» z polityki zagranicznej”. Sądzę, na podstawie chociażby dokumentów zaprezentowanych przez autorkę, iż było wprost przeciwnie. De Gaulle, jak powszechnie wiadomo, uważał „kartę polską” nie tylko jako element rozgrywki dyplomatycznej ze Stalinem, ale też jako istotną przeciwwagę dla powojennych Niemiec. Stąd poparcie dla polskiej granicy zachodniej.

W końcu autorka obwieszcza „koniec politycznego mitu Francji w Polsce” (s. 506-507). Mit Francji w Polsce przetrwał okres II wojny i wbrew jej twierdzeniom nie przerwał owego „zauroczenia” po roku 1940. Okres powojenny (co najmniej do końca XX w.) go tylko umocnił. Dowodem na

64. AMAE, Europe 1918-1940, Pologne, sygn. 398, s. 40. J. Laroche do premiera i ministra spraw zagranicznych E. Herriota, 7 VII 1932.

to było chociażby reakcja społeczeństwa polskiego na wizytę prezydenta de Gaulle'a i wyniki polskich sondaży opinii publicznej do roku 1989, gdzie Francja plasowała się na czołowych miejscach wśród krajów przyjaznych Polsce.

Na zakończenie należy skonstatować, iż wzbudzającym podziw fragmentem pracy ma być bogata, bo licząca 416 pozycji bibliografia; problem w tym, iż autorka nie wykorzystwała w tekście pracy aż 160 pozycji, które w bibliografii wymieniła. Zarówno sposób prezentacji zgromadzonego materiału, jak i język monografii (w tym fatalne tłumaczenia źródeł), nie mówiąc już o bardzo wielu kardynalnych błędach faktograficznych i w zakresie stosowania aparatu naukowego (brak ujednolicenia małych i dużych liter w cytowaniu chociażby francuskich czasopism, brak oznaczenia stron w opracowaniach, na które autorka się powołuje), brak krytyki źródłowej – wszystko to skłania do refleksji, iż autorka w sposób niedostateczny wywiązała się z zadania jakie sobie postawiła. Nadane książce pozory naukowości czynią ją wręcz szkodliwą dla szerszego czytelnika, który oczekuje od profesjonalistów rzetelności. M. Gmurczyk-Wrońska szansę powiedzenia czegoś nowego, istotnego i prawdziwego o stosunku Francji do Polski w latach 1938-1944 zmarnowała. Problem ten nadal czeka na swego rzetelnego dziejopisa.

Maria PASZTOR

KOLABORANCI, BOHATEROWIE I...
MILCZĄCA WIĘKSZOŚĆ.
FRANCUSCY NAUKOWCY
W OKRESIE OKUPACJI

Książka* Nicolasa Chevassus-au-Louis, francuskiego biologa i dziennikarza współpracującego z pismem *La Recherche*, zajmuje się tematem, który w ostatnich latach wzbudzał duże zainteresowanie i zarazem wiele emocji. Postawa naukowców w okresie okupacji i sprawa ich dobrowolnej lub przymusowej kolaboracji doczekały się przecież wielu opracowań, zwłaszcza we Francji. Jak zaznacza we wstępie autor „Savants sous l’Occupation”, jego praca jest „jedynie książką dziennikarską” i nie ma ambicji historycznej monografii. Warto jednak zaznaczyć, że choć książka w znacznej części opiera się na źródłach opracowanych i opublikowanych już uprzednio, to jednak autor dotarł także do dokumentów i świadectw, które prezentowane są po raz pierwszy.

Dwanaście szkiców o wojennych losach ludzi francuskiej nauki ma w zamierzeniu zaprezentować wachlarz postaw. Od dobrowolnej kolaboracji, po walkę w ruchu oporu.

Polskiego czytelnika uderza oczywiście różnica okupacyjnej sytuacji w Polsce i we Francji. Trudno bowiem nie myśleć o operacji Sonderkommando A, wywiezieniu krakowskich profesorów do Sachsenhausen czy zamknięciu wszystkich polskich instytucji naukowych, gdy czyta się świadectwo jednego z naukowców z CNRS: „Niemcy zostawili nas w spokoju, można było pracować”. Myśląc o polskich realiach okupacyjnych aż trudno jest uwierzyć, że w 1943 roku, sześć miesięcy po masowych aresztowaniach i deportacji z Paryża

* N. Chevassus-au-Louis, „Savants sous l’Occupation. Enquête sur la vie scientifique française entre 1940 et 1944”, Paris, Seuil 2004, 240 s.

ludności żydowskiej, Jacques-Raphaël Lévy obronił, nosząc „obowiązkową” żółtą gwiazdę, pracę doktorską na Sorbonie. Do porównań z sytuacją w naszym kraju skłania także kilka „polskich” elementów w książce.

Georges Montadon, jedna z najbardziej ponurych postaci kolaboracji francuskiej nauki, twórca rasistowskiej katedry na Sorbonie wyróżniał we Francji trzy grupy cudzoziemców „inny naród, ten sam lud, ta sama rasa: Waloni, czyli lud francuski, narodowość belgijska; inny naród, inny lud, lecz ta sama rasa: Włosi; inny naród, inny lud, inna rasa: Polacy”. Dodawał także, że wobec Polaków możliwa jest wprawdzie asymilacja językowa i kulturalna, jednakże żaden wpływ otoczenia nie zmieni ich (tzn. niższej kategorii) „podstawowych cech rasowych”. Warto dodać, że „profesor” Montadon dorabiał sobie jako najzwyczajniejszy w świecie szmalcownik, „specjalista od kwestii rasowych” Generalnego Sekretariatu do Spraw Żydowskich, szantażujący poddawanych ekspertyzie „podejrzanych o niearyjskie pochodzenie”. Zgromadził w ten sposób aż 92 000 franków, choć honorarium za „ekspertyzę” wynosiło ledwie 400 (równowartość kilograma masła na czarnym rynku). Zasłużona kara spotkała go zresztą jeszcze w okresie okupacji, zmarł bowiem z ran odniesionych w rezultacie zamachu zorganizowanego przez ruch oporu. Życiorys Montadona jest zresztą jeszcze jednym potwierdzeniem bliskości obu totalitaryzmów. Swoją karierę rozpoczynał on bowiem od powrotu do Szwajcarii z Sowieckiej Rosji i zachwyty nad bolszewizmem. W kartotekach szwajcarskiej policji jeszcze w okresie wojny figurował jako zwolennik komunizmu, a swoje pseudonaukowe brednie na temat „rasowych opisów typów żydowskich” po raz pierwszy opublikował w *L'Humanité*.

Wśród kolaborantów nie brakowało zresztą i wielkich nazwisk francuskiej nauki. Noblistę z 1912 roku, doktora Alexisa Carrela, zachęciła do przyjazdu do petainowskiej Francji ze Stanów Zjednoczonych wizja „budowy zdrowego społeczeństwa”, możliwość wcielania w życie szalonych przecież pomysłów eugenicznych, a także chęć odwetu na francuskim środowisku akademickim, które przed wojną nigdy „nie doceniło” tego wybitnego przecież chirurga i po-

czytnego autora. W stworzonej przez niego kolaboracyjnej fundacji pracował m.in. Le Corbusier. Nieocenione usługi oddawał niemieckiej armii Instytut Pasteura, produkujący dla potrzeb Wehrmachtu szczepionki i surowice. Nie zdołał temu zapobiec współpracując z ruchem oporu i ukrywający się przed Niemcami przedwojenny dyrektor Instytutu Louis-Pasteur Vallery-Radot, wnuk Ludwika Pasteura.

Ludzie nauki znaleźli się także we Francji wśród pierwszych żołnierzy „cichego frontu” i bohaterów France Libre. Zapłacili nieraz za to najwyższą cenę. Raymond Croland organizujący dla generała de Gaulle’a i aliantów siatkę wywiadu, nie przeżył deportacji do obozu koncentracyjnego. Zdecydował się na kontynuowanie konspiracyjnej działalności pomimo ostrzeżeń i propozycji przerzutu do Londynu. Ten jeden z najwybitniejszych twórców francuskiej szkoły biologii molekularnej spoczywa w zbiorowej mogile wraz z przeszło pięcioma tysiącami francuskich więźniów, ofiarami ewakuacyjnego marszu śmierci z obozu w Buchenwaldzie. Jak trafnie zauważa Nicolas Chevassus-au-Louis, gdyby jego losy potoczyły się inaczej, zapewne zostałyby obok Jacoba, Monoda i Lwoffa czwartym francuskim noblistą w dziedzinie biologii. Organizatorzy jednej z pierwszych sieci ruchu oporu w Muzeum Człowieka zostali rozstrzelani. Wśród żołnierzy francuskiego podziemia zamordowanych przez Niemców znalazł się także wybitny historyk Marc Bloch. Nie zawsze jednak represje okupanta były we Francji aż tak okrutne. Paul Langevin, najpierw aresztowany, został wypuszczony w wyniku protestów francuskiego środowiska naukowego i umieszczony w areszcie domowym.

Francuskim naukowcom pozostawała jeszcze droga emigracji, możliwa przynajmniej w pierwszych latach okupacji i rządów Vichy. Jeden z rozdziałów książki poświęcony jest „Operacji Rapkina”. Louis Rapkin, biolog, rosyjski emigrant przed wojną aktywnie pomagający naukowcom, uchodźcom politycznym, we Francji od razu rozpoczął organizowanie „przerzutu” do Wielkiej Brytanii i USA najbardziej zagrożonych i najwybitniejszych francuskich uczonych. Nie było to zadanie łatwe. Przekonanie Fundacji Rockefellera, amerykańskich uniwersytetów czy władz brytyjskich wymagało

długich i żmudnych negocjacji. Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny uniemożliwiło kontynuowanie tej akcji. Dzięki Rapkinowi Francję zdołało jednak opuścić kilkudziesięciu naukowców.

W przeciwieństwie do Polski polityka okupanta wobec francuskich naukowców była bardzo zróżnicowana. Obok okrutnych represji były także próby kuszenia czy też po prostu zgoda na trwanie i funkcjonowanie instytucji naukowych, o ile nie wchodziły one w otwarty konflikt z niemieckimi interesami. Stąd także postawy naukowców były bardzo zróżnicowane. Większość z nich ani nie plamiła się otwartą kolaboracją, ani też nie uczestniczyła, przynajmniej w pierwszym okresie, w ruchu oporu. Starła się, jak to trafnie ujął autor, „po prostu przeżyć”.

Jak zawsze w takich sytuacjach pojawia się bardzo trudne pytanie, gdzie kończy się pod obcą okupacją i w totalitarnym systemie normalne funkcjonowanie, a gdzie zaczyna kolaboracja i działanie na szkodę własnego kraju. Pytanie, na które trudno jest niekiedy przecieź odpowiedzieć. Podobnie jak w Polsce praca o Ostinytucie, tak we Francji książka Nicolasa Chevassus-au-Louis wywołała dyskusję na temat granic kolaboracji. Czy nominacja przez rząd Vichy wybitnego fizyka Louis de Broglie do Conseil National jest równoznaczna z kolaboracją? Nominacja odbyła się bez konsultacji z zainteresowanym, który jednak nie miał odwagi jej odrzucić. Jak wreszcie ocenić postawę Frederica Joliot-Curie aktywnie związanego z ruchem oporu? – ale przecieź współpracującego w okresie okupacji z niemieckimi fizykami, a nawet udzielającego wywiadów gazinowej prasie, wywiadów krytykujących przedwojenną Francję i stosunki panujące w nauce.

Szczególnie interesujące są fragmenty książki poświęcone „dziedzictwu Vichy” i powojennemu rozliczaniu kolaboracji. Z jednej strony autor podkreśla, że wiele nowoczesnych, jeszcze dzisiaj działających francuskich instytucji naukowych narodziło się właśnie w tamtym okresie, m.in. INSERM czy INRA. Z drugiej strony gaullistowska polityka pojednania narodowego, przekonanie o konieczności zachowania ciągłości badań naukowych i nadrzędności interesu Francji spra-

wiły, że lustracja w niewielkim tylko stopniu objęła środowiska naukowe. Zresztą bardzo zasadnym pozostawało pytanie, kto ma sądzić kogo. Na ile owi sędziowie sami nie byli zamieszani we współpracę z okupantem. Argument ten znakomicie wykorzystywali obrońcy oskarżonych i sami niegdysiejsi kolaboranci.

Ernest Fourneau, wybitny chemik z Instytutu Pasteura i odkrywca sulfonamidów, znany ze swoich proniemieckich sympatii i entuzjazmu dla kolaboracji i hitlerowskiej „polityki rasowej” po wojnie oświadczył, że w trakcie okupacji „nie spotykał się z chemikami niemieckimi”. Nic dziwnego, że sądzący go koledzy, którzy współpracowali aktywnie z chemikami z IG Farben woleli milczeć i nie powracać do „kompromitujących spraw minionego okresu”. Niektórym z oskarżonych pomogła absurdalność formułowanych wobec nich zarzutów. Georges Claudes, inżynier i bogaty przedwojenny wynalazca, jedna z najbardziej znaczących postaci kolaboracji został oskarżony m.in. o ...wynalezienie V1 i V2. Wykazanie przez obronę nieprawdziwości tych zarzutów nie tylko uratowało mu życie, ale i doprowadziło do łagodniejszego potraktowania innych, tym razem prawdziwych przestępców. Analiza powojennych losów kolaborantów-naukowców pokazuje, że oprócz niewielkiej ilości „przykładowych” spraw administracja IV Republiki stosowała „dla dobra jedności narodowej” politykę „grubej kreski”, a ogromna większość kolaborantów spokojnie kontynuowała po wojnie swoje kariery naukowe.

Piotr DASZKIEWICZ

CI, CO ODESZLI

Ryszard LÖW

PANI ŁUCJA

1. Życie Łucji Gliksman – urodzonej 23 listopada 1913 roku w Opatówku w „ziemiańsko-inteligenckiej” rodzinie zamożnych fabrykantów zabawek Pinczewskich – przebiegało w kręgu literatury; literatury polskiej przede wszystkim – na jej poznawaniu, nauczaniu, interpretowaniu, na jej tworzeniu. Należała do tego odłamu swojego pokolenia asymilujących się Żydów, które dążyło do pełnego zakorzenienia się w języku i zespolenia z kulturą polską – i przez nią dochodzenia do uczestnictwa w kulturze powszechnej, nie tracąc przy tym narodowych więzi żydowskich. W bardzo podeszłym już wieku, po ponadpółwiecznym przebywaniu poza Polską, uznała za właściwe powiedzieć do Stanisława Beresia:

...Nigdy nie brano mnie za Żydówkę. (...) mówiłam po polsku bardzo czysto.

Do szkół chodziła w Warszawie. Na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego – immatrykulowana w nim jesienią 1929 – odbyła studia z zakresu polonistyki, magisterium uzyskując w roku 1934. Słuchała wykładów i przeszła przez seminaria znakomitych uczonych: Józefa Ujejskiego, Bronisława Gubrynowicza, Juliana Krzyżanowskiego, Zofii Szmydtowej, Kazimierza Wóycickiego, Witolda Doroszewskiego, których nazwiska zachowała we wdzięcznej pa-

mięci, nie pomijając okazji ich wspominania. Łączyła ją wtedy komitywa z teoretykiem literatury Franciszkiem Siedleckim, z poetą Zbigniewem Bieńkowskim, z tego też okresu zapamiętała Juliusza Wiktora Gomulickiego, z którym kontakt korespondencyjny – i telefoniczny – nawiązała parę lat przed śmiercią.

Począwszy od roku 1931 pracowała jako nauczycielka, najprzód w szkole powszechnej, następnie w prywatnym żydowskim gimnazjum męskim w Warszawie.

Już po przeżyciu oblężenia i zburzenia stolicy przez Niemców we wrześniu 1939, wraz z pierwszym swoim mężem, lekarzem, przedostała się do Lwowa. Stąd w czerwcu 1940 została wraz z matką i bratem wywieziona za Ural, do Kopiejska, gdzie ją posłano do kopalni węgla. Nabawiła się wtedy choroby, która ją dręczyła przez całe życie.

Po amnestii w 1941 znalazła się w Tadżykistanie, w Leninabadzie i tutaj z ramienia Delegatury Rządu organizowała szkoły polskie, „domy dziecka” dla sierot, prowadziła rejestr polskich rodzin. Tymi samymi sprawami zajmowała się nadal w Teheranie, dokąd w 1942 roku dotarła z armią generała Andersa.

2. W ukazującym się w Teheranie tygodniku *Polak w Iranie* ogłosiła swój pierwszy wiersz: „List do kraju” (1943), potem jeszcze parę tekstów publicystycznych. Po roku, w Jerozolimie, w której się w międzyczasie znalazła, w dwutygodniku *W drodze* ukazała się „Weronika” (1944) i oba te wiersze okazały się rodzajem „predebiutu”, debiutem zarzuconym, niekontynuowanym, skoro przez następne czterdzieście lat w ogóle nie pisała wierszy i ciągłość swojej twórczości nadała dopiero potem, w Izraelu. Wiersze te podpisała nigdy właściwie niezarzuconym pseudonimem: Wanda Falk.

W czasie swojego bliskowschodniego pobytu pracowała w polskich instytucjach rządowych – jerozolimskim Centrum Informacji na Wschód, potem jako kancelistka w telawiwskiej Delegaturze Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Zaprzyjaźniła się wtedy z Władysławem Broniewskim – wspomnienia o nim pt. „Trocheje” zamieści po latach w *Kulturze* (1962); z historykiem literatury Wiktorem Weintraubem

(późniejszym jej profesorem w Harvardzie) i jego żoną, Anną, lekarką, po śmierci której napisze piękny artykuł również w *Kulturze* (1967); a także z historykiem oświaty Łukaszem Kurdybachą, który wtedy właśnie redagował tutaj świetną serię „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie”. Piękny dowód sprawności polonistycznej złożyła wydając w tej serii pod panińskim nazwiskiem Pinczewska opracowane przez siebie wybory wierszy Kasprowicza (1944) i Ujejskiego (1946).

Chciałbym wierzyć, że w chwili śmierci, która zabrała Panią Łucję w Tel Awiwie 31 grudnia 2002 roku – po długich miesiącach cierpień fizycznych i osamotnienia, do końca jednak obdarzoną wspaniałą jasnością umysłu, umiała sobie uświadomić mądrość wyrażoną w zdaniu, jakim niegdyś była zakończyła wprowadzenie do lektury Kasprowicza:

potrafił odważnie iść na spotkanie śmierci, stwierdzając tym prawdę, którą posiadał i którą nam w dziele swym przekazał – że „złudą li jest śmierć – a zasię prawdą: życie”.

3. Nowy rozdział swojego mozolnego i wędrownego Żyda rozpoczyna Pani Łucja w roku 1946, z chwilą (1948) poślubienia Jerzego Gliksmana i wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Gliksman, prawnik i socjolog, był działaczem socjalistycznej partii żydowskiej „Bund”, bratem przyrodnym jej przywódcy Wiktora Altera. Pracował on wtedy nad głośnymi niebawem i tłumaczonymi na wiele języków wspomnieniami z okresu przymusowego pobytu w obozie pracy w Rosji pt. „Tell the West” (1948). Już w redagowaniu tej książki, a potem również wielu innych pracach męża, Pani Łucja uczestniczyła stale.

W Stanach ponownie podjęła studia: naprzód w Chicago, gdzie mąż został wykładowcą uniwersyteckim. Tutaj w marcu 1950 uzyskała dyplom „Master of Arts degree in Linguistic”, tutaj też potem sama prowadziła lektorat języka polskiego i staro-cerkiewno-słowiańskiego, a także wykłady z historii literatury polskiej i rosyjskiej. Alicja Iwańska, pisarka i socjolog, z serdeczną wdzięcznością wspomina

Jerzego Gliksmana w bardzo jasnym oszklonym gabinecie Uniwersytetu Loyoli (...) i „śniadą, śliczną Łucję Gliksman w ich

jasnym nowoczesnym mieszkaniu”. Było to w roku 1950 i państwo Gliksmanowie wyciągnęli pomocną dłoń do Iwańskiej, gdy znalazła się w Chicago bez środków do życia. „Pierwszy raz słyszałam od nich o paryskiej *Kulturze* – dodaje Iwańska. Opowiadali mi trochę o jej redaktorze Jerzym Giedroyciu.

Tak, Pani Łucja była człowiekiem życzliwym i wrażliwym na niedole, umiała zorganizować szybką i skuteczną pomoc ludziom znajdującym się w „dołku” życiowym. Tej właśnie problematyce poświęciła artykuł pt. „Rozmowa”, napisany w owym czasie i zamieszczony w *Kulturze* (1951) – opowieść o dwóch młodych dziewczynach, wywodzących się z „sierot teherańskich” świeżo przybyłych do Stanów.

Pod koniec 1950 państwo Gliksmanowie przyjechali do Paryża; Jerzy Gliksman zeznawał jako świadek-ekspert na procesie wytoczonym przez Davida Rousseta komunistycznemu tygodnikowi *Les Lettres Françaises* zadającemu kłam twierdzeniom o istnieniu sowieckiego gułagu. Zbliżyła się wtedy do środowiska *Kultury*, z którym już zawsze utrzymywała żywy i bardzo przyjazny kontakt – Jerzego Giedroycia, rodzeństwa Marii i Józefa Czapskich, ich siostrzenicy Elżbiety Łubieńskiej. Spotykała się również z przybyłymi na ten proces: pisarką Herminią Naglerową i Aleksandrem Weissbergiem-Cybublskim; odwiedzili Borisa Souvarine’a.

Po wielu latach, już po osiedleniu się na stałe w Izraelu – w marcu 1963 – od Marii Czapskiej otrzymała widokówkę grobów żydowskich na polskim cmentarzu wojskowym pod Monte Cassino.

Drożej mojej Łucji – pisała autorka «Gwiazdy Dawida» – na pamiątkę tych co zginęli pod Monte Cassino – wierni przybranej a tak często okrutnej dla nich Ojczyźnie. Marynia.

W Stanach, po powrocie z Europy, państwo Gliksmanowie przenieśli się do Harvardu, gdzie oboje znaleźli zatrudnienie w Russian Research Center, Harvard University. Jednocześnie Pani Łucja podjęła dalsze studia slawistyczne, przeszła przez seminaria Wiktora Weintrauba, Michaiła Karpowicza, Romana Jakobsona i Dymitra Czyżewskiego, któremu – jak notuje w swoim dziariuszu 27 stycznia 1953 –

oddała pracę „o neologizmach Tuwima”. „Wypadła dobrze” – dodaje. W 1954 w Redcliffe College (Cambridge, Mass) zaliczyła – jak pisze „full credit for Ph. D. Degree”, samej pracy doktorskiej prawdopodobnie jednak nie ukończyła i tytułu nie uzyskała.

Mistrzów uniwersyteckich, jak widać, i to od samych warszawskich początków, miała Pani Łucja znakomitych. Jej wiedza humanistyczna i erudycja literacka były uderzające, podobnie jak do końca życia dopisująca i bardzo usłużna pamięć. Mało jednak, w sumie, miała sposobności do społecznego, pedagogicznego, badawczego, pisarskiego – wykorzystania swojej wiedzy i przemysłów.

Ostatnie sześć lat pobytu w Stanach – których obywatelką została w 1952 – spędziła w Waszyngtonie, gdzie Jerzy Gliksman otrzymał pracę w instytucie badawczym The Rand Corporation. Dla tego to instytutu ona sama na podstawie kontraktu sporządziła w roku 1956 dwuczęściowy „Progress Report” pt. „A Study od the Value of Soviet Fiction”.

Jest to praca o charakterze socjologiczno-historyczno-literackim, w której autorka starannie wykorzystwała olbrzymi blok sowieckiej prozy literackiej jako źródła obserwacji i opisu ówczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej w ZSSR. W centrum tej rozprawy umieściła analizę realizmu tej tak bardzo wtedy zideologizowanej literatury, konfrontując przekazywaną przez nią prawdę z prawdą wyłaniającą się z dokumentów pozaliterackich. Rzecz ta, podpisana: Łucja Pinczewska-Gliksman – pozostała w maszynopisie (liczącym łącznie ponad 200 stron) zachowanym w jej prywatnym archiwum, najwidoczniej z góry przeznaczona do użytku i obiegu wyłącznie wewnętrznego.

Tematu tego nie zarzuciła. W kolejnych dniach połowy maja 1957 zapisywała w diariuszu:

Pracowałam, wykończyłam rozdz. 2 raportu (Sov. Tragedy).
– Pracuję nadal nad raportem 3. – Pisałam Soviet Tragedy – wreszcie 17 maja: Dziś pisałam ostatni rozdział „The provincial inteligentia”. Myślałam, że nigdy nie napiszę – ale się napisałam.

Tekst tego „raportu” nie zachował się w jej papierach.

4. Jerzy Gliksman zmarł na atak serca w roku 1958 i Pani Łucja po pewnym czasie wyjechała do Europy –

...na jakiś czas do Brukseli, potem byłam w Paryżu, a potem przyjechałam do Izraela. Właściwie wróciłam.

Było to w roku 1961.

Leo Lipskiego znała przelotnie od czasów teherańskich. Teraz, w Tel Awiwie, przejęła nad nim opiekę wyłączną, wręcz wprzęgła się w jego życie. Przez parę dziesięcioleci czyniła nieprzerwane wysiłki dla ułatwienia pisarzowi – choremu kalece, w ostatnich latach życia unieruchomionemu w łóżku – codziennej egzystencji. Była Lipskiego głosem, zarazem ręką piszącą i wystukującą na maszynie jego teksty literackie i listy, na które później już po prostu odpowiadała w jego imieniu; była najbliższą powiernicą i najwyższym autorytetem krytycznym autora „Piotrusia”.

Późnym latem 1975 odbyli wspólną podróż do Paryża, którą Lipski przeżywał bardzo radośnie. Był przecież autorem *Kultury*, ludzie tego kręgu pierwsi dostrzegli jego wyjątkowość pisarską, wydali jego książki, nagrodzili jedną z nich, zabiegali o przekłady – a teraz serdecznie przyjmowali i zajmowali się nim. Podróż ta zaowocowała następnie pięknymi zapiskami wspomnieniowymi Lipskiego, które nadały tytuł pośmiertnie już wydanemu zbiorowi jego tekstów rozproszonych – „Paryż ze złota” (2002), w ich zaś redagowaniu pomocna ręka Pani Łucji była nader odczuwalna.

Po śmierci Lipskiego w roku 1997 to dzięki jej zabiegom ukazały się w polskich wydawnictwach krajowych jego utwory poprzednio wydane w Paryżu, także teksty rozproszone na łamach polskiej prasy na Zachodzie i w Izraelu. Przy bliskiej współpracy z Panią Łucją Hanna Gosk opracowała monografię o Lipskim – „Jesteś sam na swojej drodze” (1998).

Przyrzekła *Kulturze* artykuł o Lipskim – i nie potrafiła się zdobyć na jego napisanie, nad czym szczerze ubolewała. Jerzy Giedroyc czekał cierpliwie; trzy lata po śmierci Lipskiego, niecały miesiąc przed własną, 21 sierpnia 2000 – pisał do „Drogiej Pani Łucji” –

ciągle liczę na Pani artykuł o Lipskim. Jest coraz bardziej „odkrywany”, ale wie się o nim tak niewiele i tyle jest nieścistości w różnych relacjach, że Pani artykuł jest naprawdę koniecznością. Jest Pani niewątpliwie jedyną osobą, która mogłaby z całą kompetencją o nim napisać.

Artykułu już nie napisała, pożegnała natomiast przyjaciela pięknym wierszem. „Na śmierć Leo Lipskiego”:

Tyle pięknych myśli
Odeszło bezpowrotnie
W świecie stało się pusto
I smutno i samotnie.

Zadbała jeszcze o polski kamień nagrobny Lipskiego położony razem z hebrajskim, nie wspominającym wcale o powołaniu i zawodzie zmarłego: „Pisarz polski”.

5. W Izraelu powróciła do zarzuconego niegdyś pisania wierszy; do systematycznego i ciągłego już ich pisania.

Poezja Łucji Gliksman w całości wyrosła i rozwinęła się tutaj, w polskojęzycznym środowisku literackim i stąd następnie wyszła i zdobyła niejaką renomę poza granicami Izraela, czemu ogarniający również ją promień sławy padający na Lipskiego niewątpliwie sprzyjał. W środowisku tym pełniła przez czas dłuższy rolę jakby zwornika. Z opiniami Pani Łucji liczone się u nas, mimo że bywały niewyważone, nasycone stroniczymi emocjami. Co – jak sądzę – świadczy o jej silnym osobistym zaangażowaniu w problematykę pisarstwa i życia literackiego. Obecna była wśród nas swoją poezją, swoimi opiniami krytycznymi, swoim nieprzejednanym oddaniem na rzecz twórczości Lipskiego, swoją opiekuńczością.

Jej twórczość poetycką kłamrują daty: 1988-2002. Pierwsza oznacza powtórzony debiut dwoma wierszami – „Wczoraj” i „Rozmowa z Panią Cieślakową” – wydrukowanymi w *Konturach*; druga – utwory, które znalazły się w *Konturach* już po jej śmierci. Każdy tom tego rocznika przynosił jej wiersze, podobnie jak przynosiły je – nieczęsto i w dużym rozrzucie czasowym – dziennik z biegiem lat przemieniony w tygodnik – *Nowiny-Kurier*. W nim też były

opublikowane dokonane przez nią przekłady z języka żydowskiego i esperanto. Natomiast do tak bliskiej sobie *Kultury* posłała tylko jeden jedyny wiersz: „Gare St. Lazare” poświęcony „Pamięci Józefa Czapskiego” (1996).

Co parę lat, głównie zresztą pod wpływem przyjaciół, niektóre opublikowane uprzednio w prasie wiersze zbierała pod wspólną okładkę cieniutkich książeczek. Pierwsza – „Wczoraj” (1993) i ostatnia – „Dwadzieścia wierszy” (2002) ukazały się w Tel Awiwie i są to wybory dwujęzyczne: oryginałowi polskiemu towarzyszy przekład hebrajski, który za każdym razem podyktował zawartość tomiku. Dwa środkowe wydała poza Izraelem i podpisała podwójnym nazwiskiem Pinczewska-Gliksman: „Nostalgie” (1995) w Olsztynie i „Na aryjskich papierach” (1996) w Lublinie (choć i Lublin, i Jerozolimę wypisano na karcie tytułowej).

Tomiki te przynoszą jednak niewiele ponad połowę wydrukowanych w czasopiśmie utworów. Część ich zaś inną Pani Łucja zabrała ze sobą do grobu, jako że wiersze bardzo często układała w pamięci i potem nie zawsze zapisywała. Kilka odnalezionych brulionów w postaci zeszytów szkolnych oraz luźnych kartek zawiera przecież zapisy wierszy doprowadzonych do różnych stopni zaawansowania redakcyjnego, są wśród nich nawet utwory skończone. Nie zdecydowała się jednak – i, jak sądzę, bardzo słusznie – na ich opublikowanie. Podobnie zresztą jak paru tekstów prozą, rodzaju opowiadań. Była staroświecką damą w życiu i była nią w swej poezji, nawiązywała do klasycznych poetyk międzywojnia, które w nurcie jej najbliższym – skamandryckim – dbało o czytelność własnego przekazu. Jej tradycjonalistyczną, nostalgiczną – wręcz „niedzisiejszą” – poezję ożywiały wartości, bez których wszystko wokół zdaje się tracić sens: dobroć, wierność w przyjaźni, lojalność, wiara w siłę słowa poetyckiego, w dobre manieri i wzajemne poszanowanie.

Nie zwielokrotniała swojej osobowości poetyckiej, pozostawała w orbicie tematów i form raz obranych – dawnych, jednak nie przestarzałych, ponieważ pod jej piórem nośnych. Jej wiersze wzruszają spełniając tym wszak jedno z posłańctw poezji.

Uparte w wierszach powracanie do wspomnień z dzieciń-

stwa i młodości odczytać można jako tęsknotę za ówczesną w jej życiu stabilizacją, której już potem była w dużej mierze pozbawiona. Nie była wygnancem z własnej epoki, a jednak nie potrafiła ustalić własnego miejsca w tym nękającym ją przez całe życie splocie: Żydzi – jej własny naród; Polska – jej własna kultura; Izrael, w którym była – a jednak była trochę poza nim...

Wykładnikiem tej sytuacji pewnego zawieszenia, w której się znalazła, są w jakiejś mierze jej lektury – lektury „starodawne”, wśród których – jak się zdaje – mało było poezji. Wracała do „Lalki”, wracała do Czechowa. Orientację w bieżącej literaturze polskiej zawdzięczała niesystematycznie otrzymywanej *Twórczości* i *Kulturze*. Na wyrwanym z notesu karteluszką taką oto zapisała niegdyś sentencję:

Dobra książka silniej łączy nas z życiem niż wypadki realne, szybciej pomaga rozpuścić się w jego oceanie i zmniejszyć w ten sposób znaczenie, jakie przypisujemy własnej osobie i jej losom.

Z tytułu miejsca – zamieszkania, twórczości, podniety środowiskowej, publikacji, rezonansu czytelniczego – i narodowej identyfikacji poezja Łucji Gliksmann należy do polskiej literatury izraelskiej. Zarazem do tego wielkiego i granic geograficznych nie posiadającego – słowa Miłosza – „gospodarstwa polskiej literatury”. Niektóre przemyślenia i odczucia Pani Łucji do takich odnoszą się spraw, iż wielu spośród nas tutaj, w Izraelu, rzec by mogło: to nasz – niemych – rozlega się głos.

Ryszard LÖW

ŹRÓDŁA I UWAGI

Zasadniczy blok własnej i Lipskiego korespondencji Łucja Gliksmann przygotowała osobiście w ostatnich miesiącach życia i jego wysyłkę zleciła na czas – po swojej śmierci. Tak też uczyniono. Korespondencją tą obdarowane zostało „Archiwum Emigracji” w Toruniu i do niego też zostaną skierowane archiwalia, jakie ujawniają się w trakcie ciągle jeszcze trwającej

likwidacji jej telawińskiego mieszkania. Z najprawdziwszej zawieruchy nieuporządkowanych papierów rozrzuconych po wszystkich kątach wyłoniło się kilka zespołów dokumentalnych, z których korzystałem przy pisaniu tego tekstu. Są to:

- a. jednostronicowy maszynopis angielskiej „Biography” datowany w Waszyngtonie 11 lipca 1959; dwa dwustronicowe maszynopisy różniące się między sobą w szczegółach *Curriculum Vitae*: brudnopis z ołówkowymi narzutami i skreśleniami oraz czystopis. Oba teksty nie są datowane, prawdopodobnie jednak pochodzą z tego samego czasu, co poprzedni – lato 1959; pod koniec 1994 roku zredagowany po polsku rękopiśmienny czterostronicowy „Życiorys” przeznaczony dla p. Danuty Kubejko w Lublinie (kseroks);
- b. dwa notesy zatytułowane „Diary” i dwa „Five Year Diary”, które Pani Łucja zapełniała systematycznie codziennymi zapisami w okresie dziesięciolecia 1949-1958;
- c. indeks uniwersytecki: Uniwersytet Warszawski. Wykaz wykładów i ćwiczeń, nr albumu 32885; data immatrykulacji: 20 listopada 1929. – W związku z czym podawaną przez Panią Łucję datę urodzin: 23 listopada 1913 należy „uwzględnić”, trudno bowiem przypuścić, by szesnastoletnia dziewczynka rozpoczęła studia uniwersyteckie. Co więcej; chodzi nie tylko o datę roczną – w diariuszu niezmiennie odnotowuje swoje urodziny w dniu 14 października;
- d. kilka zaświadczeń służbowych polskich z czasu wojennego pobytu w Palestynie i uniwersyteckich angielskich z okresu amerykańskiego uściślających pewne daty jej biografii urzędniczej i naukowej;
- e. pięć dużego formatu brulionów z lat 1952-1954 zawierających znakomicie zredagowane (niemal – „gotowe do druku”) zapisy wykładów – zapisy polskie wykładów prowadzonych po angielsku przez profesorów Weintrauba (literatura polska), Karpowicza i Czyżewskiego (literatura rosyjska).

Kilka listów przeoczonych przez Panią Łucję w czasie ich segregowania i przygotowywania do wysyłki. Ponadto – dwa obszerne wywiady udzielone w Tel Awiwie. Chronologicznie pierwszy z nich to „Głos z zamurowanego ciała. Rozmowa z Leo Lipskim i Łucją Gliksman” nagrany na taśmę w roku 1996 przez Stanisława Beresia i opublikowany w warszawskich *Tekstach Drugich*, w nrze 4 z roku 2002; drugim natomiast jest „O antysemityzmie, Leo Lipskim i «Ludziach z Maisons-Laffitte»

Rozmowa z Łucją Pinczewską-Gliksman” wywiad przeprowadzony przez Sławomira J. Żurka w lutym 1998 i wydrukowany w łódzkim *Tyglu Kultury* w 1999, nr 7-9.

Przywiedzone wspomnienie Alicji Iwańskiej pochodzi z jej książki „Potyczki i przymierza. Pamiętnik 1918-1985”, Warszawa 1993, s. 357 i 359-60. Stosunki Pani Łucji z Iwańską, które w prywatnych rozmowach usiłowała ściągnąć na margines, były prawdopodobnie bardziej złożone i bliskie. Odpowiednikiem wspomnienia Iwańskiej jest zapis Łucji Gliksman w jej diariuszu 14 września 1950: „O 5 u Thompsona z Alicją Iwańską – dość miła, inteligentna i uzdolniona, wygląda dziwnie (...) ale ładne włosy, płowe i polskie”. A to właśnie do Pani Łucji (po 25 latach!) zwracał się ich wspólny przyjaciel Allan Kosko (zamieszkały we Francji poeta i tłumacz Lipskiego na francuski): „Co do Alicji blond-Iwańskiej (...) gdybyś mogła cudem jej do Mexico przekazać moc serdeczności ode mnie (!) – to błagam o to” – pisał w liście z 18 października – prawdopodobnie – 1975 roku dołączonym do własnej książki „Le Dit du Retour”. –

R.L.

Janina STOBNIAK-SMOGORZEWSKA

TADEUSZ WALCZAK (1924-2003)
PRZEDSIĘBIORCA I SPOŁECZNIK
(W ROCZNICĘ ŚMIERCI)

Tadeusz Walczak, zmarły 13 czerwca 2003 r. w Londynie, należał w Wielkiej Brytanii do grupy nielicznych polskich przedsiębiorców, w działalności których sprawy polskie zajmowały równe miejsce z aktywnością zawodową. Działał w wielu organizacjach, włączał się do niejednej nowej inicjatywy, toteż nazwisko jego dla polskiej społeczności obcym nie było. Jego ostatnią ambicją, jako prezesa Polskiej Fundacji Kulturalnej (PFK) i dyrektora *Dziennika Polskiego i Dzien-*

nika *Żołnierza* oraz *Tygodnia Polskiego*, było rozszerzenie kręgu czytelników przez dotarcie do młodszego pokolenia – zarówno tych, którzy na Wyspach Brytyjskich byli urodzeni, jak i nowo przybyłych z Kraju. Był jedynym z prezesów PFK i dyrektorów obu gazet, który nie pobierał ani wynagrodzenia za swoją pracę, ani zwrotu ponoszonych kosztów. Ponadto sfinansował powtórne wydania (przedruki) 12 książek autorów emigracyjnych, m.in. Edwarda Raczyńskiego i Kazimierza Wierzyńskiego.

Tadeusz, mój kolega z gimnazjum Związku Osadników w Równem, urodził się 1 września 1924 r. w osadzie wojskowej Janówka koło Dubna jako najstarszy syn Adama Walczaka, ochotnika w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r., odznaczonego Krzyżem Walecznych, i Adeli z domu Stranc. To ten dom osadniczy i osadnicze szkoły ugruntowały w nim cechy charakteru, które późniejsze życie tylko wzmacniało. Najważniejsze z nich to patriotyzm, służba społeczna, pracowitość, a obok tego tolerancja i wyrozumiałość w stosunku do ludzi.

Jesienią 1937 r., po ukończeniu lokalnej szkoły powszechnej, w której – jak to było na Wołyniu – obok dzieci osadniczych uczyły się dzieci ukraińskie i żydowskie, rozpoczął naukę w nowo powstałym gimnazjum Związku Osadników w Równem. Była to szkoła bardzo postępową, o wysokim poziomie nauczania, w której uczono nawet języka angielskiego, co w gimnazjach tamtych czasów było raczej czymś wyjątkowym. Podobnie jak inne dzieci osadnicze Tadeusz zamieszkał w osadniczym ognisku (internacie).

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 r., w pierwszej deportacji ludności polskiej do Związku Sowieckiego, w tym wszystkich kresowych rodzin osadniczych, rodzina Walczaków wywieziona została do *spiecposiołka* Jeluga koło Kotłasu w *obłasti* archangielskiej. Tadeusz razem z ojcem pracowali tam w lesie przy wyrębie i zwożeniu drewna aż do czasu tzw. amnestii (12 sierpnia 1941 r.), kiedy rodzina zdecydowała ruszyć na południe do azjatyckich republik sowieckich, gdzie tworzyło się wojsko polskie. Tej uciążliwej podróży, trwającej kilka tygodni, nie przetrzymał najmłodszy, 7-letni brat Tadeusza, Zbyszek, zmarły w pociągu niedaleko Taszkontu. W Kermine, w Uzbekistanie, Tadeusz został przyjęty do 7 Dywizji Piechoty, ale wkrótce zachorował na tyfus, który szczęś-

liwie przeżył, i 28 marca 1942 r., w pierwszej ewakuacji Armii Polskiej ze Związku Sowieckiego, opuścił „niehumanitarną ziemię”.

Po trzech miesiącach podróży, przez Persję, Irak, Palestynę, gdzie dołączony został do 1 kompanii Szkoły Podchorążych 8 Dywizji Piechoty, a potem Egipt, znalazł się (1 lipca) w Afryce Południowej. W Haydock Camp niedaleko Durbanu odbył szkolenie wojskowe, a wspominając ten okres po półwieczu Tadeusz pisał: „Pobył w Płd. Afryce przywrócił nam siły fizyczne, dał odprężenie i przygotował do dalszych trudów, do dalszej wędrówki”*. W końcu sierpnia jego kompania załadowana została na brytyjski statek „Laconia”, transportujący żołnierzy na trasie Liverpool–Kapsztad–Suez i 1 września rozpoczęto rejs do Anglii. Na statku znajdowało się ponad 2700 osób, w tym 1800 jeńców włoskich. 12 września „Laconia” została dwukrotnie storpedowana przez Niemców. Tadeusz wpadł do wody i przez kilka godzin ratował się płynąc bez orientacji, gdzie się znajduje, i niewiele widząc, bo zgubił okulary. Wreszcie napotkała go łódź ratunkowa, na której znajdowali się Anglicy i jeden kolega z kompanii. Po pięciu dniach na horyzoncie ukazał się krążownik francuski „Gloire” wysłany przez niemieckiego admirała Doenitza w poszukiwaniu żołnierzy włoskich transportowanych „Laconią”. Rozbitków zabrano na pokład. Dopłynięto do Casablanki, wówczas pod rządami Vichy, i wszystkich uratowanych osadzono w obozie. Wyzwolenie nadeszło kilka tygodni później, 8 listopada, kiedy wojska amerykańskie wkroczyły do Maroka. Na początku grudnia Tadeusz znalazł się w Liverpoolu, w styczniu został odkomenderowany do 3 Pułku Pancernego, ale w maju 1943 r. skierowano go na kurs gimnazjalny, po ukończeniu którego powrócił do wojska do 9 Batalionu Strzelców 1 Dywizji Pancerniej dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka. Brał udział w walkach Dywizji w Normandii i Belgii, gdzie był ranny. Ukończył podchorążówkę i przez rok pełnił służbę w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. W listopadzie 1947 r. wojskowy rozdział w życiu Tadeusza został zakończony. W międzyczasie ukończył liceum ogólnokształcące i rozpoczął studia w Polish University College na wydziale handlu międzynarodowego i

* T. Walczak, „Życie nie tylko własne”, Londyn, PFK 1996.

ekonomiki transportu, które ukończył w październiku 1951 r.

Szybko rozejrzał się za stałym zajęciem, tym bardziej że od roku był żonaty z Reginą Sobieraj, pochodzącą z Nowogródziny, również córką osadnika wojskowego. Początkiem jego kariery zawodowej była posada w firmie importującej wiklinę i trzcinopalmę, ale po dwóch latach opuścił ją i podjął pracę jako urzędnik do spraw transportu morskiego w firmie Central Asbestos Co. Ltd., zajmującą się sprzedażą azbestu z Kanady, Cypru i Afryki Południowej. Pozostał w niej przez następne 34 lata, aż do emerytury, dochodząc do stanowiska dyrektora naczelnego. W tym okresie zasięg działalności firmy znacznie się rozszerzył. Równocześnie Tadeusz podejmował wiele innych przedsięwzięć, najczęściej w spółkach z innymi rodakami, jak sklepy delikatesowe, agencje mieszkaniowe, nawet sklep z zegarkami i biżuterią, handel szkłem z Rumunią. W 1987 r. – w wyniku pomyślnych transakcji handlowych – powstało jego własne przedsiębiorstwo, Concorde Glass Ltd., zajmujące się handlem szkłem. Firma ta funkcjonuje do dzisiaj jako przedsiębiorstwo rodzinne, utrzymując kontakty handlowe z wieloma krajami. Od końca lat 80-tych Concorde Glass prowadzi interesy z hutą szkła „Kara” w Piotrkowie, w której ma również udziały (28% w 1996 r.). Nie ograniczono się do handlu szkłem tylko, ale włączano do działalności tak wydawałoby się odległe przedsięwzięcia, jak organizowanie ośrodka rozrywkowego, na wzór londyńskiego Talk of the Town, w chińskim mieście Dalian, gdzie miał swoje biura chiński kontrahent Dalian Glass. Przez kilka miesięcy – z inicjatywy Tadeusza – występował w nim także polski zespół. Od 1997 r., kiedy Tadeusz został prezesem Polskiej Fundacji Kulturalnej i dyrektorem *Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza* oraz *Tygodnia Polskiego*, jego zaangażowanie w Concorde Glass znacznie osłabło, a prowadzenie firmy przeszło na syna Krzysztofa.

Przez pierwsze dziesięciolecie, zajęty sprawami zawodowymi i rodzinnymi Tadeusz nie włączał się do prac społecznych, którymi w Londynie w znacznym stopniu kierowało wówczas starsze od niego pokolenie. Nastąpiło to dopiero w 1957 r., kiedy jego starszy syn rozpoczął naukę w polskiej sobotniej szkole im. Bolesława Chrobrego w południowym Londynie. Wszedł do komitetu rodzicielskiego, a równo-

częśnie do istniejącej od dwóch lat na tamtym terenie Gminy Londyn-Południe. Była to pierwsza polska terytorialna organizacja typu samorządu państwowo-społecznego do organizowania życia polskiej społeczności w szerokim zakresie. Wbrew nadziejom ta forma samorządu w innych dzielnicach nie przyjęła się. Swoją działalnością Gmina obejmowała nie tylko potrzeby własnych członków, ale włączała się i do ogólnych spraw polskich finansując wiele inicjatyw, szczególnie kulturalnych. Kilku działaczy Gminy stało się potem organizatorami Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK). Tadeusz brał czynny udział w pracach Gminy, a w latach 1973-75 był jej prezesem. W końcu lat 90-tych działalność Gminy zakończyła się, a jej majątek przekazano w 2002 r. kilku emigracyjnym instytucjom w Londynie.

Kolejnym społecznym zaangażowaniem Tadeusza był POSK, do którego rady został wybrany w 1966 r. i pozostał w niej do końca swoich dni. Sam przyznawał, że do pracy czynnie włączył się dopiero w 1975 r., kiedy ugruntowała się jego pozycja zawodowa i zmniejszyły obowiązki rodzinne. W ciągu niecałego roku udało mu się doprowadzić do otwarcia (30.10.1976 r.) POSK-owego Klubu (POSKLUB), który swoimi opłatami za użytkowanie pomieszczeń pomagał w utrzymaniu tego ważnego dla polskiej społeczności ośrodka. Następnego dnia po otwarciu Klubu, na walnym zebraniu, Tadeusz został wybrany przewodniczącym POSK-u i tę funkcję sprawował do 1979 r. W tym okresie do POSK-u przeniesiono Bibliotekę Polską i rozpoczęto prace nad zorganizowaniem teatru, który otwarto w 1982 r. Ponownie stanowisko przewodniczącego Tadeusz pełnił w latach 1982-1985, a w pozostałych latach był członkiem zarządu i członkiem wielu komisji, w tym komisji bibliotecznej i finansowej. Można więc śmiało powiedzieć, że brał czynny udział w tworzeniu POSK-u, i nic, co POSK-owe, nie było mu obce. Niejednokrotnie posunięcia jego jako przewodniczącego były przez „zycyliwych” krytykowane, ale przyjmował to ze spokojem i robił swoje. Potrafił przyznać się do porażek i błędów, jakimi okazały się: przejęcie restauracji „Varsovia” na rachunek POSK-u i film o papieżu Janie Pawle II, poprawny, ale nie porywający. Oba te przedsięwzięcia zakończyły się finansowym fiaskiem, pokrytym ostatecznie przez Tadeusza z własnych funduszy. Po latach przyznawał: „«Varsovia» i film dały

mi dodatkowe doświadczenia, ale mógłbym się bez nich obejść”. Utrzymywał bliskie kontakty z tak hojnymi darczyńcami POSK-u, jak państwo Motz, którzy – poza wsparciem finansowym – ofiarowali wiele poloników (książki i dzieła sztuki) oraz z państwem Lurczyńskimi z Paryża, którzy, zrażeni do Polonii francuskiej, pozostawili w spadku cały swój majątek dla POSK-u. W tym drugim przypadku wiele starań wiązało się ze sprawą wysokiego podatku spadkowego, którego jednak nie udało się uniknąć z uwagi na brak odpowiedniej umowy między Francją a Wielką Brytanią. W połowie lat 80-tych – z jego inicjatywy – rozpoczęto niedzielne wyjazdy, tzw. Żywe Dzienniki, do polskich ośrodków w Wielkiej Brytanii, podczas których dyskutowano wszelkie sprawy polskie, a kończono występami artystycznymi. Podczas swoich zagranicznych wyjazdów służbowych Tadeusz nie pomijał okazji nawiązania kontaktu z polskimi organizacjami i ośrodkami informując je o pracach polskiego środowiska w Wielkiej Brytanii i działalności POSK-u.

W 1985 r. POSK, Stowarzyszenie Polskich Kombatan-tów i Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii przejęły finansowanie *Orła Białego*, któremu groziła likwidacja. Tadeusz został przewodniczącym komitetu redakcyjnego i przez następne 16 lat podejmował wysiłki, aby zdobyć fundusze na jego utrzymanie. Mała liczba prenumeratorów i pogłębiające się trudności finansowe spowodowały zamknięcie *Orła Białego* wiosną 2001 r.

Ostatnie siedem lat swego pracowitego życia Tadeusz poświęcił przede wszystkim Polskiej Fundacji Kulturalnej i dwóm pismom: *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* oraz *Tydzień Polski*. Zmniejszająca się liczba wojennej emigracji znajdowała swoje odbicie w spadku czytelników polskich pism, gazet i książek. Subwencje PAFT-u (Polonia Aid Foundation Trust) na te cele wzrastały, ale nie można było tego traktować jako ekonomicznie właściwego kierunku na przyszłość. Atrakcyjność treści i formy zewnętrznej obu pism stała się główną troską Tadeusza i zespołów redakcyjnych. Eksperymentując, zmiany wprowadzano powoli dostosowując charakter *Dziennika* i *Tygodnia* do upodobań zarówno starej kadry czytelniczej, jak i młodego pokolenia. Zawsze pełen optymizmu Tadeusz wierzył, że ten wysiłek przyniesie pomyślne rezultaty, ale nie było mu dane tego doczekać. Nie

omijał żadnej okazji do propagowania obu pism, jak i książek wydanych przez PFK. Na każdym zjeździe czy spotkaniu, w którym uczestniczył, rozkładał stolik z przywiezionymi w swoim samochodzie tomami książek i egzemplarzami gazet, zachęcając do zakupu. Widziałam to na naszych spotkaniach osadniczych, jak któregoś roku w Bletchley Park (gdzie w czasie wojny prowadzono prace nad „Enigmą”) podczas polskich uroczystości razem z żoną obsługiwali stoisko PFK.

Był również ściśle związany – jako członek zarządu – z pracami Ogniska Rodzin Osadników Kresowych w Wielkiej Brytanii, zorganizowanego w 1983 r. Brał udział w redagowaniu, reklamowaniu i dystrybucji trzech książek: „Z Kresów Wschodnich RP. Wspomnienia z osad wojskowych 1921-1940”, „Z Kresów Wschodnich na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940-1946” i jej angielskim wydaniu pt. „Stalin’s Ethnic Cleansing in Eastern Poland. Tales of the Deported 1940-1946”. W 1995 r. czuwał nad wykonaniem przez Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie dwóch tablic upamiętniających osadników wojskowych. Z chlubą mówił o swoim skromnym osadniczym pochodzeniu i w środowisku swoich kresowych krajanów czuł się jak w rodzinie. Krótco przed śmiercią odwiedził swoją osadę Janówka i gimnazjum osadnicze w Równem.

W ostatnich swoich dniach Tadeusz myślał prawie wyłącznie o *Dzienniku* i *Tygodniu*, martwiąc się o ich przyszłość. W tym wypadku szczęśliwy los, który nie opuszczał go na sowieckim zesłaniu, w chorobie w Uzbekistanie ani na morzu po storpedowaniu „Laconii”, okazał się bezlitosny i nie pozwolił ukończyć zamierzonej reformy. Jego nazwisko pozostanie jednak w historii polskiej wojennej emigracji jako jednego z tych, którym sprawa polska była bardzo bliska i której poświęcił znaczną część swego życia. A wszyscy, z którymi pracował, zachowają go w pamięci jako życzliwego przyjaciela, wymagającego, czasem niecierpliwego, ale zawsze gotowego do pomocy.

Pochowany został na cmentarzu Gunnersbury w południowo-zachodnim Londynie, gdzie spoczywa wielu jego rodaków i gdzie przed laty stanął pomnik katyński.

Janina STOBNIAK-SMOGORZEWSKA

JAROSLAV VALENTA

Dnia 23 lutego br. zmarł w wieku siedemdziesięciu trzech lat znany historyk czeski, prof. Jaroslav Valenta. Był chyba najlepszym znawcą polsko-czesko-słowackiej tematyki w Czechach, autorem sześciu rozdziałów obejmujących lata 1918-1945 w monumentalnym dwutomowym dziele pt. „Češi a Poláci v minulosti”, Praha 1967, prac o konflikcie cieszyńskim oraz szeregu innych rozpraw. Wraz ze Štovičkem zredagował i wydał w 1995 cenny zbiór dokumentów czechosłowackich dotyczących negocjacji londyńskich gen. Sikorskiego z Benešem. Jego książka na temat katastrofy gibraltarskiej była, o ile wiem, bardzo zaawansowana.

Poglądy Valenty na stosunki między naszymi narodami nie zawsze pokrywały się z polskimi interpretacjami. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż reprezentował On punkt widzenia czeski, do czego miał pełne prawo. Niektórzy polscy historycy staczali z nim zacięte boje, a był on z usposobienia człowiekiem, który ostro bronił swych poglądów. Nie można mu było jednak odmówić bardzo dobrej znajomości źródeł i wielkiej erudycji.

Moja bliska znajomość z prof. Valentą datuje się od 1973 r., kiedy przez kilka miesięcy prowadziłem badania naukowe w Pradze. Był to zły okres po klęsce praskiej wiosny i Valenta wraz z wielu innymi historykami został relegowany z Instytutu Europy Środkowowschodniej i objęty zakazem publikowania.

Z trudem udawało mu się pisywać, w celach zarobkowych, do periodyków o tematyce technicznej, a i to pod pseudonimem. Jako człowiek, który żył nauką, przechodził wtedy bardzo ciężki okres i był bliski samobójstwa.

Ponieważ większość czechosłowackich archiwów i zbiorów była wówczas zamknięta dla badaczy, Valenta robił wszystko, aby umożliwić moje kwerendy, których owocem była później książka o stosunkach francusko-polsko-czechosłowackich („The Twilight of French Eastern Aliances”).

Udostępniał mi swoje własne zbiory i mikrofilmy, na przykład raporty dyplomatyczne z Warszawy z lat międzywojennych, czy zapisy narad u wiceministra Krofty. Valenta pośredniczył także w moich kontaktach z historykami czechosłowackimi, którzy, z pewnymi wyjątkami, takich kontaktów się obawiali. Dzięki niemu poznałem całą plejadę czechosłowackich wiodących historyków w Pradze, Brnie i Bratysławie, że wymienię tylko Z. Sládka, J. Havránka, R. Kvačka, Gajana i A. Gajanova, V. Olivova, a ze starszego pokolenia J. V. Polišenský'ego. Wiele Jaroslavovi zawdzięczam.

W następnych latach spotykałem się z Valentą w Pradze, gdzie korzystałem z Jego gościny, w Warszawie i raz w Londynie. Po „aksamitnej rewolucji” otrzymał profesurę w Instytucie Historycznym i pomimo stale pogarszającego się zdrowia kontynuował swe prace i przekazywał swe doświadczenia młodszej generacji historyków. Zawał serca połączony z innymi przypadłościami bardzo Go osłabił, co mogłem stwierdzić podczas naszego ostatniego – przypadkowego – spotkania w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Śmierć Jego nie była więc zupełnym zaskoczeniem, ale ciosem dla przyjaciół i wielką stratą dla nauki.

Pozostawił żonę Magdalenę i dwóch synów: Michała i Piotra, których pamiętam jako małych chłopców zaciekawionych gościem, który mieszkał w Ameryce. Wraz z nim oraz poprzednimi zgonami prof. Sládka i Havránka odeszła grupa historyków, która dobrze się założyła nauce historii Europy środkowowschodniej.

Piotr WANDYCZ

WSPOMNIENIA

Marian K. DZIEWANOWSKI

MOJE STUDIA SOWIETOLOGICZNE W HARVARDZIE

Pod koniec drugiej wojny światowej byłem dziennikarzem w Ministerstwie Informacji do kontaktów z prasą zagraniczną. Cofnięcie uznania rządowi polskiemu na uchodźstwie przez Wielką Brytanię w lipcu 1945 roku, choć dawno spodziewane, było głębokim wstrząsem: w mgnieniu oka stałem się człowiekiem bez obywatelstwa, bez pracy, ledwo tolerowanym, i to w kraju, którego do niedawna byliśmy cenionym sojusznikiem. Trzeba było szybko zdecydować, co dalej robić. Mój pobyt w Stanach Zjednoczonych w roku 1944 w charakterze pomocnika *attaché* wojskowego Ambasady RP w Waszyngtonie ostatecznie uświadomił mi, że to Stany, a nie wykrwawiona i wydrenowana z zasobów materialnych Wielka Brytania, są krajem przyszłości, że tam trzeba się przenieść jak najprędzej i tam zacząć pracować.

Od razu jednak wyłoniło się pytanie: pracować, ale w jakiej dziedzinie? Moje przedwojenne kwalifikacje zawodowe były w Ameryce dość egzotyczne: byłem polskim magistrem prawa i miałem stopień *licencié en droit* zrobiony w Instytucie Francuskim w Warszawie, który był filią uniwersytetu w Lille. Oba systemy prawne, o które się w ten sposób otarłem, były oparte na kodeksach Napoleona. Na skutek tego, w kraju posługującym się tym, co Anglosasi nazywają *common law*,

oba dyplomy były mało użyteczne. Miałem za sobą około trzech lat praktyki dziennikarskiej, w tym przeszło dwa lata w Centrali Prasowej Związku Polaków z Niemcami oraz w Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Ale i ta praktyka nie była mi zbyt pożyteczna, bo języka angielskiego nauczyłem się pospiesznie dopiero w czasie wojny, a więc znałem go dość powierzchownie. Jak w tych warunkach współzawodniczyć ze znakomicie wyszkolonymi dziennikarzami amerykańskimi? O zajęciu się *businessem* nie było w ogóle mowy, bo uważałem się za człowieka mało obrotnego w sprawach handlowych.

Pozostała mi znajomość czterech języków obcych, a więc właściwie tylko praca umysłowa w jakiejś z dziedzin humanistycznych, najlepiej historycznych, w których byłem dość odczytany; choć z konieczności studiowałem prawo, to jednak nigdy nie uważałem się za prawnika, a moje dość powierzchowne wiadomości z tej dziedziny traktowałem jako rodzaj kursu ogólnokształcącego. Zawsze jednak, niemal od dzieciństwa, ulubioną dziedziną była historia. Było dla mnie jasne, że moje otrzaskanie dziennikarskie z dziejami najnowszymi należy traktować jako krok wstępny do bardziej poważnych, pogłębionych studiów dwudziestowiecznych dziejów Europy Wschodniej i Środkowowschodniej.

Wyjeżdżając do Ameryki nie byłem zdecydowany, co będę studiował. Interesowała mnie nieco historia niemieckiej geopolityki, zwłaszcza jej specjalna uwaga skierowana na Eurazję. Ale zaraz po zapoznaniu się z programem Harvardu, gdzie zostałem przyjęty w roku 1947, zobaczyłem, że wydział geograficzny został właśnie zlikwidowany. Pozostała więc historia Europy Wschodniej, tak w Ameryce zapoznana. Los mi najwidoczniej sprzyjał, bo dziekan wydziału historycznego przydzielił mi jako opiekuna i doradcę naukowego profesora Michała Karpowicza. Już wówczas był on sławny w całych Stanach nie tylko jako znakomity wykładowca i oddany swej pracy pedagogicznej opiekun studiującej młodzieży, ale i człowiek o otwartym umyśle, liberał w najlepszym tego słowa znaczeniu. Choć gorący patriota rosyjski zawsze podkreślał, że jest poplecznikiem zasady jednego ze swych bohaterów, Aleksandra Hercena, który był przekonany, że nie jest naprawdę wolnym naród, który uciska inne narody. Poza pracą

wykładowo-pedagogiczną Karpowicz uczestniczył w kulturalnym życiu emigracji rosyjskiej, redagując poważny periodyk, *Nowy Żurnal*¹. Wykłady jego były żywe i barwne, przeplatane anegdotami, a jeżeli chodzi o wiek XX, ilustrowane osobistymi wspomnieniami wyniesionymi z rozlicznych znajomości tak w Rosji, jak i na Zachodzie.

Z pomocą mego doradcy ułożyłem czteroletni plan studiów doktoranckich, tak aby przygotować się do pisania tezy i jej obrony. Uważałem, że moje obeznanie z językiem rosyjskim oraz historią Polski może mnie kwalifikować do dalszej pracy w dziedzinie dziewiętnastowiecznych i współczesnych stosunków polsko-rosyjskich. Zdecydowałem jednak, że specjalizację i decyzję o temacie pracy doktorskiej należy odłożyć przynajmniej po zaliczeniu dwóch pierwszych lat studiów. Starłem się traktować je szeroko. Obok wykładów samego profesora Karpowicza z historii Rosji studiowałem też historię dyplomacji europejskiej u profesora Williama Langer'a, historię najnowszej Europy u Donalda McKay'a oraz dzieje rewolucji francuskiej u profesora Crane Brintona.

Jako autor szeregu prac z tej epoki, między innymi „Anatomy of Revolution”, Brinton starał się podejść do osiemnastowiecznego przewrotu we Francji na szerokim tle historycznym, porównując go do rewolucji amerykańskiej i rosyjskiej. Ten błyskotliwy pisarz był jednak słabym wykładowcą. Przygotowywał swe wykłady niedbale, chaotycznie, a wygłaszał je z ledwo maskowaną pogardą dla swego audytorium.

Podobne doświadczenia miałem z kursem literatury rosyjskiej. Wykładał ją przez jeden rok Vladimir Nabokov, zaproszony do Harvardu jako profesor-gość. Znowu miałem się przekonać, że wybitny pisarz może być kiepskim pedagogiem

1. To właśnie na kolacji zorganizowanej w domu państwa Karpowiczów poznałem Aleksandra Kierenskiego. Był to chyba rok 1951 czy 1952; w każdym razie ostatni premier Rządu Tymczasowego był już człowiekiem starym, schorowanym, a odczyt, jaki wygłosił w Harvardzie, rozczarował mnie niepomnie. Od mego ojca, stryjów i wielu innych świadków jego płomiennych mów w okresie rewolucyjnym słyszałem same zachwyty i teraz oczekiwałem od tego rzekomo „złotoustego” oratora czegoś porywającego. To, co usłyszałem, to była garść stereotypów i dawno znanych anegdot. Wszystko to podane w łamanej angielszczyźnie. Z trudem tylko mogłem ukryć moje rozczarowanie.

i wykładowcą, że człowiek piszący wspaniałą angielszczyzną nie potrafi sformułować należycie swych myśli wobec słuchaczy. Nabokov w tym czasie nie był jeszcze światowej sławy pisarzem, autorem „Lolity”. Ale już wówczas promieniowała z niego megalomania, którą studenci wyczuwali jako rodzaj lekceważenia ich, jako maluczkich, do poziomu których należy wyraźnie się zniżyć. W ogóle czuło się, że Nabokov lekcewał pracę pedagogiczną, że uważał ją za nieznośny balast, traktował tylko jako sposób zarabiania na życie. „Egomania” Nabokova była wyczuwalna na każdym kroku. Już wówczas uważał siebie za jednego z największych pisarzy rosyjskich; jako równych sobie uważał tylko Aleksandra Puszkina i Lwa Tołstoja. Nie znosił natomiast Dostojewskiego, którego uważał za chorobliwego grafomana.

Jednym z najciekawszych wykładowców Harvardu w późnych latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych był profesor Merle Fainsod. Chodziłem z zapałem na jego wykłady z sowietologii i jemu zawdzięczam wprowadzenie mnie w tę dziedzinę wiedzy. Jemu też głównie zadedykowałem moją późniejszą książkę „Historia Rosji Sowieckiej”. Obok tych wykładów uczęszczałem też na seminaria z historii nowoczesnej Europy oraz na dwa kursy historii filozofii. Po dwóch latach takich studiów trzeba było wybierać temat pracy doktorskiej. W roku 1948 powstało w Harvardzie Centrum Studiów Rosyjskich (Russian Research Center), pionierski instytut międzydyscyplinarny, skupiający badaczy różnych dziedzin. Ponieważ ukończyłem wszystkie moje przepisane kursy ze stopniem „A”, profesorowie Fainsod i McKay, obaj członkowie zarządu Centrum, ofiarowali mi dwuletnie stypendium na napisanie tezy doktorskiej. Po dłuższych naradach zdecydowaliśmy, że ponieważ Komunistyczna Partia Polski nie ma naukowej historii w żadnym języku, nawet polskim, powinienem spróbować napisać takową. Byłem przerażony, bo temat był za szeroki. Zaproponowałem więc opracowanie tylko genealogii polskiego ruchu komunistycznego, do której było stosunkowo więcej źródeł niż do okresu późniejszego.

Po rozejrzeniu się w zasobach źródłowych harvardzkiej biblioteki zdecydowałem jednak, że są one zbyt szczupłe na

opracowanie nawet szkieletu takiej pracy. Wiedziałem natomiast, że Instytut Hoovera w kalifornijskim Stanfordzie posiada sporo materiałów dotyczących ruchów rewolucyjnych dwudziestego wieku. Wystąpiłem więc z wnioskiem o przyznanie mi zasiłku na podróż w lecie 1950 roku do Kalifornii. Zasiłek ten wynosił 600 \$, miał pokryć koszty biletów lotniczych Boston–San Francisco i z powrotem oraz dwumiesięczny pobyt w Stanfordzie. Na obecne stosunki suma ta wydaje się śmiesznie mała, ale był to rok 1950!

Biblioteka Instytutu Hoovera okazała się prawdziwą kopalnią materiałów dotyczących historii najnowszej, a specjalnie ruchów rewolucyjnych Europy Wschodniej. Ale materiału źródłowego dotyczącego KPP było zbyt mało, aby można było dać naukowy zarys ruchu komunistycznego w Polsce. O wizycie w kraju nie mogło być wówczas mowy. Stałem więc ponownie przed wyborem: albo pracę już wykonaną porzucić, albo ograniczyć jej zakres do jak najskromniejszego rozmiaru, tj. do zarysu dziejów ruchu robotniczego w Polsce w wieku XIX i do samego powstania KPP w roku 1919. Ostatecznie praca moja, zatytułowana: „Genealogy of a Party: Origins and Beginnings of the Communist Party of Poland”, została przyjęta przez komisję. Tezę obroniłem podczas niemal dwugodzinnej sesji komisji egzaminacyjnej, która odbyła się na początku maja 1951 roku. Tak więc narreszcie miałem dyplom doktorski najślawniejszego w Stanach uniwersytetu, ale zdawałem sobie sprawę, że problemy polskie zbyt mało interesują akademickie koła amerykańskie, aby tezę na tak egzotyczny temat można było wydać drukiem, by w ten sposób uzyskać pewien status, a więc mocniejszą pozycję do otrzymania stanowiska wykładowcy na którejś z poważniejszych uczelni amerykańskich. Już w latach 1950-tych obowiązywała na nich zasada *publish or perish* (publikuj albo giń).

Trzeba więc było być cierpliwym: pracować w RRC, tak aby rozszerzyć moje kwalifikacje w dziedzinie sowietologii i starać się zdobyć przy tej okazji jak najwięcej wiadomości o polityce Kominternu (tzn. Stalina) wobec Polski, a przez to pogłębić moją znajomość Rosji Sowieckiej. Praca w RRC miała dla mnie rozmaite aspekty: zdawałem sobie sprawę, że

uczestnictwo w pracach Centrum jest wyjątkową okazją do zapoznania się z dziesiątkami najwybitniejszych specjalistów z najnowszej historii Europy Wschodniej: całej plejady historyków, ekonomistów i socjologów, a także z szeregiem gości zapraszanych na cotygodniowe seminaria. Z drugiej strony, atmosfera panująca w tej skądinąd wyjątkowo wartościowej instytucji nie odpowiadała moim głębokim przekonaniom. Już pierwsza wizyta w siedzibie RRC była dla mnie szokiem. Na centralnym miejscu w sali, w której odbywały się seminaria, wisiał duży portret Karola Marksa. Poza tym, dyrektorem Centrum nie został żaden z wybitnych znawców historii czy też ustroju Rosji, jak np. profesor Karpowicz, ale socjolog, specjalista od amerykańskich Indian, Clyde Klukhohn; jego znajomość spraw sowieckich była na poziomie nauczyciela szkoły średniej, a obeznanie z przedrewolucyjnymi dziejami Rosji właściwie żadne; stąd do centrum werbował on często ludzi niewłaściwych.

Poza dyrektorem drugim słabym punktem była obecność rozmaitych otwartych wielbicieli komunizmu, jak np. wykładowcy socjologii Alexa Inkelesa. W jednym ze swych wykładów usiłował dowieść, że w Związku Sowieckim nie ma obozów koncentracyjnych. Innym przykładem było wręcz czołobitne przyjęcie Izaaka Deutschera, jakie zgotowali mu członkowie Centrum w roku 1951. W tym czasie był on już autorem monografii pt. „Stalin, a Political Biography”, gdzie wychwalał pod niebiosa wyczyny dyktatora. Ten czołowy trockista szybko przepoczwarzył się w gorącego socjalistę i nazywał tyrana „największym reformatorem wszystkich czasów”! Jak ten, skądinąd inteligentny pisarz i były trockista mógł zagalopować się aż tak daleko, jest dla mnie do dziś tajemnicą.

Ale, niezależnie od tego, RRC miało szereg bardziej obiektywnych, wręcz wybitnych członków z rozmaitych dziedzin. Niektórzy z nich mieli wkrótce wybić się na czoło sowietologów światowej sławy. Jednym z nich był Ryszard Pipes, już wówczas znakomicie zapowiadający się historyk; w roku 1950, a więc rok przede mną, zrobił on u profesora Karpowicza doktorat na temat powstania Związku Sowieckiego. Drugim, też pochodzącym z Polski uczonym, był profesor politologii, Adam Ulam. Ogłosił on, już na początku swojej

kariery naukowej, pracę „Titoizm i Kominform”. Rozprawa ta zawiera, między innymi, wnikliwą analizę pierwszej fazy, tzw. „prawicowego odchylenia” Gomułki oraz jego projugosłowiańskich skłonności w latach 1948-49.

Nieco później do naszego zespołu doszłusował Zbigniew Brzeziński, późniejszy autor źródłowej, pionierskiej pracy o systemie sowieckim, pt. „The Permanent Purge”. Książka położyła podwaliny pod podstawową interpretację istoty reżymu sowieckiego jako z gruntu totalitarnego. Przełożona na wiele języków, okazała się tylko pierwszym stopniem drabiny, po której Zbyg, jak go nazywali jego koledzy z RRC, wspiął się na same szczyty kariery naukowej i politycznej. Od pierwszego niemal spotkania nawiązałem z nim przyjaźń, która przetrwała do chwili obecnej. Pomiędzy jedną dyskusją czy seminarium w RRC graliśmy w tenisa oraz squasha. Teza Zbyszka została natychmiast zaatakowana przez otwartych i skrytych entuzjastów Stalina, którzy jeżeli nie potrafili jej obalić, starali się przynajmniej ją osłabić, wykazując jej rzekomą przesadę, cytując wątpliwe dane statystyczne albo niesprawdzone fakty. Ta ofensywa poputczyków została zresztą zahamowana, gdy Harvard University Press ogłosiła już w roku 1954 źródłową pracę Merle Fainsoda, pt. „How Russia is Ruled”. Autorowi światowej sławy w dziedzinie sowietologii trudno było się sprzeciwiać otwarcie. Poglądy Fainsoda zostały poparte przez inną pracę, którą Zbyg ogłosił wraz ze swym drugim mistrzem, profesorem Carlem Friederichem, w roku 1966, pt. „Totalitarian Dictatorship and Autocracy”. Według tych dwóch gwiazd politologii Harvardu system totalitarny opiera się na sześciu kolumnach: na ideologii obejmującej praktycznie wszystkie dziedziny życia, na jedynej partii kierowanej przez jednego „nieomylnego” wodza, na systemie wszechobecnego terroru, posługującego się policją jawną i tajną, na monopolu środków masowego przekazu, na całkowicie opanowanych siłach zbrojnych; i, *last but not least*, na systemie zastępującym własność prywatną kontrolą nad całą gospodarką, co czyni go praktycznie wszechwładnym. Odrzucając tezę, że to właśnie nazizm był pierwszym systemem totalitarnym, autorzy wykazali, że Hitler po prostu przejął od bolszewików ich terrorystyczne metody,

wraz z czerwoną flagą, masowymi paradami i wszechobecną propagandą.

Książka obu wybitnych politologów, która przyszła już po rewelacjach Chruszczowa z roku 1956, dotyczących Stalina i jego niewiarygodnych – jak się dotychczas wydawało – zbrodni, położyła chwilowo kres otwartym atakom na teorię totalitarną i charakter stalinizmu. Ale walka podjazdowa trwała jednak nadal i ciągotki prokomunistyczne niektórych członków Centrum trwały aż do upadku reżymu w roku 1991. Jako przykład mogę zacytować następujące fakty. W roku 1967 pięćdziesięciolecie triumfu bolszewików nad słabym, ale raczej demokratyzującym, Rządem Tymczasowym Aleksandra Kierenskiego nie zostało zapomniane. RRC uczciło ten triumf totalitaryzmu przez urządzenie szeregu odczytów oraz przyjęć. Stulecie urodzin Lenina też nie było przeoczone; w kwietniu 1970 roku bibliotekarka Centrum, Susan Gardos, urządziła przyjęcie w swym lokalu; nie zabrakło na nim gigantycznego tortu z licznymi świeczkami ani win, którymi zebrani toastowali twórcę partii komunistycznej. Byłem tym wszystkim oburzony i postanowiłem zaprotestować w formie wygłoszenia prowokacyjnego referatu seminaryjnego o możliwości upadku reżymu sowieckiego pt. „Death of the Soviet Regime”. Choć cały czas na marginesie moich głównych prac nad dziejami KPP studiowałem literaturę sowietologiczną, ów planowany referat musiałem jednak odłożyć aż do wylansowania mojej pracy o polskim komunizmie.

A nie była to praca łatwa, bo materiały o nim były trudne do zdobycia, a często wręcz nieistniejące, gdyż komuniści raz zdobywszy władzę systematycznie zacierali ślady po wszystkich swych błędach okresu międzywojennego. W miarę możliwości musiałem zużytkować, choć krytycznie często zafałszowane, wydawnictwa Polski Ludowej na temat dziejów KPP; korzystałem też z dwóch zespołów źródeł zagranicznych, trudno dostępnych historykom partyjnym. Badałem archiwa Polski Podziemnej, znajdujące się w Londynie, oraz zasoby Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Oczywiście często zwracałem się do *Interpresu*, ale był to periodyk tak zaszyfrowany, że wkrótce odrzuciłem to źródło.

W tych warunkach musiałem się oprzeć na tych fragmentach źródeł, jakie zawarte były w przedwojennych wydawnictwach rozmaitych organizacji czy instytucji, których zadaniem była walka z komunizmem, lub przynajmniej nadzór nad tym ruchem, będącym w gruncie rzeczy, przez cały czas swego istnienia, ruchem zdalnie sterowanym przez Komintern. Ale to komuniści starannie maskowali tzw. „interesem mas robotniczych”.

Sporo materiału źródłowego znalazłem w książce Jana Alfreda Reguły „Historia Komunistycznej Partii Polski”. Pomimo tego, że praca ta pisana była przez urzędnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jest ona niezwykle ciekawa i względnie obiektywna. Poza tym zawiera pełny tekst, lub przynajmniej obszernie skróty, wielu dokumentów, które obecnie albo już nie istnieją, bo zniszczyła je wojna, lub też władza Polski Ludowej zaambarasowana wieloma wstydliwymi sprawami, zwłaszcza wypowiedziami KPP w kwestii rzekomego prawa mniejszości niemieckiej do Pomorza i Górnego Śląska do samostanowienia, aż do odłączenia od Polski włącznie. Do tej kategorii oświadczeń KPP należą też antyniepodległościowe wystąpienia Partii z wczesnych lat 20-tych, gdy KPP w ogóle nie uznała samodzielnego bytu Polski jako państwa. Podobnie ma się sprawa z dokumentami dotyczącymi trockizmu w łonie KPP. Chodzi szczególnie o entuzjastyczne poparcie, jakiego KPP udzieliła Trockiemu w roku 1924, po śmierci Lenina, w krytycznym okresie walki o władzę między Trockim a Stalinem.

Te trudności w zbieraniu materiału doprowadzały mnie do rozpaczy, a trzeba było myśleć o przyszłości, a więc o poważnej książce, która otworzyłaby mi drogę do kariery akademickiej. Gdy ja zmuǳnie parałem się wydłubywaniem z najrozmaitszych periodyków najdrobniejszych choćby szczegółów o zawiłych drogach rozwoju KPP, moi koledzy z Centrum ogłaszali jedną książkę za drugą, wyprzedzając mnie pod tym względem na każdym niemal kroku.

Wśród książek przeważały monografie o podstawowych zagadnieniach teorii i praktyki Związku Sowieckiego. Na przykład: „Terror i postęp w Związku Sowieckim”, „Marksizm: jedność teorii i praktyki”, „Skarbowość sowiecka:

podatkowe i monetarne problemy ekonomii planowej.”

Prace te były ciekawe, choć opierały się głównie na oficjalnych oświadczeniach i danych statystycznych ogłaszanych przez publikacje sowieckie; dopiero gdzieś w latach siedemdziesiątych pojawiły się głosy krytyczne wobec tej metody. Utało się powiedzenie, że statystyki sowieckie są jak bikini: pokazują to, co ciekawe, ale ukrywają to, co istotne. Inną przeszkodą w wydaniu książki o KPP był fakt, że do października 1956 roku zagadnienia polskie mało interesowały nawet sumiennych badaczy komunizmu. Dopiero po szybkich zmianach w Polsce i rewolcie węgierskiej również i państwa satelickie zwróciły na siebie uwagę; poczęły się ukazywać nie tylko popularne, ale również i naukowe publikacje na ich temat. Harvard University Press, która odrzuciła pierwszą wersję mojej historii KPP, nagle zwróciła się do mnie z propozycją ogłoszenia mojej pracy, pod warunkiem jej rozszerzenia na ostatnie wypadki w Polsce. Była to gratka nie lada; choć ogłosiłem kilkanaście artykułów na temat różnych aspektów polskiego ruchu robotniczego, nie miałem dotychczas żadnej poważnej publikacji książkowej, a bez tego nie można było marzyć o karierze akademickiej. Jednakże wykończenie książki nie było sprawą prostą; pomimo moich kilkunastoletnich wysiłków wyciśnięcia z istniejących, dostępnych mi materiałów wszystkiego, co się dało, moja praca była nadal zbyt płytka i nie nadawała się do ogłoszenia jej drukiem. Były dwa kluczowe problemy, których nie mogłem rozwiązać: pierwszy – to wpływ Trockiego na kierownictwo KPP po roku 1924; drugim było rozwiązanie partii przez Stalina.

Choć byłem krytycznie usposobiony do Deutschera, zwłaszcza po jego nawróceniu na ortodoksyjny stalinizm, zwróciłem się do niego o wyrażenie opinii na ten temat. Tu Deutscher zachował się jak kolega-naukowiec i prawdziwy gentleman: odpowiedział na mój list uprzejmie i załączył obszerny, dość obiektywny elaborat na temat trockizmu w KPP. Włączyłem to opracowanie w moje wywody: tu można je streścić pokrótce. Potwierdzało ono moją poprzednią opinię, że Stalin od roku 1924 uważał trzon KPP za swych wrogów, bo popierał on skrycie Trockiego w jego walce o

władzę w Rosji, oraz w konsekwencji o panowanie nad Kominternem. Długoletnia walka Stalina z ideologicznymi odchyleniami zakończyła się radykalną czystką szeregów KPP, która rozpoczęła się już we wczesnych latach trzydziestych.

Jednocześnie z likwidacją KPP zamierać zaczęła robotą komunistyczną na terenie Polski zachodniej i środkowej, ale nie na tzw. Kresach Wschodnich. Tam nadal działały, jak przedtem, Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy. Jeżeli chodzi o KPP, ostatnim jej wydawnictwem była odezwa na 1 Maja 1938. Równocześnie w wydawnictwach Kominternu przestaje się wspominać jej imię, znikają nawet wzmianki o dawnej roli partii, o jej zasługach dla komunizmu. Nie pisano nawet o jej błędach. Słowem, zмова milczenia. Na każdym więc kroku miałem ogromne trudności, aby odtworzyć dzieje tego zwrotnego punktu polskiego ruchu komunistycznego, bo nawet czołowi komuniści nie potrafili wytłumaczyć powodów rozwiązania partii.

Zmowę milczenia przerywa, niemal po roku, w marcu 1939 Manuilski, ówczesny szef Kominternu. Na XVIII kongresie moskiewskim oświadczył on, że

w celu rozbicia ruchu komunistycznego szpiegdy faszystowscy usiłowali tworzyć wewnątrz poszczególnych partii komunistycznych «frakcje» czy «grupy», oraz podsycać walki między poszczególnymi orientacjami. Partią, najbardziej zagrożoną wrogimi elementami, zdaniem mówcy, była Komunistyczna Partia Polski, w której agenci «polskiego faszyzmu» zdołali zająć miejsca przywódców. Starali się oni nawet zmusić partię do poparcia faszystowskiego zamachu stanu, dokonanego przez Józefa Piłsudskiego w maju 1926. Gdy to się nie udało, przywódcy ci udali skruchę i wywiedli Komintern w pole... I to był właśnie błąd urzędników Kominternu, że dali się oszukać przez «wrogów klasowych», że nie odkryli tych manewrów na czas, że spóźnili się w przedsięwzięciu środków zaradczych przeciwko zarażeniu partii komunistycznych przez wrogie elementy... Partie komunistyczne... zbadały swych przywódców i usunęły tych, których polityczna lojalność była wątpliwa. Partie te rozwiązały te podziemne organizacje, które były szczególnie zarażone, a na ich miejsce rozpoczęły tworzyć nowe.

Oświadczenie Manuilskiego jest dokumentem jedynym w swoim rodzaju. Według Manuilskiego KPP (choć przeniknięta do szpiku wpływami „faszystowskimi” oraz trockizmem) zdołała się jednak w nich zorientować, jeszcze przed tym, nim się na to zdobyli przywódcy Kominternu. Co więcej, KPP zdołała się na czas otrząsnąć z tych „wrogich wpływów” i przedsięwziąć środki zaradcze w postaci rozwiązania partii. Trzeba tu podkreślić, iż nie znalazłem żadnego dowodu, że KPP rzeczywiście sama przeprowadziła własną likwidację. Jest to zresztą zupełnie nieprawdopodobne, wzięwszy pod uwagę centralistyczną i hierarchiczną strukturę Kominternu. Co więcej, wersja Manuilskiego o samorozwiązaniu się nie tylko nie została następnie nigdzie potwierdzona, lecz wprost przeciwnie, pośrednio obalił ją szereg późniejszych oświadczeń samych komunistów polskich.

Tutaj zabrałem się do badania tego, co o likwidacji KPP pisali współcześni historycy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR). Tak więc czołowy, oficjalny historyk reżymu, Tadeusz Daniszewski, w artykule „Droga walki KPP”, (*Nowe Drogi*, listopad-grudzień 1948), pisał m.in.:

W r. 1938 sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. KPP do której wślizgnęli się prowokatorzy nasłani przez Piłsudskiego, została rozwiązana przez Komitet Wykonawczy Międzynarodówki Komunistycznej... Celem rozwiązania było usunięcie prowokatorów, oddzielenie ich od zdrowej zasadniczo masy partyjnej. Na tych podwalinach miała być stworzona nowa partia, marksistowsko-leninowska w swych poglądach, oczyszczona z agentów piłsudczykowskich, zdolna do wykonania olbrzymich zadań stworzonych przez ówczesną sytuację międzynarodową.

Tyle Daniszewski, oficjalny dziejopis PPR i PZPR, był członkiem KPP. Jak widzimy, relacja jego nie zgadza się z relacją Manuilskiego co do tego, kto rozwiązał KPP, natomiast, częściowo przynajmniej potwierdza powody, dla których rzekomo partia musiała zostać przeorganizowana, po uprzednim rozwiązaniu. A więc ani słowa o „samorozwiązaniu”. Daniszewski nie mówi nic o roli Trockiego, bo nawet jemu, tak zdyscyplinowanemu, nałogowo zakłamanemu członkowi PZPR, trudno byłoby uwierzyć w straszaka trockistowskiego.

Odpowiedź na pytanie, kto rozwiązał KPP, na pierwszy rzut oka nie wydawała się prosta. W warunkach ówczesnych rozstrzygnięcie tej wagi musiało być powzięte przez samego Stalina. Ale tu rodzi się drugie pytanie: o co Stalinowi chodziło? Warto przedtem zastanowić się nad powodami rozwiązania, podanymi przez Manuilskiego oraz Daniszewskiego. Jak to było z „wpływami trockistowskimi” i ze „szpiegami Piłsudskiego” w KPP?

Jeśli chodzi o trockizm, trzeba rozróżnić podskórne sympatie członków KPP dla osoby Trockiego od zorganizowanej opozycji, frakcji trockistowskiej. Luźne sympatie dla Trockiego datowały się w polskim ruchu komunistycznym od dawna. Jeszcze w grudniu 1923, u progu V Kongresu Kominternu i w obliczu narastającego konfliktu Trocki-Stalin, KPP wysłała do partii rosyjskiej list, w którym pisała:

...dla naszej partii, dla całego Kominternu, dla całego rewolucyjnego proletariatu światowego, imię towarzysza Trockiego jest nierozdzielnie związane ze zwycięstwem rewolucji sowieckiej, z Czerwoną Armią, z komunizmem... Odrzucamy jakąkolwiek możliwość, by towarzysz Trocki mógł być postawiony poza nawiasem przywództwa Rosyjskiej Partii Komunistycznej, poza nawiasem Kominternu...

Oczywiście Stalin, który miał pamięć słonia, zanotował sobie wystąpienie KPP raz na zawsze. Ale czyż to było dostatecznym powodem, aby „zlikwidować” całą partię, bądź co bądź ważne narzędzie polityczne sowieckiego przenikania na Zachód – zwłaszcza do Niemiec. Argument trockistowskich wpływów KPP też nie wyjaśnia więc w gruncie rzeczy niczego.

A jak było z agentami polskich władz policyjnych? By wyjaśnić ten argument, przeprowadziłem kilkadziesiąt wywiadów, zarówno z byłymi członkami partii, jak też z byłymi przedstawicielami polskich władz bezpieczeństwa, którzy znaleźli się na emigracji. Wszyscy zgadzali się, że ze strony tak policji politycznej, jak kontrwywiadu istniała zrozumiała tendencja do umieszczania swych wtyczek tam, gdzie się dało. Ale przygniatająca większość moich świadków zgadzała się również, że przeniknięcie agentów do KPP nie było zbyt

głębokie. Na pewno nigdy nie dotarli do samych szczytów.

Jeżeli Trocki nie miał decydującego wpływu na ruch komunistyczny w Polsce i to gdy był silny, to jak było, gdy był na wygnaniu, gdy zaczął z zagranicy rozprowadzać swój *Biuletyn Opozycji*? Pod wpływem biuletynu w latach trzydziestych powstała w KPP grupa, w niektórych kwestiach sprzyjająca Trockiemu. Na czele tej opozycji stali: Izaak Deutscher, Abe Flug oraz Paweł Minc. Frakcja ta, wydalona z partii na jej VI Kongresie (1932), krytykowała zanik „demokracji wewnątrzpartyjnej” oraz hasło „socjalizmu w jednym kraju”, lecz uznawała autorytet Kominternu i sprzeciwiała się kluczowym pomysłom Trockiego tworzenia nowej, Czwartej Międzynarodówki. Szczupłość wydawnictw tej grupy oraz rzadkość procesów sądowych przeciwko trockistom świadczy dobitnie o słabości tego kierunku w Polsce. Papiery Trockiego, znajdujące się w Houghton Library, zawierają m.in. jego korespondencję z jego zwolennikami. Wynika z niej, że w Belgii, Norwegii czy Brazylii miał on więcej wyznawców niż w Polsce. W listach do swych przyjaciół Trocki skarży się niejednokrotnie, że daleko idąca zależność finansowa kompartii Polski od Moskwy oraz hipnoza potęgi i terror Stalina tak opętały „naszych polskich towarzyszy”, że nie są oni zdolni do słuchania głosu rozsądku, co znaczy oczywiście, głosu Trockiego. „Stalinism is the syphilis of socialism” – biadał osamotniony Prorok.

Tak więc opozycja trockistowska w łonie KPP była w gruncie rzeczy słaba. W roku 1932 wydalono ją z partii ostatecznie. Już w r. 1934 opozycja ta zaczęła się rozkładać od wewnątrz targana sprzecznościami programowymi oraz taktycznymi. W r. 1935 Deutscher wstąpił do PPS i w końcu wyjechał do Londynu, a Minc wrócił do „Bundu”. Gdy w r. 1936 Trocki stworzył swą Czwartą Międzynarodówkę, w Polsce żadnej poważnej grupy trockistowskiej już nie było i na tej nader skromnej zresztą uroczystości, o charakterze raczej kameralnym, miejsce Polski świeciło pustką. Tak więc argument przemożnych wpływów trockistowskich w KPP był chyba naciągany.

Wkrótce nadchodzić zaczęły do kraju wieści o licznych konfliktach pomiędzy naiwnymi zbiegami a władzami

sowieckimi. Rozpoczęło się dziesiątkowanie niepokornych przywódców. Tak, w końcu 1932 r., zgładzony został przywódca KPP Jerzy Czeszejko-Sochacki, a w latach 1934-35 tacy przywódcy, jak Sylwester Wojewódzki oraz Tadeusz Żarski; wszystkich trzech oskarżono o działanie „szpiegowskie”, „prowokatorskie”, czy też „dywersyjne”, w służbie polskiego wywiadu. Pomimo długich inkwizycyjnych badań zarzutów tych nie zdołano im udowodnić.

W pierwszej połowie 1938, tj. pod koniec okresu wielkiej czystki, zaczęły przenikać do Polski wieści o likwidacji całej KPP jako partii. Komintern nie wydał w tej sprawie żadnego oficjalnego komunikatu, ale półoficjalna wersja mówiła o rozwiązaniu KPP za rzekome „podminowanie” jej trockizmem i agentami polskich władz bezpieczeństwa. Jednocześnie napływać zaczęły do Polski pokątne wieści o likwidacji całej góry partyjnej polskiego ruchu komunistycznego, przebywającej wówczas w znacznej większości w Moskwie. Wieści te mówiły o wizytach patroli NKWD tuż przed świtem, o wyciąganiu ludzi z łóżek, o rozłączaniu członków rodzin, o zsyłce do obozów pracy, często do „obozów milczenia”. Niektórych rozstrzeliwano, ale typowym wyrokiem było 10 lat łagru. Tak zlikwidowani zostali weterani KPP: Adolf Warski (Warszawski), Maks Walecki (Horwitz), Maria Koszutska (Wera Kostrzewa).

Następnie przyszły wieści, że znikali tacy działacze KPP, jak Edward Sewer (Próchniak), Julian Leński (Leszczyński) oraz czołowi pisarze partyjni, jak utalentowani poeci: Bruno Jasiński, Witold Wandurski i Wiktor Stande. Poza nimi zlikwidowano kilkudziesięciu działaczy KPP i urzędników polskiego wydziału Kominternu. Z czystek lat 1937/38 ocalili tylko ci działacze, którzy byli jej narzędziami, oraz tacy, którzy potrzebni byli Stalinowi do podtrzymania szkieletowej choćby organizacji polskiego komunizmu na wypadek zmiany koniunktury. Na wolności pozostali: wdowa po Julianie Marchlewskim z córką, wdowa po Feliksie Dzierżyńskim z synem i służalczy, stary Feliks Kon (zmarł zresztą w lipcu 1937). Kiedy w latach 1943-44 Polska Partia Robotnicza (PPR) potrzebowała ludzi do odtworzenia odradzającej się partii, Bolesław Bierut przedstawił NKWD,

za pozwoleniem Stalina, listę zesłanych byłych członków KPP. Tylko około 80 osób, przeważnie strzępy ludzkie, zdołano odnaleźć w rozmaitych łagrach rozsianych po wielu egzotycznych rejonach ZSSR. Ocalili także ci, których dla tych czy innych powodów NKWD nie zdołało skusić do przyjazdu na teren Związku Sowieckiego, głównie ci, których chroniły dobroczynne w tym wypadku mury polskich więzień. Do tej kategorii należał Wiesław Gomułka.

Sprawa rozwiązania KPP pozostawała dla mnie zagadką, która przeszkadzała mi w ukończeniu książki. Nie było innej rady, jak sięgnąć do źródła: do archiwów partyjnych, znajdujących się w Warszawie. Znowu miałem szczęście. W roku 1957 otworzyła się możliwość wymiany naukowej z Polską. Mając już jako tako utartą opinię jako pracownik naukowy, uzyskałem od Fundacji Forda stypendium na paromiesięczny pobyt w Polsce. Odkładając na bok moje uprzedzenia wobec instytucji partyjnych z jednej strony, a zakłopotanie z powodu mego skromnego zapasu wiedzy na ten temat z drugiej strony, udałem się do Instytutu Historii Partii, mieszczącego się w zespole gmachów sejmowych, z nadzieją, że ci wtajemniczeni eksperci wyjaśnią moje wątpliwości co do całej afery. Idąc na spotkanie, jak już wspomniałem, niewiele wiedziałem ponad to, że lata trzydzieste były świadkiem masowej ucieczki komunistów polskich na teren Związku Sowieckiego. Zbrzydziwszy sobie własną ojczyznę za jej ślimaczy marsz ku utopii „szklanych domów” czy też, uchodząc przed wyrokami sądów, większość czołowych działaczy polskiej kompartii schroniła się pod opiekuńcze skrzydła Stalina.

Tak więc zarówno rzekoma herezja trockistowska, jak i przenikanie polskiego wywiadu były raczej pretekstami niż powodami rozwiązania. Podobne zboczenia czy słabości istniały w tym samym, lub nawet większym stopniu w innych kompartiach, a nie podyktowały Stalinowi tak drastycznego kroku. Jakie więc były istotne powody rozwiązania KPP? Takie pytanie zadałem moim obu rozmówcom: Tadeuszowi Daniszewskiemu i Józefowi Durce.

Muszę tu powiedzieć, że przyjmowali mnie oni cały czas, wbrew moim obawom, nie tylko uprzejmie, ale wręcz wylewnie: obaj gospodarze byli ogromnie zaciekawieni pracami

sowieciologicznymi w Harvardzie, a zwłaszcza moimi poszukiwaniami. Ale ich odpowiedzi na moje pytania były cały czas wymijające, a nawet wstydlive. Zwłaszcza ambarasowała ich sprawa ogłoszonej rehabilitacji KPP (nazwanej „przywróceniem rewolucyjnego honoru”) przez pięć czołowych partii europejskich. Przyznali, że o tej sprawie kierownictwo PZPR nie wiedziało nic, dopóki nie przeczytali komunikatu moskiewskiego z roku 1957. Moje dalsze pytania na ten temat też zostały bez konkretnych odpowiedzi. Pożegnaliśmy się uprzejmie, ale dość chłodno. Cała długo oczekiwana przeze mnie wizyta spaliła więc na panewce. Wróciłem do Stanów z uczuciem zawodu, bo zadawająca odpowiedź na kluczową tajemnicę powodów rozwiązania KPP pozostała w sferze spekulacji. Moja książka o historii KPP została ogłoszona w roku 1959 przez Harvard University Press i nawet miała niezłe recenzje, ale mnie samego nie zadawała.

* * *

W międzyczasie atmosfera w RRC zmieniła się dość znacznie. Pamiętna mowa Chruszczowa z lutego 1956 osłabiła argumenty obrońców systemu komunistycznego, a potwierdziła prawdziwość teorii o z gruntu totalitarnej istocie reżymu stalinowskiego. Zmieszani, ale zakłopotani sympatycy komunizmu wkrótce przystąpili do kontrofensywy. Zamaszkowaną jej formą było wylansowanie teorii, kładącej przesadny nacisk na czynniki gospodarcze, aby w ten sposób osłabić polityczną stronę wynaturzeń systemu sowieckiego. Pierwszą zapowiedzią tej teorii była praca, jak zawsze zręcznego linoskoczka ideologicznego, Izaaka Deutschera, ogłoszona wkrótce po śmierci Stalina, pt. „Russia: What Next?” Detscher, który nawet w swej próbie odżegnywania się od stalinizmu, tak jak Nikita Chruszczow, dalej uważał komunizm za zjawisko pozytywne, próbował udowodniać, że nawet długa i w znacznym stopniu szkodliwa działalność krwawego tyrana nie może naruszyć istoty samego systemu, którego motorem jest szybkie uprzemysłowienie oraz masowa edukacja, a więc praca z gruntu postępuje. To właśnie te dwa ważne czynniki, na dłuższą metę, utorują sowieckiemu

społeczeństwu drogę do pluralizmu, a ostatecznie do demokracji. Droga ta będzie powolna, ale ostatecznie społeczeństwo oświecone i bardziej zurbanizowane niż przed rewolucją odrzuci kult jednostki, „magię stalinizmu”, jak to zjawisko nazwał Deutscher. Ta teoria, zwana „teorią modernizacji”, została podchwycona przez całą plejadę przeciwników tezy o głębokim zarażeniu społeczeństwa sowieckiego totalizmem. Pierwszy w RRC podchwycił ją jeden z najstarszych członków naszego ośrodka badań, Moore Barrington. W swej pracy, „Terror and Progress – USSR. Some Sources of Change and Stability in the Soviet Dictatorship” (Harvard University Press, Cambridge, MA 1966) próbował udowodnić zanikanie terroru w miarę postępu uprzemysłowienia i wykształcenia, a więc, jego zdaniem, głównych sił napędowych systemu komunistycznego.

O autorytecie Deutschera w środowiskach naukowych świadczy ilość prac rozszerzających jego punkt widzenia, że postęp gospodarczy jest głównym źródłem przemian politycznych. Jako przykład można tu zacytować książki Walta Rostowa, „The Dynamics of Soviet Society” oraz „The Stages of Economic Growth”, ogłoszone przez prestiżową brytyjską Oxford University Press. Wszystkie te prace łączyła daleko idąca wiara, że konieczność przyspieszonego uprzemysłowienia, zagrożonego przez rzekomo zaborczy Zachód, zmusiły Stalina do stosowania metod brutalnych. On musiał po prostu zastosować terror jako swojego rodzaju bat poganiający leniwych muzyków, półanalfabetów, do wyczerpanej pracy. Innego wyjścia nie było. Nawet nasz czołowy „as”, umiarkowany zwykle Adam Ulam starał się udowodnić, że marksizm typu sowieckiego w gruncie rzeczy odpowiada wczesnym stadiom uprzemysłowienia w krajach mało rozwiniętych, jak np. Rosja przedrewolucyjna, czy w krajach zwanych „trzecim światem”. Zdaniem autora, w takich krajach wzór stalinowski stworzył podwaliny do dalszego rozwoju. Zaslugą Ulama było jednak stwierdzenie, że tak forsowany postęp nie może być na dalszą metę stosowany, bo jest gospodarczo niewydajny.

Dalszą fazą ewolucji poglądów dominującego trzonu zespołu pracującego w RRC było wykluczenie się teorii koniecz-

ności współistnienia, a nawet zbieżności (*convergence*) dwóch systemów: demokratyzującego się stopniowo systemu sowieckiego i ulegającego, choćby tylko podświadomie jego wpływom, zachodniego kapitalizmu. Oba te rzekomo ustabilizowane systemy winny ze sobą współpracować; na to skazuje je konieczność uniknięcia katastrofy atomowej, a więc wzajemnego zniszczenia (*mutual atomic destruction*), popularnie określanej jako MAD.

Teoria zbieżności nie odpowiadała mi. Od początku uważałem ją za absurd, za typowy przykład myślenia życzeniowego (*wishful thinking*). Protestowałem przeciwko niej od początku. Jeszcze w trakcie studiów doktoranckich, w roku chyba 1950, RRC otrzymało od Departamentu Stanu ankietę, która zawierała następujące pytanie: „What do you think would happen in Soviet Union, should Stalin die after a short illness?” (Co, sądzisz, stanie się w Związku Sowieckim, jeżeli Stalin umrze po krótkiej chorobie?) Jeszcze wówczas odpowiedziałem bez wahania, że imperium stworzone przemyślnością i bezwzględnością chytrego gangstera nie ma szans przetrwania. Fundamenty geopolityczne Związku Sowieckiego są zbyt kruche. Zawsze uważałem, że Rosja połączyła zbyt wielki kęs Europy Środkowej; kraje te będą tylko zakałą systemu stalinowskiego, bo mają zbyt ugruntowane tradycje demokratyczno-niepodległościowe. Kraje takie, jak Czechosłowacja, Węgry czy Polska nigdy się nie wyrzekną niepodległości; przykład tych krajów będzie tylko zachętą dla tych demokratycznych elementów w samej Rosji, które tęsknią za liberalizacją i odnowieniem stosunków z Zachodem. Studia podoktoranckie ugruntowały we mnie tego rodzaju poglądy. To one właśnie podyktowały mi konieczność uzasadnienia mego zdania; od początku nie wierzyłem w trwałość i stabilność systemu sowieckiego. Przysiadłem, jak to się mówi, fałdów i napisałem wreszcie referat pt. „Death of the Soviet Regime”. W referacie tym starałem się przypomnieć, że już od zarania studiów sowietologicznych na Zachodzie panowało w kołach poważnych badaczy przekonanie o kruchości systemu opartego głównie na przemocy, a popartego przez ogłuszającą, a z gruntu kłamliwą propagandę. Propaganda sowieckiego sukcesu gospodarczego omamiła

znaczną część sowietologów zachodnich, którzy dali się unieść fałszywym często wiadomościom o rzekomych bezprecedensowych sukcesach gospodarczych systemu opartego na przesadzonym planowaniu i drakońskim terrorze. Referat mój wygłoszony 20 marca 1971 przyjęty został bardzo krytycznie; zyskał aprobatę jedynie paru obecnych na sali dysydentów sowieckich, jak np. Aleksandra Niekricza.

Nie zniechęcony negatywną na ogół oceną moich kolegów z RRC, pracowałem dalej nad tematem przyszłości systemu sowieckiego. W grudniu tegoż roku ogłosiłem artykuł pt. „Death of the Soviet Regime: A Study in American Sovietology by a Historian”; ukazał się on w szwajcarskim Fryburgu, w piśmie *Studies in Soviet Thought* (vol. 12, N° 4, December 1972). Nieco zmienioną wersję tegoż tematu wydrukowało w Glasgow czasopismo *Co-Existence* (vol. 19, N° 1, April 1982), pt. „The Future of Soviet Russia in Western Sovietology”. Referat ten wygłaszałem na wielu uniwersytetach europejskich, gdzie zyskał łaskawsze przyjęcie niż w Ameryce.

W międzyczasie na Zachód zaczęły przenikać dalsze spore grupki sowieckich dysydentów, jak np. Wołpin Jesienin, czy Siniawski. Rozmowy z nimi na ogół wzmocniły moje podejrzenia, że Związek Sowiecki nie ustala się jako poważny element porządku międzynarodowego. Poglądy moje zostały ostatecznie ugruntowane przez rozmowy z Andrzejem Amalrikiem, autorem znanej pracy socjologiczno-historycznej pt. „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?” Amalrik wywarł na mnie głębokie wrażenie. Człowiek ten zaimponował mi, że pomimo swoich przeżyć obozowych potrafił zachować nie tylko świeżość umysłu, ale i zdumiewające poczucie humoru; było to dla mnie olśnieniem. Był on poza tym jednym z najbardziej zdecydowanych polonofilów rosyjskich: był stałym czytelnikiem *Kultury* i otwarcie głosił swoje przekonanie, że sowiecka opozycja powinna brać przykład z polskich kolegów. To on ostatecznie skłonił mnie do podjęcia pracy, przed rozpoczęciem której wahałem się od dawna: napisania historii Rosji współczesnej.

Przygotowania do tego zadania podjąłem długo przed rozmowami z Amalrikiem, ale on ośmielił mnie twierdze-

niem, że pomimo mego polskiego pochodzenia, będę mógł lepiej niż wielu historyków z Zachodu zrozumieć odmiennosc ludzi Europy Wschodniej. Praca moja zajęła mi około dziesięciu lat i zaowocowała książką pt. „A History of Soviet Russia”; ogłoszona została przez Prentice Hall, w roku 1979 i miała dotychczas sześć wydań. Angielski tytuł uległ w następnych wydaniach zmianom po upadku Związku Sowieckiego. Starłem się unikać modnego wśród sowietologów ideologicznego podejścia, a położyłem nacisk raczej na geopolitykę. Zawsze pamiętałem postawę generała de Gaulle’a, który zapytany przez dziennikarzy, co sądzi o komunizmie, odparł: „O jaki komunizm panu chodzi: o komunizm Marksa, Lenina, Stalina, Tito czy Mao Tse Tung?” Oczywiście moje podejście wywołało sporo krytycznych uwag, ale przestałem się nimi przejmować, bo książka okazała się być niezwykle poczytna; wkrótce została przyjęta jako podręcznik na czołowych uczelniach, poczynając od Yale, a nawet została przetłumaczona na język chiński. Odrzuciłem też podejście lekceważenia ostatniej fazy reżymu carskiego, okresu Wielkich Reform, oraz fazy konstytucyjnej po manifeście z października 1905, a szczególnie reformy rolnej Stołypina, którego uważam za wybitnego męża stanu.

Zainteresowanie dziejami Federacji Rosyjskiej, a nawet całą Eurazją, pozostało mi bliskie do dnia dzisiejszego. Na moje studia sowietologiczne w Harvardzie patrzę dziś jako na trudny, ale konieczny wstęp do wysiłków nad przekazaniem mojej wiedzy o Rosji współczesnej studentom amerykańskim. Za wdrożenie mnie do tej pracy jestem głęboko wdzięczny moim znakomitym wzorom: Michałowi Karpowiczowi, oraz takiemu pionierowi sowietologii, jak Merle Fainsod. Przez cały okres mojej pracy na polu sowietologii starałem się być wierny ich wskazaniom. Nigdy nie uważałem, że studia historyczne to rodzaj konkursu popularności i że dzieje Rosji zaczynają się dopiero w roku 1917.

Marian K. DZIEWANOWSKI

CISZA TO POTĘGA

W warunkach realnej demokracji gadatliwość jest bardziej szkodliwa dla obieralnych monarchów niż milczenie, nawet jeśli świadczy ono o braku wyraźnych poglądów politycznych. Wprawdzie słowo nadal jest ważnym środkiem zdobywania i zachowania popularności, ale niekoniecznie poprzez treść, jaką niesie. Być może nawet sama forma, sposób wygłaszania zdań nie ma większego znaczenia w stosunku do wizualnej oprawy wystąpień, utworzonej przez sugestywne tło i fotogeniczną postać oratora.

W latach dziewięćdziesiątych uczeni z francuskiego uniwersytetu Provence przeprowadzili analizę fonograficzną przemówień Mitteranda, porównując dwa okresy: kiedy był kandydatem na prezydenta i w pełni jego prezydenckiej kadencji. W roku 1974 celem jego wystąpień było przekonanie do nowego programu, przemówienia były zatem treściwe, a retoryczne przerwy krótkie i nieczęste. Dziesięć lat później zaś, gdy nic już nie zagrażało jego władzy, łączny czas przerw sięgał połowy całego przemówienia. Dostrzeżono w tym związek pomiędzy zachowaniem polityka, a jego pozycją: cisza oznacza władzę.

Akurat kiedy ogłoszono wnioski prowansalskich uczonych, prezesem polskiego rządu był wysoko notowany Pawlak, który mówił niewiele i niewykluczone, że stąd czerpał swą popularność. Na rzecznika wziął sobie różaną atrapę, co nie było pozbawione trafności z punktu widzenia zasad komunikacji, choć stanowiło oczywistą kpinę z demokracji. Cóż z tego, że dziewczyna, wzorem szefa, nie miała nic do powiedzenia? Za to była ładna. Na rynku polityk nie musi przekonywać, natomiast powinien dać pomarzyć. Dekadę później nową odmianę milczenia jako skutecznej oferty dla wyborców przeciwicy popularny i na ogół niemy prezydent Kwaśniewski.

Raczej do serca niż do rozumu

Zupełnie inaczej wojował nasz narodowy Wałęsa. Przez całe lata płynęła nad Polską fala jego słów, których główną intencją było utrafienie w oczekiwania towarzystwa, do którego przemawiał. Kiedy występował za granicą, zwracał się nie tyle do zgromadzonych na sali obcokrajowców, co – za ich biernym pośrednictwem – do krajowej sceny politycznej. Namiastkę tej sceny znajdował wśród nadwornych doradców, u których nieustannie szukał potwierdzenia, na pierwszy ślad dezaprobaty gotów do zaprzeczenia samemu sobie.

Mowa Wałęsy zachowała swe magiczne atuty do początku lat dziewięćdziesiątych, po czym utraciła wszelkie wpływy. Solidarnościowy prezydent z pewnością przejechał się na nierealnej obietnicy stu milionów dla każdego. Przed wszystkim jednak nie uwzględnił objawów znużenia społeczeństwa w stosunku do gadatliwej władzy. To największa słabość populistów, którzy nie potrafią zamknąć ust, pomimo że nie mają już nic do powiedzenia, zwłaszcza odkąd ustąpienie represyjnej władzy wyłoniło całą paletę zróżnicowanych potrzeb i poglądów na miejsce jednolitego bloku oporu z okresu heroicznego.

Wałęsa nigdy nie wyzwolił się z tradycji PRL-u, gdzie do możliwości zabrania głosu przywiązywano wielką wagę. W wielogodzinnych piłach genseków i nieustających zabiegach opozycji o chwilowy choćby dostęp do jakiejś trybuny dało się dostrzec to samo przekonanie o politycznym wyniesieniu przez publiczne słowo, nawet najbardziej szablonowe, właściwe dla jedynie słusznego instynktu własnej formacji politycznej. Dajcie mi tylko mikrofon albo czas w eterze, a ruszę Ziemię z posad świata.

Przekonanie to podzielali wszyscy przywódcy opozycji demokratycznej w schyłkowym okresie PRL. Pomiędzy nimi największym powodzeniem cieszyli się ci, co umieli się wczuć w psychologię tłumu. W obliczu tysięcy ludzi dyskurs polityczny to ćwiczenie nie tyle przekonywania, co uwodzenia, mniej ekspozycja wiedzy i logiki, co męskiej pewności siebie. Mobilizując ludzi do publicznej manifestacji

siły w warunkach stałego zagrożenia policyjnego orator musiał ludziom tej siły udzielić, grając na emocjach politycznych albo narodowych. Przyciągając w ten sposób masy rozniecał zarazem iskrę pierwotnego chaosu i instynktu stadnego, być może nieuniknionej ceny za poparcie mas.

Na dłuższą metę, na przykład wyznaczoną przez zmianę ustroju, triumfy demagogów czynnych po słusznej stronie przygotowują grób dla walorów tworzących tę słuszność, ponieważ prowadzą je do politycznego parteru. Prawdziwym pomostem tych triumfów jest bowiem odarcie funkcji przywódczych z wszelkiej odpowiedzialności, iście rewolucyjna wymiana przymiotów elitarnych, pozwalająca na najbardziej zuchwałe marzenia: każdy może być przywódcą, władcą, prezydentem. W rezultacie jednak każdy jest nie na swoim miejscu i dzisiejszy obraz Rzeczypospolitej raczej temu nie zaprzeczy.

Upadku autorytetu funkcji publicznej w Polsce XXI wieku nie można przypisywać komunistom i peerelowskiej krzywej sośnie. Złożyły się nań liczne przyczyny, między innymi obyczaj odwoływania się do uczuć raczej niż do rozumu podczas publicznych debat. Ulegając pokusie łatwego ukojenia lęku zgromadzonych i dodania im pewności siebie za darmo orator udzielał im dokładnie tego poczucia bezpieczeństwa i siły, w poszukiwaniu którego zebrali się w tym miejscu. Otwierał on przestrzeń publiczną na wolną dyskusję, lecz zarazem zamykał ją natychmiastowym poparciem dla pierwszej wyłaniającej się większości; nie dodawał ludziom pewności, lecz szukał jej u nich; nie wzywał ich do odpowiedzialności, ale likwidował budzącą się zaradność ludzi mitem osobistego wodzostwa.

Słowa pieszczotliwe

Należało jednak dobrze wyczuć słuchaczy, bo ich nastroje mogły się zmienić w jednej chwili. Wałęsę wniosła do historii właśnie umiejętność układania słów podług oczekiwań audytorium. Tym sposobem wygrał swój wielki los w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980. Intronizowany w roli robotniczego trybuna przez młodopolskich organizatorów zaplecza strajkowego, ogłosił koniec okupacji stoczni, kiedy tylko

władze przyjęły postulaty gdańskich stoczniowców. Od osunięcia się w polityczny niebyt uratowały go Pieńkowska i Walentynowicz, krzykiem zawracając kierujących się ku wyjściu robotników. Poważnie traktowały one wcześniejsze zobowiązanie gdańszczan do trwania wraz ze strajkującymi innych miast i przerwanie akcji po podwyżkowej dywersji władz uważały więc za zdradę. Dwie kobiety zatrzymały tłum i po paru minutach zawróciły go ku okupowanym halom, co widząc Wałęsa wielkim głosem obwieścił kontynuację strajku i niezwłocznie wszedł do historii.

Jego pozbawiony kompleksów oportunizm dobrze ilustruje też spór o więźniów politycznych, jaki miał miejsce w sali obrad Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej w przeddzień podpisania umowy z rządem, co jak wiadomo nastąpiło 31 sierpnia 1980 roku.

Niektórzy domagali się, by nie podpisywać, dopóki komuniści nie wypuszczą działaczy opozycji. Tymczasem dla wielu delegatów nazwy opozycyjnych grup brzmiały jak prowokacja. Nie można drażnić czerwonych „korowcami”, bo zerwą rokowania z „robotnikami”... Doskonale rozumiał to Wałęsa, zapewniając zgromadzonych, że „nie będziemy ryzykować” historycznej szansy założenia wolnych związków, „upomnimy się o nich, jak będziemy mieć lokale, teleksy”...

Otrzymał owację od większości delegatów i opuścił podium, kierując się na zaplecze. Zwykle w Stoczni nie zabierałem głosu publicznie, nie byłem przedstawicielem żadnej załogi. Tym razem jednak wspiąłem się na scenę i wzięłem mikrofon: jeśli siedzimy w tej sali, silni i bezpieczni, wymuszając na władzy te związki, to w dużej mierze dzięki ludziom z zaplecza, działaczom politycznej opozycji, którzy w najtrudniejszych chwilach ruchu strajkowego zapewnili mi łączność z krajem i z zagranicą. Jeśli w chwili triumfu zostawimy ich w kiblu, to będzie to groźnym *memento* dla rodzącego się związku.

Poparł mnie Gwiazda i nastroje na sali całkowicie się zmieniły, delegaci masowo zaczęli się domagać bezzwłocznego zwolnienia „korowców”. Wałęsa, który spod bocznej ściany bacznie obserwował sytuację, gotów albo się oddalić, albo złożyć nową deklarację, szybko zorientował się w radykalnej zmianie

nastrojów, wrócił na scenę i z najgłębszym przekonaniem oświadczył, że podpisanie umowy, gdy „nasi” siedzą, byłoby hańbą. Otrzymał, tak jak chwilę wcześniej, burzliwą owację.

Wałęsa jeszcze raz wykazał opanowanie arkanów populizmu, gdzie wycucie nastrojów odgrywa podstawową rolę. Następnego dnia MKS powstrzymał się od podpisania porozumienia, żądając gwarancji uwolnienia politycznych, na co komuniści zgodzili się po krótkiej zwłóce.

W szerokich kręgach antykomunistycznej opozycji z lat osiemdziesiątych zręcznych demagogów było wielu. Najczęściej szli oni śladem charyzmatycznego Przewodniczącego, powołując się na jego imię i jego słowa, przydatne w każdej sytuacji. Wszelako zdarzali się i tacy działacze, u których terapia wiary, wykluczająca rzeczowy spór, a w konsekwencji wszelką zaradność, budziła niecierpliwość i smutek. Jeśli jednak nie posiadali zaplecza, to się nie liczyli, nawet gdy mieli nazwisko. W tych warunkach niektórzy, na przykład Walentynowicz i Gwiazda, wykańczali się w jałowym sprzeciwie wobec politycznego mistycyzmu i zadufanego w sobie wodzostwa.

Słowa trudne

Pani Anny nie znałem osobiście, ale z uwagą przyglądałem się jej walce z samowładzą Wałęsy i nieuniknioną klęskę dzielnej suwnicowej przyjąłem ze smutkiem. Andrzeja Gwiazdę poznałem przed Sierpniem. Wspominał mi o kłopotach z Wałęsą jako członkiem Wolnych Związków Zawodowych, dorzucając przy tym na pół żartem, że nie da się usunąć Wałęsy z WZZ, bo nie można się pozbywać jednej trzeciej ich składu.

Wszelako w sierpniu 1980 po przybyciu na strajk do Stoczni Gdańskiej niezwłocznie poddałem się, jak wielu, urokowi Lecha. Urok ten potężniał na błyskotliwych ćwiczeniach populizmu trybuna: kiedy przejmował siłę tłumy na własne potrzeby, stawał się tej siły niekwestionowanym depozytariuszem, udzielając hipnotycznej ekspresji swym słowom i gestom. Być może jego najzręczniejszym posunięciem, obok wpięcia sobie w pierś obrazka maryjnego, było

zapewnienie sobie wyłączności przemawiania do zgromadzonych przed głównym wejściem do Stoczni. Nikt inny nie odważyłby się zająć jego miejsca, gdy rozpięty na bramie zapewniał, podnosił na duchu, a nawet trochę informował.

Po zwycięstwie strajkujących z Wybrzeża wróciłem do Krakowa i, nie kryjąc podziwu dla Wałęsy, którego zresztą nigdy nie poznałem osobiście, proponowałem ludziom raczej tworzenie działających struktur i realnych programów niż poddanie się patronatowi nowego proroka. Oznaczało to karierę wolnego strzelca, a w najlepszym razie wołu roboczego bez politycznego znaczenia, rozmowa o trudnościach i niuansach nie pociągała bowiem tłumów, a niekiedy budziła jawną, nawet jeśli tylko przejściową, wrogość u ludzi poszarzałych od niepewności.

Taką wrogość wywołałem na zjeździe delegatów Małopolski w Tarnowie w czerwcu 1981. Pierwsze dwa dni straciliśmy w niekończących się wspomnieniach mówców o ich osobistej walce z ustrojem. Siedziałem na galerii z grupą kolegów, których w końcu uprzedziłem, że będę interweniował; usiłowali mnie od tego odwieść, bo przecież stracę szanse wyboru na prezesa regionu.

W gruncie rzeczy w wyborach, gdzie startowało pięciu kandydatów, byłem raczej autsajderem. Porządek obrad przewidywał tę konkurencję po dyskusji programowej, tymczasem na dwóch trzecich dystansu żadna dyskusja jeszcze się nawet nie zaczęła. Powstrzymywany siłą przez moich nielicznych zwolenników dotarłem do sceny i korzystając ze zmiany warty na mównicy wziąłem mikrofon i zaproponowałem o zakończenie wspomnień, bo nie będzie czasu na program.

Zapadła nagle cisza, w salę jakby piorun trzasnęła. Potem rozpętała się wiosenna burza. Gwar bił w powały i w nieboskłony, a na parterze roztoczył się nadzwyczajny obraz tłumy delegatów, zgodnie tupiących i powiewających ponad głowami czym kto miał, ale najczęściej książeczkami wyborczymi. Konwulsyjne, nieuporządkowane gesty rychło ułożyły się w gęsty las uniesionych rąk, którego drżące z wysiłku konary przenosiły ku mównicy całą energię dzikiego huraganu. Widok był niesłychany, nigdy jeszcze nie wpadłem

w oko cyklonu. Tu i ówdzie pojedyncze gałęzie łamały porządek rzeczy, przyspieszając albo zwalniając swe undulacje, ale w mgnieniu oka, wystraszone własną zuchwałością, dołączały do słusznego rytmu realnej demokracji. Wykrzywione twarze i wysoki tenor niezgodnego gwaru nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do uczuć delegatów i ich intencji.

Po kilku minutach sala się uspokoiła i można było przejść do oceny stosunku sił. Stosownie do regionalnej tradycji arogant powiedział, co chciał, delegaci zgodnie oprotestowali próbę zamachu stanu, po czym znaleziono nieunikniony kompromis: do maratonu wolnych wypowiedzi wprowadzone zostały pewne ograniczenia, ale bez ściślejszych zaleceń roboczych. Wspominki zatem trwały nadal, choć wyglądały na bardziej powściągliwe. By jednak ostatecznie zrzucić wszelkie pęta, delegaci zlecieli opracowanie programu przyszłemu zarządowi Regionu. W końcu, jakie znaczenie? Wszak program był w Gdańsku.

Przeniesienie programu na Zarząd oznaczało wzmocnienie jego prezydium i osłabienie demokracji w Regionie. Miało to swoje dobre strony, bo na prezydium, którego członkiem spodziewałem się zostać, dało się więcej załatwić. Na dłuższą jednak metę incydent mógł budzić mieszane uczucia, raczej kiepskie.

Słowa niedbałe

A co z wyborami na prezesa Regionu? Co do mnie, dostałem chyba 8 procent głosów, i tak więcej niż się spodziewałem po wydarzeniach poprzedniego dnia. W drodze skomplikowanych przetargów wygrał jeden z braci Sikorów z Tarnowa, dość marginalna postać. Na zebraniach tymczasowego zarządu dał się trochę poznać niezawodnym i zwykle dość umiarkowanym odzewem na hasło „bronić regionu przed Krakowem”. Obronny tumult zabezpieczał interesy delegatów regionalnych, cieszących się nieuzasadnionym przywilejem liczebnej przewagi w stosunku do Krakowa w niereprezentatywnym Komitecie Założycielskim Małopolski. Poza tak rozumianą obronę regionu Sikora rzadko zabierał głos, co pomogło mu otrzymać władzę bez wysiłku, bez zasług, a

przede wszystkim bez kwalifikacji. Należał już do nowego pokolenia baronów demokracji przetargowej, którym ani poglądy, ani publiczne zaangażowanie nie były potrzebne do wygrywania w wyborach.

W tego rodzaju doświadczeniach, jak tarnowski zjazd delegatów Małopolski, utrwał się obyczaj mówienia nie do rzeczy. Solidarność oczywiście tego nie wymyśliła, to tradycyjna zasłona dymna ludzi powołanych przez przypadek historii do steru spraw, lecz mających niewiele na sprzedaż. Udoskonalona przez komunistów, oddawała pewne usługi niektórym działaczom demokratycznej opozycji. Doskonałym tego przykładem były tu słowa Leszka Moczulskiego, który na spotkaniu u Sonika w roku 1979 na pytanie: a co będzie, jak Rosjanie wejdą ze swymi czołgami? – odparł bez namysłu: my też mamy czołgi.

Zasada mówienia byle czego rozwinęła skrzydła w kierowniczych kręgach III Rzeczypospolitej, ale pierwsze jej jaskółki zawitały w eter jeszcze przed jej narodzeniem. Nie tylko z inspiracji gdańskiego elektryka, któremu wszak bez trudu zarzucić można brak kwalifikacji, ale też z intymnej potrzeby niektórych jego doradców, opowiadających byle co z takim samym zacięciem, choć nieporównanie ładniejszym językiem, czasami nawet obcym językiem. Na Zachodzie odkryto tę okoliczność z osłupieniem tuż przed wyborami 1989 roku. Stopniowo stawało się wówczas jasne, że Solidarność nie ma realnego programu rządzenia krajem, a ten opracowany przez Jacka Kuronia postulował jedynie „usamodzielnienie przedsiębiorstw”, „zmniejszenie marnotrawstwa”, a przede wszystkim pilną kontrolę rozdziału dóbr. Brakiem orientacji w tym, co się dzieje, przeskoczył go jeszcze Adam Michnik, z namiastką programu uparcie odwołującego się do doświadczeń hiszpańskich związków zawodowych. W tym czasie byli to kluczowi ludzie solidarnościowej strategii, których umiarkowany rewizjonizm dawał duże gwarancje komunistom.

Solidarność nie miała też przygotowanej ekipy rządowej; najdłużej szukano kandydata na ministra finansów i po kilku odmowach ze strony fachowców znaleziono lektora Komitetu Centralnego. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja średnich kadr ministerialnych, wiceministrów i dyrektorów departamentu,

których albo utrzymywano na stanowisku, albo ściągano niemal z ulicy. Innymi słowy, po dekadzie programowej ciszy, niefrasobliwości kadrowej i strukturalnej indolencji polska opozycja przystępowała do władzy bezradna jak dziecko. Bez względu na to jej mediatyczni gwiazdorzcy, chyba najczęściej Geremek po polsku i francusku, zapewniali, że „jesteśmy gotowi do rządzenia krajem”.

Mówić byle co, byle mówić; dać głos, nieważne jaki, byle został usłyszany. Nieumiejętność trzymania się tematu, drażnienia sprawy, szukania rzeczowych wniosków nadal sprawia, że w Polsce niczego nie można stworzyć: kto nie trzyma się tematu, ten go wszak nie rozwinie.

Kwestia prawdy

Staranność politycznego słowa miała wielkie znaczenie w polskiej rewolucji, ponieważ chodziło tu właściwie o jedyną sferę, gdzie Solidarność mogła wszystko zrobić, poważić się na każdą wolność i na każdy luksus. Jej historyczna rola w przemianach ustrojowych 1980-1990 nie może być oceniana w kategoriach użytej siły i skuteczności w niszczeniu oporu. Jej zadaniem była bowiem rewolucja nowego typu, do której droga prowadziła przez przygotowanie komunistów do dialogu, a społeczeństwa do odpowiedzialności.

Solidarność przeprowadziła ludzi od odwagi czynu zbrojnego, wyzutego ze swej substancji przez geopolitykę, do odwagi mówienia prawdy, co było korzystnym ćwiczeniem zaradności przed nadejściem rynku, który rychło zażądał od byłych związkowców odwagi w podejmowaniu inicjatyw gospodarczych.

Wyleczyła społeczność z choroby samotności nie tyle darem, ile postulatem nadziei; odtąd nie mówiono już: „jak ja się nie uświnię, to zrobi to inny”, ale mówiono: „jeśli nie uda się teraz, to następnym razem”. Możliwość porażki zawsze towarzyszy naszym poczynaniom, ale trzeba próbować, robić co można, rozpychać się przed następną szansą...

W ten sposób uwierzyliśmy, że da się coś zmienić mimo niekorzystnego rachunku sił, na przekór pokusie rezygnacji. Zanim nastąpiła Solidarność, postawa opozycyjna wobec reżimu by-

ła oczywiście aktem pewnej odwagi, ale w większym chyba stopniu źródłem fizycznej przyjemności przeciwstawiania się złu. Solidarność zastąpiła estetykę opozycyjnych biesiad trudem zbiorowego odrodzenia: zniechęceni, nieufni, lękliwi, słabi, a nawet gnoje, podnieśliśmy się z nadzieją i godnością, nie tylko licząc na poprawę bytu, nie tylko odmawiając dalszej zgody na ponizenie i niedorzeczność, lecz także angażując się w nadzwyczajny wysiłek oczyszczenia ustrojowych stajni Augiasza.

Innymi słowy, robota była i w zasadzie nie trzeba było nikogo do niej gonić. Jednakże był to stan przejściowy, sytuacja rewolucyjna, której unormowaniu się stanął na przeszkodzie polityczny bandytyzm czerwonych. Odtąd układ inspiracji społecznego zaangażowania zastygł pomiędzy mistyką i anarchią, stopniowo ewoluując ku kompletnemu rozbiciu na intensywne impulsy indywidualnej zaradności za wszelką cenę. Podziemie nie mogło tu niczego uratować, nawet jeśli sceptyczny realizm nakazywał tu służyć aż do końca.

... i poezji

Zanim minęło osłupienie porażki z 13 grudnia 1981 roku, polegiwałem całymi dniami, na ogół w milczeniu, najczęściej odsypiając kilkanaście miesięcy niedospania. W celi było nas około trzydziestu, niektórzy koledzy wyraźnie oczekiwali jakiejś opowieści. Pewnego popołudnia zatem podniosłem się na pryczy z liryką na ustach:

*Imperatorowa i państwa ościenne przywrócą
spokojność obywatelom naszym. Przeto z wolnej woli
dziś rezygnujemy z pretensji do tronu i polskiej korony.
Nieszczęśliwie zdarzona w kraju insurekcja pogrążyła
go w chaos oraz stan zniszczenia. Pieczołowitość
nasza na nic się nie przyda, świadczymy z całą
rzetelnością naszego imienia.*

Był to jedyny przypadek w całej mojej karierze politycznej, kiedy otrzymałem gorące, szczerze brawa. Tekst był Kaczmarekiego. Muzyki nie było.

Robert KACZMAREK

LISTY DO REDAKCJI

Cornwall, NY, 24 kwietnia 2004

Szanowna Redakcjo,

W artykule Edwarda Kossoya „Żydzi w Powstaniu Warszawskim” (ZH 147) autor cytuje z książki Cukiermana, który z kolei przytacza cytataę z książki Chaima Goldsteina „Sibn in bunkier” o bezkarnym morderstwie dwóch Żydów przez żołnierzy NSZ na Starym Mieście – których był na Starówce naocznym świadkiem.

Byłem żołnierzem AK batalionu „Chrobry I”. Moja kompania wycofała się z Woli na Stare Miasto 6 sierpnia, więźniów obozu na Gęsiówce uwolnili powstańcy batalionu „Zośka” 5 sierpnia. Zakwaterowano nas w szkole w Ogrodzie Krasińskich, a potem w Pasażu Simonsa. Pierwsze parę dni na Starówce, nie licząc musztry itp., spędziłem kręcąc się w rejonie placu Krasińskich, gdzie spotkałem kilkunastu Żydów uwolnionych z Gęsiówki. Rozmawiałem z jednym z nich po francusku, żaden nie znał polskiego, niektórzy byli aż z Grecji. Przez kilka dni po naszym przybyciu na Starówkę panował tam nastrój niemal „odświętny”. Tłumy cywilów pomieszanych z powstańcami w niemieckich ochronnych panterkach, wielu z kolorowymi chustami owiązаныmi wokół szyi, przechadzały się po placu Krasińskich; żandarmeria AK wybrała żółte. Coraz to nieuzbrojone lub niedozbrojne oddziały powstańców przemaszerowywały ze śpiewem (zwykle „Żołnierz drogą maszerował”). Opisałem to w moich wspomnieniach „Mrówka na szachownicy”. Niemcy nie rozpoczęli natarcia na Stare Miasto aż po 11-tym sierpniu, po powrocie Kedywu z Woli na Stare Miasto.

Według Kirchmayera („Powstanie warszawskie”, Warszawa 1959, s. 220), od 4 sierpnia wschodnia granica staromiejskiego kotła, czyli frontu, przebiegała od placu Teatralnego ulicą Senatorską do Placu Zamkowego. Barykada u zbiegu Miodowej i Długiej, czyli u wylotu Miodowej na plac Krasińskich znajdowała się daleko poza linią frontu – w środku staromiejskiego kotła – i nie było jej potrzeby bronić. Szkice terenowe zamieszczone w książce Kirchmayera (które dołączam) wskazują, że ta barykada nie znalazła się na linii frontu aż do końca walk na Starym Mieście w ciągu następnych trzech tygodni. Za tą barykadą przechodziłem wielokrotnie aż do 31 sierpnia odwiedzając rannych kolegów leżących w piwnicach obok Kościoła Garnizonowego. Nigdy nie była ona atakowana przez niemiecką piechotę.

Mój batalion „Chrobry I” bronił Pasażu Simonsa do końca walk na Starówce. W mojej drużynie była łączniczka Wanda Błazucka o semickim wyglądzie i pseudonimie „Żydówka”. Tydzień przed śmiercią została odznaczona Krzyżem Walecznych.

Żydzi nie byli jedynymi ofiarami przestępczej działalności niektórych osobników. Powstaniec z mojej drużyny, Ryszard Sołtyński, którego matka była Niemką, zginął w Pasażu Simonsa. Jego matka, ojczym Polak i trzynastoletnia przyrodnia siostra zostali rozstrzelani przez polskich żandarmów na Sadybie Czerniakowskiej, pomimo iż w ich mieszkaniu za okupacji AK przechowywało broń.

Z poważaniem,

Jan KURDWANOWSKI



Warszawa, czerwiec 2004

Szanowna Redakcjo,

w nawiązaniu do artykułu Edwarda Kossoya „Żydzi w Powstaniu Warszawskim”, zamieszczonym w *Zeszytach Historycznych* (nr 147) chciałbym podać kilka informacji dotyczących Stanisława Napiórkowskiego i Henryka Szpigła, Żydów, uczestników Powstania Warszawskiego, związanych w czasie okupacji niemieckiej z działalnością konspiracyjną piłsudczykowskiego Konwentu Organizacji Niepodległościowych. Informacje o ich losach w czasie okupacji niemieckiej i Powstania Warszawskiego przekazał Waław Zagórski w swoich wspomnieniach „Wolność w niewoli” (Londyn 1971) oraz „Wicher wolności” (przedruk z II wyd., Warszawa 1989). Obydwaj zostali również wymienieni w opracowaniu Katarzyny Utrackiej „Zgrupowanie AK Chrobry II” (Warszawa 2002) oraz Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego, t. 6, cz. 2, red. Piotr Rozwadowski (Warszawa 2004).

Stanisław Napiórkowski urodził się 22 lipca 1923 r. W czasie okupacji niemieckiej ukrywał się od 1942 r. w mieszkaniu drukarza KON Waław Szymkowiaka. Po szantażu Szymkowiaka wobec działaczy Konwentu, w kwietniu 1943 r. udzielono mu schronienia w drukarni KON przy ul. Grzybowskiej 17, której kierownikiem był Waław Zagórski. Wszedł wówczas w skład zespołu drukarskiego, pracując przy składzie tekstów pism konspiracyjnych, wydawanych przez KON. Używał pseudonimów „Staszek” i „Żółw”. 23 grudnia 1943 r. brał udział w zabójstwie Szymkowiaka, skazanego wcześniej na karę śmierci wyrokiem Sądu Specjalnego AK, jak podaje Zagórski, zatwierdzonym na wniosek płk. Zdzisława Zajączkowskiego przez gen. Augusta E. Fieldorfa. Napiórkowski przebywał w drukarni również 18 lutego 1944 r. w chwili wejścia gestapo na teren

posesji przy ul. Grzybowskiej 17. W pierwszych dniach Powstania Warszawskiego ukrywał się w drukarni, a po jej zniszczeniu przez lotnictwo niemieckie 7 sierpnia 1944 r. wstąpił do 4. kompanii 2. batalionu (dowodzonego przez Zagórskiego) zgrupowania „Chrobry II”, otrzymując stopień kaprała. Brał udział w walkach w Śródmieściu. Po kapitulacji przebywał w obozie w Łambinowicach, a od końca listopada 1944 r. w Stalagu IX G Bad Sulza. Po wojnie powrócił do kraju. Nie udało mi się ustalić jego dalszych losów.

Henryk Szpigiel był z wykształcenia ekonomistą. Podczas okupacji niemieckiej ukrywał się w Warszawie. W listopadzie 1943 r. utracił dotychczasowe schronienie. Poprosił wówczas o pomoc swojego przyjaciela Wacława Wagnera, dziennikarza, redaktora pisma *Tydzień*, wydawanego przez KON. Wagner, sam nie mający możliwości ukrycia Szpigla, poprosił z kolei o pomoc W. Zagórskiego. Szpigiel został przewieziony do drukarni przy ul. Grzybowskiej, a okoliczności tego zdarzenia przedstawił szczegółowo Zagórski w swoich wspomnieniach „Wolność w niewoli” (s. 251-252). Podobnie jak Napiórkowski, Szpigiel przebywał na terenie drukarni do 7 sierpnia 1944 r. i również został członkiem obsługującego ją zespołu, przyjmując pseudonim „Henio”. Pomagał przy druku pism konspiracyjnych KON, a ponadto władając biegle językiem niemieckim przeprowadzał adiustację tekstu i korektę pisma *Deutschland Erwache*, wydawanego w ramach akcji „N”. W Powstaniu Warszawskim był żołnierzem 2. batalionu zgrupowania „Chrobry II”, w którym, w stopniu strzelca, sprawował funkcję magazyniera żywności. Po powstaniu najprawdopodobniej opuścił miasto z ludnością cywilną. Po wojnie wyjechał do Izraela. Niestety i w tym wypadku nie udało się ustalić jego dalszych losów.

Pozostaje mieć nadzieję, że informacje o tych dwóch uczestnikach niepodległościowej konspiracji pilsudczykowskiej w kraju w latach okupacji i Powstania Warszawskiego uzupełnią czytelnicy *Zeszytów Historycznych*.

Łączę wyrazy szacunku,

Marek GAŁĘZOWSKI

Warszawa, 7 czerwca 2004

Panie Redaktorze,

Może najpierw pozwolę sobie stwierdzić, że w zasadzie okoliczności powrotu Stanisława Mackiewicza do kraju są całkiem dobrze znane (wysiadł na Okęciu – przypomnijmy jednak, dla porządku, ten incydent sprzed dziesięcioleci – 14 czerwca 1956). Opisano również, w końcu niemniej chyba sumiennie – reakcje na wychodźstwie,

gwałtowne przeważnie oraz bardziej jakby przyciszone, ogłędne, dyrygowane przecież – gazet w PRL.

Jednak opublikowane przez Krzysztofa Tarkę, ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, dwa listy: Mackiewicza do Putramenta i odpowiedź Putramenta, wymienione na miesiąc przed powrotem Cata, chociaż nie przynoszą nowych faktów, stanowią niebłahy, sądzą, źródłowy bowiem materiał (*ZH* nr 147/2004). Są to wprawdzie odpisy sporządzone w Komitecie ds. Bezpieczeństwa Publicznego (bezpośrednim spadkobiercy Radkiewiczowskiego MBP), lecz w autentyczność korespondencji trudno by wątpić. Nawet jeśli niejasny jest właściwie dalej los oryginałów.

W każdym razie pani Aleksandra Niemczykowa, w papierach po Ojcu nie ma ani jakiejś wersji czy kopii listu Mackiewicza z Londynu, ani też tego listu Putramenta z Warszawy. Lecz Cat, bądźmy uprzejmi, nie był systematyczny, a cóż dopiero drobiazgowy. Zresztą, gdyby nawet przypadkiem coś z tej korespondencji posiadał jednak, zbyt wiele i to bardzo różnych okazji bywało (także, wg rodziny, zakusów ubeckich), aby się nie zawieruszyła. Przecież kiedy trwało śledztwo o druk artykułów w *Kulturze*, na Jezuickiej wykonano regularną rewizję, z pilnym myszkowaniem po kątach (22 czerwca 1965). Ale zostawmy dywagacje i domysły.

Te odpisy Listów natomiast, opatrzone klauzulą „ściśle tajne” i stosownym numerem egzemplarza – trafiły do IPN wprost z półek Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wraz z innymi materiałami zgromadzonymi o Mackiewiczu przez aparat tzw. Resortu (IPN-01251/533). Zespół ten składa się z 52 Mikrofisz (na jednej MF mieści się około 50 stron). Archiwalia, co najmniej od roku, są już dostępne badaczom.

Jeszcze słowo o tych tekstach.

Mamy tam jednak, sądzą, niezły autoportret Mackiewicza, zapewne niezamierzony; tym lepiej. Albo przynajmniej szkic do takiego wizerunku; lecz, wydaje się, dość osobisty i serio, wcale zaś nie obsesyjny, jak chce Putrament. Decyzję powrotu uważał zawsze za trzeci – po sukcesie Nieświeża (1926), „nieudanej lecz mądrej”, jak twierdził, rozmowie z Raczkiewiczem w Libourne (1940) – zwrotny moment swojego życia.

Po co jednak ten list pisał? Rzecz była ustalona (dobiegało 10 miesięcy od pierwszej rozmowy z Putramentem), walizki nabyte, a przyjaciele jakoś oswajani ze sprawą. Putrament w swojej odpowiedzi, pisanej na kolanie, czasem nonszalanckiej i protekcyjnej, wszak *per saldo*, rzeczowej, nazwał list „jakimś *aide-mémoire*”, notą werbalną, więcej, zapisem uprzednich rozmów. Użył terminu fachowego, wprawdzie ironicznie, lecz akurat bardzo trafnie.

Albowiem sądzą, że właśnie Catowi – m.in. z oczywistej dbałości o własne dobre imię, ale i dla jasności sprawy – zależało na takim pisemnym świadectwie.

I po to napisał ten list.

Oddzielnym niejako zagadnieniem natomiast, Panie Redaktorze, byłaby, przypuszczam, ta dziwaczna niewątpliwie zażyłość dwóch Panów. Fenomen ponurej epoki? Na ile starczyło danych – po redukcji plotek – zająłem się tym w Biografii SM. Mawiało się, że działały sentymenty wileńskie, jakaś też pamięć, bo student, żagarysta czerwony ostentacyjnie, dorabiał sobie jednak artykułkami w *Słowie*. Pewne ze stron, zdaje się, obu – poszanowanie pisarskich umiejętności. Światopoglądową przepaść – jeśli pojawiła się ewentualnie potrzeba – zapełniała, wydaje się, zupełnie dostatecznie, hipokryzja. Cały ten wypielęgnowany bukiet niedomówień, grymasów, wybiegów i krętałów.

Nie miejsce tu, a i mało sensu, w roztrząsaniu kwestii. Nie wiem, czy Mackiewicz zdawał sobie sprawę, wtedy w Paryżu (lato 1949; relację Putramenta z rozmowy, Andrzej Paczkowski wydobył, z tzw. papierów Bieruta przechowywanych w Archiwum Akt Nowych), czy następnie w Londynie (jesień 1955 – Bierut dalej interesował się spotkaniami) – jaki właściwie użytek robił z tych spotkań Putrament; co mu przyświecało?

Niewątpliwie fachowo i pieczołowicie eksploatował te okazje. Według poleceń – jak obecnie wiemy z archiwaliów – z samej góry.

Cat, natomiast, bywało, że niefrasobliwy, bywało, że niedbały, bywało, że ryzykant – może wiedziony jedynie intuicją – nie dał się wciągnąć w kombinację (w 1949 w MBP vice-min. Romkowski badał możliwość pozyskania agenturalnego). Odzywał się jednak do Putramenta; chciał wracać; dopiął swego.

Nie dało się go omotać, usidlać, kupić. Prób rozmaitych, wydaje się, było niemało. K. Tarka, we Wprowadzeniu pisze, że Komitet d/s Bezpieczeństwa Publicznego w 1956 sfinansował wydanie broszury „Od małego Bergu do wielkiego Bergu”. Nie jest to całkowicie ścisłe. Może bowiem sugerować, że publikacja powstała z inicjatywy Komitetu. Był to tymczasem trzeci tekst Mackiewicza na ten temat (pierwszy – kwiecień 1953). Niemało też prowadził wojen.

Nie przeczę, naturalnie, że powrót Mackiewicza miał i tzw. aspekt finansowy. Różnie to kamuflowano wówczas i do dzisiaj, w zasadzie tak pozostało. Skąd pieniądze oraz za co? Kto ma je wręczyć? Za książki leżące w PIW-ie czy zaliczka na nowe? W dociekaniach bardziej bodaj przydałby się księgowy niż moralizator. Przypomnę Giedroycia z listu do Jeleńskiego, że Mackiewicz został jakby „wykupiony” przez Cyrankiewicza (List z 14 VI 1956; nad SM wisiała ciężka grzywna brytyjskiego sądu za pomówienie Tadeusza Żenczykowskiego w druku).

Szkoda, że K. Tarka, jakby w pośpiechu, nie posłużył się jeszcze kilkoma, wartymi uwagi faktami z tych archiwaliów IPN. Zwłaszcza, że dają one pewien obraz obiegu informacji, kulisy i jakości pracy Bezpieczeństwa w tym ostatnim miesiącu przed powrotem Mackiewicza i pierwszych dniach w Warszawie.

Jeśli przedtem Mackiewiczem interesował się Bierut, teraz

raporty wędrują do jego następcy. W ciągu miesiąca było ich co najmniej sześć. Nie wiemy, czy je czytał (w IPN, w zasadzie, są kopie kancelaryjne, tzn. dokumenty nadawcy, zatem, jakby martwe, bez uwag, paraf, dyspozycji).

17 V 1956 sam szef K. ds. BP E. Pszczółkowski przesyła Ochabowi, egz. nr 1 odpisu Listu SM do Putramenta. 25 V 1956, odręczna Notatka v-ce przew. K. ds. BP: „Tow. Ochab. Przesyłam notatkę ze spotkania naszego pracownika z Mackiewiczem. Jak widać z notatki finalizujemy tę grę, która trwa 9-10 miesięcy. Kopię tej notatki wysyłamy do tow. Zawadzkiego i Cyrankiewicza. Alster”.

Następują z kolei trzy Notatki sporządzone zapewne w Komitecie z meldunków funkcjonariuszy z Londynu. Relacjonowane jest m.in. spotkanie SM z przyjaciółmi, (29 V 1956); m.in. Lew Sapieha, Kazimierz Okulicz, Koziełł Poklewski; na wieść o decyzji miano zareagować „histerycznie”.

23 VI 1956, I Sekretarz otrzymuje „do wglądu” Notatkę relacjonującą spotkanie u Janusza Radziwiłła (21 VI 1956 jest to pierwsza i zarazem ostatnia Notatka z Warszawy związana z powrotem w zbiorach IPN. Na tym materiały się kończą). Fragment: „Podczas przyjęcia u Radziwiłła, Cat – zdaniem zebranych – wykazywał bardzo uniżony stosunek do Radziwiłła, pytał się zebranych [wymienieni m.in. Aleksander Bocheński, prof. Witold Kamieniecki], jak ma postępować w takim czy innym wypadku, i robił takie wrażenie na zebranych jak gdyby uważał Radziwiłła za swój autorytet polityczny i był mu w czymś podporządkowany”.

Styl, poziom tej Notatki, na jotę nie odbiega od wymienionych wcześniej.

Na koniec, Panie Redaktorze, może przypomnę (odetchnijmy trochę po tych papierach ubeckich) – jak to Cat, ledwie cztery dni po przyjeździe, telefonował do Giedroycia, że mu właśnie wysyła artykuł. Giedroyc, pewnie trochę zdumiony, natychmiast powiadomił też Jeleńskiego (list z 18 VI 1956). Zaś następnego dnia w liście do Mioszszewskiego pisał: „czytałem [...] w *Życiu Warszawy* wywiad Mackiewicza w Warszawie. Mogło być gorzej. Nie jest on zbyt mądry [tzn. wywiad] ale z niewątpliwą godnością” (*ŻW* z 15 VI 1956; list z 19 VI 1956). Nic z tego wtedy jakoś nie wynikło. Za to kiedy się wreszcie Mackiewiczowi udało drukować w *Kulturze* (październik 1964 – czerwiec 1965; ps. Gaston de Cerizay) – jak Pan wie – przynajmniej w zamiarze władz, miało się to skończyć w kryminale.

Jerzy JARUZELSKI

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| Krzysztof Tarka: <i>Z dziejów Polonii brytyjskiej. Liczba i rozmieszczenie Polaków w Wielkiej Brytanii 1918-1939</i> | 3 |
| Wojciech Śleszyński: <i>Koncepcje przesiedlenia ludności polskiej na ziemię północno-wschodnie II Rzeczypospolitej</i> | 18 |
| Krzysztof Buchowski: <i>Tadeusz Katelbach a Litwa</i> . . | 35 |
| Marian Fatalski: <i>Podsekretarz Stanu Summer Welles a sprawy polskie w latach II wojny światowej</i> . . | 65 |
| Sławomir M. Nowinowski: <i>Ewakuacja Poselstwa RP z Belgradu w 1941 roku</i> | 99 |

POLEMIKI

| | |
|---|-----|
| Marek Wierzbicki: <i>W kwestii szmalcownictwa w Warszawie w czasie II wojny światowej</i> | 120 |
| Jan Grabowski: <i>Replika</i> | 127 |

ARCHIWUM «KULTURY»

| | |
|---|-----|
| Andrzej Dobrowolski: « <i>Wot tam diadia Wyszynski...</i> » <i>List T. Parnickiego do J. Giedroycia z 2 XII 1954</i> | 130 |
|---|-----|

KSIĄŻKI

- Maria Pasztor: *Zmarnowana szansa. Na marginesie lektury najnowszej pracy o stosunkach polsko-francuskich w latach 1938-1944* 140
- Piotr Daszkiewicz: *Kolaboranci, bohaterowie i... milcząca większość. Francuscy naukowcy w okresie okupacji* 177

CI, CO ODESZLI

- Ryszard Löw: *Pani Łucja* 182
- Janina Stobniak-Smogorzewska: *Tadeusz Walczak (1924-2003). Przedsiębiorca i społecznik (w rocznicę śmierci)*. 192
- Piotr Wandycz: *Jaroslav Valenta* 199

WSPOMNIENIA

- Marian K. Dziewanowski: *Moje studia sowietologiczne w Harvardzie* 201
- Robert Kaczmarek: *Cisza to potęga* 222

LISTY DO REDAKCJI

- Jan Kurdwanowski 232
- Marek Gałęzowski 233
- Jerzy Jaruzelski 234

ZESZYTY HISTORYCZNE

ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA
Adres Redakcji: 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egzemplarz pojedynczy | Cena prenumeraty rocznej |
|--|---------------------------|----------------------------|
| Ceny na rok 2004 | | |
| AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, tel.: (1) 526-31-14 | € 22,00 | € 80,00 |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji i w księgarniach polskich w Paryżu | € 22,00 | € 80,00 |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 rue Picard, Brossard, QC J4W 1S5, tel.: (450) 465-23-62; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-82-60, fax: (613) 789-10-51 | \$ can. 28,00 | \$ can. 110,00 |
| NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln 1, tel.: 0221/24-61-60 | € 22,00 | € 80,00 |
| SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: (22) 343-05-84 | F. Szw. 32,00 Skr. 210 | F. Szw. 120,00 Skr. 750 |
| USA: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, WI 53211; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, tel.: (650) 327-55-90 & (650) 851-07-48; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, NY 10018, tel.: (212) 594-22-66 | \$ USA 24,00 | \$ USA 90,00 |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books Ltd., 206 Blythe Road, London W14 0HH, tel.: (020) 7602-55-41 | € 22,00 | € 80,00 |

Dopłata za wysyłkę pocztą lotniczą:

USA, Kanada:

4 USD (lub 4 €) za jeden egzemplarz; 16 USD (lub 16 €) rocznie

Azja, Oceania, Ameryka Południowa:

5 USD (lub 5 €) za jeden egzemplarz; 20 USD (lub 20 €) rocznie

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konta:

– pocztowe: La Poste, SCE 4797689V033

IBAN: FR 51 20041 01012 4797689V033 49

BIC: PSSTFRPPSCE

– bankowe: Credit Lyonnais, 2, Avenue de Longueil,

78600 Maisons-Laffitte, Agence 023 32, nr konta 79595 P.

IBAN: FR 13 3000 2023 3200 0007 9595 P53

BIC: CRLYFRPP

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 30 JUIN 2004
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 2^e trim. 2004
N° d'imprimeur : 7556

€ 22